

Marczyński Antoni

Taitu 02

Iperyt zwycięzca

Spis treści

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII
Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Epilog

Opracowano na podstawie edycji Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1936.
Książka ta stanowi dokończenie *Tajemnic władców Abisynii*.

ROZDZIAŁ I

Do północy ani oka nie zmrużyła.

Ongiś zasypiała zwykle o zachodzie słońca a spała twardo jak zabita. Bywało, gdy w zeribie czatowali na lwy, że ojciec budził ją mocnym tarłoszeniem za włosy. — Strzelaj, śpioszku — szeptał jej do ucha — pan z wielką grzywą już pożera przynętę. — Gdzie te dobre czasy, gdzie!

Westchnęła. Na czworakach wyszła z niskiego namiotu, powstała, jednym spojrzeniem ogarnęła swój maleńki obóz. Muły zaniepokojone bliskością jakiegoś drapieżnika wcisnęły się pomiędzy dwa inne, większe namioty, w których spali ludzie z jej karawany. Nie wszyscy jednak spali. Jeden człowiek uzbrojony w starą flintę krążył nieustannie pomiędzy trzema ogniskami i do każdego z nich dorzucał raz po raz paliwa z ogromnej sterty gałęzi. Prócz tego wartownika czuwał jeszcze sędziwy mnich, nominalny przywódca karawany. Zauważywszy młodą niewiastę, która wyszła przed swój namiot, podszedł do niej natychmiast, pochylił głowę w ukłonie.

— Dostojna woizeru, azali masz jakie życzenie? — spytał cicho.

Spojrzała na niego karcąco, zmarszczyła brwi.

— Prosiłam cię już raz, Mateuszu, abys mnie tak nie nazywał. Nie jestem obecnie woizeru, tylko zwyczajna sobie Dalila Borez.

— Ja za moich ludzi ręczę głową!

— Lecz nie wiemy, czy ktoś obcy nie leży obok, w krzakach.

— Na pewno nikogo tam nie ma ani w ogóle w całej dolinie. Dopiero jutro wieczorem spotkamy znów górali... Dlatego można tu rozmawiać bezpiecznie. Stokroć bezpieczniej niż w Addis Abebie.

— Addis Abeba — powtórzyła w zamyśleniu. — Wyruszyliśmy stamtąd dwa tygodnie temu, a granicy Erytrei jak nie widać, tak nie widać.

— Bo wielki jest nasz kraj, woiz... Dalilo, bardzo wielki.

— Eee, pociągiem cała moja podróż nie trwałaby dłużej niż trzy dni. Gdyby tu były porządne mosty i linia kolejowa...

— Przenigdy! — oburzył się mnich. — Nigdy szatańskie wymysły Białych nie pohańbią mych rodzinnych stron. Ani koleje, ani smrodliwe wozy bez koni! Włosi wtargnąć tu mogą, ale nie zagrzeją miejsca i żywi stąd nie wyjdą!

— Co daj, Boże, amen — dokończyła, wznosząc twarz ku niebu.

Niemal równocześnie zabrzmiał ryk lwa. Zabrzmiał tak blisko, że starzec odruchowo pochwycił sztucer, na którym opierała się kobieta. Wartownik zaś, wyrwawszy płonąca gałąź z ogniska, cisnął ją z rozmachem w stronę kępy bambusów szeleszczących bardzo podejrzenie. Nie dorzucił tak daleko, nie odstraszył drapieżnika, którego groźne pomruki zaczęły wywoływać panikę wśród mułów. Wartownik podbiegł więc do wodza karawany.

— O, świątobliwy — zawołał — on nie boi się ognia. To szatan!

— Na pewno lew — odparła kobieta z uśmiechem — tylko wygłodzony.

— Nakarmię go zaraz ołowiem.

Mnich wymierzył w zarośla, wypalił, potem w krótkich odstępach czasu oddał jeszcze

trzy strzały.

— Umiesz, widzę, obchodzić się ze strzelbą.

— W młodości byłem żołnierzem! — odparł z dumą.

Cztery detonacje odbiły się w górach potężnym echem, za to w dolinie nastała upragniona cisza. Ludzie z karawany zaalarmowani strzelaniną powrócili co prędzej do namiotów, by wypaść się przed dalszą podróżą.

— A ty, Dalilo, nie pójdziesz wypocząć?

— Jeszcze nie jestem śpiąca... Więc byłeś żołnierzem, powiadasz. Czy brałeś udział w jakiej większej bitwie?

— W największej! Walczyłem pod Aduą!

— O! Zazdroszczę ci, Mateuszu.

— Miałem wtedy dwadzieścia lat i tylko dziesięć nabojów w ładownicy. Pomimo to... — urwał nagle i okrzyk bezgranicznego zdumienia wyrwał mu się z piersi. — Tam! Patrz!! Ognisty wąż!!

Dalila Borez odwróciła się na pięcie, zanim wypowiedział pierwsze z tych słów. Zdażyła więc ujrzeć „ognistego węża” jeszcze wówczas, gdy poprzez mroki nocy błyskawicznie wspinał się ku niebu. Tam rozwarł paszczę, wypluł pęk płomieni i pięknych zielonych kul, które powoli opadały na ziemię, gasnąc kolejno. Ot, najzwyczajniejsza rasa.

— Czegoś podobnego nie widziałem, jak żyję!

— A ja widziałam — pochwaliła się. — W stolicy.

— No, jeśli to nie jest diabelski...

— Może jest — wtrąciła — lecz obecnie stanowi to niezbity dowód, że omyliłeś się, Mateuszu. Prócz nas są także inni ludzie w dolinie. I to z pewnością Biali!

Zgadła. Europejczykami byli ci, którzy w odpowiedzi na cztery strzały zapalili raketę i teraz czekali na wzajemny sygnał. Czekali oczywiście na próżno.

— Może stał tyłem odwrócony do nas? — odezwał się tęgi, przysadkowaty mężczyzna, ucharakteryzowany na Falasza, abisyńskiego Żyda. — Nocą trudno wyznać się w tej zakazanej okolicy, gdzie stoi pański oryginalny hangar. Może by wypuścić drugą racę?

Jego towarzysz, ubrany w kombinezon lotnika był temu przeciwny.

— Niech pierw Giovanni, jeśli to on, powtórzy swój sygnał — odparł, zapalając fajeczkę. — Od zwierzyny roi się tam niżej, blisko wody, więc pukanie słyszałem tu często. Mógł jakiś góral czy rozbójnik wystrzelić akurat cztery razy... I tak było na pewno — dodał po chwili. — Giovanni byłby albo odpowiedział na racę, albo powtórzył umówione cztery wystrzały.

— Może je powtórzy jeszcze...

Czekali na to przez dwie godziny, na próżno. O świcie zbudziło ich szczekanie psa, czarnego pudła, którego lotnik uważał za swoją maskotkę i z którym nie rozstawał się nigdy. Uciszyli go co prędzej, podbiegli do bambusowego ogrodzenia, wyjrżeli na zewnątrz. Poczynając od ich dużej zeriby, świetnie zamaskowanej na skraju lasu bambusów, ciągnęła się łąka łagodnie opadająca ku odległemu stąd strumieniowi. Drugi brzeg strumyka był bardziej stromy i właśnie tam, pośród kęp krzaków, ujrzeli kilkunastu krajowców pospiesznie zwijających swój obóz. Przez lornetkę widać to było dokładnie.

— Jest wśród nich zakonnik... I kobieta... Wcale zgrabna.

— Szkoda, że nie przyszła przed tygodniem... Sama!

— Nudziło się panu?

— A co pan myśli! Dwa tygodnie tu czekam na was i rozmawiam tylko z psem. Dwa tygodnie ciągłego napięcia nerwów. Mniejsza już o lwy czy węże, ale groza powodzi! Dziesięć dni temu ten marny strumyk miał kilometr szerokości! Zalał dwie trzecie łąki, mego parszywego

lotniska, a reszta była trzęsawiskiem. Gdyby mi wtedy wypadło startować, ugrzązłbym w błocie od razu... Albo i rozbójnicy. Eee, szkoda gadać. Grunt, że dzisiaj wracam do Asmary.

— O ile Giovanni dziś przyjdzie.

— Bez względu na to. Otrzymałem rozkaz czekać na was najwyżej do dziewiątego sierpnia włącznie.

— A dzisiaj jest ósmy!

— Niemożliwe! — Lotnik wyjął kalendarzyk. — Codziennie przekreślam jedną datę, by w tym pustkowiu nie stracić rachuby czasu... O, proszę.

— Widocznie kiedyś przekreślił pan rano jedną datę, a zapomniawszy o tym, machnął pan kreskę przy drugiej dacie wieczorem tego samego dnia. Dziś jest, powtarzam, na pewno czwartek, ósmy sierpnia.

Ostatecznie udało mu się wmówić to w lotnika i przez to wytargować jeszcze dzień zwłoki dla przyjaciela, którego nieobecność przedłużyła się nadmiernie. Giovanni powinien był przybyć tu już dawno. Czyżby go zdemaskowano, zanim dotarł do rasa Seyuma?!

— Ale jutro wystartuję nieodwołalnie. I to rankiem.

— Dlaczego nie po południu?

— Dlatego! Widzi pan?

Lotnik wyciągnął dłoń w stronę majaczących w oddali konturów góry, najwyższej z całego pasma. Jej szczyt, wznoszący się na 4,620 metrów ponad poziom morza, płonął w szkarłatnych blaskach wschodzącego słońca, lecz poniżej przylegał do zbocza duży obłok miedzianej barwy.

— Jeśli Ras-Daszan ma taką rudą brodę, powódź murowana!

— Powódź tu nie dociera, sam pan mówił przed chwilą.

— Ale zalewa moje cholerne lotnisko — odparł zniecierpliwiony pilot, klepiąc dłonią koło podwozia samolotu, który zajmował całą zerbę i kadłub miał nakryty plandeką — a ten gruchot nie jest hydroplanem, poruczniku Campolo. Nie myślę też czekać dalszych dziesięć dni, aż łąka obeschnie. Jeżeli Giovanni Delsanto nie stawia się tutaj zanim woda zacznie przybierać, będzie wracał do Erytrei pieszo.

— I zginie koło granicy, jak tyłu innych. Z pańskiej winy!

— Nie z mojej. Ja mam rozkaz zameldować się w Asmarze dziewiątego sierpnia, czyli jutro, jak pan wyliczył. I czekałbym tu na Giovanniego prawie do zachodu słońca, gdyby nie to!

Tu znowu wskazał na złowrogą brodę z chmur, jaka wyrosła niebotycznemu Ras-Daszanowi. Z jeszcze większym niepokojem zerkał na nią stary mnich, którego cztery strzały o północy wprowadziły w błąd porucznika Campolo i lotnika. Nie żałując szturchańców, przynaglał swoich ludzi do szybszego zwijania obozu. Nawet śniadania zjeść im nie pozwolił tutaj. — Można jeść, jadąc — powiedział. Zrezygnował też z zamierzonych poszukiwań tych, którzy *wypuścili w niebo ognistego węża*, i niebawem karawana wyruszyła w drogę.

Posuwali się wzdłuż strumyka, w górę jego biegu. Rozległa dolina jęła zwęzać się szybko w wąwóz, którego ściany wyrastały coraz wyżej, aż doszły do imponującej wysokości półtora tysiąca metrów. Ich zbocza od początku strome i pokryte bujną podzwrotnikową roślinnością, w pewnym miejscu stały się prawie pionowe, gdzieś tam tylko porosłe kępami mchów. To już nie był wąwóz, lecz bardzo głęboka a wąziuteńka szczelina, której dno oglądało słońce jedynie w samo południe. Gdy karawana mnicha Mateusza dotarła do tego miejsca 25 minut po dwunastej, ogarnął ją półmrok, a strefa cienia na prawej ścianie jaru niemal w oczach podnosiła się w górę. Ucichły wszystkie rozmowy, bo jakoś straszno tu było. — Ogrom prostopadłych ścian skalnych, odległych od siebie miejscami zaledwie o kilkanaście metrów, przytłaczał serca, przerażał. Nikt nie mógł opędzić się bezsensownej obawie, że przecięta góra zrośnie się na powrót lada chwila i

zgniecie wszystkich na miazgę. Nikt nie dopraszał się o postój tutaj, chociaż chłodny cień nęcił przemożnie i choć godzina południowego posiłku już minęła.

Mnich wskazał jakiś głąz wiszący nad drogą na wysokości dobrych dwudziestu metrów i najwyraźniej podmyty.

— Widzisz? — rzekł do Dalili. — Aż tam podchodzi wielka woda. Kogo ona w tym miejscu przyłapie, zginął nieuchronnie!

Szczelina ciągnęła się na przestrzeni dwóch kilometrów, potem znowu zaczęła rozszerzać się i tworzyć zakręty. Obok jednego z nich urządzili popas. Kończyli właśnie jeść posiłek, gdy ktoś krzyknął ostrzegawczo:

— Złodziej! Łapać złodzieja!

Zerwali się wszyscy. Wśród mułów, które, skubiąc trawę, oddaliły się nieco, ujrzeli obcego człowieka. Porwał jednego wierzchowca, lecz nie ujechał na nim ani dziesięciu kroków, kiedy schwytano go na arkan. Spadł na ziemię bronił się zawzięcie, oczywiście na próżno. Potem zaczął błagać, aby mu pozwolono odejść. Zaklinał się, że nie jest rozbójnikiem, ale spokojnym góralem, pastuchem. Wczoraj dowiedział się, iż jego matka dogorywa. Powierzył swoje owce przyjacielowi, puścił się w drogę do rodzinnej wioski, jechał bez wytchnienia przez całą noc i dzisiaj do południa, aż wierzchowiec padł mu ze zmęczenia. Dalej biegł pieszo. Gdy tu ujrział tyle mułów, skusiło go, by jednego porwać. Tylko dlatego, by zdążyć do łoża umierającej matki...

To, co mówił, mogło być prawdą, lecz Mateusz wiedział dobrze, ilu chytrych złodziejasków grasuje w tych górach i wołał upewnić się, czy ten młodzieniec rzeczywiście należy do spokojnych ludzi.

— Wszystkich górali z całej okolicy znają ojcowie z klasztoru Abu Manga, dokąd podążam, rzekł. — Jeśli oni potwierdzą, że jesteś uczciwym człowiekiem, będziesz wolny. Może to nastąpić już jutro wieczorem.

— A jeśli tymczasem moja matka umrze?!

— Nic na to nie poradzę. Czemuś kradł, zamiast przystąpić do nas i mówić tak, jak mówisz teraz? Cierp za to... No, ruszamy w drogę.

Rozwiązano jeńcowi nogi, aby mógł biec za mułem mnicha. Na arkanie! W razie upadku groziło mu to uduszeniem, gdyż pętlę lassa miał zarzuconą na szyję i ręce mocno skrępowane na grzbiecie. Powinien był więc stale patrzeć pod nogi, tymczasem zerkał raz po raz na jadącą obok niewiastę. Nie bez wzajemności! Dalila Borez od pierwszego wejrzenia poczuła, sympatię do niefortunnego złodzieja, a jego opowieść o ciężko chorej matce przypomniła jej podobne chwile z własnego życia i wzruszyła ją do głębi. Jeniec wyczuł to snadź natychmiast. W błagalnych spojrzeniach, jakie rzucał na piękną sąsiadkę było tyle wyrazu, że Dalila zaczęła wstawiać się za nim do mnicha. Przyszedł jej z pomocą nieprzewidziany wypadek.

Kiedy zbliżyli się do grupy ogromnych głązów, które strumyk łukiem okrążał, pierwszy wierzchowiec rzucił się w bok tak gwałtownie, że mnich spadł na ziemię. Niemal równocześnie spoza zakrętu wyskoczyła lwica, trzymając w pysku za kark małe lwiątko. Zanim kto zdążył uspokoić swojego muła lub zeskoczyć, wymierzyć, wypalić, lwica w paru skokach minęła karawanę i popędziła w dół jaru, nie czyniąc krzywdy nikomu. Jeszcze nie ochłonęli z wrażenia po tym spotkaniu, gdy przebiegły obok nich dwie cuchnące hieny, zaś w minutę później pomieszane z sobą stadka dzików i antylop.

— Antylopy ścigają lwa?! Bogobojny Mateuszu, co to znaczy?

Bogobojny przede wszystkim wyrwał poganiaczowi bat. Okładając nim wszystkich z wyjątkiem Dalili, srogim krzykiem jał przynaglać ludzi do pośpiechu. Sądził, że wielka woda już-już nadchodzi i chciał zdążyć do miejsca, gdzie zbcze jaru miało spadek łagodniejszy. Okazało się jednak zaraz, iż jeniec opóźnia ich pochód. Gdy upadł, mnich przeciął arkan,

krzyknął: — A niech cię lichy! — i popędził dalej, a za nim wszyscy. Prócz Dalili. Ona tylko zatrzymała się przy jeńcu, zsiadła, rozluźniła duszącą go pętlę, nożem przecięła więzy krępujące jego ręce, pomogła mu wstać i podarowała mu swojego muła.

— A ty? — spytał zdumiony jej postępowaniem.

— Bądź spokojny, oni wrócą po mnie. Weź mój nóż. Lepiej mieć przy sobie choć taką broń. I spiesz do matki. Gdyby wielka woda...

— Wiem — wtrącił — bardziej lękam się... no, tak jesteś szlachetną dziewczyną. Tobie będę zawdzięczał życie, jeśli mnie powódź nie złapie.

— Więc pędź, zamiast gadać!

Jeszcze stał. W pożegnalnym spojrzeniu, jakim przywarł do niej, prócz serdecznej podziękii za tyle okazanej mu dobroci malował się również zachwyt. Już wówczas, kiedy schwymano go na gorącym uczynku, zauważył, że kobieta towarzysząca mnichowi ma bajecznie zgrabną sylwetkę i ruchy pełne wdzięku, miękkie, *jak kotka* określił to w myśli. Później, prowadzony na arkanie, podziwiał jej smukłe nogi i rasowe ręce. Teraz zaś, stojąc naprzeciw niej, mógł przyjrzeć się jej z bliska en face⁽¹⁾ i jego uznanie dla urody Dalili jeszcze wzrosło.

A Dalila Borez patrzyła na nieznanego także nie bez zainteresowania. Wprawdzie na pierwszy rzut oka nie wyglądał zachęcająco obecnie, był zarośnięty, brudny, podrapany do krwi, lecz jego głęboko osadzone oczy o zielonych tęczówkach i z rzęsami zbyt długimi jak na mężczyznę miały w sobie coś fascynującego. Ich spojrzenia wywoływały u niej dziwnie miły niepokój. Zgadywała też, że niechlujne lachmany, jakie miał na sobie, to jego przypadkowy strój, dziwactwo lub chwilowa konieczność. Zwykle chodzi z pewnością w pięknej jedwabnej szammie, to poznać od razu. Z oczu mu patrzy, że jest panem całą gębą. Może nawet rasem?!

Od chwili, gdy rzekła *Więc pędź, zamiast gadać*, upłynęło zaledwie kilka sekund. Jej wydało się, że godzina, że tej zwłoki odrobić nie można, że przez nią dopadnie go powódź.

— Uciekaj, błagam! — zawołała.

W jej czarnych oczach, podłużnych jak migdały dostrzegł lęk. Bała się o niego, a więc... Kierując się nagłym porywem serca, zniemacka pochwycił ją wpół i pocałował w usta mocno, długo, ogniście. Potem dosiadł muła, kopnął go piętami, popędził w dół jaru. Ujehawszy ze sto kroków, obejrzał się. Ona stała jeszcze na dawnym miejscu, spoglądała za nim. Tego, że palcem delikatnie wodziła po wargach, nie mógł już dostrzec. Nie mógł też wiedzieć, iż skradziony całus przypadł jej do gustu bardzo a bardzo. Znacznie bardziej, niż gdyby go był uprosił, wyżebrał.

Po trzech minutach wyścigowego cwału mnich Mateusz dostrzegł na lewej ścianie jaru coś w rodzaju lichej ścieżki. Wiodła ona na szeroki występ skały tworzącej tam naturalny taras zbyt wysoko położony, aby jakakolwiek powódź mogła go zalać. Ucieszony, że znalazł tam dobry schron, odwrócił się, by powiedzieć to Dalili, i dopiero teraz zauważył jej nieobecność.

— Gdzie woizeru?! — ryknął, podnosząc bat.

Nie spuścił go jednak na niczyje plecy. Zreflektował się, że na to będzie dość czasu później, że przede wszystkim trzeba odnaleźć ją, rzekomą Dalilę Borez. Za jej bezpieczeństwo odpowiadał głową! Jeśli ów złodziej...

— Święty Elizjuszu, ratuj ją! Szukać jej, skurczybyki! Nie wszyscy! Juczne muły zapędzić na górę, czekać tam na nas. Reszta, za mną!

Na czele sześciu zbrojnych pognął z powrotem. Za pierwszym zakrętem wąwozu dostrzegł Dalilę. Tyłem do nich zwrócona stała sobie najspokojniej, jak gdyby żadne niebezpieczeństwo jej tu nie zagrażało. A gdzie jej wierzchowiec, ich najlepszy muł?

— Ukradł ci go ten łotr?!

Ocknęła się z zadumy, ze zdziwieniem spojrzała na pytającego, nie od razu pojęła, o co mu chodzi.

— Jakże mógł ukraść, skoro miał ręce związane. Podarowałam mu go, aby mógł zdążyć do łoża konającej matki.

— Chwali ci się dobre serce, ale... — Na migi mnich polecił jednemu ze swoich ludzi zsiąść z muła, posadzić na nim kobietę, zawrócił małą kawalkadę, zmusił ją do cwału, po czym dokończył zdania — ale żałuję, że nie mam prawa ukarać cię za tę lekkomyślność tak, jak ukarzę tych za nieuwagę.

Kara polegała na chłóście. Jej wymiar nastąpił na wysokim występie skalnym, gdzie zastali już połowę swej karawany. Mnich polecił rozbić namioty, a muły krótko przywiązać do krzaków rosnących obok górnego wylotu ścieżki. Ciasno im tu było wszystkim, lecz za to bezpiecznie. W dole zaś nadal odbywała się wędrówka zwierząt. Pojedynczo, parami lub w stadach, niektóre jeszcze pełne sił, inne wyraźnie zmęczone kilkugodzinną ucieczką, spieszyły z biegiem strumyka ku dolinie, w której karawana Mateusza spędziła ubiegłą noc. Ustrzelili dwie antylopy, by zaopatrzyć obóz w świeże mięso. Wysłani po nie ludzie zabrali również skórzane worki na wodę.

— Jesteśmy teraz lepiej zaopatrzeni we wszystko niż nasze sąsiadki naprzeciw.

Mnich miał na myśli małpy. Z całej menażerii tylko one nie szukały ratunku w ucieczce, ale urządziły się podobnie jak ludzie, czyli wdzierały się na zbocza ścian wąwozu, aby na nich przeczekać powódź.

Wielkiej wody jakoś nie widać.

— Oby nie nadeszła dziś wcale!

— Nadejdzie, nadejdzie. Ras-Daszan miał na sobie płaszcz z deszczowych chmur. To nieomylny znak, że jeszcze dzisiaj...

— Och, Boże, Boże!

— Nie lękaj się, Dalilo. Tutaj nie grozi nam nic.

— Lecz jemu grozi śmierć w nurtach!

O nim wciąż myślała. Gdzie jest w tej chwili, czy już dotarł do najgorszego odcinka drogi, do owej szczeliny, której ściany są tak prostopadłe i nagie, że nawet małpa nie zdoła wspinać się po nich. W tej szczelinie, z powodu jej wąskości, woda piętrzy się nieprawdopodobnie wysoko, tym samym musi pędzić naprzód jak strzała. Ta szczelina jest przekłęcie długa, potem jeszcze dłuższy szmat drogi jarem, gdzie za dnia można by znaleźć niejednego taki schron jak ich taras, lecz w nocy?!... A do zachodu słońca najwyżej półtorej godziny.

Tuż przed zachodem słońca maleńki strumyk zaczął pęcznieć w oczach. W ciągu paru minut zalał drogę, potem resztę dna jaru i płynął całą jego szerokością. Był to dopiero skromny początek. Dalszy ciąg przyboru wód zakrył przed oczyma Dalili zmrok, który zapadł punktualnie o godzinie osiemnastej. Dopiero gdy gwiazdy rozwidniły noc, ujrzała znów strumyk. Nie, to już nie był strumyk, ale rwący, spieniony potok, szeroki na dwadzieścia metrów, jeśli nie więcej.

— To jeszcze nie jest wielka woda — twierdził mnich.

Wielka woda nadeszła w godzinę później. Szła murem wyższym niż dwupiętrowy dom, pędziła z ogłuszającym rykiem. Gdy dobiegła do ich tarasu, potężna skała zadygotała od ciosu, a fontanna wzbijała się hen ponad obóz i sprawiła wszystkim lodowato zimny prysznic. Potok stał się szeroką rzeką. Jej zwierciadło znajdowało się zaledwie o sześć, siedem metrów poniżej poziomu tarasu. Widać było dobrze unoszone prądem drzewa, krzewy, okrągłe strzechy tukulów⁽²⁾ i trupy nieostrożnych zwierząt.

— Boże, spraw, aby go **TO** nie doścignęło.

Długo modliła się na intencję ocalenia młodzieńca, którego dziś poznała, aż w końcu złowrogi, lecz nużąco jednostajny, szum wody ukołysał ją do snu. Kiedy się obudziła, słońce

świeciło. Powstała, ze zdumieniem stwierdziła, że woda zmaląła niemal do zwykłych rozmiarów. Nieco szerszy był strumyk niż wczoraj i woda w nim mętna, żółtawa, ale w niczym nie przypominał szerokiej groźnej rzeki, jaką widziała przed północą. O powodzi świadczyły tylko liczne kałuże na dnie jaru. Brnął przez nie oddział żołnierzy armii nieregularnej nadchodzący z góry, z biegiem strumyka. Dalila chcąc o tym powiedzieć Mateuszowi, podeszła do jego namiotu, uniosła zasłonę i cofnęła się, przygryzając wargi ze śmiechu. W namiocie odbywała się codzienna ceremonia pokuty za grzechy. Jeden z poganiaczy bił różgą po obnażonych plecach mnicha, który głośno liczył uderzenia.

— ...szesnaście!... siedemnaście!... teraz w prawą łopatkę, osiemnaście!... bij mocniej.

Do tego nie trzeba było zachęcać. Surowy Mateusz każdemu z podwładnych włożył za skórę, toteż korzystali ze sposobności, aby mu oddać coś niecoś. Po biczowaniu mnich udzielił proszącemu o to poganiaczowi przebaczenia za to, że bił sługę bożego, włożył na posiekane ciało koszulę nie pierwszej czystości i wyszedł przed namiot, śpiewając głośno jakiś psalm. Te nabożne pienia z daleka pozwoliły żołnierzom odkryć siedzibę karawany. Przyspieszyli kroku, stanęli u stóp skały i rozpoczęła się rozmowa na odległość.

— Hej, wy z góry, długo tam siedzicie?

— Od wczoraj. A wy czyi ludzie? — spytał Mateusz.

— Rasa Seyuma, który poluje w wysokich górach... Czy nie widzieliście wczoraj jakiego człowieka w wąwozie?

— Jak miał wyglądać?

Podany przez żołnierzy rysopis odpowiadał wyglądowi młodzieńca, któremu Dalila Borez dała swojego muła.

— Owszem, spotkaliśmy go.

— Szkoda, żeście go nie związali.

— Dlaczego?

— Ras Seyum wyznaczył za niego tysiąc talarów nagrody.

Wiadomość ta wywołała wielkie wrażenie wśród ludzi Mateusza. Tysiąc talarów to olbrzymia suma, a przecież tak łatwo mogli ją zdobyć, jak okazało się teraz. Dalila, czując na sobie spojrzenia pełne wyrzutu, zapytała żołnierzy, co zawinił ten człowiek, że taką nagrodę zań wyznaczono.

— Ano, uciekł po drodze do więzienia.

— Za to przed wielką wodą nie uciekł na pewno.

Mateusz nie był tego całkiem pewny, lecz chciał to wmówić w swoich ludzi na wszelki wypadek.

— Słusznie — przyznał jeden z żołnierzy. — Koń, którego nam porwał padł mu wczoraj rano, a pieszo nie mógł zdążyć uciec.

Więc to koniokrad! I taki drab ją pocałował! I ona drżała o jego życie! Dalila Borez była tak przygnębiona, że nie podzielała ogólnego zainteresowania, jakie wywołał widok samolotu szybującego wysoko nad górami. Samolot spieszył na północ, ku Erytrei, leciał jednak tak wysoko, że oficer nie pozwolił żołnierzom marnować prochu na bezcelową strzelaninę.

— No, idziemy dalej — rzekł — musimy odnaleźć jego zwłoki.

— Jedno pytanie jeszcze — wtrąciła Dalila, która nie brała udziału w dotychczasowej rozmowie. — Czy to był na pewno zwyczajny koniokrad?

— Gorzej.

— Rozbójnik!!

— Jeszcze gorzej!

— Więc co?

— To był Włoch! Szpieg! Włoski szpicel.

Dalila Borez dobita tą wiadomością, ukryła twarz w dłoniach.

— I ja się modliłam za Włocha! — wyszeptwała ze zgrozą. — Ja mu pomogłam uciec, oooooo, biada mi, biada...

Oddziałek żołnierzy rasa Seyuma dawno już zniknął za zakrętem jaru, ludzie z karawany mnicha skończyli ranny posiłek, a młoda patriotka wciąż jeszcze rozpaczała, że ocaliła życie wrogom swojej ojczyzny. Tak, ocaliła. Rakietą, jaką ubiegłej nocy wystrzelono w dolinie świadczyła, że tam czekali na szpiega jego pomocnicy, że tam czekał samolot, który dzisiaj przeleciał tędy...

— Zasłużyłam na surową karę — rzekła, wchodząc do namiotu, w którym stary Mateusz siedział sam i rozmyślał nad czymś intensywnie. Podała mu nową różgę, uklękła, obnażyła plecy.

— Wielebny, dasz mi sto plag za mój wczorajszy grzech.

— Aż sto? — rozśmiał się. — Jedna wystarczy.

— Trzepnął ją raz, ale dobrze, potem odrzucił różgę.

— Nie popełniłaś grzechu, lecz omyłkę — pocieszył ją — i myślę sobie właśnie, że ta pomyłka może nam przynieść wiele, wiele....

— ...szkody — westchnęła skruszona.

— Nie, Dalilo — zaprzeczył z chytrym uśmiechem — korzyści!

⁽¹⁾ en face (fr.) – z przodu; twarzą do patrzącego.

⁽²⁾ tukul – kolista chata z gliny kryta strzechą.

ROZDZIAŁ II

Zanim jeszcze podniósł powieki, mruknął: — Przeklęty kraj! — Tymi słowy porucznik Schirru rozpoczynał i kończył każdą rozmowę, jeżeli rozmówcą nie był oficer wyższy rangą od niego. Ziewnął głośno, odwrócił się na łóżku, spojrzął z urazą na żołnierza-tubylca, który stał na środku izby i trzymał latarkę tak wysoko, że jej światło padało mu na czarną twarz.

— Gdzie strzelają?

— Koło Adi Golagol, panie por...

— I dlatego mnie zbudził?! — oburzył się Schirru.

— Ja myśleć sobie, że...

— Żołnierz powinien myśleć jak najmniej, zwłaszcza czarny! Robią to za niego inni, mądrzejsi... Która godzina?

— Niedługo być piąta, panie poruczniku.

— Myślałem, że dopiero północ... Ha, skoro piąta, to zapal lampę i podaj mi buty.

Wyczyściłeś je?

— Nie, panie por...

— Naturalnie! Po co czyścić buty, skoro zabłocą się znowu.

Tubylec potakiwał z zapałem, nie przeczuwając dalszego ciągu.

— Od dzisiaj nie będziesz jadł nic. Bo po co masz jeść, skoro...

Tu Schirru określił trywialnie pewną funkcję fizjologiczną. Ubawiony swym niewybrednym dowcipem bardziej niż naprawdę zabawną miną żołnierza parsknął śmiechem, potem usiadł na łóżku, rozsunał moskitierę, ubrał się szybko i niebawem wyszedł z domku, który zamieszkiwał od kilku tygodni. Było jeszcze zupełnie ciemno. Deszcz wyjątkowo nie padał, ale ogromne bajora mówiły o niedawnej ulewie, która nasyciła, przepoiła wilgocią ziemię, powietrze, wszystko.

— Przeklęty kraj — zrzędził Schirru, brnąc w błocie po kostki i wyżej. — Straszono mnie suszą, upałami, a tu od czterech miesięcy leje jak z cebra. — Wtem poślizgnął się, zjechał na grzbiecie po jakiejś pochyłości i „wylądował” w kałuży tak głębokiej, że zanurzył się w wodzie do pasa. — Tak wygląda ich susza! — warknął z wściekłością. Potem ostrze gniewu zwrócił przeciw ordynansowi.

— Po coś mnie wywłócił z łóżka? Gdzie ta strzelanina?! Cisza, aż w uszach dzwoni.

— Ale przedtem oni strzelać.

Potwierdził to słowa pierwszy posterunek, do którego wnet dotarli.

— Oni strzelać, a teraz robić znaki.

— Jakie znaki!

Ktoś wskazał porucznikowi światełka gasnące i zapalające się ponownie w miarowych odstępach.

— Morsują?! — Nie, to nie był ogólnie znany alfabet Morse’a, ani w ogóle żaden alfabet. Jednostajność wyblasków przypominała raczej latarnię morską. Lecz skąd by się taka wzięła w górach, w pustkowiu, w którym na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych była tylko jedna wioska Adi Golagol.

— Pójdę aż do granicy, a ty wróc do domu po lunetę i przynieś mi ją błyskawicznie!
Naturalną granicę pomiędzy Erytreą a prowincją Tigre tworzy w tym miejscu rzeka Mareb. Na jej prawym brzegu, dawniej tak samo niestrzeżonym jak lewy, abisyński, ciągnął się obecnie łańcuch posterunków włoskich, z których dziewięć należało do rejonu porucznika Schirru. Zanim ordynans przyniósł lunetkę, porucznik zdążył odwiedzić trzy posterunki i wszędzie potwierdzono mu wiadomość o krótkiej strzelaninie koło Adi Golagol. Natomiast nikt nie rozumiał świetlnych sygnałów.

— No, jesteś nareszcie. Nie upuściłeś lunety do błota?

Owszem, upuścił, trzeba było szkła przemyć, ale wody tu nie brakowało, upasiony na deszczach Mareb szumiał u stóp porucznika. Skierowawszy silne szkła w stronę tajemniczego światelka, Schirru ujrzał ognisko, a obok niego dwóch ludzi; jeden z bajeczną regularnością podnosił i opuszczał na ogień jakąś szeroką łopatę czy mokrą gałąź, drugi dbał, by przez to ognisko nie zgasło i podsycał je nowym paliwem. Tak więc luneta wyjaśniła stronę techniczną jednostajnych błysków, ale jaki był ich cel?

— Nie sądzę — mruknął Włoch — by ci dwaj gentlemani uprawiali taki nudny sport dla swej osobistej przyjemności.

Nakazał żołnierzom, aby mieli się na baczności, i poszedł zlustrować dalsze posterunki. Gdy dotarł do ostatniego, rozwidniło się zupełnie. Noc przeszła w dzień z szybkością właściwą krainom leżącym pod tą szerokością geograficzną. Tak samo gwałtownie zapadał tu mrok.

— Przeklęty kraj. Nie stać go nawet na porządny świt... Hej, kapral, widzieliście sygnały świetlne tam, daleko, na szczycie...

— Tak jest, panie poruczniku.

— Nie wiecie, co oznaczają?

— Pytałem Czarnych. Mówią, że nie wiedzą. Tylko ten stary...

— No?!

— ...powiada, iż to jest ostrzeżenie dla ich granicznej straży...

— Dla jakiej straży?! Odkąd tu jestem, nie widziałem na abisyńskim brzegu ani jednego strażnika, ani żołnierza.

— Ale są na pewno, tylko ukryci.

— Hm, nieprawdopodobne... Ostrzeżenie, powiadasz. Przed czym?

— Ostrzeżenie, że ktoś chce przekraść się przez granicę.

— No, gdyby miał tędy przechodzić ktoś z naszych, ja musiałbym o tym wiedzieć — dokończył w myśli Schirru.

Wtem gdzieś w oddali zabrzmiały detonacje dwóch wystrzałów karabinowych. Porucznik wdrapał się co prędzej na skałę, z której widać było spory kawał abisyńskiego brzegu, łagodnie opadającego ku rzece, lecz dalej najeżonego wysokimi pagórkami. Na północnym stoku najwyższego z nich ujrzał przez lunetkę ze dwudziestu jeźdźców pędzących na dół, a znacznie niżej dwóch pieszych, którzy właśnie mierzyli z karabinów do tamtych. Huknęły znowu dwa strzały. Jeden z jeźdźców spadł ze swego rumaka, przez chwilę kulał się po spadzistej łączce, jak wałek, wreszcie legł na wznak z rozkrzyżowanymi rękami i tak znieruchomiał. Następne dwa strzały powiększyły liczbę ofiar do trzech, lecz zanim strzelcy zdążyli zarepetować ponownie, oddział wpadł na nich.

— Wspaniała szarża! — rzekł z zachwytem kapral, który poszedł w ślady porucznika Schirru.

Z zaimprovizowanej trybuny śledzili dalszy rozwój wypadków. Bowiem nie skończyło się na *wspaniałej szarży*. Strzały tych dwóch, których co dopiero stratowano, zaalarmowały całą okolicę. Z każdego zagajnika, z każdej większej kępy krzaków wysuwali się pojedynczo lub

parami jacyś zbrojni i ze wszystkich stron biegli na wyścigi do lasu, w którym zniknęli jeźdźcy.

— Widzi pan porucznik, ilu ich tam jest tych strażaków?

— Widzę, widzę. Nareszcie powyłazili ze swoich dziur.

— I wystrzelają tamtych w lesie do nogi.

— Prawdopodobnie.

— Nie można by im pomóc?

— Ani się waż! Co nas obchodzi ta utarczka.

— Widzi mi się, panie poruczniku, że tamci z lasu chcieli zwać na nasz brzeg.

— To bardzo możliwe, ale pomagać im nie możemy... w biały dzień. Wojna nie rozpoczęła się jeszcze.

— Szkoda — westchnął kapral. — Oho, minęli las!

Tak też było. Jeźdźcy przedarli się już przez rzadki las i znowu pędzili cwałem przez odkrytą przestrzeń. Tym razem jednak ich sytuacja była znacznie gorsza. Nie dwóch przeciwników mieli przed sobą, ale co najmniej dziesięciu, a dalsi biegli już towarzyszom na pomoc.

— Jakiś mnich nimi dowodzi.

Mnich pojawił się, że tym razem szarża nie powiedzie mu się tak, jak przedtem, podzielił swój oddział na dwie nierówne części. Pięciu jeźdźców skręciło raptownie w lewo, dwunastu w prawo. Pierwszych wnet zasłoniły głowy, drudzy wpadli do oliwnego gaju, który ich przeciwnicy natychmiast zaczęli okrążyć ze wszystkich stron i ostrzeliwać. Otoczeni odpowiedzieli gwałtownym ogniem, ale ich położenie, wobec ciągłego zwiększania się zastępu przeciwników, było beznadziejne. Kapral, który gorąco sympatyzował z jeźdźcami, choć nie wiedział, z jakiego powodu tępiono ich tak zawzięcie, nie mógł im darować strategicznego błędu.

— Ani jeden żywy nie wyjdzie z zagajnika — przewidywał. — I po co oni im wleźli prosto w paszczę!!

— Może umyślnie. W której grupie był mnich?

— W mniejszej, panie poruczniku.

— Więc miałem rację. Poświęcił tamtych ludzi, by uwagę wrogów odwrócić od siebie.

— A to chytry klecha!

Obydwaj przestali się interesować oblężeniem ludzi ukrytych w gaju, za to nie spuszczała z oka pięciu jeźdźców, którzy konsekwentnie dążyli ku granicy. Zasłonięci na razie przed wzrokiem swoich przeciwników, pochyleni, by nie wystawiać głowy ponad mur głazów, jechali stępą wzdłuż tego „muru”, który jednak urywał się w pewnym miejscu. Mnich jadący na czele przystanął, jął coś tłumaczyć swoim towarzyszom, potem przeżegnał się i piątka ruszyła cwałem ku rzece odległej jeszcze o ćwierć kilometra. Nie przebyli jednak ani czwartej części tej przestrzeni, kiedy padł strzał. Jeden z jeźdźców runął na ziemię.

— Corpo di Bacco! — zaklął porucznik. — Spozrzegli ich!

Spozrzegli ich dopiero po tym strzale. Bezwłocznie część tych, którzy otoczyli oliwny gaj, skierowała swoje karabiny ku uciekającym. Huknęła salwa. Dalszych dwóch zważyło się z mułów, wobec czego mnich nie czekał swojej kolejki, zeskoczył, przewrócił się i na czworakach drapnął w krzaki.

— A ten piąty gna dalej, jakby nigdy nic!

— Dlaczego nie strzelają do niego?

— Może im ładunków brakło, panie poruczniku. U Abisynów z amunicją zawsze krucho, wiadomo.

— Co oni krzyczą! Ty znasz ich język...

Kapral nadśluchiwał przez chwilę, potem przetłumaczył, co zrozumiał:

— *Nie strzelać, wołają, i Żywcem brać.*

Tymczasem ostatni z całego oddziału dotarł do rzeki, ale stropił się jej groźnym wyglądem. Muł również. Ani rusz nie chciał skoczyć w nurty. Jeździec zsiadł więc co prędzej i pieszo zaczął biec po brzegu, szukając brodu.

— Ładny chłopak — zauważył porucznik Campidoglio, który zdążył już nastawić swą lunetkę na bliskie odległości.

Jednocześnie kapral zlął ze skały i popędził prawym brzegiem, równolegle ze zbiegiem, chcąc mu wskazać bród z dawna już wypróbowany przez siebie.

— Tam dalej — ryczał. — Za zakrętem! Dalej!

W zapale użył ojczystego języka, zapominając, że ów tubylec prawdopodobnie nic rozumie po włosku. Choćby zresztą rozumiał, nie byłby mógł skorzystać z dobrej rady, gdyż właśnie spoza tego zakrętu wypadło kilku zbrojnych. Przecięli mu drogę. Zbieg osaczony zewsząd stanął, szybko zdarł z siebie odzież i Schirru zdumiał się wielce.

— Kobieta?!

A kobieta była już w wodzie. Po wspaniałym skoku nurkowała tak długo, że kapral machnął ręką z rezygnacją, ale w końcu wynurzyła się i jakimś dziwnym stylem płynęła żwawo ku północnemu brzegowi. Przy normalnym stanie wód osiągnęłaby go szybko, lecz obecnie Mareb był wezbrany potężnie. Silny prąd wody znosił pływaczkę, która w pewnym momencie zaczęła słabnąć.

— Tak blisko nas ma utonąć? — zachnął się kapral, grożąc pięścią tym z abisyńskiego brzegu. — Niedoczekanie wasze!

Skrzyknął kilku askarysów⁽¹⁾ i popędził wraz z nimi w dół rzeki, ku jej kolaniu, poza którym rozlewała się szeroko, ale była znacznie płytsza.

— Ciekawym, czy ją wyłowią, czy nie.

Porucznik Schirru ze swojego punktu obserwacyjnego nie mógł widzieć przebiegu akcji kaprała, gdyż zarówno jogo ekspedycję ratunkową jak i dziewczynę rozpaczliwie walczącą z nurtem wody zakryła niebawem ogromna skała, która zmusiła rzekę do utworzenia w tym miejscu zakrętu. Zaczął więc ponownie patrzeć prosto przed siebie, na południowy brzeg. Hen, w oddali, na zboczu najwyższego pagórka, gdzie nastąpiło pierwsze starcie pomiędzy jeźdźcami a pieszymi, leżało pięć trupów; wysoko ponad nimi krążyły już sępy. Nie pożywiły się jednak, gdyż po kapitulacji niedobitków z oddziałku, który szukał schronienia w gaju oliwnym, zwycięzcy odnieśli do lasu wszystkich zabitych i rannych. Również i tych, co do ostatka towarzyszyli dziewczynie. Jeden z nich, wyrostek, prawie dzieciuch, wyglądał wprost strasznie; jego biała szamma była od góry do dołu pocętkowana szkarłatnymi plamami.

— Barbarzyńcy! — warknął Schirru. — Strzelali do chłopca śrutem, a teraz jeszcze natrzęsają się z niego.

Rzeczywiście, ci, którzy odnosili ofiary potyczki do lasu, rzeli ze śmiechu nieustannie. Jeszcze większą radość wywołało odnalezienie w krzakach mnicha. Związano go i wśród głośnych drwin odprowadzono tam, dokąd innych jeńców. Ogólnej wesołości na abisyńskim brzegu nie podzielała tylko garstka najwytrwalszych prześladowców dziewczyny. Ludzie ci, wśród których rej wodził grubas odziany w kozuszek, jak górale z okolic Ras-Daszana, po burzliwej naradzie pobiegli w stronę zakrętu rzeki, potrząsając wojowniczo strzelbami. Widok ten zaniepokoił porucznika Schirru.

— Nie mogę dopuścić do tego, by z powodu jakiejś tam baby wystrzelano mi tuzin żołnierzy — mamrotał, schodząc pospiesznie ze swego punktu obserwacyjnego. — Takie zajście graniczne byłoby bardzo pożądane za pięć tygodni, lecz dzisiaj mamy dopiero szesnasty sierpnia.

Major wyraźnie kazał unikać awantur teraz. Kląbły jak diabli...

Na razie zaś porucznik klął w duchu kaprała. Zebrawszy resztę askarysów, spieszył mu na pomoc... niepotrzebnie. Bowiem kapral już wyratował tonącą dziewczynę, już przeniósł ją w takie miejsce, gdzie głowy spiętrzone na prawym brzegu zasłaniały ich przed ewentualnymi strzałami Abisyńczyków. Porucznik Schirru odetchnął więc z ulgą, potem spojrzął na niedoszłą topielicę leżącą na ziemi, zdyszaną i... cmoknął na znak uznania.

— Śliczna szelma!

— I niebiedna — dorzucił kapral. — Widzi pan porucznik, co ona ma tu na szyi?

Na szyi miała złoty krzyżyk wysadzany dwunastoma brylantami wielkości grochu. Biły od nich snopy tęczyowych iskier w słońcu, które właśnie wyrzało z gąszczu chmur. Nie na długo!

— Z drugiej strony tego cacka — ciągnął dalej kapral, jest wyryty lew w koronie, prawą łapą obejmujący długi krzyż.

— Co ty mówisz! W takim razie ona...

Schirru zelektryzowany tym, co usłyszał, zapragnął przekonać się naocznie, czy jest tam wyryty herb Abisynii. Pochylił się, aby obejrzeć krzyżyk z bliska, aby go odwrócić i jego dłoń mimowolnie dotknęła obnażonych piersi kobiety. Zapiszczała wstydliwie, nakryła biust dłońmi, porucznik zaś, mocno zażenowany, cofnął rękę co prędzej.

— Mogliście ją czym nakryć — rzekł z wyrzutem.

— Eee, panie poruczniku, im nie dziwota że się je goło ogląda.

— Ale ona trzęsie się z zimna, czy nie widzisz?

— A czym ją okryć, panie poruczniku? Chyba liściem albo kazać któremu żołnierzowi, żeby zdjął spodnio i w nie ją ubrać elegancko.

Naprawdę nie mieli tu pod ręką żadnej zapasowej odzieży ani pledu, wobec czego Schirru zdjął z siebie ceratowy płaszcz i przyodział weń piękną naguskę.

— Co z nią zrobimy, panie poruczniku?

— Na razie odprowadzić ją do mego mieszkania.

Ponieważ była zbyt osłabiona, aby iść, poniosło ją dwóch askarysów. Schirru eskortował ich osobiście, ze względu na ów cenny krzyżyk, a kapral, otrzymawszy wyczerpujące instrukcje, pozostał na granicy. Gdy przybyli na miejsce, dochodziła ósma, czyli całe zajście trwało około dwóch godzin. W domku, w którym mieszkał Schirru znajdował się telefon, mógł więc natychmiast połączyć się ze swoim szefem. Niestety nie zastał już majora Pireddiego na jego kwaterze, odległej stąd o 25 kilometrów. Nie pozostało nic innego, jak wysłać pisemny meldunek. Wywołał on snadź duże wrażenie, skoro na krótko przed zachodem słońca major Pireddi przybył tu osobiście. I nie sam. Oprócz lekarza, przywiózł z sobą diabło przenikliwe patrzącego cywila, którego przedstawił porucznikowi w ten sposób:

— Pan profesor Mearza, znany poliglota.

Poliglota wysłuchał z uwagą opowiadania o dzisiejszym zajściu pogranicznym, obejrzał przez lupę herb Abisynii na brylantowym krzyżyku, a równocześnie lekarz badał chorobę w przyległej izbie. Geneza jej choroby była dla porucznika Schirru całkiem prosta:

— Zmęczona ucieczką, zgrzana, skoczyła do lodowato zimnej wody. Nie dziwiłbym się, gdyby po tym przyszło zapalenie płuc.

— Ja zauważyłem przede wszystkim objawy zatrucia.

— Co pan mówi, doktorze! Otruli ją? Czym?

— Jakimś nieznanym mi narkotykiem.

— Czy zdoła ją pan uratować?

— Dołożę wszelkich starań. Trzeba by ją tylko jak najszybciej przewieźć do mojego szpitala.

— Zrobi się. A czy nie mógłby pan choć na chwilę przerwać jej letargu?

— To nie letarg, panie majorze — odparł lekarz z wyrozumiałym uśmiechem i zwrócił się do porucznika. — Kiedy straciła przytomność?

— Po południu. Dokładnie nie wiem.

— Czy przy niej czuwano stale! — zapytał Mearza.

— Ttttak... poniekąd.

— Zatem ktoś obcy mógł wykorzystać chwilę jej samotności...

— A, co to, to nie, panie profesorze. Przed domem stoi żołnierz.

Że z tego żołnierza jest srogi cerber przekonali się za chwilę, słysząc, jak energicznie tłumaczył komuś, iż pan porucznik to *wielki biały pan*, który nie raczy rozmawiać ze *śmierdzącymi psami abisyńskimi*. Lecz starający się o audiencję u porucznika także nie żałował języka i dyskusja pełna plastycznych porównań rychło przeszła w klótnie naszpikowaną pogróżkami.

— Tam jest mowa o tej kobiecie! — rzekł poliglota Mearza, wsłuchawszy się w odgłosy sprzeczki prowadzonej w języku amharskim.

Zaciekawieni wyszli przed dom. Czekają tu pod strażą askarysów dwóch Abisyńczyków, dostojnie wyglądający starzec w niepokalanie białej szammie i opasy pyskacz w góralskim kożuszku.

— Poznaję tego grubasa — rzekł po francusku Schirru — on najzacieklej ścigał kobietę... Ktoś ty? — spytał go przez tłumacza.

— Mąż tej, którąście dzisiaj porwali — brzmiała odpowiedź. — Ten stary, to jej ojciec.

Przyszliśmy po nią.

— A wiesz choć, jak nazywa się twoja niby żona!

— Pewnie, że wiem. Dalila Borez.

— Dalila — powtórzył z czułością porucznik. — Dalila!

— Z jakich stron pochodzisz!

— Z Aksumu — odparł grubas po chwili wahania.

— I zamiast językiem tigre, mówisz amharinią. To ciekawe... Ano, sprawdzimy wszystko, sprawdzimy. Zapytamy Dalilę, skoro...

— Po co! Ona znów skłamię, iż jest niezamężna.

— Tumor cię czekał, łgarzu!

Po krótkiej naradzie major Pireddi władający niezłe językiem amharskim obwieścił petentowi swój wyrok wraz z jego umotywowaniem, które brzmiałoby w streszczeniu: Ponieważ prawdziwa, czy rzekoma Dalila Borez dobrowolnie schroniła się pod opiekę władz włoskich, więc pozostanie w Erytrei dopóki zechce.

Tęgi Abisyńczyk zacisnął pięści, aż posiniał z gniewu.

— Jeśli nie oddacie mi jej dobrowolnie — rzekł podniesionym głosem — odbiją wam ją siłą!

— Nie radzę próbować — odparł Pireddi, opierając dłoń na skórzanej pochwie u pasa, w której tkwił duży rewolwer.

— A jednak spróbujemy! — wrzasnął rozsierdzony grubas i zawrócił w stronę rzeki, ciągnąc ze sobą milczącego towarzysza.

Major Pireddi polecił eskortie, która ich tu przyprowadziła, dopilnować, aby wynieśli się natychmiast na lewy brzeg rzeki, po czym udał się do pokoju chorej, a z nim lekarz, Mearza oraz Schirru. Dalila Borez, leżąca na łóżku porucznika, była jeszcze wciąż nieprzytomna. Oddychała szybko, na jej policzkach pod wpływem gorączki kwitły silne rumieńce, jej wargi poruszały się leciuteńko. Nagle zamachała rękami, krzyknęła.

— Co powiedziała! — spytał lekarz. — Co to znaczy!

— *Uciekajmy* — przetłumaczył profesor Mearza.

— Aha, śni się jej to, co przeżyła dziś rano... Słuchajmy cierpliwie, może dowiemy się czegoś ciekawszego... O, znowu!

Dalila Borez długo bredziła w malignie. Raz szeptem, to znów niewyraźnym bełkotem przeplatany okrzykami. W sumie niezbyt wiele zdołali z tego zrozumieć... na razie. *Addis Abeba, Godzam, Ras-Daszan, klasztor Abu Manga, bogobojny Mateusz* to był pewny łup ich słuchu, reszta bardzo niepewna. Aż wreszcie przy akompaniamencie samoobronnych ruchów rąk padły elektryzujące zdania:

— Precz ode mnie, wy łotry. Ja księżniczka!... Och, Mateuszu, czemu on mnie prześladuje. Czy chce mnie sprzątnąć, jak Zaoditu?!

Kiedy profesor Mearza przełożył wszystko to na język włoski, trzech wojskowych ogarnęło zrozumiałe podniecenie.

— Księżniczka! — rzekł Schirru z szacunkiem. — Teraz rozumiem, skąd te wspaniałe brylanty.

— Tajemniczy *on*, który ją prześladował — dorzucił lekarz — to niewątpliwie *negus negesti Haile Selassie*. On był przecież najbardziej zainteresowany w tym, by jego poprzedniczka, cesarzowa Zaoditu, przeniosła się do wieczności... A państwowy herb Abisynii na krzyżyku wskazuje, iż...

— Właśnie to chciałem powiedzieć — wtrącił major Pireddi. — Poruczniku Schirru, gratuluję panu serdecznie. Dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wyłowiona przez pana ślicznotka jest ślubnym, lub nieślubnym dzieckiem jednego z władców etiopskich. W naszych rękach będzie ona bezcennym fantem... Czy nie podziela pan mego zdania, profesorze?

Trzeba by wprawdzie zbadać jej drzewo genealogiczne... Doktorze, czy ona dzisiaj odzyska przytomność?

Nie zanosilo się na to, Dalila Borez majaczyła w dalszym ciągu, przyzywając raz po raz *świętobliwego Mateusza*.

— Wciąż wspomina tego mnicha. On mógłby nam wyjawic tajemnicę jej pochodzenia — sądził Schirru — ale biedny klecha swoje poświęcenie pewnie już życiem przypłacił. A może wieszają go w tej chwili?!

Nic podobnego nie groziło Mateuszowi, który obecnie znajdował się o cztery kilometry na południe od granicy włosko-abisyńskiej. Przebywał na dużej leśnej polanie, gdzie przy ogniskach siedziało ponad stu wojowników, rozbawionych, opowiadających jeden przez drugiego swoje dzisiejsze przygody:

— ... i mnie, niby zabitego, zaczęli łaskotać. Chciało mi się kwiczeć lub kopnąć któregoś, ba, kiedy Włosi tuż za rzeką i patrzą!

— To jeszcze nic. Ja poległem, jak wiecie, Pierwszy. Pokatulałem się z rozpędu, klapłem se na wznak i leżę tak, leżę spokojnie, aż tu nagle nade mną sępy! Gdyby opuściły się niżej, byłbym był musiał skoczyć na równe nogi i dopiero wsypa!

— Wsypa jest bez tego.

— Jak to!

— Co ty myślisz, że Włosi nie zmiarkowali nic? Że nie poznali, iż strzelaliśmy do siebie tylko ślepymi nabojami?!

— Po czym mogliby to poznać?

— Choćby po tym, że ani jeden muł nie padł, a ludzie „ginęli” jak muchy. W końcu nas, nieboszczyków, było prawie tylu, co was.

— Ano, jak bitwa, to bitwa — dorzucił ze śmiechem wyrostek, który całą swoją szamkę

szczodrze opryskał szkarłatną farbą i przez to wzbudził współczucie porucznika Schirru, jako *zastrzelony śrutem*.

— A do czego ta załgana bitwa potrzebna?

— Potrzebna była, żeby dziewczynę przeprowadzić na włoski brzeg.

— To można zawsze zrobić nocą. Bez hałasu, bez strugania z siebie wariata.

Oficer abisyński, siedzący przy osobnym ognisku z Mateuszem, pociągnął go znacząco za rękaw.

— Słyszysz, o przewielebny? — spytał.

— Słyszę... Niedobrze, iż tyle o tym gadają.

— Czy mam ich ukarać?

— To jeszcze gorzej. Jutro pomówię z rasem Seyumem i zażądam, by cały ten oddział odesłał ze mną do Addis Abeby. Stamtąd skieruję ich dalej do Ogadenu i tu, na północ, nie wrócą przed ukończeniem wojny.

Ogarnęli wzrokiem całą gromadę uczestników fikcyjnej walki, jaką stoczono dziś rano blisko granicy. Zwycięzcy, zwyciężeni, jeńcy, ranni, zabici, słowem wszyscy aktorzy farsy, którą Włosi uważali za prawdziwy i bardzo krwawy dramat, bez końca gadali o dzisiejszym widowisku i popijali też z akacjowego miodu, co jeszcze zwiększało ich gadulstwo, humor, hałaśliwość.

— Masz słuszość, świętobliwy, trzeba ich stąd odesłać wszystkich.

— Nie wyłączając tych dwóch, którym powierzyłem najtrudniejsze role. Kiedy oni wrócą nareszcie...

Tamci dwaj wrócili dopiero półtorej godziny później. Grubas w góralskim kożusku opisał wiernie całą swą rozmowę z oficerami, po czym dopiero uraczył *świętobliwego* wiadomością najbardziej sensacyjną:

— Wywieźli ją do Asmary!

— Bogu dzięki!

— To poszło szybciej, niż myślałem — dodał oficer abisyński. Mnich pochylił się ku niemu, rzekł szeptem, zacierając dłonie z radości:

— Włoska rybka połknęła haczyk. Jonasz Mongoszą będzie rad. — Rychło jednak spoważniał, zaczął modlić się gorliwie, później wstał, wyciągnął drżące dłonie na północ, w stronę dalekiej Asmary.

— Niechaj święty Jerzy — powiedział, starając się zapanować nad wzruszeniem — wielki patron Abisynii, czuwa wciąż nad tobą, nasza dzielna Taitu-Dalilo...

⁽¹⁾ askarysi (arab. askari) – żołnierze tubylczych sił kolonialnych w XIX i XX wieku w Afryce.

ROZDZIAŁ III

Już nazajutrz po przyjeździe do Asmary w zdrowiu Dalili Borez nastąpiła znaczna poprawa. Tak znaczna, że pod wieczór lekarze pozwolili przesłuchać ją profesorowi Mearzy, który zabiegał o to od rana. Poliglota przyjechał do szpitala z drugim mężczyzną, szpakowatym brunetem, ogromnie ponurym, a wyglądającym na pięćdziesiąt lat. Po krótkiej rozmowie z dyżurnym lekarzem, wprowadzono ich obojwóch do separatu *uciekiniarki z Abisynii*. Czuwała przy niej bezustannie pielęgniarka, która na widok wchodzących powstała, cofnęła się za łóżko tak, aby stać za plecami pacjentki. Na pytające spojrzenie poligloty odpowiedziała poziomym ruchem głowy przeczeniem. Znaczyło to, że nie doszło tu do żadnych zwierzeń. Mearza przyjął to do wiadomości obojętnie; zakazał przecież wyciągać chorą na słówka i tylko to, co ona powie dobrowolnie, od siebie, miała pielęgniarka zanotować sobie w pamięci. Przysunął dla siebie krzesło do łóżka, a tym samym dla swego towarzysza przeznaczył wygodny fotel, gdyż innych mebli tej kategorii nie było w ciasnej separacie.

Siostrzyczka chwilowo nie będzie nam potrzebna, rzekł. Pielęgniarka skierowała się ku drzwiom, lecz zanim wyszła zapytała, czy ma czekać w pobliżu, czy też może....

— Proszę, zostać na korytarzu — wtrącił szorstko ów ponury jegomość — i czuwać, by nikt nie podsłuchiwał pod drzwiami. Nikt! Odnosi się to więc również do pani, siostrzo Margerito!

Mearza spojrział z lekkim wyrzutem na mówiącego i, jakby pragnął zatrzeć wrażenie tego wstępu, zasypał chorą gradem uprzejmych pytań o zdrowie, o apetyt, posługując się językiem tigre.

— Czy woizeru rozumie mnie dobrze?

— Tak — odparła po amharsku — ale wolę naszą mowę. Nie rozumiem tylko, czemu wszyscy tytułujecie mnie *woizeru*. Jestem zwyczajną, biedną dziewczyną.

— Biedne dziewczyny nie noszą tak kosztownych klejnotów jak złoty krzyżyk z brylantami na twojej szyi, woizeru.

Choć mówiąc to uśmiechał się życzliwie, chmura niepokoju przebiegła po jej twarzy.

— To szkło! To nie są prawdziwe kamienie.

— Owszem, prawdziwe, sam je badałem kolejno.

Jej przestraszony wzrósł po tych słowach.

— Nie zamieniłeś mi ich? — krzyknęła. Spojrzała mu badawczo w oczy, potem zaczęła krzyżyk oglądać na wszystkie strony.

— No i wygadałaś się sama, że to prawdziwe brylanty. Gdyby były szklane, ich zamiana nie zatrwożyłaby cię wcale...

— Profesorze, mój czas jest drogi! — wtrącił po włosku towarzysz poligloty. — Siedzimy tu już chyba dziesięć minut, a badanie nie ruszyło z miejsca ani o krok.

— Już rusza, panie pułkowniku. — Mearza zwrócił się znów do chorej, z włoskiego przeszedł na amharinię. — Kim tedy jesteś?

— Biedną dziewczyną — upierała się. — Ten krzyżyk to wszystko, co mam. Wszystko, klnę się na Menelika! I nie liczcie na okup za mnie.

— Okup?! Czy bierzesz nas za abisyńskich rozbójników? Nie, piękna woizeru. Obecnie

znajdujesz się w Erytrei, wśród dobrych ludzi, którzy otoczą cię najtroskliwszą opieką, ale muszą wprawdzie wiedzieć, kim jesteś.

— Twoje nazwisko? — dorzucił ostro pułkownik, szukając czegoś po kieszeniach swej alpakowej marynarki.

— Dalila Borez.

— Gdzie urodzona?

— Nie wiem.

Znalazł wreszcie swój maleńki słowniczek włosko-amharski i zaczął nim sobie pomagać, gdyż w przeciwieństwie do profesora nie władał dobrze żadnym z tutejszych języków.

— Kim jest twój ojciec?

— Nie wiem.

— Gdzie mieszka?

— Nie wiem.

Otrzymał na kilka dalszych pytań tę samą odpowiedź, pułkownik Bossio tupnął, zaklął, zmierzwił chorą surowym spojrzeniem. Ona zaś wpiła palce w rękę profesora, spojrzała nań błagalnie.

— Boję się go — wyszeptała — boję.

— Nie ty jedna — odburknął Bossio po włosku. — A to, co znaczy? — krzyknął. — Ona jest bez koszuli?!

Przedtem nie mógł tego zauważyć, gdyż Dalila leżała na wznak nakryta prześcieradłem aż po szyję. Mearza łagodnie oswobodził swoją dłoń z jej uścisku i wyjaśnił pułkownikowi z uśmiechem, że pielęgniarki na próżno usiłowały zwalczyć uprzedzenia tej pacjentki do szpitalnych koszul.

— Mówiono mi to już rano, gdy telefonowałem tu po raz pierwszy. Podobno dwie koszule podarła na strzępy.

— I czy to nie są dzikusy?! No, ale do rzeczy, do rzeczy... — Nie mogąc znaleźć jakiegoś wyrazu w słowniczku, cisnął go w kąt i polecił profesorowi by tłumaczył na amharinię każde jego słowo.

— Wiemy, że jesteś księżniczką — brzmiał początek tego przekładu — wiemy, że ścigano cię z rozkazu samego negusa!

Na twarzyczce Dalili Borez odmalował się przestach.

— Wy to już wiecie? Od kogo?!

— Od ciebie! Mającąc w gorączce powiedziałaś wszystko.

Oślupiała. Przez dłuższą chwilę leżała bez najlżejszego poruszenia, tylko jej wzrok przeskakiwał błyskawicznie z jednego mężczyzny na drugiego. Pułkownik uderzył dłonią w poręcz fotela.

— Powiedziałaś wszystko! — powtórzył z naciskiem.

Ochłonęła wreszcie. Patrząc mu prosto w oczy, odparła powoli, jak gdyby każde słowo cedziła przez sito głębokiego namysłu:

— Nie mogłam powiedzieć więcej, niż sama wiem. A wiem o sobie bardzo niewiele.

— I tego nie masz potrzeby ukrywać przed nami, skoro tyle już znamy z twoich gorączkowych bredzeń. — Następne zdanie Mearza przetłumaczył w nieco złagodzonej wersji: — I skoro nie chcesz, abyśmy cię odesłali tym, którzy ścigali cię tak zawzięcie i którzy domagają się od nas...

Nie skończył jeszcze, kiedy zaszła rzecz nieoczekiwana. Dalila Borez wyskoczyła z łóżka, podbiegła do pułkownika, padła przed nim na kolana i ze łzami w oczach zaczęła go błagać, aby nie wydawał jej *okrutnym zbirom*. Nie mogli jej uspokoić ani nakłonić, by położyła

się na powrót.

— Prześcieradło! — warknął Bossio zgorzony tą sceną.

Mearza wykonał to polecenie bez specjalnego pośpiechu. Okrywając naguskę prześcieradłem, objął ją, niby to niechcący, tak, by dotknąć jej piersi; tej przyjemności nie mógł sobie odmówić ku oburzeniu pułkownika.

Trzeba wezwać siostrę Margeritę, niech wpakuje tę bezwstydnicę do łóżka.

— Czy pan pułkownik pozwoli, że ją w tym wyręcę?

Zanim Bossio zdążył powiedzieć: — Nie! — Mearza podniósł Dalilę, wziął ją na ręce, jakby dziecko, i skierował się w stronę łóżka. Nie stawiała teraz żadnego oporu. Przeciwnie, otoczyła profesorowi szyję ramionami i przytuliła się do niego tak, że Bossio zgrzytnął zębami.

— Bezwstydney dzikus! — wymamrotał ze złością, nie spuszczając tamtych dwoje z oka ani na sekundę,

A równocześnie *bezwstydney dzikus* przylgnął wargami do policzka profesora, który bardzo żałował, że nie może odwzajemnić się w podobny sposób, ze względu na obecność pułkownika.

— Tyś dobry, on zły, bardzo zły. Wypędź go stąd...

— Tego mi już za wiele! — wrzasnął Bossio. — Profesorze, wytłumacz pan tej brązowej małpie, że jeśli natychmiast nie wykona moich poleceń, pogadam z nią inaczej i gdzie indziej!

W przekładzie poliglotty wypadło to znowu mniej surowo, ale w końcu Dalila Borez zdecydowała się powiedzieć to, czego od niej żądano.

— Odkąd pamięć moja sięga, od maleńkiego dziecka mieszkałam na wysokiej górze — zaczęła — z której w pogodne dni widać było żelazne nosorożce, biegnące tam i na powrót po długim wale ziemi...

— Czyli mieszkała blisko linii kolejowej Dżibuti-Addis Abeba. Zapytaj ją pan, profesorze, u kogo tam mieszkała.

— U świętobliwego Mateusza — brzmiała odpowiedź.

O tym Mateuszu Dalila Borez rozwodziła się długo, wspominając ze wzruszeniem jego dobroć. Niegdyś był jej piastunem, gdyż miała podobno półtora roku, kiedy z cesarskiego rozkazu wywieziono ją na to pustkowie i powierzono opiece Mateusza. Wychowywał ją, uczył najważniejszych trzech języków abisyńskich, wyuczył ją nawet trudnego kunsztu pisania. Dawniej uważała go za swojego ojca, ale wyprowadził ją z tego błędu, gdy podrosła. Natomiast nie chciał nigdy wyjawić tajemnicy jej pochodzenia. Twierdził, że przysięgą zobowiązał się do milczenia.

— Więc ona nic właściwie nie wie — wtrącił w tym miejscu pułkownik Bossio, nie tając swego rozczarowania.

— Może rozwiążemy sami tę zagadkę — rzekł cierpliwy Mearza i polecił dziewczynie opowiadać dalej.

Mateusz mieszkał ze swą wychowanicą zupełnie sam w okolicy, trudniąc się ogrodnictwem. Odwiedzali go tylko pasterze, od których w zamian za lecznicze zioła nabywał mleko i mięso. Syn jednego z tych pasterzy zakochał się w Dalili, przychodził tam coraz częściej, aż pewnego razu Mateusz, zmiarkowawszy, co się święci, obił go kijem po grzbiecie, wypędził i zakazał wychowanicę widywać się z nim pod grozą chłosty. Kiedy rozpacziała, że traci jedyne towarzysza zabaw, pustelnik niezwykle wówczas zagniewany zawołał: — Nie przystoi księżniczce zadawać się z takim prostakiem! — Mateusz później bardzo żałował tych słów...

— Za to my ich nie żałujemy, prawda, panie pułkowniku?

— Pan entuzjastkuje się zbyt łatwo, panie Mearza — odburknął ponury Bossio. — Mnie to, co dotychczas słyszałem z jej ust ani trochę nie zelektryzowało.

Zelektryzował go dopiero dalszy ciąg jej opowiadania... O Dalilę nie troszczył się nikt prócz Mateusza, lecz nie zapomniano o niej w Addis Abebie, choć upłynęło tyle lat. Tego roku zaraz na początku pory deszczowej do samotnej pustelni Mateusza przybyło kilkunastu dobrze uzbrojonych ludzi, którym przywoził brzydki mężczyzna, noszący opaskę na jednym oku...

— Mongosza! — warknął pułkownik Bossio.

— Jonasz Mongosza — powtórzył Mearza i także zacisnął pięści.

— Istotnie, takie jest jogo nazwisko, jak dowiedziałam się później. Wy go znacie? — udała wielkie zdziwienie.

— Aż za dobrze.... No, gadaj dalej.

Jonasz Mongosza przywiózł pustelnikowi na piśmie rozkaz negusa dotyczący wydania Dalili. Ponieważ Mateusz przywiązał się ogromnie do swej wychowawcy, postanowił towarzyszyć jej w drodze i razem z eskortą przybyli do Addis Abeby *żelaznym nosorożcem* (czyli pociągiem). Jeszcze tej samej nocy zawieziono oboje do pałacu cesarskiego. Tam Mateusza zatrzymano w pokoju adiutantów, Dalilę zaś Jonasz zaprowadził do negusa negesti, pouczając ją po drodze, jak ma się zachowywać, gdy stanie przed obliczem władcy Abisynii. Zastosowała się ściśle do nakazanego ceremoniału, lecz monarcha nie był dla niej łaskawy. Nie zaszczyił jej ani jednym słowem, ani życzliwym spojrzeniem, przeciwnie, spoglądał na nią z wyraźną niechęcią. Potem długo rozmawiał przy niej z jednookim Jonaszem Mongoszą w języku, którego nie rozumiała, a który był podobny do... do waszej mowy.

— O ile mi wiadomo — wtrącił w tym miejscu Mearza — negus słabo rozumie po włosku. Musieli więc z jednookim mówić po francusku.

Po audiencji u cesarza Dalilę wraz z Mateuszem zatrzymano w Gibbi przez dwie doby, potem wywieziono ich z Addis Abeby do jakiejś podmiejskiej willi na zboczu góry Antotto. Tam mieszkali przez kilka tygodni, podczas których Mateusz robił częste wycieczki do miasta. Jemu bowiem pozostawiono zupełną swobodę ruchów, za to Dalilę strzeżono jak oka w głowie... dopóki Jonasz Mongosza był w stolicy. Gdy... jakoś w maju... wyjechał, wartownicy pofolgowali sobie natychmiast i Dalila mogła przechadzać się po eukaliptusowym lasku u stóp willi.

Pewnego razu Mateusz powrócił z miasta ogromnie wzburzony. Dowiedział się skądś, że Haile Selassie ostatecznie wyraził swą zgodę na dyskretne sprzątniecie *niebezpiecznych dla siebie osób*, których listę sporządził Jonasz Mongosza. Jemu też powierzono wykonanie tej „roboty”, a powrót groźnego Jonasza do Addis Abeby miał nastąpić lada dzień. — I ty, nieszczęsna znajdujesz się wśród skazanych! — Tymi słowami mnich zakończył swój repertuar hiobowych wieści. Kiedy zapytała go o powody okrutnej decyzji cesarza, dodając z płaczem, iż nie poczuwa się do żadnej winy, Mateusz wybuchnął: — Wiem, że jesteś niewinna i nie dopuszczę do tej zbrodni, choćby mi przyszło prosić o ratunek wrogów naszej ojczyzny! — Pocieszył ją też zapewnieniem, iż jego informatorzy pomogą im uciec z Abisynii. Potem zakrzętał się około zorganizowania ucieczki tak energicznie, że już nazajutrz wieczorem wyruszyli w drogę. Nie koleją, rzecz prosta, to groziłoby aresztowaniem po przebyciu małej części drogi do granicy...

— A warta przy willi pozwoliła wam odejść? — zapytał Bossio.

Dalila Borez odparła z uśmiechem, że o pozwolenie nie pytała. Mateusz wyprowadził strażników w pole bajką o jej chorobie. Dopiero po upływie doby mogli zauważyć jej nieobecność, a w ciągu tej doby, dzięki rozstawnym koniom, mnich ze swoją karawaną przebył z górą sto kilometrów. Stosunkowo najprostsza droga z Addis Abeby do Erytrei wiedzie przez Dessie, Makalle i Aduę, lecz tędy uciekać było bardzo niebezpiecznie. Musieli w ogóle unikać miasteczek połączonych ze stolicą linią telegraficzną. By zmylić trop, podążyli w kierunku jeziora Tana, stamtąd na północ, ku pasmu najwyższych gór Abisynii, ominąwszy po drodze

miasto Gondar. Jak dotychczas podróż odbywała się bez przygód, aż dopiero u podnóża góry Ras-Daszan, w głębokim jarze omal nie zatopiła ich wielka woda...

W tym miejscu profesor Mearza spojrział wymownie na pułkownika.

— Giovanni — rzekł krótko.

— Sprawdzimy... Kiedy była ta powódź?

— Osiem albo dziewięć dni temu — odparła.

— Zgadza się, panie pułkowniku.... Czy na tym poprzestaniemy? Bo przecież ostatnie epizody jej podróży do Erytrei znamy dość dokładnie z raportu porucznika Schirru.

— Jego raport będzie niezłym sprawdzianem jej prawdomówności, wobec czego niech ona opisz nam te wypadki jak najdokładniej.

Gdy z sobą mówili po włosku, Dalila Borez, choć znała ten język, udawała mistrzowsko, że nie rozumie ani słowa, że pragnęłaby gorąco odgadnąć treść ich rozmowy i, przenosząc wzrok z jednego na drugiego, wytrzeszczała oczy zabawnie.

— Teraz opowiesz nam jeszcze — rzekł do niej po amharsku profesor Mearza — jak doszło do strzelaniny nad naszą granicą.

Spełniła to życzenie. Zaznaczyła, że jej opiekun był przygotowany na to, iż Jonasz Mongosza *słowami na drutach* zawiadomił wszystkie posterunki graniczne o zamiarze ucieczki z Abisynii dziewczyny jadącej w towarzystwie starego mnicha. Dlatego przy końcu swej długiej podróży omijali nawet wioski, wypoczywali za dnia w lasach, a posuwali się naprzód jedynie nocami. Dzięki tej ostrożności dotarli bez przeszkód aż do Adi Golagol, czyli niespełna 13 kilometrów dzieliło ich od rzeki Mareb tworzącej granicę między Abisynią a Erytreą. I właśnie tam, koło Adi Golagol, spostrzeżono ich w nocy, ostrzeliwano z daleka, potem zapalono na szczytach gór ognie, które zaalarmowały całą okolicę. Nie miało więc sensu ukrywać się nadal i czekać, aż las otoczą silniejsze oddziały. — Spróbujemy przebić się siłą. Nie mamy zresztą innego wyjścia — powiedział mnich Mateusz. Wypadli z lasu, pomknęli cwałem ku granicy i wówczas rozegrały się znane nam wypadki. Dalila Borez opisała je tak samo, jak porucznik Schirru w swoim raporcie. Nie wiedziała tylko, czy jej opiekun także zdołał przekraść się przez granicę, czy też pozostał na abisyńskim brzegu.

— Pozostał — wyjaśnił jej Mearza. — Ukrył się w zaroślach, lecz wasi prześladowcy odnaleźli go szybko i wprowadzili z sobą.

Wiadomość ta wywołała taki wybuch rozpacz u Dalili, że nawet Bossio wzruszył się trochę. Potem wezwał pielęgniarkę, polecił jej uspokoić łkającą pacjentkę, ale siostra Margerita okazała się również bezsilna wobec tego płaczu.

— Mam wrażenie, że ją obecnie drażni widok panów, że prędzej przestałaby szlochać, gdybyśmy pozostały tu same — rzekła.

Wyszli więc i zaczęli omawiać wyniki dzisiejszego przesłuchania.

— Co pan pułkownik sądzi o tym wszystkim?

— Rad bym pierw usłyszeć pańską opinię, panie Mearza.

— Mnie zastanawia najbardziej fakt, iż tę dziewczynę umieszczono na liście osób *niebezpiecznych dla Hailego Selassiego*. To mówi mi bardzo wiele o pochodzeniu Dalili Borez.

— Mianowicie?

— Mianowicie, że ona należy do jednej z dynastii abisyńskich!

— Do której?

— Tego nie wiemy na razie. Potomkowie Teodorosa wymarli podobno wszyscy, lecz Johannaesa IV żyją. Na przykład ras Seyum i...

— ...i Gugsu — wtrącił pułkownik.

— Można by zapytać Gugsę, czy jego bratu lub siostrze nie porwano kiedyś dziecka płci

żeńskiej i...

— Nonsens! Jeżeli dotychczas nie wysłano na tamten świat ani Gugsy, ani Seyuma, to tym bardziej negus nie miał powodu lękać się żeńskiego potomka dawno zapomnianego władcy Abisynii. Prędzej bym już uwierzył w to, że Dalila Borez jest prawnuczką Menelika.

— Ależ w takim razie musiałaby być córką Lidża Jassu! Bo Menelik miał tylko dwie córki, Zaoditu, która zmarła bezpotomnie, i Chagardi, której synem jest Lidż.

— Chagardi była córką nieślubną, profesorze. A stary Menelik na pewno miał więcej nieślubnych dzieci niż jedno.

— To możliwe, jednakże mnie wydaje się teraz, że ojcem Dalili nie może być nikt inny jak tylko Jassu...

— ...który przeszedł na islam. Sądzi pan, że mahometanin pozwoliłby dziecku nosić na szyi krzyżyk? Taki wróg chrześcijan jak Lidż?!

— Kto by tam pytał o pozwolenie zdetronizowanego cesarza, który od tyłu lat siedzi w więzieniu. A Dalilę wychowywał koptyjski mnich. Ochrzcił ją przede wszystkim, to nie ulega wątpliwości, i, chcąc zewnętrznie dać temu wyraz, że dziewczynka jest chrześcijanką, kazał jej nosić krzyżyk, jaki kupił, albo...

— Z takimi brylantami?!

— Kler w Abisynii jest bardzo bogaty, panie pułkowniku. Należy do niego prawie połowa całego kraju.

Długo jeszcze omawiali ten temat, gdyż nie lada klina zabiła im do głowy opowieść rzekomej Dalili Borez. Opowieść skomponowana częściowo przez mnicha Mateusza, a częściowo jeszcze przez Jonasza Mongoszę, szefa abisyńskiego wywiadu, którego wysłanniczką była ta dziewczyna. Opowieść, w której łgarstwa wyssane z palca były sprytnie powiązane z prawdziwymi wydarzeniami, jakie Włosi musieli znać. Do tych ostatnich należała wzmianka o powodzi w jarze u stóp góry Ras-Daszan. Ten epizod przyszedł teraz na myśl poliglocie.

— Panie pułkowniku, przypomniałem sobie coś ważnego — zaczął.

— Słucham.

— Giovanni Delsanto opowiadał mi parę dni temu, że uciekając przed żołnierzami rasa Seyuma i przed powodzią natknął się w wąwozie na karawanę jakiegoś mnicha, któremu towarzyszyła młoda, bardzo ładna dziewczyna. Ona to właśnie umożliwiła Giovanniemu dalszą ucieczkę i...

— Co pan mówi!

— Sądzę, że tą dziewczyną była Dalila Borez.

— To bardzo prawdopodobne. Ale dlaczego Delsanto nie wspomniał nic o tym spotkaniu mnie, swojemu szefowi?!

— Widocznie uważał je za błahy szczegół swej niebezpiecznej eskapady. Nie mógł zresztą przewidzieć, że dziewczyna podąży do Erytrei i że jej przybycie wzbudzi w nas tak usprawiedliwione zainteresowanie.

— Hm, zapewne. W każdym razie skonfrontuję ich ze sobą jutro. Proszę jednak nie mówić o tym nic porucznikowi Delsanto.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

Nazajutrz rano udali się do szpitala ponownie, ale tym razem w towarzystwie jeszcze trzeciej osoby, którą był Giovanni Delsanto. Wiedział tylko tyle, że ma być skonfrontowany z *jakimś Abisyńczykiem*. Kiedy weszli do separatki i pułkownik Bossio, wskazując pacjentkę, zapytał porucznika, czy poznaje tę kobietę, Dalila Borez wybałuszyła oczy ze zdziwienia.

— Ależ to mój koniokrad! — zawołała. — Skąd on się wziął tutaj?

Giovanni rozbawiony tym, że nazwano go koniokradem, parsknął śmiechem. Potem

spoważniał, zwrócił się do swojego zwierzchnika.

— Panie pułkowniku — rzekł — ta kobieta ocaliła mi życie, nie bacząc, że sama naraża się przez to na największe niebezpieczeństwa. Będę uszczęśliwiony, jeżeli choć w części będę mógł spłacić wielki dług wdzięczności, jaki wobec niej zaciągnąłem.

ROZDZIAŁ IV

Jak słusznie przewidywał chytry mnich Mateusz, błąd popełniony przez Dalilę w górskim jarze, wyszedł jej na dobre. Nawet przesadnie podejrzliwy pułkownik Bossio nabrał zaufania do *uciekiniarki z Abisynii*, kiedy jego ulubieniec, porucznik Giovanni Delsanto oświadczył przy konfrontacji, że zawdzięcza życie tej dziewczynie.

— Jeżeli okaże się, że ona jest naprawdę córką Lidza Jassu — mówił, referując tę sprawę zastępcy chwilowo nieobecnego w Asmarze generała de Bono — to ukręcimy z tego straszliwy bat na Hailego Selassiego.

— Oczywiście! Sfotografujemy ją, sfilmujemy, może nawet wyślemy do Rzymu i rozgłosimy na cały świat, iż prawnuczka Menelika, jedyna legalna spadkobierczyni jego korony et cetera, et cetera schroniła się pod nasze opiekuńcze skrzydła.

— Tak jest, panie generale... Zatem możemy pozwolić jej osiedlić się tutaj. Czy w samej Asmarze?

— Naturalnie! Tu będziemy ją mieli pod ręką, tu również będzie zabezpieczona przed ewentualnymi zamachami ze strony agentów negusa. Trzeba jej też stworzyć warunki życia odpowiednie dla dziewczyny tak wysokiego rodu. Kwestię wypłaty jakiejś renty z naszego funduszu dyspozycyjnego zlecę komu należy, a pan, panie pułkowniku, dopilnuje ze swej strony, by Dalila... jak jej to?

— Borez. Przez szykanę nadano jej tak pospolite nazwisko.

— Aha... Otóż pan zajmij się tym, by Dalila Borez otrzymała na mieszkanie jakąś niebrzydką willkę, możliwie w centrum miasta. A dla bezpieczeństwa tej dziewczyny niech pan umieści wśród jej służby jednego ze swoich ludzi. Może by w charakterze kucharza, co?

Pułkownik Bossio wykonał to polecenie; ponieważ jednak nie mógł strawić tego, by ktokolwiek jadł włoski chleb za darmo, zapędził Dalilę Borez do roboty. Przez sześć godzin dziennie musiała ślęczeć nad przeróżnymi „kawałkami” napisanymi po amharsku i tłumaczyć je na inne języki etiopskie, zwłaszcza chamićskie. Pracowała z zapalem, sądząc, iż przyłapie coś, co mogłoby zainteresować kontrwywiad abisyński, lecz na razie nic takiego nie wpadło jej w ręce. Po skończeniu urzędowania wracała do swojej willi. Prawie nigdy pieszo. Prawie zawsze zdarzyło się tak jakoś pomyślnie, że albo Mearza, albo Giovanni Delsanto, albo wreszcie jeden z jego przyjaciół przejeżdżał koło gmachu mieszczącego biura wywiadu właśnie wtedy, gdy ona wychodziła na ulicę. Udawała, jak przystało *pannie z dobrego domu*, iż uważa te spotkania za przypadkowe i wszyscy byli zadowoleni

Zwłaszcza Jonasz Mongosza, który już w pierwszych dniach września otrzymał w Addis Abebie poufne wiadomości o tym, że w Erytrei odnaleziono „prawnuczka Menelika”, że zatrudniono ją w biurze tłumaczy wywiadu włoskiego, że piękna Dalila Borez jest otoczona rojem oficerów itd. Jonasz mógł być dumny zarówno z pojętej uczennicy, jak i ze swojego dzieła. Gdyby był trzymał się starego szablonu i wysłał Dalilę Borez (recte Taitu, córkę Yamgana) do Erytrei drogą morską, jako na przykład tancerkę, niewiele byłaby wskórała. Byłaby od razu ściągnęła na siebie podejrzania i naraziła się na sumienną inwigilację uniemożliwiającą swobodę ruchów. Wywiad lubi każdą tancerkę uważać za szpiega, a cóż dopiero tancerkę

przybywającą na gościnne występy na parę tygodni przed nieuchronnym wybuchem wojny, tancerkę będącą dzieckiem narodu, któremu tę wojnę narzucić się chce w celach łupieskich, pardon, „zdobywczo-kulturalnych”. Tymczasem dzięki perfidnemu podstępowi Jonasza, Włosi przyjęli Dalilę Borez z otwartymi ramionami i sami ułatwili jej przygotowanie terenu do przyszłej roboty szpiegowskiej.

Przed rozpoczęciem tej roboty Dalila musiała nawiązać kontakt z Persem Assarem Wezirym, który miał zdobyte przez nią wiadomości przesyłać do Addis Abeby. Jego adresu nie знаła na razie. Przesadnie ostrożny Jonasz nie podał go jej, lękając się, by w razie ewentualnego zdemaskowania na granicy nie została poddana torturom i nie wyspała ludzi pracujących dla Abisynii na terenie Erytrei. Miała tylko taką wskazówkę: — W Asmarze szukaj ślepego żebraka. Do jego blaszanej miseczki rzuć kolejno pięć monet. Gdy zamiast podziękować, zaczniesz narzekać na twoje skąpstwo, wciśnij mu do ręki jakiś kamyczek. To będzie druga próba. Jeśli otrzymawszy kamyk zaczniesz chwalić twą hojność, powiedz *Bóg nas nie opuści*, na co on winien odrzec *i zniszczy wrogów naszych*. Jeśli ta trzecia próba nie zawiedzie również, śmiało zawierz ślepcowi i zapytaj go, gdzie przebywa Assar Weziry.

Stosownie do tej instrukcji Dalila, zamieszkawszy w Asmarze, świeciła przykładem miłosierdzia. Przystawała przed każdym żebrakiem (a sporo ich tam jest, jak wszędzie na Wschodzie) i każdego, który był niewidomy lub ślepeca udawał, obdarzała jałmużną. Zazwyczaj błogosławił jej szczodropliwość już po drugiej lub trzeciej monecie, po czym natychmiast ruszała w dalszą drogę... rozczarowana. Aż raz natknęła się na takiego, który naliczywszy pięć dźwięków, warknął: — Skoroś tyle dała, możesz dać znacznie więcej, ty skąpiradło. — Ucieszona tą odpowiedzią, wcisnęła mu do ręki kamyczek, który żebrak natychmiast włożył do ust, nagryzł, zaklął, cisnął ten twardy „cukierek” ze złością w stronę ofiarodawczyni i zwymyślał ją od ostatnich. Oczywiście uciekła co prędzej, by nie wywoływać zbiegowiska. — I to także nie on — westchnęła. — Leczył był to już ostatni zawód. Następnego dnia, koło kasyna oficerskiego, ujrzała żebraka, który na oczach miał bielmo. Rzuciła mu pięć monet, sklął ją. Dała mu kamyk, zaczął wielbić jej hojność. Słowem, wyszedł zwycięsko z dwóch prób. A potem, gdy powiedziała: *Bóg nas nie opuści*, odparł półszepem *i zniszczy wrogów naszych*. Nareszcie, nareszcie znalazła kogo szukała.

Omyliła się jednak sądząc, że ślepiec natychmiast poda jej adres Persa. Czarny żebrak skierował ją do następnego łącznika, którym był ogrodnik nazwiskiem Enzullah, mieszkający tuż pod miastem, przy drodze wiodącej z Asmary do Massauy. Aby mieć pretekst do odwiedzenia go, zrobiła awanturę dotychczasowemu dostawcy jarzyn, że wyzyskuje ją haniebnie i udała się na poszukiwanie nowego dostawcy. Zabrała z sobą kwef, jakiego używają kobiety mahometan, i zasłoniła nim twarz, skoro zbliżyła się do pięknego ogrodu Enzullaha! Wymieniwszy hasła, poprosiła o adres szefa. Enzullah odparł, że Assar Weziry bawi nad Morzem Czerwonym, lecz ma powrócić do Asmary lada dzień. — Dam ci znać, kiedy on zechce cię widzieć. Gdzie mieszkasz? — Nie powiedziała, gdzie mieszka, nie pokazała mu swojego oblicza. Umówili się tak, że gdy Assar Weziry przyjedzie, ślepy Murzyn będzie tuż przed zachodem słońca żebrał naprzeciw dworca kolejowego. Wtedy ona przyjdzie tutaj późnym wieczorem i Enzullah zaprowadzi ją do szefa. — To może nastąpić już jutro — dodał jeszcze.

Ale minęło jutro, pojutrze, minął cały tydzień, a czarny ślepiec nie pojawił się w okolicy dworca. Tymczasem Dalila Borez zdobyła pierwszą ważną wiadomość, którą należało co prędzej wysłać do Jonasza Mongoszy w Addis Abebie. Zdarzyło się to wśród następujących okoliczności. Jej bezpośrednim zwierzchnikiem w biurze był profesor Mearza. Uczył ją języka włoskiego (który przecież znała) i zachwycał się jej nadzwyczajnymi postępami, ona zaś nawzajem uczyła go różnych narzeczy języka oramo. Posługuje się nim bitny lud Galla, liczący

ponad pięć milionów głów, a zamieszkujący południową Abisynię, od Hararu aż po brytyjską Kenię. Bowiem Mearza, chociaż we Włoszech uchodził za poliglotę, gdyż znał sześć języków etiopskich, to jest urzędową amharinię, dalej tigre, dankali, issa, ageu i liturgiczny gyyz, przekonał się po przyjeździe do Afryki, że w Abisynii jest ich w użyciu (wraz z narzeczami) ponad trzydzieści!

Dlatego Dalila Borez oddawała mu wielkie usługi, dlatego chętnie zasięgał jej rady, gdy chodziło mu o staranny przekład. Tak właśnie wydarzyło się dnia 30 sierpnia, czyli dokładnie w dwa tygodnie po przybyciu Dalili Borez do Erytrei. Godziny urzędowe dobiegały końca, gdy do pokoiku, gdzie pracowała, wszedł Mearza z plikiem papierów w rękę, z ołówkiem wetkniętym za ucho.

— Piękna uczennico — rzekł z uśmiechem, znowu musisz poprawić robotę swojego mistrza.

— Dobrze — odparła — zabiorę się do tego jutro od samego rana.

— Jutro? Jutro to pójdzie do drukarni, a tekst musi być gotowy nieodwołalnie dzisiaj. Tak powiedział pułkownik Bossio.

— Przecież tego będzie do roboty na kilka godzin...

— Na dwie godziny najwyżej... Uhum, rozumiem, schadzka!

— Może.

— Z porucznikiem Delsanto!

— Może.

— Ale jak ja proponowałem wspólną wycieczkę autem...

— Tamtą niedzielę miałam zajętą.

— A tę? To znaczy pojutrze? Dalilo! Pojedziemy sobie we dwójkę do Massauy, zgoda?

Nad morze...

— Może.

— Może, może, może. Czy nie możesz powiedzieć choć raz *tak*?

— Mogę.

— Więc powiedz.

— Czy, jeśli powiem, będę zwolniona na dzisiaj od tłumaczenia tych nudziarstw?

— Ach, ty śliczny próżniaku... No, dobrze, już dobrze, zwolnię cię zaraz. Tylko jeden kawałek musisz mi poprawić koniecznie. O ten, spójrz.

Położył przed nią swój przekład odezwy, przeznaczonej dla ludów Galla, a zaczynającej się od słów:

WALECZNI GALLANIE!

Wy najstarsi, którzy pamiętacie czasy niepodległości, jakiej pozbawił was krwawy tyran Menelik.

I Wy, młodszy, urodzeni już w niewoli Amharów, którzy zagarnęli wszystkie urzędy i ziemię wszystką, a podbite ludy traktują, jak niewolników. Wszyscy, wszyscy dzielni Gallanie słuchajcie wesolej nowiny!

Wybiła godzina odwetu, godzina Waszej wolności. Niosą Wam tę wolność Włosi, Wasi oswobodziciele! Wojska włoskie przekroczyły granicę dzisiejszej Abisynii, by walczyć z Amharami, z dręczycielami Waszymi...

Tu Dalila, która starała się zachować nadal znudzoną minę, jaką miała przedtem, i nie okazać po sobie, co się dzieje w jej sercu, nie zdołała powstrzymać się od okrzyku zdumienia?

— Jak to, wojna rozpoczęta?
— Nie. Skąd ci to przyszło do głowy!
— Przecież tu czytamy: *wojska włoskie przekroczyły granicę*.
— Gdy ją przekroczą nareszcie, ulotki muszą być nie tylko wydrukowane, ale i dostarczone na miejsce przeznaczenia.
— To znaczy dokąd?
— Czy piękna uczennica zapomniała, gdzie mieszkają ludy Galla?
— Aha, więc te papierki robi się niejako na zapas.
— Oczywiście.
— No tak, zanim przewiezie się je stąd aż na granicę Ogadenu, upłyną ze dwa tygodnie. Czyli wojna nie może wybuchnąć wcześniej.
— Wojna nie może wybuchnąć, dopóki nie skończy się wasza przeklęta pora deszczowa. Wojna... — urwał, gdyż do drzwi zapukano. — Wejść.
Wszedł jeden z podoficerów,
— Pan pułkownik prosi. Pan pułkownik telefonował, ale ponieważ nie zgłaszał się nikt, więc mnie...
— Dobrze, idę. — Z kolei Mearza zwrócił się do Dalili Borez, która natychmiast zrobiła smętną minę. — Wróć za chwilkę...
Westchnęła z rezygnacją. Miało to oznaczać, że ona dobrze wie, jak długo trwa chwilka u pułkownika Bossio, który niby to spieszy się zawsze, ale każdą, najbardziej błahą rozmowę przedłuża, jak może.
— Trudno... służba... odbijemy to sobie w niedzielę... Niech moja śliczna uczennica tymczasem poprawi ten przekład.
Uczennica wołała przede wszystkim zrobić coś nierównie ważniejszego. Mimo całego wzburzenia parsknęła cichym, szyderczym śmiechem, gdy w zamku drzwi tego pokoju zazgrzytał klucz. Mearza, wychodząc, zamknął ją, aby podczas jego nieobecności nie wtargnął tu kto niepowołany i nie spojrzął na te papiery. — Gdyby on wiedział, kogo przy nich pozostawił!
— Mruknąwszy tak nie bez satysfakcji, Dalila Borez zaczęła z dzikim pośpiechem odpisywać tekst przyszłej ulotki dla Gallan. Gotowy odpis ukryła pod stopą w sandale, po czym zabrała się do roboty, jaką jej zlecono, do poprawiania błędów językowych przekładu profesora. Ukończywszy to, zauważyła w końcu, że prócz tekstu ulotki, poliglota zostawił na drugim stole plik innych papierów. Zaledwie jednak przebiegła wzrokiem treść pierwszych dwóch, zaledwie zerknęła na trzeci dokument i najpierw zauważyła nazwisko, którego nie spodziewała się spotkać tutaj, Gugsy, klucz w zamku zachrobotał ponownie. Szybciuteńko, po cichutku wróciła na swoje miejsce, skrzyżowała ręce na stole, oparła na nich czoło, udała, że drzemie.
— Jestem z powrotem — oznajmił Mearza, wchodząc.
— O, gdybyś tak zechciał wyjść z powrotem — marzyła Dalila, w najwyższym stopniu zaintrygowana swym połowicznym odkryciem. — Gugsy, Gugsy, hm, co on ma z nimi?
— Zasnęła?
Profesor zamknął drzwi cichuteńko, podszedł do stołu na palcach, pochylił się nad rzekomo śpiącą i przyłgął ustami do jej karczku. Oczywiście „zbudziła się” natychmiast, spojrzała na niego zalotnie. — A żebyś zdechł, przeklęty Włochu — myślała równocześnie — żebyś choć zemdłał, albo na kilka minut wyszedł jeszcze raz. — Ale nie spełniło się żadne z tych „nabożnych” życzeń i zagadka konszachtów rasa Gugsy z włoskim wywiadem musiała na razie pozostać niewyjaśniona.
— Zresztą nie wychodzę stąd dziś z pustymi rękami — pocieszała się Dalila, opuszczając biuro. — Zdobyłam odezwę, która ma podburzyć Gallan, moich ziomków. Jonasz będzie

wiedział najlepiej, jak temu podburzaniu przeszkodzić, a mnie teraz potrzebny jest tylko Assar Weziry.

Posiliwszy się w domu, pobiegła na dworzec, lecz znowu na próżno rozglądała się za ślepym żebrakiem. Nie było go tutaj, co oznaczało, że Assar jeszcze nie powrócił do Asmary, albo nie kwapił się do poznania nowej pomocnicy przysłanej z Addis Abeby. Przypuszczenie to wzburzyło Dalilę. Wieczorem, przebrawszy się za Arabkę, odwiedziła ponownie Enzullaha i zażądała adresu szefa pod groźbą doniesienia Jonaszowi Mongoszy, że tutejsi jego ludzie zamiast ułatwiać, utrudniają jej pracę.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł ogrodnik — ja także będę rad, jeśli u nas nastaną inne porządki.

— Więc przyznajesz, że tu nie pracuje się tak, jakby...

— Ano nie.

— Dlaczego nie?

— Nie wiem. Wiem tylko, że nie robi się prawie nic, by pomóc tym biednym Abisyńczykom.

— Z odpowiedzi twej wnoszę, że ty sam Abisyńczykiem nie jesteś.

— Jestem Turkiem, a Weziry Persem.

Wiadomość ta była przykrą niespodzianką dla Dalili, której Jonasz Mongosza z niezrozumiałych powodów nie powiedział tego, że ci dwaj nie są Etiopczykami... Westchnęła.

— Zatem — wnioskowała zasmucona — właściwie nic was nie łączy z nami, z Abisynią.

— Mnie łączy z wami nienawiść do białej rasy.

— A szefa?

— Nie wiem.

Na kilka dalszych pytań dotyczących Assara Weziry'ego dał znowu tę nieszczerą odpowiedź *nie wiem*, a równocześnie nachmurzył się, sposepniał. Dalila przyglądała mu się w milczeniu. — On nie chce mi powiedzieć prawdy ze strachu przed tamtym — odgadła. Pragnąc uczynić go bardziej rozmownym, poruszyła inny temat. Zapytała, czy nie wie, co znajduje się w samochodach ciężarowych, których cała kolumna przejeżdżała właśnie obok jego domu. Ich ładunek musiał być bardzo ciężki, gdyż ziemia drżała pod stopami, a szyby z dźwiękiem dygotały nieustannie.

— No, chyba, że ciężki — odburknął Enzullah — przecież nie wiozą pierza, lecz amunicję.

— To znaczy ładunki do karabinów!

— Nie tylko naboje do karabinów, ale i pociski armatnie, ręczne granaty, miny, bomby lotnicze, słowem wszystko to, co im potrzebne do mordowania twoich rodaków, do rozrywania ich na strzępy, rozumiesz?

— Rrrrozumiem! — warknęła Dalila.

Przyskoczyła do okna, czoło oparła o szybę i liczyła defilujące przed nią auta, ogromne, ryczące, na tle nocy i w świetle swoich latarń do bajecznych potworów podobne. Jej małe dłonie zacisnęły się w pięści. Jej podługne oczy zwęziły się jeszcze bardziej, stały się szpareczkami, z których wyzierała teraz śmiertelna nienawiść.

— Czy taki widok masz często? — spytała po chwili.

— Niemal codziennie. A bywa i tak, że jednego dnia przechodzi tędy z Massauy kilka transportów!

— Czy nie można by ich niszczyć?

— Można by od czasu do czasu.

— Więc czemu nie uczyniliście tego nigdy dotychczas?! — krzyknęła, nie odrywając

drapieżnego wzroku od dalszych samochodów.

— Nie wiem.

— Znowu *nie wiem!*

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Zapytaj o to Assara Weziry'ego. On tu rozkazuje, nie ja.

— Zapytam go, bądź pewny. I nie tylko o to... A swoją drogą sama pomyślę nad tym, jak zniszczyć sporą część włoskiej amunicji.

Enzullah słuchał z coraz większym zainteresowaniem.

— Mówisz to poważnie?

— Przekonasz się wkrótce. Nie przyjechałam tu po to, by siedzieć z założonymi rękami, jak wy! I już dzisiaj żądam, abys wystarał się dla mnie o taką bombę, która wybuchnie w oznaczonej godzinie.

— Aha, o maszynę piekielną. Dobrze, zrobi się.

— Ta maszyna musi być jak najmniejsza, abym ją zdołała ukryć na przykład... w dużym bukicie.

— Taka nie da mocnej eksplozji.

— Ja też nie zamierzam wysadzić w powietrze mostu ani domu, tylko amunicję, która przecież sama także wybuchnie.

— Racja! — Turek rozchmurzył się do reszty, spojrział na nią z uznaniem. — Zaczynam wierzyć — rzekł — iż nareszcie będzie tu trochę ruchu. Dzięki tobie!

— Jeżeli tego pragniesz...

— Oczywiście!

— ...podasz mi natychmiast adres szefa.

Tym razem spełnił jej życzenie bez wahania. Zaznaczył jednak, że niewielką będzie miała z tego pociechę na razie.

— Dlaczego?

— Assar Weziry bawi jeszcze w Massaua.

Tę samą odpowiedź otrzymała w godzinę później od odźwiernego domu, którego całe pierwsze piętro zajmowało mieszkanie Assara, parter zaś jego zakład fryzjerski oraz perfumeria. Zakład właśnie zamykano, ale na widok kobiety rozmawiającej z odźwiernym jakiś pocieszny typ należący do personelu Assara natychmiast włożył biały kitel i zaczął ją zapraszać, by weszła. Weszła zwabiona wonią przeróżnych pachnideł, za którymi przepadała zawsze. Wybrała sobie dwa małe flakoniki wschodnich olejków i, jak przystało kobiecie wschodniej, zaczęła targować się straszliwie.

— Panie Lagudakis — rzekł zniecierpliwiony odźwierny, to może tak trwać do rana, ja tutejsze niewiasty znam dobrze.

— Więc spuść żaluzję i idź spać, ja panią wypuszczę tyłem.

— Ledwie przebrzmiał łoskot opadających żaluzji, targi rozpoczęły się na nowo.

Lagudakis przysiągł na swoją duszę, że te „indyjskie” olejki kosztowały firmę dwieście lirów loco⁽¹⁾ Kalkuta, a Dalila Borez zapewniła go niemniej uroczyście, iż ma przy sobie dokładnie dziesiątą część tej sumy, co stanowi cały jej majątek. Tak więc różnili się między sobą o 180 lirów, ale pół godziny później ta różnica zmalała o 90 procent, aż wreszcie zniknęła całkiem, interes ubito.

— Daj panienka sześćdziesiąt, niech już stracę, westchnął Grek, zadowolony, że prócz zwykłej prowizji od chlebobawcy zgarnie do kieszeni dziesięć lirów, stanowiących nadwyżkę ponad wyznaczoną cenę detaliczną.

Gdy jednak Dalila wręczyła mu banknot stulirowy, wydał jej tylko 25 lirów. Więcej

rzekomo nie miał, *pod słowem honoru*.

— Czy chce panienka zamiast reszty manicure? — spytał.

— Co to jest?

— Zaraz pokażę.

Zdjął zawieszony na gwoździu reklamowy plakat jakiejś fabryki kremów do pielęgnacji rąk, postawił go na kasie i zapalił obok stojącą lampę. Plakat wykonany w dwóch kolorach przedstawiał niezwykle piękne dłonie, od których olśniewającej białości odbijały jaskrawo czerwone paznokcie, owalne, wykrojone idealnie równo.

— Na Menelika! — wyrwało się zachwyconej Dalili. — Są kobiety, które mają tak precudne ręce?!

— Panienka może mieć zupełnie takie same za pół godziny.

— Ale nic za to nie dopłacę do tych piętnastu lirów? — spytała przezornie, choć gotowa była dopłacić nawet setkę.

— Jakiś skromny napiweczek.

Lagudakis pchnął boczne drzwi i z perfumerii wprowadził ją do sąsiedniego lokalu, gdzie na ścianach wisiało osiem dużych luster, a przed każdym stał wygodny fotel. Jeden z nich odwrócił, posadził na nim klientkę, sam usiadł naprzeciw na krześle oddzielony od niej stolikiem, który przyniósł wraz z miseczką ciepłej wody, aksamitną poduszką i z płaskim pudełkiem. Gdy je otworzył, na widok instrumentów do manicure Dalilę obleciał strach, ale zacisnęła zęby i pozwoliła, by robił z jej dłońmi, co zechce. Nie mogła doczekać się tylko, kiedy one nareszcie wybieleją tak, jak tamte na obrazku. Takie, jak tamte na obrazku, stały się w końcu jej paznokcie, przycięte, zaokrąglone, oszlifowane, powleczone szkarłatnym lakierem, lecz skóra rąk pozostała nadal koloru kawy z mlekiem.

— No, skończyłem — obwieścił Lagudakis z dumą. — Teraz łapeczki wyglądają tak apetycznie, że niejeden włoski żołnierz zechce je ucałować. Co mówię, żołnierz... sam pan kapral!

Żądny pochwał, podziękowań, spojrział na nią i nareszcie zauważył jej niezadowoloną minę.

— Co, może nieładne teraz?! — obruszył się.

— Tamte na obrazku są ładniejsze... dużo jaśniejsze.

— Ba, co biała kobieta, to biała, zwłaszcza blondynka!

— Co to jest blondynka?

Tym razem zamiast obrazka przyniósł wyciągniętą z jakiejś szuflady damską perukę ze złocistymi włosami, zaondulowanymi w niezliczone loczki. Śmiejąc się, nałożył tę perukę klientce na głowę. Potem namalował jej rumieńce na policzkach, pobielił twarz odpowiednim pudrem, a nieco za szerokie usta przerobił z pomocą czerwonej pomadki na krwawe serduszko. Ukończywszy te zabiegi, nagle odwrócił fotel, aby klientka mogła zobaczyć w lustrze swoją nową „wersję”.

— Tak mniej więcej wygląda blon...

Nie dokończył, gdyż Danila z krzykiem zerwała się na równe nogi.

— Kto to?! — wykrztusiła przerażona. — Jaaa?!

Fryzjer wybuchnął homeryckim śmiechem. Upadł na drugi fotel, i trzymając się za brzuch, chichotał długo, długo. Równie długo ona przyglądała się swojemu odbiciu w zwierciadle. Naiwny przestach minął już dawno, minęło zdumienie i przyszła kolej na radość, że można tak radykalnie zmienić wygląd swej twarzy. Zmienić nie do poznania! Nie pokazała jednak tego po sobie, że cieszy się z niespodziewanego odkrycia. Skrzywiła się, zdarła z głowy perukę, cisnęła ją na podłogę z obrzydzeniem.

— Wstrętne! Bogu dziękuję, iż nie urodziłam się jasna... — Mówiąc tak, równocześnie myślała z mściwą satysfakcją. — Po wybuchu amunicji możecie długo szukać blondynki!

⁽¹⁾ loco (łac.) – termin oznaczający miejsce dostarczenia i odbioru towaru.

ROZDZIAŁ V

Lagudakis podniósł perukę, otrzepał ją, westchnął.

— Myślałem, że panienka ją kupi...

— Chyba tylko po to, by przestraszyć swoje ciotki. — Klasnęła w dłoń. — Świetna myśl! Ile pan żąda za to paskudztwo i za trochę swoich farb do malowania twarzy?

Wytargowała tak niską cenę, że dla odbicia sobie „strat” zaproponował jej inną operację wchodzącą w zakres jego umiejętności.

— Na tej czuprynie żadna peruka nie będzie dobrze leżała. Trzeba koniecznie włoski podciąć, a na karczku ogolić...

Podczas tego zabiegu rozległy się nad nimi piski, gwizdy, ryki, z czego w końcu wyłoniła się jakaś melodia taneczna nadawana przez radio. Nad nimi, czyli w mieszkaniu rzekomo nieobecnego Assara Weziry!

— O, wrócił nareszcie? — ucieszyła się Dalila.

— Kiamil?

— Kiamil?... No, oczywiście, że mówię o panu Kiamilu.

Skarciła się w duchu za to nieostrożno roztargnienie. Jakże mogła zapomnieć, że Assar Weziry. występuje w Erytrei oficjalnie jako Hussein Kiamil! To drugie nazwisko figurowało na szyldzie perfumerii, obok której przechodziła i zatrzymywała się tyle razy, nie przeczuwając, iż właścicielem tego sklepu jest właśnie Assar Weziry, tak niecierpliwie wyglądany przez nią. Dopiero dzisiaj Enzullah powiedział jej, że ich szef, Weziry, i dobrze w Asmarze wszystkim znany Hussein Kiamil to „jeden diabeł”.

A Grek Lagudakis z zapalem skorzystał z tego, że podsunęto mu tak miły temat rozmowy, jak obgadywanie jego pryncypała. Przedtem jednak za pytał przezornie klientkę, czy ona zna osobiście pana Kiamila.

— Znam go tylko ze słyszenia... Więc nareszcie powrócił?

— Jeszcze wczoraj wrócił ten łobuz, ale dotychczas nawet nie zajrzał na dół, do zakładu... Ha, nic dziwnego. Drab porósł w piórka, uczciwe zarobki już go nie nęcą. Tutaj dzienny utarg nie przekracza trzystu lirów, a na jednym dobrym mule przeszmyglowanym z Sudanu można zarobić sześćset!

Całe stado mułów ujrzała na dziedzińcu domu, kiedy Lagudakis wypuszczał ją na ulicę tylnym wejściem. Oczywiście w kilka minut później jeszcze tu powróciła inną drogą, mianowicie przez płot. Już przedtem zauważyła, że jedno z drzew rośnie dość blisko balkonu i że drzwi wychodzące na ten balkon są na pół otwarte. Tamtędy postanowiła wdrzeć się do mieszkania szefa, którego kilka grzeszków знаła już dzięki Lagudakisowi, gadatliwemu jak przeciętny fryzjer damski. Wspinając się na drzewo, wspominała z rozczuleniem te właściwie niedawne czasy, kiedy w abisyńskiej prowincji Kaffa (ojczyźnie kawy) wraz z rówieśnikami odbywała napowietrzne wędrówki po lasach, skacząc z drzewa na drzewo z nieprawdopodobną zręcznością. — Gdybyś miała do pomocy jeszcze i ogon, zakasowałabyś w tych skokach wszystkie małpy — mawiał żartobliwie jej rodzic, Abel Yamgan, który zginął zamordowany przez człowieka stojącego na usługach Włochów.

— Włochów! — syknęła. — I z tymi łotrami brata się nasz tutejszy szef, Assar Weziry! Assar Weziry zaczynał właśnie jeść kolację, kiedy z jego sypialni wyszła biało odziana postać, z twarzą zasłoniętą arabskim kwefem. Osłupiał, przeraził się tak, że głosu nie mógł z gardła wydobyć, a kieliszek, który podnosił do ust, wyślizgnął mu się z palców i spadł na talerz, tłukąc się na drobne okruchy. Ten dźwięk wyrwał go z odrętwienia.

— Ktoś ty?! — zapytał szeptem.

Milczała. Była zaskoczona niewiele mniej od niego... Bowiem muskularny, barczysty Enzullah bał się panicznie szefa, to wynikało choćby z wielkiej powściągliwości, z jaką wyrażał się o jego błędach. Fryzjer Lagudakis uważał swojego pryncypała za wcielenie chciwości, okrucieństwa i perfidii. Na podstawie tych dwóch opinii wyrobiła sobie odpowiedni sąd o zewnętrznym wyglądzie Assara. — To musi być potwór w ludzkim ciele — przypuszczała. Och, była tego pewna! I bała się trochę spotkania z nim w jego domu.

A tymczasem zastała tu młodzieńca *cudnego jak anioł*. Nie, nie, anioły zawsze są tłuste na obrazkach, podczas gdy ten zabójczo przystojny młodzian był szczupły. I zblazowany. Ręce miał rasowe, nerwowe, starannie wypielęgnowane, z bardzo długimi palcami, niczym owe dłonie z plakatu reklamowego, które podziwiała w perfumerii półtorej godziny temu. Ręce degenerata. Lecz uwagę Dalili przykuła do siebie przede wszystkim jego twarz o rysach rzeźbionych tak delikatnie, jak u najpiękniejszych kobiet. U kobiet wschodnich. Nie zauważyła na tym obliczu ani śladu zarostu, ani cienia męskiej energii, stanowczości. W gładkiej twarzy tego ganimeda⁽¹⁾ przewaga pierwiastków urody kobiecej nad męskimi była tak uderzająca, że Dalila jęła zastanawiać się poważnie nad tym, czy nie ma przed sobą przebranej za mężczyzną niewiasty. Może to córka Assara?

— Ktoś ty? Którędy weszłaś tutaj! Czego chcesz!

Uznała za stosowne odpowiedzieć najpierw na ostatnie pytanie:

— Chcę mówić z Assarem Wezirym.

Na dźwięk tego nazwiska zniewieściały gospodarz zadrżał.

— Nie znam takiego człowieka, — odparł.

— A zna pan Husseina Kiamila?

— To właśnie ja jestem Kiamil.

— Kiamil, czyli Assar Weziry!

— Tto jakieś nieporozumienie — wyjąkał przerażony.

Wyjaśniła szybko to „nieporozumienie”, wymieniwszy trzy długie hasła, na które on odpowiedział również bez błędu skomplikowanym odzewem tutejszych szpiegów abisyńskich. Potem wyraził swą radość z powodu poznania Dalili Borez, tak gorąco polecanej mu przez Jonasza Mongoszę i zaprosił ją do stołu. W końcu zaś, gdy zaczęła jeść, zapytał „dla porządku rzeczy”, od kogo otrzymała jego adres. Dowiedziawszy się, że od Enzullaha, huknął pięścią w stół.

— Surowo ukarzę tego głupca — rzekł — za jego lekkomyślność.

Ponieważ z włoskiego przeszedł na amharinię, Dalila odpowiedziała mu w tym samym języku, co pozwalało na zastąpienie wyrazu *signor* (pan) familiarnym *ty*.

— Na surową karę zasłużyłeś przede wszystkim ty! Ty, zamiast węszyć, co knują Włosi, zajmujesz się zbijaniem pieniędzy! Ty nie tylko, że sam nic dla Abisynii nie zdziałaleś od dłuższego czasu, jeszcze hamujesz robotę innych! Z twojej winy nie mogłam dotychczas wysłać do Jonasza ważnej wiadomości, jaką zdobyłam! Ty, o zgrozo!... jesteś obecnie wojennym dostawcą naszych wrogów!... Ja wiem wszystko!

Assar Weziry słuchał tych wymówek z lekceważącym uśmiechem, po czym zabrał głos, by odeprzeć uczynione mu zarzuty.

— Nie mam obowiązku tłumaczyć się przed tobą — zaczął — lecz chcę przekonać cię, jakim głupcem jest twój informator, któremu ja za te intrygi... no, mniejsza z tym.

Z jej zarzutami rozprawił się szybko. Nie trzeba węszyć, dowodził, co knują Włosi, gdyż cały świat wie, że przygotowują zbrojny najazd na Abisynię i że wojna wybuchnie skoro deszcze przestaną lać, czyli za parę tygodni. Czy można Abisynię uchronić przed tym napadem! Nie. Skoro Liga Narodów jest tak tragicznie bezsilna wobec zbrodni różnych imperializmów, nie można żądać cudów od niego, Assara Weziry'ego, który ma do pomocy zaledwie piętnastu ludzi i minimalny fundusz dyspozycyjny. W raportach wysyłanych do Addis Abeby co tydzień, wymienia ładunki statków włoskich przybywających do Massauy oraz wioski pograniczne, do których ten czy ów oddział wojska wysłano; to wszystko, co może czynić na razie... Mając sporo wolnego czasu, robi różne transakcje handlowe, to mu chyba wolno.

— Ale nie z Włochami! — wtrąciła.

— A z kim tu handlować, jak nie z nimi? I czy sądzisz, że zmieni to choć o włos rozwój przyszłych wydarzeń, jeśli nie ja będę im mułów dostarczał, tylko ktoś inny? Dostawców zwierząt jucznych jest kilkudziesięciu, dostawców w ogólności tysiące, cała Erytrea stała się jedną giełdą. I kiedy wszyscy dziś zarabiają świetnie, ja miałbym być wyjątkiem! Wręcz przeciwnie! Ponieważ wyłącznymi nabywcami wszelkich towarów są Włosi, nasi wrogowie... ja powinienem wzbogacić się ich kosztem bardziej niż ktokolwiek inny...

To rozumowanie przekonało Dalilę, przynajmniej na razie nie umiała go podważyć. Uczepiła się tylko tego zarzutu, że z winy szefa nie mogła wysłać do Addis Abeby bardzo ważnej wiadomości.

— Jakaż to wiadomość?

Z dumą wręczyła mu odpis tekstu przyszłej ulotki mającej podburzyć ludy Galla przeciwko amharskim władcom Abisynii. Assar Weziry przeczytał tylko początek, dalej trudzić się nie chciał.

— Ilu Gallan umie czytać? — rzekł z ironią. — Najwyżej jeden na stu, a mieszkają w małych wioskach oddalonych od siebie o dziesiątki mil. W tych warunkach ulotki, jakie Włosi zamierzają tam rozrzucić z samolotów, nie wyrządzą negusowi żadnej szkody... Można jednak odesłać to głupstwo do Addis Abeby, jeśli chcesz popisać się przed Jonaszem swoją pierwszą robotą.

— Chcę — odparła urażona takim zlekceważeniem jej łupu. — Czy gołębie pocztowe są tutaj?

— U Enzullaha.

— Nic mi o tym nie wspomniał!

— Za to powiedział ci aż za wiele innych rzeczy... Zasyfruj tekst zwyczajnie *jedynką*, a ja dam w rogu swój znak, bez którego Enzullahowi nie wolno wysłać ani słówka! — zaznaczył z naciskiem.

Najprostszy ich szyfr, zwany *jedynką*, używany przy przesyłaniu błahych wiadomości polegał na tym, że odnośny tekst pisało się litera za literą od końca. Kiedy Dalila, otrzymawszy odpowiedni papier i maleńką kopertę, zabrała się do tej roboty, Assar Weziry zniemacka zerwał jej kwef z twarzy.

— Ależ to śliczna dziewczyna! — rzekł zachwycony.

— Mężatka — poprawiła go, pisząc dalej.

— No, no... A dzieci masz dużo?

— Ja? — zachnęła się. — Wysłałam za mąż niespełna pięć miesięcy temu!... I dzieci — dodała cicho, ze smutkiem — dzieci z moim małżonkiem nigdy mieć nie będę.

— Czy nie mógłbym tu zastąpić ci męża?

— Cha, cha, cha, cha, cha...

Długo chichotała, rozbawiona tą propozycją, wypowiedzianą najpoważniejszym tonem. Assar zaś, świadomy swej wybitnej urody i przyzwyczajony do łatwych zwycięstw, uczył się mocno dotknięty jej śmiechem.

— Każda woizeru, nawet biała uważa za wielki zaszczyt, jeżeli ja zechcę ją wyróżnić — rzekł nadąsany — a ty, zwykła sobie Dalila Borez, jesteś tak zarozumiała, jak gdyby twoim pierwszym kochankiem był sam cesarz.

To abisyńskie porównanie wywołało nieoczekiwany skutek. Dalila zbladła, zerwała się, z zaciśniętymi pięściami przyskoczyła do Persa.

— Milcz, jeśli ci życie mile! — wrzasnęła. — Zamilcz!

Potem pobiegła w kątek pokoju, zaczęła łkać spazmatycznie. Assar Weziry zdumiony tym wybuchem, podszedł do niej niepewnie, jął uspakajać ją i głaskać po głowie, jak płaczące dziecko. Szlochała dalej, bełkocąc coś niewyraźnie. Nieprędko zdołał zrozumieć coś z tego, a kiedy wreszcie zrozumiał, jego zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej. Bowiem Dalila Borez powtarzała w kółko: — Och, czemuś ty mi to przypomniał, och, czemu?!⁽²⁾ — W końcu udało mu się zaprowadzić ją do stołu i nakłonić do podjęcia przerwanej roboty. Wciąż jeszcze pochlipując, zajęła się łatwym zaszyfrowaniem tekstu włoskiej odezwy do Gallan, on zaś wyszedł na kilka minut do drugiego pokoju. Wrócił stamtąd z paczuszką, którą wręczył Dalili.

— Ale nic wolno ci rozpakować jej, dopóki nie będziesz u siebie w domu, rozumiesz? — zażądał bardzo urzędowym tonem.

Zastosowała się do jego życzenia. Powróciwszy do małej willi, jaką Włosi oddali do jej dyspozycji, zamknęła się w sypialni na klucz i ostrożnie rozwinęła paczkę, w której znalazła dwa pudełka. W jednym z nich był flakon perfum, w drugim szeroka wschodnia bransoletka i kartka papieru, na której Assar Weziry skreślił następujące słowa:

Przyjmij tę drobnostkę i nie płacz już więcej przeze mnie. A kartkę zniszcz!

Twój szef, A.

Nie zniszczyła tej kartki, schowała ją sobie na pamiątkę. Miało to niebawem wywołać u kogoś nieuzasadnioną zazdrość, a później całkiem uzasadnione podejrzenia, iż Dalila Borez ma coś wspólnego z abisyńskim wywiadem; bowiem pismo Assara Weziry'ego było tak charakterystyczne, że kto jego próbkę zobaczył choć raz, nie zapomniał go nigdy.

Dalila, wychodząc dziś do Enzullaha, wymknęła się z domu przez ogród i tą samą drogą wróciła. W razie wizyty któregoś z oficerów, czarna służąca miała powiedzieć, że woizeru położyła się wcześniej do łóżka, gdyż czuła się niedobrze. Na dowód tego, przez cały czas paliło się światło w sypialni, której okno wychodziło na ulicę. Zgasiła je dopiero teraz, podeszła do okna, odchyliła nieprzepuszczającą światła firankę, gdyż nie lubiała spać w ciemnościach, wyrzła na ulicę i... drgnęła.

— On tam jest znowu! — wyszeptała zaniepokojona.

Znowu, gdyż widziała go tu nie po raz pierwszy. Zjawiał się wieczorami, nigdy za dnia. Zwykle stał oparty o pień palmy, spacerował rzadko, a znikał natychmiast, jeśli tą aleją ktoś przejeżdżał lub przechodził. Potem ukazywał się znowu, wracał na swój posterunek bezszelestnie jak duch. Do której godziny to trwało, Dalila nie wiedziała, gdyż zazwyczaj kładła się spać dość wcześnie. Nie wiedziała również, czy snujący się pod jej willą osobnik jest tubylcem, czy Europejczykiem. Za pierwszą hipotezę przemawiało to, iż nigdy nie słyszała jego kroków na kamiennym chodniku. — Tak cicho nie można stąpać w żadnym obuwiu — przypuszczała — a

Biali nigdy nie chodzą boso. — Pewnego wieczora, gdy chmury wyjątkowo nie zakrywały księżyca, ujrzała wyraźnie cień tajemniczego natręta. Wnosząc z kształtów cienia, był to rosły, barczysty mężczyzna i nosił na głowie kolonialny kask. To odkrycie nie przyczyniło się oczywiście do rozwiązania zagadki. Tropikalne hełmy nosili tu nie tylko wszyscy Biali, lecz także wielu zamożniejszych tubylców. Ale najbardziej intrygowało Dalilę to, jaki jest cel tej nieudolnej inwigilacji. — Gdyby powzięli jakie podejrzenia, śledziliby mnie także we dnie, a nocą obserwowaliby dom przede wszystkim od tyłu, od ogrodu, którędy wymknąć się tak łatwo — rozumowała słusznie. Wreszcie zniecierpliwiła się, postanowiła z bliska zajrzeć w oczy nieznajomemu.

— Już ja cię oduczę tego! — mruknęła. — Jeszcze dzisiaj!

Przygotowania do „karnej ekspedycji” trwały krótko. Dalila zrzuciła z siebie całą odzież, by móc czołgać się swobodnie, rękojeść sztyletu ujęła w zęby, aby mieć wolne obie ręce, przeszła do największego pokoju, którego okna wychodziły na ogród za willą i tamtędy wyslizgnęła się z domu. Dużym łukiem okrążyła miejsce, gdzie kilka minut temu stał nieznany osobnik, od drugiej strony podeszła cichuteńko do owej palmy, lecz nie znalazła nikogo ani tutaj, ani w najbliższej okolicy. Tajemniczy cień zniknął, jak gdyby ziemia go połknęła.

— Może to był duch? — przeraziła się Dalila.

⁽¹⁾ Ganimed; Ganimeses – w mitologii greckiej piękny młodzieniec, kochanek Zeusa, królewicz trojański, podczaszy na Olimpie.

⁽²⁾ Pełną niezwykłych przygód przeszłość Taitu-Dalili przedstawił autor w swojej poprzedniej powieści pt. TAJEMNICE WŁADCÓW ABISYNI. (Przyp. aut.)

ROZDZIAŁ VI

W niedzielę, dnia 1 września w południe porucznik Giovanni Delsanto powrócił do Asmary po czterodniowej nieobecności. Już kiedy jechał z lotniska do biura (a droga wiodła obok willi „uciekiniarki z Abisynii”) korciło go, by choć na kilka minut wpaść do Dalili teraz, ale przewyciężył tę pokusę. — Najpierw obowiązek — powiedział sobie i... westchnął.

Pomimo niedzieli, pułkownik Bossio urzędował w biurze, jak w każdy inny dzień. Giovanni wyczekał się pół godziny, zanim dopuszczono go przed oblicze zwierzchnika, a potem przeszło godzinę trwała konferencja z nim.

— Wynudziłem pana, poruczniku? Tytułem odszkodowania zapraszam pana do siebie na skromny lunch.

Giovanni wiedział, że takie wyróżnienie nie spotkało dotychczas żadnego z podwładnych pułkownika, który zresztą był dziwakiem, samotnikiem. Dawniej napełniłoby to porucznika radosną dumą, dzisiaj musiał w duchu kląć szefa siarczyście.

— Bodajbyś dostał krwawej biegunki! Mniejsza o śniadanie, ale taką wyzerkę w prywatnym domu trzeba później odsiedzieć. Co najmniej z godzinę! — martwił się, a równocześnie z wylaniem dziękował zwierzchnikowi za zaszczytne zaproszenie... Ha, konwenanse, konwenanse.

Po lunchu, po czarnej kawie, pod koniec drugiej partii szachów Giovanni jął przebąkiwać nieśmiało, że dzisiejsze popołudnie ma „niestety” zajęte.

— Wizytka?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— U kogo?

Ach, niedyskretna szelma! Co go to obchodzi, u kogo. Giovanni miał ochotę wymienić nazwisko pierwszego lepszego kolegi, lecz bał się wsypy; bo nuż ten kolega właśnie musiał wyjechać służbowo, o czym pułkownik oczywiście wie?! Już lepiej powiedzieć prawdę.

— U naszej *czekoladowej księżniczki* — odparł niby to swobodnie, ale wbrew najszczerzszym chęciom zarumienił się trochę.

— U niej? No, w takim razie możemy spokojnie grać dalej, choćby do późnego wieczora.

— Tttto znaczy, panie pułkowniku, że?...

— Że Dalili nie ma dziś w Asmarze. Wyjechała na cały dzień do Massauy.

Mimo najszczerzszych chęci Giovauni nie zdołał ukryć swojego rozczarowania. Dopiero po chwili zapytał, czy wyjechała służbowo.

— O, nie. Ze swoim wielbicielem!

Cios był celny. Porucznik Delsanto, który właśnie miał skoczkiem zadać morderczy szach-szech, zapomniał o tym, zrobił głupie pociągnięcie pionkiem i Bossio ocalił swoją damę. Z tą chwilą na jego stronę przechyliła się szala zwycięstwa na szachownicy... Giovanni wysilił się na uśmiech.

— Ta mała już znalazła sobie wielbiciela?

— Niejednego. Tuzin głupców kocha się w tej dzikusce, ale jej przypadł do gustu tylko nasz poliglota. Do Massauy wyfrunęła właśnie z nim.

— Antonio Mearza! — syknął porucznik.

— Mearza — powtórzył Bossio, obserwując uważnie swojego partnera, który grał teraz wręcz beznadziejnie. — Ona za nim wprost szaleje, zaprasza go codziennie i... niechże pan nie przewraca figur, poruczniku... Co panu? Przemęczenie? Bo dziwiłoby mnie, gdyby powodem pańskiej nagłej bladej twarzy było to, co mówiłem o Dalili Borez.

— Gdyby mnie dziwić się było wolno, panie pułkowniku, to...

— To, co? Mów pan prosto z mostu.

— To zdziwiłbym się, skąd pan pułkownik wie, że Mearza...

— O, ja wiem zawsze wszystko!... Czy napijemy się jeszcze jeden kieliszek?

Wypili niejedną kieliszek i niejedną butelkę, porucznik z rozpaczy, pułkownik... zapewne dla towarzystwa, a późnym wieczorem Giovanni Delsanto, wstawiony dokumentnie odjechał na swoją kwatery.

W poniedziałek około południa, pod pretekstem, że nie może jakiegoś zdania przetłumaczyć z włoskiego na amharinię, wszedł do pokoju, w którym pracowała Dalila. Była sama, była zamyślona, ponura. I nic dziwnego. To, co widziała wczoraj wstrząsnęło nią do głębi. Z początku czuła się świetnie. Pogoda dopisywała, a pęd otwartego samochodu upajał ją przyjemniej niż abisyński też z najlepszego miodu. Droga wiodła wciąż z góry. Asmara leży na wysokości dwóch tysięcy trzystu czterdziestu siedmiu metrów ponad poziomem morza, Massaua na brzegu morza, obydwie zaś te miasta dzieli niespełna sto kilometrów.

— Z powrotem także będziemy tak pędzili! — spytała.

— O, nie — odparł Mearza. — Z powrotem pojedziemy niewiele szybciej, niż towarówka, która jedzie naprzeciw nam.

— Czy można by stanąć na chwilę! Ten piękny widok...

Zachwycała się głośno pięknem krajobrazu, w duchu zaś... powolną jazdą ciężarowego samochodu, który mozolnie wspinał się pod górę.

— Jeśli oni z amunicją muszą tędy jechać tak samo powoli — myślała z radością — to mój plan da się wykonać łatwo.

Po dwóch godzinach jazdy przybyli do Massauy. Tutaj Dalila Borez po raz pierwszy w życiu ujrzała morze. Jonasz Mongosza mówił jej ongiś, że Abisynia także graniczyła z morzem, lecz Biali zabrali jej całe wybrzeże i podzielili się nim, jak złodzieje swoim łupem. To było dawno temu, za czasów jej pradziadka. Jonasz tłumaczył jej również, że posiadanie własnego dostępu do morza decyduje o bogactwie i potędze danego państwa. Tego jednak nie rozumiała. Zrozumiała dopiero teraz, gdy ujrzała las kominów i masztów na wodzie, a w porcie olbrzymie sterty wszelakich towarów.

— Pójdź, obejrzymy to z bliska — zaproponował Mearza.

Zaprowadził ją do portu, na molo, przy którym stał przycumowany statek handlowy o pojemności jakich 20.000 ton. Pomimo niedzieli debarkowano jego ładunek z gorączkowym pośpiechem. Cztery potężne kranie przenosiły po kilkanaście skrzyń naraz z głębi statku na wielkie samochody ciężarowe, które stały w szeregu zda się nie mającym końca. Poliglota twierdził, że tego, co przywiózł ten jeden statek nie zabierze stąd ani tysiąc takich aut. A podobnych okrętów przybija tu do brzegu 25 na tydzień albo więcej!

— O, Boże, Boże — westchnęła Dalila w tonacji obłudnego podziwu. Napatrzwszy się aż do obrzydzenia armatom, samolotom, czołgom, które przywiozły inne dwa statki, Dalila Borez wróciła z tej wycieczki pod wrażeniem straszliwej potęgi wrogów.. I nie otrząsnęła się ze swojego przynębnienia ani nazajutrz, kiedy Giovanni Delsanto odwiedził ją w biurze. A Giovanni także stracił humor aczkolwiek z całkiem innego powodu mianowicie na widok kosztownej bransolety Dalili.

— To kupił jej oczywiście Mearza — pomyślał z irytacją.

Pomyślał sobie również, że rywal obrał właściwą drogę do serca kobiety. Prezenty, ot co! Trzeba w tym prześcignąć profesora. Obejrzał więc bransoletę, skrytykował ją, jak w ogóle cały strój tubylców, *nieestetyczny i niehigieniczny* (— Co znaczą te cudaczne słowa! — zastanawiała się Dalila) i oznajmił swoją wizytę na dzisiaj.

— Ale nie zapraszaj nikogo więcej — zażądał. — Dzisiejsze popołudnie i wieczór musisz poświęcić wyłącznie mnie.

Przyjechał do Dalili Borez o piątej po południu z kilkunastoma pudełkami różnej wielkości. Zawierały one trzy niedrogie, ale gustowne komplety stroju białych kobiet, zaczynając od pantofelków, a kończąc na odpowiedniej do danej sukni sztucznej biżuterii, modnej, lecz bezwartościowej. Wszystko to razem kosztowało na pewno mniej niż bransoleta od Assara Weziry, za to ilościowo wyglądało imponująco i wprawiło w zachwyt Dalilę. Długo gorąco dziękowała za te dary, w zapale wyraziła się nawet, że ze wszystkich Europejczyków lubi najbardziej jego, porucznika Delsanto. Giovanni udał, iż w to wątpi, chcąc wywołać dalsze takie zapewnienia o jej sympatii.

— Teraz lubisz najbardziej mnie — prowokował ją — ale niech no tu jutro Mearza przyniesie prezenty kosztowniejsze od tych, od razu jego...

— Nie — wtrąciła stanowczo. — Choćby mi подарował pół Asmary, nie polubię go, dopóki... nie będzie inny.

— Jak to, inny?

— No, inny. Podobny do ciebie.

— Zewnętrznie?!

— Ależ nie chodzi o wygląd. Ty, kiedy przyjdiesz tutaj, jesteś miły, dobry, grzeczny, niczego ode mnie nie żadasz i za to cię lubię.

Pod wpływem tych pochwał Giovanni zrezygnował z zamiaru żądania porcji pocałunków w zamian za przyniesione stroje, które Dalila przymierzała w jego obecności, szczebiocąc przy tym bez przerwy.

— A jakież jest on, pan Antonio Mearza? — zapytał.

— Nie mówmy o tym — odburknęła, nachmurzywszy się nagle.

Zaniepokoiło to porucznika i póty nalegał, prosił, nudził, aż w końcu powiedziała mu, co ją zniechęca do profesora-poliglotty.

— On, kiedy jest ze mną sam na sam, szybko staje się nieznośny. Próbuje mnie całować, rozbierać i... och, lepiej nie pytaj.

Chociaż nie pytał o bliższe szczegóły, odmalowała z rozbijającą szczerością i dokładnością kilka erotycznych scen, podczas których Mearza zawzięcie dybał na jej cnotę i omal nie dopiął swego. Nie było w tym ani żdźbła prawdy, lecz Dalila Borez łąła tak mistrzowsko, tak naiwne minki stroiła, opisując różne drastyczne sytuacje, że Giovanni Delsanto nie powziął żadnych podejrzeń. Uwierzył we wszystko i ledwie już panował nad sobą.

— Doprawdy nie wiem, czego on domaga się ode mnie — ciągnęła dalej pojętna uczennica Jonasza Mongoszy — ale jego postępowanie czasami mnie wprost przeraża.

— A mnie oburza! — krzyknął porucznik Delsanto, naprawdę bardzo wzburzony. — Muszę jednak stwierdzić, że ty również nie jesteś bez winy. Tak, Dalilo, Ty! Bo skoro przekonałaś się choć raz, jakim lubieżnikiem jest Mearza, dlaczego nadal przyjmujesz go w swym mieszkaniu?

— Więc co mam zrobić, gdy on tu przychodzi? Ukryć się?

— Tak, i przez służącą odpowiedzieć mu, że wyszłaś z domu.

— Raz uda się taka sztuka, ale jeśli on nazajutrz w biurze z góry oznajmi mi swoje nowe

odwiedziny, to co wtedy? Nie zapominaj też, że on jest moim zwierzchnikiem.

— Niestety... Ale spróbuję uwolnić cię od tego szefa.

Dalila pojęła w lot, że wynik jej intrygi może być zgoła niepożądany. Zmierzała do wydatnego powiększenia liczby swoich wielbicieli, czyli bezwiednych informatorów, tymczasem zazdrosny Giovanni chciał...

— Nie, nie, to na nic — rzekła i na migi przyzywała porucznika, by jej pomógł włożyć ostatnią z trzech sukien, balową. — Jeśli chcesz, by Mearza szybko się zniechęcił do odwiedzania mnie w domu, musisz tak to urządzić, aby on nie zastał mnie tu nigdy samej. Musisz przychodzić codziennie, robić wspólnie ze mną wycieczki za miasto i...

— Czy nie rozumiesz tego — westchnął Giovanni Delsanto — że żądasz niemożliwości?

Rozumiała to doskonale i właśnie dlatego *niemożliwości żądała*. A porucznik zaczął wylizywać przeszkody:

— Po pierwsze, będę w Asmarze coraz rzadszym gościem. Po drugie, nawet gdy przyjadę, muszę...

— A czy nie masz godnych zaufania przyjaciół, którzy by mnie bronili przed profesorem podczas twojej nieobecności? — wtrąciła szybko.

I osiągnęła swój cel. Giovanni, uznawszy jej pomysł za bardzo szczęśliwy, jeszcze tego samego dnia zapoznał ją ze swoimi przyjaciółmi. Chwilowo przebywało ich w Asmarze tylko dwóch, porucznik Campolo, również z wywiadu, oraz kapitan-pilot Rampiuchi, ale ten ostatni, wesoły popij-brat, przedstawił jej niezwłocznie całą gromadę swoich kompanów, oczywiście wyłącznie oficerów. Wszyscy oni poza służbą nudzili się piekielnie, a spomiędzy stu różnych braków dokuczał im najbardziej brak... kobiet. Miejscowi osadnicy włoscy, szczęśliwi posiadacze nielicznych białych kobiet, strzegli swoich żon zazdrośnie, a pomimo to nawet najbrzydsze z nich miały po tuzinie mniej lub bardziej platonicznych wielbicieli w mundurach. Tubylki zaś, choć cudownie zbudowane, odstręczały brzydotą, a przede wszystkim cuchnącym potem; po kilku desperackich próbach oficerowie mieli dość tych kochanek i zaczęli półzartem narzekać, że il duce⁽¹⁾ zaopatrzył swoją erytrejską armię we wszystko prócz kobiet. Czy duce o tym „artykule pierwszej wojennej potrzeby” zapomniał, nie wiadomo, ale nie zapomniał o niej Jonasz Mongosza. Dlatego wysłał do Erytrei i Somalii cały legion urodziwych patriotek abisyńskich z chytrą Taitu-Dalilą na czele.

W połowie września, czyli po miesięcznym pobycie w Asmarze, Dalila Borez знаła osobiście ponad stu oficerów i, z wyjątkiem dwóch, cały ten hufiec zaprzęgała do swego rydwanu. Nie była wprawdzie białą kobietą, ale ubierała się po europejsku, a niejedna amerykańska piękność mogłaby jej być pozazdrościć urody. Ciało miała brązowe, ale zawsze czyste, pachnące, ze szczególną zaś starannością pielęgnowała swoje małe, dziecinne dłonie. Była „niestety” Etiopką, ale pono księżniczką, pono nieślubną córką poprzedniego władcy Abisynii, zdeponowanego cesarza Lidża Jassu. I już prawie płynnie mówiła po włosku! Najpiękniejszy język świata, okrutnie kaleczony przez tubylców i zwulgarniały w koszarowym życiu, jakie tu oficerowie pędzili od tyłu miesiący, w naiwnym szczebiocie Dalili Borez odzyskał swoją dźwięczność, swój czar ukochanej mowy ojczystej. Czyż należy dziwić się, że w tych warunkach cały korpus oficerski w Asmarze szalał za *czokoladową księżniczką*? Że zasypywano ją prezentami, zabierano na wycieczki, polowania i na rewie wojskowe?

Dziwne raczej jest to, iż znalazło się dwóch oficerów, którzy niemal od razu ustosunkowali się wrogo do Dalili Borez. Jednym z nich był najlepszy przyjaciel Giovanniego, porucznik Leonardo Campolo, drugim major Corini, szef biura szyfrów. Przez dwa tygodnie każdy z nich sądził, że jest jedynym sceptykiem w ogólnym chórze *bezkrytycznych wielbicieli tej brązowej małpy*, aż raz odnaleźli się przypadkowo, odbyli walną naradę, po czym major z kolei

podzielił się ich wspólnymi podejrzeniami ze swoim zwierzchnikiem. Aliści wbrew jego przewidywaniom, ponury Bossio, który każdego niewłoskiego przybysza do Erytrei z góry posądzał o szpiegostwo, wysłuchawszy majora z uwagą, lekceważąco wzruszył ramionami.

— Czy zebrał pan jakie dowody przeciw niej? — zapytał.

— Nie, panie pułkowniku. To zresztą... nie należy do mnie.

— Lecz wie pan dobrze, iż większość tych, którzy pracują w tym gmachu, jest pod obserwacją. Śledziło się również Dalilę Borez, a wynik inwigilacji był taki, że poleciłem jej zaniechać. Ta dziewczyna w ogóle nie styka się tu z tubylcami. Co więcej, lęka się ich panicznie. Lęka się, by jej nie struli, i dlatego nie zje żadnej potrawy, której pierw nie skosztuje przy niej kucharz, nawiasem dodam, mój człowiek. Ze strachu przed afrykańskimi truciznami, nie kupuje nic u Czarnych, a jarzyn i mleka dostarcza jej Turek, Enzullah, z zawodu ogrodnik...

— Dlaczego by ją mieli otruć? Przecież tubylcy są nam ślepo oddani i wdzięczni za tyle dobrodziejstw.

— Ja bym na tę wdzięczność zbytnio nie liczył, lecz mniejsza z tym. Powiedzmy, że tubylcy trzymają z nami, zatem nie może ich drażnić afiszowanie się Dalili Borez z Białymi. Ale jak pan odróżni krajowca urodzonego w Erytrei od Etiopa z prowincji Tigre? A przecież nie ulega wątpliwości, że wśród Czarnych roi się od szpiegów Mongoszy. Gdyby mi pan powiedział, iż Dalila przestaje z Czarnymi, zabrałbym się do niej ostro. Pan jednak ubrał sobie, że...

— To nie ja, panie pułkowniku — wyparł się Corini — to porucznik Campolo zwrócił mi uwagę na...

— Ach tak! Dobrze, zaraz go objadę! — Bossio wyciągnął dłoń po mikrotelefon. — Niech pan zostanie, majorze.

Musiał zostać i być świadkiem reprimendy, jaką Campolo zafasował od pułkownika. — Niesłychane! Ten ponury mizantrop⁽²⁾ broni jej z takim zapałem, jakby również należał do jej wielbicieli — myślał major, unikając spotkania ze spojrzeniami porucznika, na pewno rozgoryczonego zdradą sprzymierzeńca. Lecz wyjaśniło się wnet, czemu Bossio tak uparcie kruszył kopię w obronie signoriny Dalili Borez.

— Powinniśmy być zadowoleni z tego, że abisyńska księżniczka entuzjazmuje się nami, naszą mową, strojem, cywilizacją, kulturą. Te fakty z polecenia hrabiego Ciano już zostały zakomunikowane naszemu ministerstwu propagandy, które wyzyska je należycie. A *czekoladowa księżniczka*, jak ją nazywacie, będzie na przyszły tydzień przedstawiona jego ekscelencji, panu gubernatorowi Erytrei. Słyszysz pan, poruczniku Campolo?!

— Tak jest, panie pułkowniku. Czy wolno mi zrobić pewną uwagę!

— Słucham.

— Chciałem tylko zapytać, czy zostało już formalnie stwierdzone, kim jest Dalila Borez i czy tytuł księżniczki nie...

— Hm, prawdę rzekłszy, to nie. Ale... majorze Corini, nie będę pana zatrzymywał już dłużej. Wiem, jak bardzo pan jest przeciążony pracą...

Tak mu osłodził to, że wyrzucił go za drzwi, by móc pozostać z porucznikiem sam na sam. Gdy to nastąpiło, zapraszającym ruchem wskazał mu fotelik po drugiej stronie swojego biurka.

— Mówiłem panu już wczoraj, że lada chwila wyjedzie pan do Addis Abeby — zaczął. — Mówiłem panu też, czego od pana oczekujemy. Ale poza tym załatwi pan tam jeszcze kilka innych spraw. Primo, stwierdzi pan, co stało się właściwie z Ibrahimem Er-Durusz, który od kilku tygodni nie daje znaku życia. Dziewiętnastego sierpnia pisałem do niego właśnie w sprawie Dalili Borez, posłałem mu jej fotografię i nic mi drab nie odpowiedział. Wobec tego zbadaniem genealogii tej dziewczyny zajmie się pan.

— Rozkaz, panie pułkowniku... Z największą przyjemnością — dodał w duchu i uśmiechnął się złowrogo.

— Następnie odszuka pan kapitana de Medini.

— Tak jest, panie pułkowniku... Ale on podobno zginął...

— Zmartwychwstał już dwa miesiące temu, bawi w Addis Abebie, dokąd jakiś idiota z naszej centrali w Rzymie wysłał również jego żonę pod przybranym nazwiskiem: Alicja Rendell. Uparła się szukać zaginionego męża, Jonasz zdemaskował ją, ledwie mu uciekła, schroniła się do naszego poselstwa, lecz tam wiecznie siedzieć nie może. Poza tym Mario Medini będzie niezdatny do poważnej roboty, dopóki nie spadnie mu z głowy troska o życie żony. Słowem, baba narobiła nam kłopotu i trzeba ją jak najprędzej przeszmygłować z Abisynii za granicę. Gdziekolwiek. W tym pan musi dopomóc, poruczniku Campolo, aby odciążyć Mediniego, który obejmie agendy Ibrahima Er-Durusz.

— Tak jest, panie pułkowniku.

Teraz padło podchwytliwe pytanie:

— Czy pański przyjaciel Delsanto zaniepokoił się bardzo pana niebezpieczną misją?

— Nic mu o niej nie wspominałem.

Na posępnej twarzy pułkownika Bossio zaigrał uśmiech, rzadki gość.

— To dobrze — rzekł. — Niech pan wytrwa w tej powściągliwości języka. O pańskim wyjeździe nie powinien wiedzieć nikt oprócz nas trzech.

Tym trzecim był profesor Mearza, najlepszy znawca języków używanych na terytorium północnej i środkowej Abisynii. A ponieważ Mearza bywał roztargniony aż z dwóch powodów, jako profesor i jako zakochany, więc niebawem znała tajemnicę jeszcze czwarta osoba, Dalila Borez, która ostatnio zasmakowała w odwiedzaniu poliglotty w jego pokoju biurowym. Nierównie więcej cennych informacji zdobywała jednak w kawiarniach i u siebie, w mieszkaniu, podczas odwiedzin wielbicieli, którzy wzajemnie pilnowali się tak, że nigdy żaden sam na sam z nią nie pozostał. Skazani przez to na bezczynność, na jedynie wzrokową adorację *czekoladowej księżniczki*, gadali, gadali, gadali. Najpierw o rzeczach błahych, potem o bliskim końcu pory deszczowej, wreszcie o sprawach służbowych. A Dalila Borez, uroczo naiwna, bawiąca się, jak dziecko nowymi prezentami, chciwie łowiła uchem każde słowo. Mnogość adoratorów miała tylko tę złą stronę, że krępowała swobodę jej ruchów. Zdarzało się, że przez cały tydzień nie mogła wymknąć się do swojego prawdziwego szefa i przekazać mu zdobyte informacje.

Udała się jej ta eskapada najłatwiej w poniedziałek 30 września. Tego dnia nie odwiedził jej nikt. Część oficerów już kilka dni temu opuściła Asmarę, pozostałych zatrzymało w koszarach, hangarach i biurach ostre pogotowie. Nawet laicy wyczuwali to doskonale, że wojna wybuchnie lada chwila. Assar Weziry prawie przez godzinę słuchał obszernego sprawozdania Dalili, wyłowił z niego tylko najważniejsze wiadomości, po czym streścił je następująco:

Wojna rozpocznie się jutro, a najpóźniej 4.X atakiem samolotów bombowych na Aduę. Bomby rozrywające, zapalające, z dala od miast także gazowe.

Równocześnie pierwszy korpus z Adi Arbaate uderzy na Adigrat. Aksum później.

Ras Gugsa ma przejść na stronę Włochów z 12.000 ludzi. Liczba b. przesadzona, ale Gugsa zdradzi na pewno. Uwięzić go natychmiast!

Do Massauy przywieziono nowy typ bomb. Oślepiające!

22-go wyjechał do Addis Abeby szpieg, porucznik Campolo. Jego ulubiona maska: Falasz. Cecha charakterystyczna, brak połowy lewego ucha. Campolo może zdemaskować cały nasz E. W. Sprzątnąć szybko!

E.16 coraz lepszy, ale uparty. Chce sam wysadzić duży transport amunicji. Wolę użyć do

tego E.19, który przybył tu wczoraj. Potrzebuję jeszcze pięciu ludzi i 60.000 lirów.

E.1

Dalila Borez, spojrzawszy na papier szefowi przez ramię, zaczęła zrzędzić, iż na nią skarży.

— Jonasz dobrze wie, żem uparta. I co powiedziałam, zrobię.

— Czy mam ci znowu od początku tłumaczyć, dlaczego...

— Wiem, wiem, byłam posłuszna, lecz teraz, skoro zacznie się wojna, nie można pozwolić, aby bezkarnie wozili amunicję na front. Możesz kazać ją niszczyć komu chcesz, ale ja zrobię początek.

— Nie!

— Zobaczymy!

Skierował na nią karcący wzrok i... udobruchał się od razu. Łagodnie ją prosić, perswadować, że jej szkoda do takiej roboty.

— To pewna śmierć, zwłaszcza, gdyby zamach wykonać według twojego wariackiego planu... Czy nie żal by ci było umierać tak młodo?

— Włosi nie pytają moich rodaków, czy im życia nie szkoda. Za parę dni będą ich mordowali bez litości, a więc wet za wet!

— Czy naprawdę taka z ciebie gorąca patriotka abisyńska? Taitu!

— Nazywam się Dalila Borez.

— Jesteśmy sami, a ja wolę twoje dawne imię, to prawdziwe... Taitu, czy ty wiesz, czym jest dzisiejsza wojna!

Nader plastycznie odmalował jej grozę współczesnej wojny, jej potworne barbarzyństwa, okrucieństwa, zarówno wobec żołnierzy na frontach, jak i wobec ludności cywilnej, aż przerwała mu w końcu trzeźwym przypomnieniem:

— Abisynia nie ma samolotów wojennych i bombardowanie z powietrza nie grozi nam tutaj, w Asmarze.

— Za to grozi nam szubienica! Zawsze liczyłem się z możliwością wsypy, aresztowania, lecz to nie było tak straszne... dotychczas. No cóż, dostałbym parę lat paki, odsiedziałbym je, albo bym uciekł z więzienia, a com sobie uciułał i schował, tego mi nikt nie odbierze... Ale kiedy Włosi przekroczą rzekę Mareb, kiedy rozpocznie się wojna, wówczas schwytanych szpiegów czeka tylko jedna kara, śmierć!

Assar Weziry mówił coraz ciszej, aż ostatnie słowo wypowiedział zdławionym krzykiem. Zerwał się, przerażony wzrok wlepił w drzwi.

— Wejda! W dłoniach broń gotowa do strzału. *Brać go!* powie dowódca tych ludzi. Ręce mi zwiążą, złapią mnie za kark, zaprowadzą przed sąd. W pół godziny będę osądzony, skazany... Potem ostatnia godzina łaski, ta najgorsza... Potem ostatni spacer na uginających się nogach... Potem kat zarzuci mi sznur tu... tuuuu!

Oburącz schwycił się pod gardło, ścisnął mocno, zmienionym, charczącym głosem kończył malować swą wizję:

— Nagle kat kopnie skrzynię, na której stałem... Tak było w Persji, widziałem to raz i nie zapomnę nigdy!... Kopnie skrzynię, ja stracę grunt pod nogami, spadnę... nieee, nie spadnę, bo przecież wiszę! Zawisnę...

Od tej chwili zaczął mówić z tak oszałamiającą szybkością, że Dalila spojrzała na niego z przestrawieniem.

— Sznur ściśnie mi szyję mocno, przekłędzie mocno, aż tchu mi zbraknie. Rękami będę

chciał zerwać, rozluźnić stryczek, ale ręce związane na grzbiecie. Stopami będę chciał oprzeć się na ziemi, tak blisko im do niej, tak bliźniutko a tak daleko zarazem. Nie dotknę, nie sięgnę. Więc uduszę się. Nie od razu! To trwa dziesięć minut i dłużej, nim życie ucieknie z wisielca. Życie będzie uciekać wraz z powietrzem... Ucieka! W głowie szum, serce bije jak dzwon, w gasnących oczach płaty krwi... Jeszcze widzę... słyszę... czuję... coraz słabiej... Tchu! Ratunku! Na pomoooooc!

Zachwiał się, zatoczył jak pijany, padł na kolana przed Dalilą, objął ją wpół kurczowo, jak tonący swego wybawcę, wtulił twarz w jej suknię i jęczał długo, głucho, boleśnie. Dopiero po dłuższej chwili zaczął mówić dalej tonem błagalnej prośby.

Ciebie spotka to samo, i po co nam tego, miła Taitu? Po co nam ginąć z braku powietrza, którego jest na świecie dość dla miliardów ludzi. A świat taki piękny, że warto żyć, po trzykroć warto! Nawet bez pieniędzy, ja zaś mam złota na kilkanaście lat. Wystarczy i dla ciebie. Bo ty, podobasz mi się, Taitu, będziesz moją kobietą, dobrze będzie ci ze mną... Więc uciekajmy, póki czas! Póki nas nie odkryją, nie powieszą!... Czy wiesz, że za dwie godziny możemy być w Massaua? Że rano możemy być hen, na morzu, z dala od tego kraju, w którym od jutra każdy nasz krok będzie igraniem ze śmiercią?... Taitu, uciekajmy!

Dalila Borez zdążyła już ochłonać ze zdumienia, które ustąpiło miejsca wielkiemu wzburzeniu. Więc jej urodziwy szef to...

— Tchórz! Nędzny, strachliwy szakał! — wymyślała mu i odtrącała go szorstko od siebie. — Uciekaj sobie sam, podły, ja zostanę!

Powstał, spojrział na nią badawczo, potem wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

— Zwariował?

Cofnęła się przezornie ku drzwiom, lecz rzekomy wariat nie zdradzał wobec niej żadnych złych zamiarów. Upadłszy na krzesło, nadal rżał śmiechem, brzęcącym cokolwiek nienaturalnie.

— Czy nie domyślasz się, że ja tylko żartowałem? Ależ tak, śliczna Taitu. Chciałem wystawić cię na próbę, z której wyszłaś zwycięsko.

Udała, że w to wierzy, powróciła do stołu, chłodno przypomniała szefowi, iż jej pilne wiadomości dla Jonasza powinny odejść jeszcze dzisiaj.

— W nocy nie można wypuszczać pocztowych gołębi — odparł. — Enzullah wyśle to wczesnym rankiem, a tymczasem zaszyfruję ten raport.

Zabrał się do tego niezwłocznie, dzięki naleganiom Dalili, która przy tej sposobności poznała inny ich szyfr. — Trzeba wyuczyć się wszystkiego, zanim ten bojaźliwy szakał stąd ucieknie — myślała. Z kolei zainteresowała się kwestią wysyłki poczty. Nie mogło bowiem pomieścić się jej w głowie, by gołąb zdołał stąd dolecieć i trafić do Addis Abeby, którą od Asmary dzieli w linii powietrznej 695 kilometrów! I w takim terenie!

Assar Weziry wyjaśnił jej, że gołębie, jakie przechowuje u siebie ogrodnik Enzullah, pochodzą z leżącej blisko granicy wioski Gundel, gdzie znajduje się ich główny gołębnik. Tamtejszy agent *E.9* powierzy pocztę innemu skrzydlatemu posłańcowi, który urodził się w Makalle, więc do tego miasteczka poleci najkrótszą drogą. A już z Makalle informacje podaje się do Addis Abeby drogą telegraficzną, oczywiście szyfrem.

Dalila Borez nie była zachwycona tym, co usłyszała. — Narażamy życie, byle zdobyć garść ważnych wiadomości, a potem wszystko zależy od głupiego gołębia. Gdyby go kto upolował po drodze, cała nasza robota na nic — rozumowała słusznie i głowiła się nad wynalezieniem innego sposobu dostarczania poczty do Addis Abeby, czy choćby tylko do Makalle. Myślała nad tym przez całą drogę od domu Assara Weziry'ego do swojej willi, gdzie zastała Giovanniego Delsanto. Na jej zapytanie, czy dawno tu czeka, odpowiedział, że od dwudziestu minut. To było pocieszające, gdyż jej nieobecność w domu trwała blisko półtorej

godziny, a jednak nie odetchnęła z ulgą. Porucznik miał minę człowieka, który knuje coś złego. Co prędzej usiadła mu na kolanach, zaczęła szczebiotać po włosku.

— Gdybym to była przeczuła, że przyjdiesz — westchnęła. — Ale nikt nie odwiedził mnie dzisiaj, więc wysłałam na małą przechadzkę. Wysłałam dlatego także — dodała, aby dostatecznie rozproszyć jego ewentualne podejrzenia, by on nie zastał mnie w domu samej, gdyby znów przyszedł.

— On?

— No tak, Antonio Mearza.

Na dźwięk tego nazwiska Giovanni Delsanto zacisnął pięści, zmełł w zębach porcję przekleństw i pogróżek. Przyszedł tu dzisiaj, by przed swoim wyjazdem do Gondaru pożegnać się z Dalilą. Nie zastawszy jej, wszedł do sypialni, chcąc włożyć do szafy prezent, jaki przyniósł ze sobą, białe pantofelki z gumową podeszwą. Kiedy robił dla nich miejsce w szufladzie z obuwiem, natknął się na zwiniętą parę pończoch, w których zaszeleściło coś jak papier. Tak, to był papier, a ściśle biorąc, mały liścik. Giovanni zainteresował się jego treścią bynajmniej nie przez zawodową ciekawość szpiega. Ta „spała“ kamiennym snem w mieszkaniu Dalili, za to czuwała tutaj zazdrość o *czekoladową księżniczkę*. List ten znany nam już, a skreślony ręką Assara Wezirów brzmiał:

Przyjmij tę drobnostką i nie płacz już więcej przeze mnie. A kartkę zniszcz!

Twój szef, A.

— Twój szef A. — powtórzył kilka razy ze wzrastającym gniewem, którego ostrze skierowało się w stronę Bogu ducha winnego profesora.

— A, czyli Antonio Mearza! Jej szef!

Więc ona płakała przez niego, przez Antonia. Dlaczego? Och, czy trudno się domyślić, dlaczego? Oszałały z zazdrości porucznik miotał się po pokoju, nie mogąc skupić myśli, nie mogąc ułożyć planu zemsty. Bo czyż był narzeczonym Dalili, kochankiem albo krewnym? Nie. A skoro nie, to nie ma prawa żądać od profesora satysfakcji, choćby ów najgorszą krzywdę wyrządził tej dziewczynie.

Poczucie własnej bezsilności jednych wyrabia, hartuje wewnętrznie, drugich beznadziejnie przygnębia, trzecich doprowadza do furii, która musi znaleźć sobie ujście przy pierwszej sposobności. Takiej sposobności nie dostarczyła Giovanniemu *czekoladowa księżniczka*. Przeciwnie, była dlań dziś bardziej łaskawa, niż kiedykolwiek. Usiadła mu na kolanach, pocałowała go, a swoją nieobecność w domu usprawiedliwiła najbardziej rozczulającą wymówką, swoim wstrętem do wizyt rywala. W tych warunkach Giovanni Delsanto udobruchał się szybko i, żeby wyłudzić dalsze pocałunki, jął opowiadać o swojej nowej wyprawie do Abisynii, bardziej niebezpiecznej niż wszystkie dotychczasowe, gdyż bliski wybuch wojny niezmiernie utrudni mu powrót do Erytrei. Dalila słuchałaby tego z zapartym oddechem, gdyby chodziło o innego Włocha, który tak nieostrożne zwierzenia wobec niej na pewno przypląciłby życiem. Lecz tego gubić nie chciała. O, nie! Na samą myśl o tym wzdrygnęła się i przytuliła mocniej do Giovanniego, starając się zapomnieć, że to Włoch, wróg Abisynii. Udawała więc tylko, że słucha uważnie, a równocześnie myślała o... skrzydlatym listonoszu, który jutro o świcie odleci stąd z płonem jej szpiegowskiej roboty.

Gołał ten na przebyciu dziewięćdziesięciu kilometrów dzielących Asmarę od wsi Gundel zużył przeszło półtorej godziny, czyli nie wyteżał się wcale. Jego „kolegę”, mającego przywiezioną z Asmary pocztę zanieść do Makalle, czekała dłuższa droga, prawie 150

kilometrów, lecz ów „kolega” należał do ekstraklasy gołębi pocztowych. Agent *E.9*, który wypuścił go z gołębnika w samo południe (wcześniej nie mógł, gdyż pełno Włochów kręciło się koło jego chaty), gotów był się założyć, że ptak przybędzie do Makalle punktualnie o drugiej. I byłby zakład przegrał!

Tego samego dnia, czyli 1 października, major Pireddi wraz z swoim batalionem askarysów dotarł w południe do wyznaczonego mu oliwnego gaju. Od granicy abisyńskiej dzieliła ich obecnie godzina marszu! Nikt nie wątpił, że jest to ostatni postój batalionu przed rozpoczęciem wojny. Potwierdzały to zresztą instrukcje dotyczące przyszłej przeprawy przez graniczną rzekę Mareb. Wskazany mu w rozkazie bród zamierzał major Pireddi obejrzeć z brzegu pod wieczór, a na razie oddać się drzemce, bo kto wie, jak tam później będzie ze spaniem, z noclegami po drugiej stronie rzeki. Aliści dolce far niente⁽³⁾ przerwał mu rychło jego ulubieniec kapral Frumencjusz Uadżir.

— Abu kullah! — wrzasnął. — Piękny abu kullah!

Major wypadł z namiotu z lornetką i z... dubeltówką. Nie rozłączał się z nią nigdy od paru miesięcy, od dnia, w którym burmistrz jego rodzinnego miasteczka na Sycylii przysłał mu piękne podziękowanie za nadesłane z Erytrei okazy miejscowej fauny. W Asmarze czekało na drugi transport do ojczyzny sporo ptaków upolowanych przez majora i wypchanych, ale brakowało wśród nich właśnie orła żywiącego się głównie rybami, a zwanego przez tubylców abu kullah. To, że ów skrzydlaty rybołówca pojawił się tutaj, o dwieście kilometrów od brzegu morskiego, nie było czymś niezwykłym. Ptak, który szybuje z chyżością stu piętnastu kilometrów na godzinę, mógł sobie pozwolić na taką wycieczkę w głąb lądu.

— Gdzie on?

Kapral Uadżir wskazał ciemny punkt na niebie, majorowi zaś wydłużyła się twarz. Abu kullah kołował na tak zawrotnej wysokości, że o zastrzeleniu go nie mogło być mowy... narazie. I jakby na złość, wzbijał się jeszcze wyżej, aż dla patrzących z ziemi stał się ledwie dostrzegalnym pyłkiem, który oddalał się w kierunku północno-wschodnim jak gdyby podążał do Massauy. Kiedy zniknął im z oczu, Uadżir dostrzegł innego ptaka. Ten znów nie kołował, nie wspinał się na niedosiężne wyżyny, ale pędził prosto, jak strzełił z północy na południe, od strony wioski Gundel ku granicy abisyńskiej.

— Gołąb — poznał Uadżir z daleka.

— Tak — potwierdził Pireddi, patrząc przez lornetkę — to gołąb.

Oprócz nich zainteresował się gołębiem ktoś trzeci.

— Abu kullah wraca, panie majorze... Oho! Dojrzał gołębia.

Gołąb, niestety, nie zauważył od razu korsarza przestworzy, zresztą nie wiadomo, czy byłoby mu to pomogło. Major Pireddi wyjaśnił Czarnemu, że najszybsze gołębie pocztowe przebywają w sekundzie 21 metrów, orły zaś aż 31, czyli tyle, co najszybszy pociąg świata. Tak więc co sekundę odległość pomiędzy gołębiem a ścigającym go abu kullahem kurczyła się o dziesięć metrów. Skrzydlaty listonosz dostrzegłszy skrzydlatego rozbójnika, zaczął obniżać swój lot, jak gdyby chciał ukryć się na ziemi, lecz znacznie szybciej czynił to samo orzeł. W końcu, wyprzedziwszy zbiega nieco, runął na niego z góry, jak kula, pochwycił go w swoje drapieżne szpony, ogłuszył ciosem dziobu i wraz ze zdobyczą zaczął ponownie wzbijać się w górę. Bowiem w zapale myśliwskim zapędził się zbyt blisko w sąsiedztwo gaju. Ptasi dramat rozegrał się o kilkadziesiąt metrów ponad głową majora Pireddiego, który już mierzył do upragnionego abu kullaha, już go widział oczyma duszy pośród swoich zbiorów. Mierzył długo, starannie, wypalił, spudłował. Znów wymierzył, poprawił z lewej lufy, z podobnym skutkiem. Parę grubych śrutów musiało orłowi gwizdnąć koło uszu, gdyż zwiększył chyżość.

— Mogę spróbować?

Major spojrział na mówiącego z ironią. Ten Czarny miał w ręku karabin i kulą chciał dokazać tego, co nie powiodło się starymu myśliwemu śrutem?! Czarni strzelają wprawdzie świetnie, ale w tym wypadku...

— Szkoda ładunku na...

Nim dokończył, runął strzał, orzeł stulił skrzydła, zaczął opadać ku ziemi prostopadle, szybko jak kamień. Pobiegli na wyścigi po cenny łup. Uadżir znacznie wyprzedził zwierzchnika. Pochylił się nad abu kullahem, który nawet po śmierci nie wypuścił ze szponów swej ofiary.

— Ten gołąb niósł list.

— Co ty mówisz! Pokaż!

Na kopercie widniał czytelny napis:

KTO TO ZNAJDZIE, NIECH ODNIESIE NATYCHMIAST MAKAMOWI AYYAHU W MAKALLE, A DOSTANIE 25 TALARI.

Major Pireddi znał na tyle język amharski, aby to zrozumieć. Za to najmniejszego sensu nie miała długa litania wyrazów, skreślonych bardzo charakterystycznym pismem, a tworzących treść listu umieszczonego w owej małej kopercie.

— Niech głowi się nad tym biuro szyfrów — mruknął zniechęcony.

Takim to sposobem raport Dalili Borez o zamierzonej zdradzie rasa Gugsy, raport zaszyfrowany i napisany przez Assara Weziry'ego, a wysłany przez Enzullaha, już w dwa dni później znalazł się na biurku majora Coriniego, specjalisty od szyfrów. Zamiast w Addis Abebie! Zamiast korzyści, jakie miał przynieść Abisynii, stał się załączkiem wielkiego niebezpieczeństwa dla jej całego wywiadu w Erytrei. I to z winy nie tyle abu kullaha, ile Frumencjusza Uadżira, rodowitego Abisyńczyka, który z chęci zysku zaciągnął się pod sztandary wrogów.

⁽¹⁾ il duce (wł. wódz) — tytuł, jaki przyjął w 1926 r. Benito Mussolini i który podkreślał jego całkowitą władzę w państwie.

⁽²⁾ mizantrop – człowiek stroniący od ludzi; odludek.

⁽³⁾ dolce far niente (wł.) – słodkie próżnowanie.

ROZDZIAŁ VII

Wioska Bambala leży... pardon, **leżała!**... na północny-zachód od Adui i blisko jedynej wygodnej drogi, jaka łączy Abisynię z Erytreą. Dlatego Bambalanom powodziło się świetnie ongiś, gdy mnogie rzesze pielgrzymów ciągnęły zewsząd do Aksum, dawnej stolicy kraju, słynnej z licznych kościołów i znacznie liczniejszych odpustów.

Lecz minęły czasy świetności Aksum i etiopskiej pobożności, dobre czasy obchodzenia dwustu świąt na rok. Radzi nieradzi musieli Bambalanie zająć się hodowlą bydła, niczym półdzicy pasterze z plemienia Danakil. Szpetny to zawód dla potomków bitnych wojowników, nierentowny w tym klimacie, ale cóż począć. Życ trzeba, a z czego, skoro na karawany napadać wzbroniono pod groźą amputacji i usmażenia rąk? Z rolnictwa? Siał wśród skał nie warto, zresztą woda zmyłaby wszystko, gdy nastanie *tillok zinab*, czyli wielki deszcz.

Wrogiem jest pięciomiesięczny *tillok zinab*, lecz litościwszym niż ostatnie tygodnie poprzedzającej go suszy. *Allachu, po coś jeszcze stwarzał piekło, skoro masz tu na ziemi Massauę?!* mówi przysłowie abisyńskich mahometan, a przecież Massaua leży nad morzem, które zawsze chłodzi powietrze. Bambalę zaś otaczały tylko skały i głązy rozgrzewające się tak, że warzącym strawę zastępowały ogniska. Strumienie, potoki, wodospady wysychały doszczętnie!

Bajecznie na tym zarabiali właściciele studzien w Aksum. Bywało, że za bukłak wody kazali sobie płacić pół talara. Przy takich cenach jeden muł przez miesiąc mógłby wypić wody nieomal za tyle, ile sam kosztował na jarmarku. Dlatego w Bambali, gdzie nie było żadnej studni, ludziska zadłużali się po uszy i to, co wydali w upalnym marcu, odrabiali aż do grudnia. Odrabiali sumiennie! Bo nieuczciwego dłużnika skuwa się łańcuchem wraz z wierzyicielem, który ma prawo korzystać z jego pracy tak długo, póki swej pretensji w ten sposób nie ściągnie.

Rok 1935 od początku zapowiadał się jako bardzo gorący. Już w lutym Bambalanie zaczęli wyprzedawać słabsze bydła, gdy wtem gruchnęła wieść zgoła nieprawdopodobna: **Woda za darmo!!**

Gdzie, na Boga, gdzie?! Nie tutaj oczywiście, lecz w Erytrei. U Białych? Tak, u Białych. Wyglądało to na wierutną bajkę, gdyż Biali byli zawsze stokroć bardziej chciwi, niż swoi w Aksum. Lecz wędrowny *nagada*, wożący cały swój kram na dwóch mułach, zaklinał się, że nie łże. Biali, twierdził, wywiercili tej zimy siedemset artezyjskich studzien. Kto nie wierzy, niech sprawdzi naocznie. Pierwsze studnie są tuż za granicą.

Do granicy było tak blisko, że trzech najciekawszych Bambalan pospieszyło tam zaraz z niedużym stadem. Powrócił tylko jeden z nich. Uśmiechał się tajemniczo, dawał wykrętne odpowiedzi, a w nocy zniknął szelma wraz z resztą swoich zwierząt. Kiedy jednak sąsiadki wypatrzyły u jego żony garść srebrnych monet, w Bambala zawrzało. Tegoż dnia wyruszyło ku granicy dziesięciu mężczyzn, pędząc przed sobą czwartą część żywego inwentarza całej wsi.

* * *

W kwietniu powrócił do Bambali jeden z najbiedniejszych pasterzy, Frumencjusz Uadżir. Powrócił nie z Erytrei, lecz z Adui, gdzie przebywał dokładnie rok. Mianowicie w więzieniu. Za pobicie policjanta. Ów *cabania* zeszłego roku zalecał się do jego żony. Według panującego zwyczaju należało przyjąć okup i wyznaczyć amantowi dni, w które madame Uadżir będzie w domu sama. Ale Frumencjusz, choć ubogi, nie chciał korzystać z dochodów uświęconych tradycją. Co gorsza, na spółkę z żoną poturbował srodze donżuana, nie bacząc, że to nie zwyczajny śmiertelnik, lecz figura urzędowa, *cabania!* Słusznie tedy otrzymał chłostę, a na przyczynek rok wywczasów za kratkami.

W domu żony nie zastał, jeszcze nie przyjechała z Aksum, skąd miała przywieźć dwa bukłaki wody. Pomyślał więc sobie z radością, że nie jest źle, skoro stać ich na taki wydatek i wyszedł z chaty, zmieniawszy wprzód łachmany na odświętną szammę. Zawiązał ją sobie w ten sposób, iż mógł łatwo obnażyć plecy i z dumą pokazać sąsiadom wspaniale blizny, dożywotnią pamiątkę po chłości. Aliści do popisu, na który cieszył się od roku, nie doszło, nie spotkał żadnego sąsiada. Zauważył za to oznaki wielkiej zamożności u kobiet. Jedna w drugą była tłusta niczym jaka woizeru, dama z najwyższych sfer, jedna w drugą szeleściła jedwabiami i tuzinami mosiężnych bransolet.

Jakże ubogo w porównaniu z tymi strojniami wyglądała jego wierna Marta, która wróciła z Aksum zziajana jak pies i jak pies chuda! Chuda była, gorzej ubrana niż szanująca się żebraczka, a przy tym niezwykle opryskliwa. Zamiast piszczeć z radości, że małżonek już wyszedł z więzienia, że znów będzie mu mogła usługiwać, zapytała go zwięźle, czy zamierza próżnować nadal, czy też wyruszy w drogę skoro świt.

W drogę? A dokąd? Rozumie się, do Erytrei, jak wszyscy. Ani jeden mężczyzna nie pozostał w Bambali. Nawet leniwy *cabania* tam wywędrował. Po co? Po łatwy zarobek, po talary, za które można nabyć, co się chce, żywność, broń, łakocie, świecidełka. I jak tanio! Za talara bukłak wody. Ona za to samo musiała dziś dać barana. Ostatniego! Z całego inwentarza pozostał im tylko jeden muł, reszta poszła na zakup żywności w ciągu tego roku. Wprawdzie nikt obecnie w Bambali nie posiada więcej zwierząt, każdy wyzbył się bydła w Erytrei, lecz w zamian otrzymał pieniędzy w bród. Tylko ona, Marta, ma dziś mniej niż kiedykolwiek i żyje z dziećmi w skrajnej nędzy.

Tu z oczu rozżalanej kobiety trysnęły fontanny łez niczym woda z artezyjskich studzien białych ludzi. Lecz jak w spiekocie październikowego słońca schną szybko kałuże po *tillok zinab*, tak wyschły łzy Marty w ogniu pieszczoł mężowskich. Rok postu, to nie żarty, zwłaszcza w Abisynii, gdzie krew jest gorąca jak lava. Nacieszywszy się sobą, gadali, gadali, gadali, potem spali do samego południa.

Po południu Frumencjusz odbył drugi spacer po wsi. Uważniej niż wczoraj przyglądał się wszystkiemu, sumienniej badał dowody zamożności i stwierdził, że jest duża, jak na biedną Bambalę. Wdał się też w rozmowę z niejedną sąsiadką. Oczywiście przed jej *tukullem*, nie wewnątrz, by nie narazić się na płacenie okupu, gdy mężowie powrócą i na wydrapanie oczu przez zazdrosną Martę. A Marta mówiła prawdę, jak przekonał się teraz. Wszystkie kobiety powtarzały to samo: U Białych jest raj!

Pod wieczór zaczął sposobić się do drogi, ku nieopisanej radości żony. Śmiała się, śpiewała, paplała, dawała mu setki rad, z których jedną uznał za głupią: Żeby nie brał strzelby. Dlaczego? Bo krewki jest i znów może wpaść w tarapaty. Wyśmiał ją, a potem bardzo żałował, że nie usłuchał Marty.

Wyjechał przed świtem. Droga wiodła zrazu wśród nagich skał, potem zjawily się gaje drzew figowych, jałowcowych i kasztany. Droga okropna! Żaden wóz nie ujechałby po niej ani stu kroków, lecz Frumencjusza Uadzira nie raziło to wcale. Nie widział dotychczas nigdy lepszych dróg, jak nie widział innych chat, tylko zawsze te okrągłe *tukulle*, kryte słomą i do uli podobne. Nie wyobrażał też sobie innych środków lokomocji poza mułem, koniem, wielbłądem, niezmiernie więc było jego zdumienie, kiedy po raz pierwszy w życiu ujrzał samochód. Przestraszył się go niemniej od swojego wierzchowca, kiedy ów diabelski wóz bez koni zawarczał, zabeczał i popędził szybciej niż struś.

Wydarzyło się to już za granicą, której po stronie abisyńskiej nie pilnował ani pies kulawy. Za to kilkadziesiąt kroków dalej stało pod masztem wielkiego obcego sztandaru kilku białych żołnierzy. Takich posterunków spotkał kolejno trzy, lecz nigdzie nie czyniono mu wstrętów, nie pytano o nic, wszędzie witano go najprzyjaźniej. Gdzie studnia? Tam dalej, za tym białym domem. Ile kosztuje woda? Oczywiście nic! Czy można jej też wziąć z sobą do domu? Można, można.

Pełen uznania dla Białych, Frumencjusz uraczył wodą siebie i muła do syta, napełnił nią przywieziony wór skórzany, odpoczął, po czym zawrócił. Aliści jego zawrócono również. Wywóz zwierząt jucznych z Erytrei najsurowiej wzbroniony! Myślał, że kpią. Przecież to jego muł, abisyński, nietutejszy, przecież widzieli, jak przyjechał na nim w samo południe, przecież mówili, że woda za darmo, więc wiezie ją spragnionym dziatkom i żonie. Wszystko to prawda, przyznali, nie mają nic przeciwko temu, aby wody zabrał, ile uniesie na plecach, lecz muł musi pozostać tu! Nie zabiorą mu go bez odszkodowania, może być spokojny. Ile żąda za to bydłę?

Frumencjusz, w którym już gniew kipiał, uspokoił się od razu, jał wychwalać swój towar.
— To nie jest pospolity *aggasaz* do dźwignia ciężarów, ale szybko nogi *goritcza*, muł-wierzchowiec, wart co najmniej sto talarów!

Przesadził o trzydzieści procent, aby mieć z czego opuszczać przy targach, tymczasem bez żadnych targów interes ubito. Aż posmutniał, że nie zażądał dwa razy więcej, tak lekką ręką wypłacili mu tę setkę.

Tymczasem z domu wyszedł jakiś oficer. Już przedtem z okna przyjrzał się przybyszowi, ocenił jego muskularną budowę ciała, teraz szedł go skaptować. Na razie zaproponował wspólny spacer na szczyt pobliskiego pagórka. Po drodze rozmawiali, oficer władał językiem tigre, ale niektórych słów pożyczal sobie z amharinii. Na liczne, często naiwne pytania Frumencjusza odpowiadał uprzejmie, choć nie zawsze zrozumiale. Dlaczego Biali skupują muły, werbują ludzi, dlaczego, co tu w bawełnę owijać, gotują się do wojny? Dlatego, odparł, że chcą ciemne ludy Etiopii uszczęśliwić swoją cywilizacją. A co to jest cywilizacja?

Właśnie dotarli na szczyt pagórka, który przybywającym od granicy zasłaniał widok na podłużną dolinę, wyglądającą obecnie jak jeden wielki warsztat pracy. Pod kierownictwem białych inżynierów setki Czarnych budowały brukowany gościniec szeroki na dziesięć metrów. Inni wiercili dalsze studnie. Inni wbijali słupy, na których rozpinano błyszczące w słońcu druty. Po gotowym już odcinku szosy mknęły samochody ciężarowe, a ich ładunek przenosiły dalej karawany mułów...

— To jest właśnie cywilizacja, rzekł oficer.

I to, że za wodę nie trzeba nic płacić. I to, że zatrudnia się dziesiątki tysięcy tubylców, którzy dawniej w czasie suszy umierali z głodu, a teraz zarabiają tu talara na głowę tygodniowo. I to, że wykupuje się od pasterzy bydło, które przez inne lata zdychało z braku wody. I jeszcze setki innych pożytecznych rzeczy, które nędzę przemieniają na dobrobyt. To wszystko razem wzięte, to jest właśnie błogosławiona cywilizacja Białych.

Z jej dobrodziejstw najmocniej utknęło Uadzirowi w głowie jedno, że za tydzień pracy można tu otrzymać talara. Co, i wikt oprócz tego?! W takim razie on najpokorniej prosi o przyjęcie go do roboty choćby od dzisiaj. Oficer jednak pokręcił głową. Wreszcie odparł, że jego zdaniem tak wspaniałą męczyzna nadawałby się raczej do czego innego. On mu za chwilę pokaże, do czego.

Zszedł z wierzchołka wzgórza, podniósł do ust gwizdawkę, gwizdnął przeraźliwie i oto wysypała się z pobliskiego lasu gromada żołnierzy. Sami Czarni, ale jak wystrojoni! Mundury khaki, hełmy, pasy, ładownice i, szczyt marzeń, buty, czego w armii abisyńskiej nie posiada nawet gwardia negusa negesti.

Ponieważ Frumencjusza najbardziej interesowała broń, oficer pozwolił mu obejrzeć karabin, a sam zaczął oglądać jego pukawkę. Była to arabska strzelba lontowa pamiętająca, być może, krwawego cesarza Teodorosa, co najmniej zaś Menelika II. Frumencjusz omal nie spalił się ze wstydu i w duchu przyrzekł żonie większe lanie, że przez nie dość stanowcze perswazje naraziła go na taką kompromitację. Potem z bezmierną czułością zaczął głaskać lufę cudzego karabinu. Tak śliczną broń, wyobrażał sobie, mają tylko aniołowie w niebie.

— Taką broń — rzekł w chwilę później oficer — my, Biali, dajemy każdemu, który przystanie do nas.

Frumencjusz westchnął rozdzierająco smutnie. Wolałby po stokroć zostać żołnierzem niż robotnikiem, ale z czego będą żyły jego dzieci i żona? Oficer zrobił zdziwioną minę. Przecież żołnierz-ochotnik zarabia u nich dwa razy więcej niż robotnik. Cooo? Dwa talary tygodniowo?! Wobec tego on zgłasza się do służby wojskowej na przeciąg trzydziestu lat!

Oficer uśmiechnął się przyjaźnie. Wiedział, że Czarnych wyśle się na pierwszy ogień. Że niewielu spośród nich ma rok życia przed sobą. Że większość zginie na jesieni. Czyż więc nie zasługiwali na przyjazny uśmiech Białego? Potem spowaźniał, przypomniał, iż żołnierz składa przysięgę na wierność tym, którzy dają mu broń do ręki. Frumencjusz Uadzir potakiwał z zapalem. No, rozumie się. Tylko skończony głupiec opętany przez *cara*, czyli złego ducha, mógłby zdradzić dobrych panów, którzy płacą dwa talary na tydzień i pozwalają strzelać z tak precudnej broni. On, Uadzir, od tej chwili kocha tylko Białych i ich piękną cywilizację.

* * *

Uadzir, jak wszyscy Abisyńczycy, był urodzonym żołnierzem. W maju należał do rekrutów, w sierpniu już uczył musztry innych, bowiem ochotników przybywało coraz więcej, zwłaszcza z Abisynii. W końcu wcielono go do batalionu oficera, który niegdyś tłumaczył mu, co to jest cywilizacja. Był to major Pireddi, zapalony myśliwy.

Tymczasem skończyła się pora deszczowa. Drogi były gotowe od dawna i od dawna czekała potężna armia Białych, aż ziemia z grubsza obeschnie. W ostatnich dniach września wojska rasa Seyuma, teścia następcy tronu, cofnęły się o trzydzieści kilometrów; tak nakazał negus negesti, lepszy dyplomata, niż wódz, poza tym szczery pacyfista.

Korzystając z tego odwrotu, kilka Bambalanek pospieszyło na granicę Erytrei, błagać o żywność. Oddziały Rasa Seyuma objadły całą okolicę, a do Aksum dostać się teraz nie można. Skutkiem tego, choć obecnie w Bambali każdy ma pieniędzy w bród, dzieci przymierają głodem.

Traf zrządził, że skomlące niewiasty trafiły na kaprała Uadzira. Natychmiast przedstawił sprawę zwierzchnikowi, który oświadczył, że ten smutny stan rzeczy znany jest dowództwu, że lotnicy zrzucą głodującym wioskom żywność. Pozostało więc tylko wytłumaczyć kobietom, co to są samoloty i przekonać je, iż tych olbrzymich ptaków lękać się nie trzeba, choć warczą tak

groźnie.

— Dobrze, a kiedy przylecą żelazne ptaki, gdyż w Bambala nie ma już ani kawałka chleba?

— Przylecą jutro.

Następnego dnia rozpoczęła się wojna. Bez ultimatum, bez zerwania stosunków dyplomatycznych, bez ostrzeżenia obowiązującego nawet u najdzikszych ludów, Włosi rozpoczęli wściekle bombardowanie nieufortyfikowanych miasteczek: Adui, Aksum i innych, z samolotów i z dział. Potem, siedząc bezpiecznie na tyłach, rzucili do ataku pułki Czarnych. W drugiej linii poborowych askarysów, w pierwszej zaciężne, którym trzeba płacić po dwa talary za tydzień.

Nareszcie Frumencjusz Uadzir mógł strzelać ze świetnego karabinu nie do tarczy, lecz do żywego celu. Że zabijał braci, nie przyszło mu na myśl. Ot wykonywał swoją robotę, za co mu płacili Biali. A robota była ciężka, nie darmo Abisynia ma w herbie lwa. Jak lwy walczyli z silniejszym napastnikiem i pod osłoną nocy odzyskali nożami pozycje, z których wyparły ich za dnia czołgi, samoloty, armaty.

Uadzira odesłano na tyły późnym wieczorem. W walce wśród ruin Adui wróg-rodak siekierą odrąbał mu lewą dłoń. Stracił rękę i zgubił swój karabin, co na razie martwiło go bardziej. Z lada jakim opatrunkiem włókł się powoli w ciemnościach, a nogi niosły go same do Bambali. Dotarł tam przed świtem i wyczerpany runął na ziemię w odległości dwustu kroków od najbliższej chaty. Dalej nie mógł ani rusz.

— Rano mnie znajdą, przeniosą — pocieszał się i czekał cierpliwie.

Słońce wschodziło, gdy posłyszał znajomy łoskot silników. Eskadra największych samolotów nadciągała z północy, szybując w stronę gór. Rozproszyła się jednak w połowie drogi i tylko jeden z olbrzymów skręcił ku Bambali. Uadzir patrząc nań, błogosławił Białych. Nawet w trakcie najcięższych walk nie zapomnieli o jego głodnych dzieciach, wysłali im upragniony chleb.

A dzieci, którym huk armat oka nie pozwolił zmrużyć, bawiły się już przed okrągłymi chatami. Ujrzawszy „żelaznego ptaka”, przywołały matki i zaroilo się wnet na majdanie wioskowym.

— Chleb! Chleb dobrych, białych ludzi! Chleb! Chleb! — Te okrzyki radości rozbrzmiewały tak głośno, że na razie jeszcze zagłuszały łoskot silników wielkiego samolotu. Uadzir usiadł na ziemi. Poznawszy wśród podskakujących z uciechy kobiet żonę, zaczął ją wołać po imieniu. Sprzykrzyło mu się to leżenie, a sam wstać jeszcze nie mógł.

— Marto! Bywaj, Marto! — Nie usłyszała. Wszystkie okrzyki, piski, śmiechy zaginęły w piekielnym rozgwarze motorów.

Gdy coraz niżej opadający samolot znalazł się dokładnie ponad Bambalą, oderwało się od niego kilka ciemnych brył. Spore bochenki, nno!

Wtem ze środka majdanu wytrysnął słup ognia, fontanna ziemi, kamieni, rozerwanych na strzępy ciał ludzkich i tukullów, których strzechy zapaliły się od razu. Pół sekundy później zagrzmiało straszliwie. Potem znów szkarłatna fontanna, znowu huk i tak na przemian, bowiem lotnik nawracał parę razy. W pięć minut później Bambala zamieniła się w jedną kupę gruzów, w jeden ponury cmentarz.

W pięć minut później nadleciały inne samoloty, uszeregowały się jak na paradzie i pięknym żurawim kluczami odpłynęły na północ po nową porcję bomb dla innych wioski. A przecież te wioski leżały na terenie zajętych już wczoraj, leżały osiem do dziesięciu kilometrów za frontem i nieprzyjaciela nie było w nich na lekarstwo. Więc potworna omyłka?! Może i omyłka lub może... No cóż: do ekspansji dla kolonizacji nie trzeba zaludnionych terenów, lecz

puste!

* * *

Ktoś zakasłał, więc ktoś wszedł do namiotu. Z pewnością adiutant. Po tylu nocach krwawych walk nareszcie jedna noc spokojna i znowu budzą. Może dla jakiegoś głupstwa! Klnąc pod nosem, major Pireddi szukał w ciemnościach zapalek i latarki. W jej mdłym świetle ujrzał askarysa, który miał lewą rękę na temblaku, a prawą... niesubordynacja! bezczelność!... trzymał w kieszeni.

— Twoje nazwisko, ty czarny psie?

Żołnierz zachichotał głupawo.

— Kapral Uadzir. Pan major nie poznał?

Teraz poznał go nareszcie, choć bambalanin był straszliwie zmieniony. Więc on jednak żyje wbrew meldunkowi sierżanta! Zapewne łajdak zadekował się gdzieś podczas bitwy, którą pan major bohatercko... obserwował przez lornetkę. I w ogóle co zaszło tak poważnego, że kapral ośmielił się przerwać sen dowódcy?

Odpowiedź była zupełnie jasna:

— Przyszedłem podziękować za waszą cywilizację!

Równocześnie zdrowa dłoń wyrwała z kieszeni znaleziony gdzieś rewolwer i padł strzał.

Celny! Abisyńczycy nie pudłują.

Lecz kiedy nareszcie wszystkie ludy Afryki i Azji pójda w ślady Frumencjusza Uadzira z Bambali!?!

ROZDZIAŁ VIII

Jeszcze nie przebrzmiało echo skrytobójstwa popełnionego na osobie majora Pireddiego, kiedy w podobnych okolicznościach, lecz „dla odmiany” od sztyletu zginęło dwóch innych oficerów włoskich; jeden w Adi Quala, drugi w Adi Ugri, czyli obydwaj na terytorium Erytrei! Zwłoki każdego z tych trzech były w identyczny sposób okaleczone po danakilsku, a ten sam los spotkał żołnierza-motocyklistę, wysłanego do Asmary, a zastrzelonego na drodze koło Debaroa. Wydarzenia te spowodowały władze włoskie do wydania odpowiednich zarządzeń, w szczególności zaś do wydatnego ograniczenia swobody ruchów cywilnej ludności w południowej Erytrei.

— To nam uniemożliwi wykonanie twojego planu — dowodził Enzullah, kiedy Dalila Borez przyszła doń pewnego wieczora, by obejrzeć zamówioną przez siebie maszynę piekielną. — Trzeba by obmyślić coś mniej ryzykownego.

— Co, znowu zwlekać!/? — zachnęła się. — Za żadne skarby! Jeżeli ty chcesz stchórzyć, wykonam zamach sama.

— I złapię cię, i wsypiesz nas wszystkich. Z dwojga złego wolę już towarzyszyć ci w tej wyprawie. Ale to wiedz, że gdyby nas złapali, pierwszą kulę wpakuję w serce tobie, abyś na mękach nie zdradziła naszych.

— Z góry ci dziękuję, za tę przysługę — odparła, ściskając mu dłonie najserdeczniej. — Czy masz taki, jakiego Biali używają, duży, żółto-zielony papier z drogami, wsiami... aha, mapę!

— Mapę mam w głowie, w pamięci.

— Tym lepiej, tam jej Włosi nie znajdują, choćby nas po drodze rewidowali najdokładniej — odparła z uśmiechem.

— Nie wywołuj złego! O rewizji mi gładzi głupia niewiasta. Czyś zapomniała, że musimy mieć z sobą maszynę piekielną? Tego w głowie nie ukryjesz. Ani broni również, a z gołymi rękami nie wyruszę.

— Czy wyruszymy jutro?

— Spieszno ci, widzę, na tamten świat.

— Nie kracz, Enzullahu, nie kracz. Wszystko pójdzie dobrze, byleś mi przygotował jak najwięcej winogron. Pięknych, słodkich, soczystych, jakie Włosi tak lubią. I oby Bóg nie żałował nam słońca.

To życzenie spełniło się właściwie jeszcze tydzień temu.

Już w ostatnich dniach września wypogodziło się niebo, z początkiem października ziemia przepojona wilgocią po pięciu miesiącach deszczów zaczęła szybko wysychać, lecz dopiero od tygodnia nowo przybyli żołnierze włoscy mieli przedsmak upałów afrykańskich.

A ze wszystkich części Afryki, ze wszystkich krain świata najgoręcej bywa właśnie w Erytrei. W zestawieniu z chłodnymi nocami, piekielny żar słońca stawał się tym dokuczliwszy, tym bardziej niebezpieczny dla Białych, toteż w lazaretach włoskich więcej było chorych niż rannych... na razie.

Krytycznego dnia Dalila Borez, wróciwszy z biura do domu, oznajmiła służbie, że wyjeżdża ze znajomym oficerem autem i wróci w nocy.

— Tak macie mówić, jeżeli ktoś przyjdzie do mnie — poleciła z naciskiem.

Aby nie zwracać uwagi na ulicy i nie wpaść na którego z licznych wielbicieli, wyslizgnęła się z domu w arabskim stroju, ale pod białym, powłóczystym haikiem miała na sobie zwyczajną sukienkę, okropnie jaskrawą, gdyż Włosi lubią żywe kolory. Perukę zaś i różne toaletowe drobiazgi ukryła w małym woreczku, który przyszyła na wewnętrznej stronie haika. Tak wyekwipowana dotarła bez przeszkody do domku ogrodnika Enzullaha, który już czekał na nią niecierpliwie.

— Siadaj, kobieto, i jedźmy nareszcie.

Niedługo trwała ich jazda, Z chwilą, gdy z polnej drożyny skręcili na prawo w „pole”, musieli zejść z wozu i podpierać go z obydwóch stron, gdyż co kilkanaście metrów groził im upadek. Okrążając Asmarę od południowego wschodu wlekli się po tych okropnych wertepach przez dwie godziny, w ciągu których przebyli zaledwie osiem kilometrów.

— Ale przynajmniej nie spotkaliśmy żadnego Włocha.

— Nie ciesz się przedwcześnie — ostrzegął ją Turek.

— Gdzież jest to miejsce, któreś wybrał?

— Tam, na lewo.

— Ten gaj oliwny?

— Tak, Dalilo.

Gaj oliwny leżał po zachodniej stronie gościńca wiodącego z Asmary ku granicy abisyńskiej, a w przedłużeniu do Adui. Aby do niego dotrzeć, musieli na kilka minut wysunąć się spoza bariery skał i jechać szosą, co było pewnym ryzykiem. Ale nieuchronnym. Dalila Borez, chociaż mocno zdenerwowana, wysilała się na żarty, by dodać otuchy swojemu towarzyszowi, robiącemu miny skazańca pod szubienicą.

— Całą nadzieję pokładałam w siwej brodzie, jaką sobie przykleiłeś — rzekła — obyś jej tylko nie nadepnął, bo stanowczo za długa.

Na szosie panował bardzo ożywiony ruch. Ruch oczywiście tylko kołowy. Auta ciężarowe pędziły w obydwóch kierunkach; pełne materiału wojennego na południe, puste z powrotem na północ. Wyłącznie na północ sunęły wolno smutne kolumny ambulansów Czerwonego Krzyża, odwoząc ofiary zaciętych walk pod *świętym miastem* Aksum.

— Ho, ho, dużo tych rannych. Wasi nie marnują prochu — mruknął Enzullah, licząc mijające ich auta sanitarne. — Ale trzeba przyznać, że Biali dbają o swoich nawet wtedy, gdy ci są do dalszego boju niezdolni.

Skręcili z drogi w gaj oliwny oddzielony od wspaniałej szosy wysokimi stertami głazów, które zasłaniały ich nieźle. Teraz pozostało im tylko czekać na stosowny moment. Na taki moment, kiedy od strony Asmary nadjedzie jeden z licznych transportów amunicji, a równocześnie ruch na gościńcu wydatnie zmaleje. Na zbieg tych dwóch okoliczności naczekali się bardzo długo. Słońce już chyliło się ku zachodowi, gdy Enzullah przyczajony na szczycie pobliskiego pagórka przybiegł do Dalili i zdławionym głosem wykrztusił:

— Teraz albo nigdy!

Szybko wyjechali na gościniec, ustawili wóz w poprzek drogi, przewrócili go na bok, tak że wszystkie koszyki z owocami rozsypały się szeroko. Ale nie dość szeroko zdaniem Dalili, która żwawo powiększyła „dzieło zniszczenia”, odrywając pokryvky niektórych koszyków i wysypując ich zawartość dokoła. Potem wyjęła lusterko, aby po raz ostatni skontrolować swój zmieniony wygląd. Bowiem haik arabski zostawiła w gaju, kwef również, a swoje czarne, mocno podcięte włosy nakryła kupioną ongiś peruką.

— Włosi lubią blondynki — zachichotała bardzo sztucznie, bo wcale nie było jej teraz do śmiechu. — Bardzo lubią.

— Zmartwią się na pewno, gdy przed powieszeniem poznają, że byłaś Czarną —
odburknął niepoprawny pesymista.

— Zbliżają się, słyszysz!

— Nie jestem głuchy.

Istotnie, chyba tylko głuchy nie dosłyszałby wściekłego warczenia potężnych motorów aut, które powoli wdrapywały się na wzniesienie drogi. Ziemia dygotała tak, że Dalila chętnie zapisała na jej rachunek drżenie własnych łydek. Uklękała, udając, że zbiera swój rozsypany dobytek, Enzullah zaś wyprzągnął obydwie muły i zatarasował nimi resztę szosy.

— Dochodzą do zakrętu! — syknęła. — Bij muły!

Zaczęła głośno lamentować po włosku, a równocześnie Enzullah ją okładał batem pocziwe zwierzęta, które znosiły tę niezasłużoną karę cierpliwie, jakby przejęły się rolą spiskowców.

— Już! Boże, dopomóż mi — westchnęła Dalila Borez.

Spoza zakrętu wysunął się pierwszy samochód ciężarowy. Siedziało w nim obok szofera dwóch innych wojskowych, czarny żołnierz i biały podoficer, sierżant. Ten ostatni na widok niespodziewanej przeszkody wybuchnął gniewem.

— Znów jakiś wóz diabli nadali. Hej tam, precz z drogi!

— Nie słyszają, panie sierżancie.

— Zatrąb.

Klakson zabezczał raz, drugi, trzeci, ale nie odniosło to żadnego skutku.

— Ten dziad znęca się nad swoimi mułami, zamiast podnieść wóz i odciągnąć go na bok — irytował się pan sierżant. — Trąb dalej.

Nie pomogło, choć szofer nie żałował swej „orkiestry”. Rad nierad musiał stanąć. Zatrzymał samochód na dziesięć kroków przed mułami, które łatwiej było usunąć z drogi niż przewrócony wóz.

— Zamknij motor, ja mu powiem coś do słuchu.

Rzekłszy to, sierżant wychylił się z auta i grad przekleństw posypał się na Enzullaha, który ani drgnął. Tyłem zwrócony do żołnierzy, stał na miejscu, bijąc wciąż swoje zwierzęta. Za to klęcząca obok wozu kobieta podniosła głowę okrytą dużym słomkowym kapeluszem.

— On nie słyszy, od dziesięciu lat głuchy jest jak pień — odezwała się po włosku.

Po włosku! Dwaj Biali zelektryzowani na dźwięk ojczyściej mowy szybko odwrócili głowy w prawo, spojrzeli, przetarli sobie oczy. Sen to, czy jawa!? Spod brzydkiego sombrera wyjrzała ku nim śliczna śniada twarzyczka, zarumieniona, rozkosznie zakłopotana. Twarzyczka młodej dziewczyny w aureoli złotych włosów!

— Blondynka! — wyszeptał szofer.

— Blondynka — powtórzył jak echo sierżant. Przez chwilę patrzył na nią w niemym zachwycie, aż w końcu wykrztusił — Buon giorno⁽¹⁾.

— Raczej, buona sera⁽²⁾, bo to już do wieczora niedaleko — odparła, powstając z klęczek, i podeszła do samochodu, lekko kołysząc się w biodrach.

— Jaka ona zgrabna!

— Jak zbudowana!

— Za chuda, mnóstwo za chuda dla mi.

Odezwanie się trzeciego żołnierza, tubylca wywołało żywe sprzeciwu jego dwóch białych towarzyszy, po czym sierżant, siłąc się na ton urzędowy, oświadczył „signorinie” że powinna im natychmiast opróżnić drogę.

— Bardzo chętnie, ale my sami nie podniesiemy wozu. On — wskazała na Enzullaha ucharakteryzowanego na starca — słaby, ja słaba... Czy pan kapitan nie zechciałby nam pomóc?

Sierżant po tak nieoczekiwanym „awansie” na kapitana podkręcił wąsa i wyskoczył z auta, a za nim tamci dwaj.

— Winogrona!

Zapatrzeni w uroczą dziewczynę nie zwracali dotychczas uwagi na zawartość koszyków rozsypanych dokoła wozu. Dopiero teraz, gdy zeszli na drogę, ujrzeli bezlik moreli, brzoskwiń, winogron, a na ten widok trapiące ich od rana pragnienie stało się nagle bardziej dokuczliwe niż kiedykolwiek. Och, gdyby te owoce należały do krajowca, pokazałoby mu, że wojna ma swoje specyficzne prawa. Na otarcie łez rzuciliby mu parę lirów, i sprawa skończona, ale z rodaczką tak postąpić nie można. Zwłaszcza z taką ładniulą, z blondynką!

— Żeby mi tu pestka nie zginęła! — huknął sierżant, odwracając wzrok od pokusy numer dwa, czyli od winogron. (Pokusą numer jeden była „rodaczka”).

Tymczasem nadjechało dalszych pięć samochodów ciężarowych. Ich kierowcy i konwojenci skorzystali z nadprogramowego przystanku, by wyprostować kości, załatwić ludzkie potrzeby i odsapnąć po męczącej *nasiadówce*, jak zwali pobyt w budce szofera, w sąsiedztwie szalenie rozgrzanego motoru. Zoczywszy kolegów z pierwszego auta w towarzystwie kobiety ubranej po europejsku podeszli do nich żwawo i oczywiście także wpadli w zachwyt na widok smukłej blondynki. Ale nie wszyscy. Jakiś zdeklarowany żarłok wołał patrzeć na smakowite owoce.

— Dokąd to signorina wiezie te specjały? — zapytał.

— Do Asmary na sprzedaż.

— Na sprzedaż!? No to signorina może coś z tego sprzedać mnie.

— I mnie! I nam! — zaczęli wołać jeden przez drugiego.

— Bardzo chętnie.

— Po ile?

— To są wyjątkowo piękne owoce.

— Widzę, widzę, byle cena nie była wyjątkowo wysoka.

— Dla naszych żołnierzy będzie wyjątkowo niska.

— Bravo! Bravissimo!!

— Ile za ten koszyczek?

— W Asmarze dostałabym za niego piętnaście lirów.

— Przesada, przesada...

— Od signora wezmę tylko pięć.

— A niechże cię uściskam!

— To kosztowałoby osobno sto lirów.

— Patrzcie no, jak ona się ceni! A dwadzieścia niełaska?

Przekomarzając się, żartując, kupowali jej owoce, płacili żądane ceny, umyślnie przystępne, ale nie znów tak niskie, by wywołać jakieś podejrzenia. W ciągu paru minut Dalila Borez sprzedała cały swój towar, bowiem nadjechały jeszcze cztery samochody, co powiększyło liczbę jej nieszczęsnych klientów. Ugasiwszy pierwsze pragnienie, żołnierze ucięli sobie pogawędkę z rzekomą rodaczką.

— Czy signorina jest wenejanką? — zapytał któryś. — Bo takie włosy widywałem tylko we Wenecji.

— Tam urodziła się moja matka, ja zaś już tutaj, w Erytrei. Jestem córką kolonisty z Arresy.

— Z Arresy? Dobrze wiedzieć! Niech tylko dostanę urlop.

— Ja go dostanę wcześniej, che, che, che. Signorina, hej signorina...

— Czemu wy wszyscy mówicie mi *panienko*, czy jeszcze wyglądam na dziewczynę? —

uśmiechnęła się zalotnie. — Od roku jestem wdową.

— Wdówka! Trzymajcie mnie! Gdzie leży ta Arresa?

— Tam.

Wyciągnęła rękę w kierunku południowo-zachodnim, odwróciła się przy tym i schwyciła karcące spojrzenie Enzullaha, który już zaprzągnął muły do wozu. Zrozumiała. Należało jak najprędzej zakończyć tę sielankę, w przeciwnym razie wybuch gotów zaskoczyć ich tutaj!

— Pora mi w dalszą drogę, inaczej przyjadę do Asmary w nocy.

— A po cóż do Asmary, skoro signora wszystko sprzedała?

— Lecz muszę kupić wiele rzeczy, których w Arresie dostać nie mogę.

— Arresa, Arresa — wbijali sobie w pamięć. — Odwiedzę tam panią.

— Ja też.

— Bardzo mi będzie miło. A na razie, żegnajcie...

— Żadne *żegnajcie!* Do zobaczenia! A rivederci!

— A rivederci! A rivederci!

— Należałoby biednych żołnierzy jakoś ciepłej pożegnać, signoro.

To samo przyszło snadź na myśl sierżantowi, gdyż nagle stwierdził, że postój przedłużył się *karygodnie*, że na tę amunicję może niecierpliwie czekać pod Aduą, zwymyślał podwładnych i zapędził wszystkich do ich samochodów. Nie pomogło mu to jednak... na razie. Otrzymał tylko uścisk dłoni, westchnął, powrócił do swojego auta. Już gramolił się na trzeci stopień schodków, gdy wtem zaszemrał gdzieś blisko jej miły głosik. — Panie kapitanie! Panie kapitanie... kochany. — Odwrócił głowę. U stóp wysokiego samochodu stała „złotowłosa rodaczka”, trzymając oburącz sporą skrzynkę, która zamiast wieczka miała drucianą siatkę. Pod siatką znajdowały się najpiękniejsze brzoskwinie, ułożone równiutko w trzech warstwach, a pod nimi... maszyna piekielna.

— Śliczne! Gdzie je pani ukrywała dotychczas?

— Pod workiem na obrok. Nie chciałam ich pokazywać przy wszystkich, bo... bo... to dla pana kapitana. Tylko dla pana!

— Dla mnie?!

— Tak. Pan pomógł nam podnieść wóz, pan jest taki miły, dobry, przystojny i... i... no, niech pan to przyjmie ode mnie.

Długo, długo prawiała mu komplementy, prosiła natrętnie, plotła, co ślina przyniosła na język, chcąc potokiem gadulstwa zamaskować swoje wzruszenie, swój strach, swoje intencje. Nie wątpiła wprawdzie, że gdyby sierżant nie przyjął brzoskwiń, weźmie je chętnie jakikolwiek inny żołnierz z tej kolumny, lecz zależało jej na tym, aby eksplozja maszyny piekielnej nastąpiła w samochodzie, który pojedzie jako pierwszy. Sierżant zaś, zdecydowany od początku przyjąć ten prezent, milczał, pragnąc jak najdłużej patrzeć na czarującą blondynkę. Bóg tylko wie, kiedy tam człek złapie jaki urlop i będzie mógł doskoczyć do Arresy, do tej młodej wdówki, czemu więc nie nacieszyć oczu jeszcze dzisiaj, rozumował słusznie i nie bez zarzucia stwierdził w duchu: — Ona na mnie leci najwyraźniej!

Enzullah zakasłał ostrzegawczo. Zdenerwowany tym, że jego współpracowniczka igra ze śmiercią, miał wielką ochotę drapnąć sam. Wreszcie chlasnął batem muły, ruszył z miejsca, aby dać do zrozumienia swej towarzyszce, iż czas nagli diabelnie! Ona zaś miała już łzy w oczach. Z bezsilnej złości, którą musiała starannie ukrywać była bliska płaczu.

— Dam ten upominek komu innemu — rzekła w końcu — skoro pan kapitan gardzi skromnym darem wdowy, która...

— Ja gardzę?! — oburzył się niedoszły kapitan. — Za to niecne posądzenie żądam całusa lub naprawdę nie przyjmę brzoskwiń.

Wobec takiej pogroźki dała mu upragniony pocałunek. Ich usta spotkały się tuż ponad skrzynką zawierającą prócz niewinnych brzoskwiń okrutne narzędzie śmierci. Potem wniebowzięty sierżant przyjął zdradziecki *dar Danaów*⁽³⁾, położył go na kolanach askarysowi, który już siedział obok szofera.

— Czy on nie zje ich panu?

— Niechby spróbował! — Sierżant chcąc, popisać się swą władzą, „objechał” czarnego żołnierza po koszarowemu. W końcu oznajmił. — Ja sam to otworzę.

— Ale nie teraz, dobrze? — prosiła przerażona. — Za godzinę, za dwie. Chciałabym, aby te brzoskwinie jak najdłużej tam pozostały i przypominały panu kapitanowi... pewną blondynkę.

Wzruszyło go to żądanie, przyrzekł je spełnić, miał zresztą owocu pod dostatkiem, cały koszyk winogron i drugi moreli. Pożegnali się, kolumna ciężarowych aut ruszyła w dalszą drogę. Dalila liczyła je drapieżnym wzrokiem, a równocześnie odpowiadała na głośnie *a rivederci* żołnierzy. — Tylko dziesięciu? Och, czemu nie sto! nie tysiąc! — żałowała. Szofer ostatniego samochodu przymówił się o życzenia szczęśliwej podróży, wszakże oni jadą na front.

— Szczęśliwej podróży! — krzyknęła i dodała szeptem — do piekła!

Potem splunęła z obrzydzeniem na wspomnienie pocałunku sierżanta, dopędziła jadący powoli wóz, usiadła obok zrządzającego Enzullaha. Turek nie posiadał się z gniewu. Nastawił zegar maszyny piekielnej na godzinę szóstą, a teraz słońce niemal dotykało ziemi, czyli do szóstej brakowało kilku minut.

— Gdybym cię nie był przynagłał, zginęłabyś marnie i ja z tobą.

— Nie mrucz, Enzullahu, grunt, że wszystko poszło jak najlepiej, że nam już żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

— Nie mów *hop*, póki... — obejrzał się i zbladł. — Allah! Żandarmy!

Szybko skręcił z gościńca w prawo i kto wie, czy nie to właśnie obudziło podejrzliwość dwóch konnych żandarmów, jadących również w stronę Asmary. Nie podnosząc żadnego alarmu, nie wzywając uciekającej pary do zatrzymania się, skręcili z szosy w innym miejscu i nagle wyłonili się spoza skał przed wozem.

— Stać! — zabrzmiał rozkaz, poparty groźnym ruchem ręki uzbrojonej w duży rewolwer wojskowy.

Drugi żandarm zsiadł z konia, podszedł do Enzullaha, wyciągnął dłoń.

— Pokaż przepustkę.

— Ten staruszek jest głuchy.

Rzekłszy to, Dalila spojrzała powłóczyście na żandarma przekonana, że „pogrzy” go równie łatwo, jak tylu innych Europejczyków przed nim, że jej zalotne minki zastąpią wszelkie przepustki. Posiadała wprawdzie legitymację wystawioną przez pułkownika Bossio, lecz pozostawiła ją oczywiście w domu, gdyż opiewała ona na nazwisko *Borez*. Żandarm był tylko człowiekiem, młodym mężczyzną, który nie mógł pozostać nieczułym na kokieterię tak ładnej dziewczyny, w dodatku „Włoszki”, dlatego dość wyrozumiale potraktował jej zapewnienia, iż skutkiem pośpiechu zapomniała wziąć z sobą przepustkę. Ale służba służbą. Skoro już tak była roztargniona, kiedy wyjeżdżała w podróż, niech powie przynajmniej jak się nazywa, gdzie mieszka, skąd i dokąd jedzie, po co i tak dalej. Dalila przygotowana dobrze na takie indagacje jęła z zapalem recytować obmyślane zawczasu kłamstwa. Że jedzie za sprawunkami do Asmary, że jest żoną kolonisty w Arresie...

— Którego kolonisty? — wtrącił drugi żandarm.

— Emanuela Gambio.

— Takiego nie ma w Arresie!

— Słusznie, całkiem słusznie — wykrztusiła. — Mąż umarł przed rokiem. Ach, mój

biedny Manuel. Jak on strasznie się męczył na łożu boleści.

Ów drugi żandarm siedzący na koniu podjechał do wozu, spojrzął na nią przenikliwie. Co prędzej podniosła więc rondo kapelusza, aby *przekłętego Włocha* oczarować widokiem złotych włosów. I właśnie to ją zgubiło.

— Od jak dawna mieszka pani w Arresie?

— Od zamążpójścia — odparła ostrożnie.

— A gdzie to pani podróżowała tego roku w lipcu?

Zrobiło się jej gorąco. Do połowy lipca mieszkała w willi Jonasza Mongoszy na Antotto, tuż pod Addis Abebą. Czyżby ten żandarm o tym wiedział! Z wątpliwym tupetem jęła dowodzić, że w porze deszczowej żaden rozsądny człowiek nie podróżuje tutaj, że zatem w lipcu siedziała w domu.

— No to pani kłamie! Przez cały lipiec ja stałem w Arresie! I w tej zakazanej dziurze, w której znają się wszyscy, nie widziałem pani nigdy!

— Może pan mnie nie zauważył?

— Ja bym nie zauważył blondynki?!... Toć tam jasnowłosych kobiet nie ma na lekarstwo — poprawił się. — Ani kolonistów nazwiskiem *Gambio*. Co tu dużo gadać, ponieważ pani nie posiada przepustki i w dodatku usiłuje nas wprowadzić w błąd, pojedziemy tę sprawę wyjaśnić.

— Dokąd, panie majorze?

— Nie jestem majorom, tylko wachmistrzem. To, że pani popełniła tak grubą omyłkę, jest również podejrzenie! Nawrócić i jazda z nami... No, stary dziadu, słuchasz, czy nie?!

— On jest głuchy, mówiłam panom.

— Więc proszę mu wytłumaczyć na migi, że ma wykonać mój rozkaz.

— Spróbuję.

Gestykując szczerze, pochyliła się ku swojemu towarzyszowi, wyszeptwała po amharsku:

— Walcz, tchórze!

Enzullah siedział na worku z sianem. Za parawanem długiej, przyprawionej brody trzymał prawą rękę między nogami i już od dłuższej chwili starał się wymacać ukryty w sianie rewolwer. Nie było to rzeczą łatwą w obecnej sytuacji, ale cóż, innego wyjścia nie mieli. Aby nie wzbudzić nowych podejrzeń, zaczął nawracać, posługując się wyłącznie lewą ręką. Wtem zakasłał. Zrozumiała, że teraz na nią kolej, że ma odwrócić ich uwagę od niego, choćby na parę sekund. Zrobiła więc przerażoną minę, jak gdyby ujrziała Bóg wie co, wyciągnęła dłoń w stronę miasta, ku któremu wachmistrz był właśnie odwrócony tyłem.

— Patrzcie! Samolot spada!! — krzyknęła przeraźliwie.

Siedzący na koniu wachmistrz dał się nabrać, odwrócił głowę. Jednocześnie Enzullah wyrwał z worka rewolwer, wymierzył byle jak. Lecz żandarm stojący na ziemi czuł i podbił ogrodnikowi rękę w chwili strzału, a w pół sekundy później drugą pięścią palnął go w skroń.

— Ach, to z was takie ptaszki!

Wachmistrz, któremu kulka gwizdnęła koło ucha, nie mógł na razie wykrztusić nic więcej, tylko powtarzał w kółko swoje zdanko o *takich ptaszkach*. Gdyby nie obecność „białej” kobiety, Enzullah przebrany za tubylca byłby srodze odpokutował swój nieudany zamach już tutaj. Ale czekało go to w Asmarze i lękał się bardziej tego „ognia krzyżowych pytań” (jak delikatnie nazywamy tortury dzisiejszego śledztwa, zwłaszcza przy przestępstwach politycznych) niż szubienicy. Rozbrojony po ogłuszającym ciosie w skroń, rzucony na wóz ze związanymi na grzbiecie rękami, gryzł deskę w bezsilnym gniewie. Wściekał się tylko na siebie. Że spudłował, że w tak decydującym momencie zapomniał o drugim żandarmie, że nie strzelał najpierw do niego. Przez ten fatalny błąd przegrał sromotnie, zgubił jeśli nie wszystkich członków

abisyńskiego wywiadu w Erytrei, to w każdym razie najważniejszych, z wodzem Assarem Wezirym na czele. Bowiem nie wątpił, iż Dalila Borez przyciśnięta do muru wyśpiewa całą prawdę.

A Dalila była nie mniej zrozpaczona, chociaż z całkiem innego powodu. Wybuch amunicji nie nastąpił dotychczas! To przygnębiało ją stokroć bardziej niż perspektywa sądu wojennego z nieuchronnym epilogiem. Zdawała sobie sprawę z grozy swojego położenia, wiedziała, że nie może liczyć na żadną odsiecz, wiedziała, co ją czeka, ale nie przerażało jej to na razie. — Zginę bez żalu, byle te pociski z dziesięciu aut wyleciały w powietrze — powtarzała w duchu z głuchą zawziętością. — A może już wyleciały? — Odrzuciła to przypuszczenie po krótkim namyśle. Skoro było aż tutaj słycać stłumione dudnienie, echa wystrzałów armatnich, hen, spoza Adui czy Adigratu, to tym bardziej musiałyby usłyszeć potężną eksplozję tylu pocisków naraz, pocisków wiezionych przez kolumnę aut, która nie mogła do tej chwili ujechać więcej niż sześć, siedem kilometrów. — Najwidoczniej Enzullahowa maszyna piekielna jest do niczego. Nie wybuchnie nigdy...

Połykając łzy, szła tuż przed koniem wachmistrza, zgodnie z otrzymanym rozkazem. Za wozem kroczył przywiązany do niego drugi koń, którego jeździec powoził w miejsce skrępowanego Enzullahi, a wachmistrz jadący wierzchem na końcu nie spuszczał z oka obojga jeńców. Zwolnił umyślnie i opóźniał pochód Dalili, by nie mogła porozumiewać się ze współnikiem. Wszelkie ostrożności były więc zachowane, od gościńca dzieliło ich już tylko kilkadziesiąt metrów, nic absolutnie nie zapowiadało nowej niespodzianki.

Parę minut temu słońce skryło się za górami, lada chwila miało zająć. Nasunęło to Dalili myśl o ucieczce, której szanse, obecnie minimalne, mogły wzrosnąć bardzo, skoro zmrok zapadnie. O ile żandarmi nie mają przy sobie latarki elektrycznej! — I cóż stąd, choćbym nawet uciekła. W Asmarze nie miałabym już nic do roboty, gdyż ci dwaj poznają mnie nawet bez peruki. Trzeba by wracać do Abisynii. Wracać, nie dokonawszy właściwie niczego — myślała niezadowolona z siebie. — Niech mnie raczej powiesz. Niech mnie przywali ta skała!

Skała, u której stóp ich wóz właśnie przejeżdżał, wznosiła się na sześć lub siedem metrów ponad poziom tej quasi-drożyny i z takiej wysokości skoczył w dół jakiś człowiek z nożem w zębach, z włócznią w prawicy. Skoczył dosłownie na wachmistrza, który dostrzegł napastnika dopiero tuż nad sobą. Odruchowo pochylił się w bok i w tym samym momencie ścisnęły mu szyję uda tamtego. Runęli obydwa na ziemię, aż jęknęło.

Dalila odwróciła się w samą porę, by schwycić za uzdę przestraszonego wierzchowca. Odwróciła go co prędzej tak, by sobą zasłonił walczących przed drugim żandarmem, gdyby mu przyszła ochota obejrzeć się teraz. A tamci walczyli w milczeniu i muskularny wachmistrz szybko brał górę nad swoim przeciwnikiem, który najwidoczniej potłukł się dotkliwie przy swoim brawurowym skoku. Zasłaniając się lewą ręką przed ciosami pięści Włocha, prawą ścisnął go za gardło, uniemożliwiając mu wydanie okrzyku. Okrzyk zaalarmowałby drugiego żandarma, przesądziłby wynik walki. To Dalila zrozumiała natychmiast. Zrozumiała również, iż bez jej interwencji nieznaną sojusznik, tubylec ulegnie Białemu.

Białemu!

Czy ci chciwi, krwiożerczy Biali mają zwyciężać zawsze?! Nieee!

Nieopodal leżał nóż, który tubylec upuścił w chwili upadku. Wachmistrz już dwa razy wyciągał po niego rękę, ale nie zdołał sięgnąć. Podniosła go, nie wypuszczając z lewej dłoni uzdy konia. Zbliżyła się o krok. Wachmistrz podziękował jej wzrokiem, sądził zapewne, że ona chce ten nóż podać jemu, o głupiec! Ciachnęła go w plecy. Niezbyt mocno, gdyż ręka jej drżała, ale i to wystarczyło, by przechylić szalę zwycięstwa na stronę tubylca.

— Dziękuję — wyszeptał, podnosząc się z ziemi.

Wyrwał nóż z rany, ścisnął jego trzonek zębami, w prawą dłoń ujął leżącą obok włócznię i cicho jak kot popędził za wozem, który tymczasem oddalił się od nich o dobrych pięćdziesiąt metrów. Przebiegłszy z połowę tej przestrzeni, cisnął swoją lancę. Żandarm trafiony w kark osunął się na wóz i... jechał dalej, patrząc gasnącym wzrokiem na niebo, które z przerażającą szybkością zaczęło ciemnieć.

— Zatrzymaj wóz — zawołała Dalila po amharsku.

Wóz docierał już do gościńca, kiedy tubylec dopędził muły. Żandarma, przebitego włócznią na wylot zepchnął do przydrożnego rowu, rozwiązał ręce Enzullahowi, zawrócił do miejsca, gdzie stała Dalila. Stała, bowiem nie mogła ani rusz odciągnąć konia od jego pana jęczącego coraz ciszej.

— Gdzie jesteś? — zabrzmiał głos Enzullaha.

— Tutaj. Bywajcie.

Przed chwilą zmrok zapadł nagle, jak zawsze, i nie widzieli się w ciemnościach. Węchem wyczuła obecność tajemniczego wybawcy, który cuchnął zepsutym masłem okropnie, jak przystało rodowitemu Abisyńczykowi.

— Kto ty jesteś? — spytała.

— Dezerter — odparł i parsknął szyderczym śmiechem. — Gdzie leży ten biały pies? Aha, tu. Panie wachmistrzu żandarmerii, kapral Frumencjusz Uadzir melduje posłusznie, że twojego kolegę już zakatrupił. A pan wachmistrz będzie tu sobie zdychał powolutku do rana.

— Nie wygłupiaj się — zganił go Enzullah. — I lepiej dobij go, żeby nam nie narobił kłopotu.

— Pierw muszę mu podziękować za cywilizację Białych.

— Jakże to?

— Ano po danakilsku. Czterech Włochów już tak zoperowałem.

Enzullah, jako postępowy Turek, nieuznający instytucji eunuchów, nazwał taką operację barbarzyństwem, co oburzyło krewkiego Uadzira i doprowadziło pomiędzy nimi do małej sprzeczki. Wzięła w niej udział również Dalila, stając zdecydowanie po stronie niespodziewanego wybawcy.

— Spisałeś się dzisiaj tak haniebnie — rzekła do Enzullaha, — że nie masz prawa ganić innych.

— O czym mówisz! — spytał urażony.

— O twojej maszynie piekielnej! Gdzież ten wybuch?!

Pognębiwszy tą wymówką Turka, zaczęła uprzejmie rozmawiać z Uadzirem, wypyując go, z jakich stron pochodzi i skąd wziął się tu dzisiaj tak bardzo w porę. Odparł, że od bitwy pod Aduą, gdzie stracił lewą dłoń, wędruje sobie po Erytrei i po swojemu, ile może, „dziękuje” Białym za ich cywilizację. Dziś rano przypadkowo znalazł się tutaj. Ponieważ za dnia wałęsać się niebezpiecznie, wysypia się aż do wieczora, po czym wyrusza na poszukiwanie nowych ofiar. Dzisiaj obudził go huk wystrzału. Stwierdziwszy, że do zachodu słońca bardzo blisko, wychylił się ze swej kryjówki i zoczył żandarmów. Było ich dwóch, byli dobrze uzbrojeni, pomimo to jednak postanowił ich zaatakować, gdyż wieźli na wozie tubylca, sędziwego starca, wieźli go związanego zapewne do więzienia.

— Dzielny Uadzirze, więc dlatego narażałeś życie dla ludzi zupełnie ci obcych?

— Wszyscy, którzy nie są biali, nie są mi obcy!... Co prawda ty, niewiasto, choć mówisz biegle naszym językiem, jesteś biała, ale...

Parsknęła serdecznym śmiechem. Już miała na języku — takam ci ja biała jak ty — kiedy nagle łysnęło się tak, że noc stała się dniem na parę mgnień oka. Ziemia lekko zadrżała pod ich stopami.

— Co to? Przecież nie zanosi się na burzę.

— Tam! Tam! Patrzcie ku Adi Ugri — krzyknął Uadżir.

Spojrzeni. W południowej stronie nieba trysnął słup ognia, potem drugi, trzeci czwarty w niedługich odstępach. A w dwadzieścia pięć sekund po pierwszej i najjaśniejszej błyskawicy zahuczał grom bardziej donośny niż dziesięć prawdziwych piorunów. Wobec tego potężnego łoskotu trzy następne detonacje wypadły blade.

— A co! — odezwał się Enzullah. — Moja maszynka nie była taka zła. Samochody z amunicją wyleciały w powietrze.

Powiedział to szeptem do ucha Dalili, która niestety nie odznaczała się podobną przezornością.

— Bogu dzięki! — zawołała głośno. — Nasz trud nie poszedł na marne. Uadżirze, ten wybuch to w połowie moje dzieło!

Słowa te, jak i całą poprzednią rozmowę słyszał ciężko ranny wachmistrz żandarmerii. I, zanim skończył nazajutrz, powtórzył je tym, którzy go nad ranem tutaj znaleźli.

⁽¹⁾ Buon giorno (wł.) – dzień dobry.

⁽²⁾ buona sera (wł.) – dobry wieczór.

⁽³⁾ dar Danaów – podarunek ofiarowany w złych zamiarach. Pojęcie pochodzi z historii wojny trojańskiej. Darem Danaów (Greków) był drewniany koń wprowadzony do Troi jako podstępny dar (kryjący w swoim wnętrzu greckich żołnierzy), bezpośrednia przyczyna upadku i zniszczenia miasta.

ROZDZIAŁ IX

Wywiad abisyński zawsze liczył się z tym, że gołębia pocztowego, pomimo jego chyżości, może w drodze spotkać smutna przygoda, toteż raporty wysyłało się w dwóch egzemplarzach. Tak było również ze zdobytymi przez Dalilę Borez wiadomościami w sprawie zamierzonej zdrady Dedżaka Gugsy i wysłania włoskiego szpiega do Addis Abeby. Pierwszy gołąb niosący ten raport wpadł w szpony małego orła, którego zastrzelono. Drugi, wypuszczony w dwa dni później, czyli 3 października, spotkał na granicy Erytrei eskadrę *La Disperata* wracającą spod Adui po pierwszym ataku bombowym, który rozpoczął wojnę włosko-abisyńską. Przerażony widokiem olbrzymich, ryczących „ptaków”, zawrócił, skręcił w bok, a potem przez kilka dni błądził po okolicy płoszony wściekłą kanonadą na froncie Adigrat-Adua-Aksum. Dopiero gdy dnia 8 października strzelanina przycichła, gołąb poszybował w swoją drogę i ledwie żywy dotarł wieczorem do Makalle. Nazajutrz znalazł go w swoim gołębniku tutejszy agent wywiadu, Malkan Ayyahu i całą, niezrozumiałą dlań, treść listu przekazał telegraficznie do Addis Abeby.

Po rozszyfrowaniu depeszy Jonasz Mongosza pospieszył do negusa negesti, aby mu zakomunikować wiadomość o konszachtach Gugsy z Włochami. Niestety Haile Selassie nie chciał w to uwierzyć, tymczasem już następnego dnia doniesiono mu z frontu, iż kilka godzin temu Gugsza wraz z tysiącem swoich żołnierzy poddał się generałowi Santiniemu. Haniebny czyn cesarskiego zięcia zmartwił mocno władcę Abisynii, ale w każdym razie mniej niż utrata *świętego miasta* Aksum. Za to Jonasz Mongosza, którego ostrzeżenie zbagatelizowano, szalał z gniewu. Jego podwładni mieli przez to bardzo przykre urządowanie w dniu, w którym do Addis Abeby nadeszła wiadomość o zdradzie Gugsy.

— Wściekł się jednooki eunuch — mówili między sobą i z żalem wspominali owe dobre czasy, kiedy ich szefem był nieżyjący dziś Ludwik Brin.

A jednooki, pogodziwszy się z myślą, że tak prędko nie dostanie Gugsy w swoje ręce, postanowił to niepowodzenie powetować sobie kosztem porucznika Campolo. Ponieważ Dalila w swoim raporcie podała, że Campolo najchętniej charakteryzuje się na Falasza, czyli na abisyńskiego Żyda, Jonasz zaczął go szukać najpierw wśród starozakonnych. Agentom swoim mógł dać tylko tę jedną wskazówkę, że włoskiemu szpiegowi brak połowy lewego ucha. W dwa dni później wszyscy Żydzi w Addis Abebie i okolicy mieli spuchnięte uszy na skutek ustawicznych ataków na nie ze strony nieznanych, jakoby pijanych, awanturników. Wszyscy też zostali zrewidowani, przesłuchani, wylegitymowani przez policję, dziwnie wyrozumiałą dla napastników, a surową dla poszkodowanych, lecz cała ta komedia nie zdała się na nic; porucznika Campolo nie znaleziono... na razie.

— Czyżby on, wzorem rzekomej Alicji Rendell, ukrył się u hrabiego Vincięgo?

Żywiąc takie podejrzenia, Jonasz Mongosza udał się do ministra spraw zagranicznych i zapytał go, kiedy nareszcie poseł włoski zostanie wydalony z granic Abisynii. Przecież wojna trwa już od dziesięciu dni, a Vinci wraz z całym personelem poselstwa, jak gdyby nigdy nic, siedzi w Addis Abebie i udziela schronienia włoskim szpiegom.

— Czy są na to dowody, że ukrywa szpiegów u siebie?

— Są — odparł Jonasz bez wahania.

— O! Gdzież te dowody?

— Właśnie tam, w poselstwie.

— Dowcipna odpowiedź.

— Ta pochwała zachęca mnie do postawienia drugiego pytania.

— Słucham.

— Czy wiadomo Radzie Koronnej, że w parku poselstwa włoskiego znajduje się i działa krótkofalowa radiostacja?

Minister zafrasował się, poszedł z tym do cesarza, ale nic nie wskórał; Haile Selassie łudził się nadal, że Włosi zadowolą się zajęciem Adui, pod którą 1 marca 1896 ponieśli bezprzykładną klęskę, że są skłonni do rokowań i właśnie dlatego nie odwołali dotychczas swojego posła, hrabiego Vinciego. Jonasz, posłyszawszy tę odpowiedź władcy z ust ministra, aż ręce załamał z rozpaczy.

— Nie odwołali go, gdyż jego obecność zapewnia bezpieczeństwo centrali ich wywiadu, która znajduje się właśnie tam! — wybuchnął.

I miał słuszność, jak okazało się później, po wyjeździe Vinciego. Na razie jednak musiał ograniczyć się do obserwacji pałacyku poselstwa od zewnątrz, do śledzenia tych, którzy stamtąd wychodzili na miasto. Ale od miesiąca nikt spośród włoskich szpiegów nie wychodził z eksterytorialnego azylu tą zwyczajną drogą, mieli lepszą. Używał jej również Leonardo Campolo, przybyły do Addis Abeby jeszcze dnia 7 października, czyli w dniu, w którym na froncie północnym padło Aksum. Wiedząc, że kapitan Mario Medini przebywa w Etiopii jako francuski przyrodnik Valentin Duroc, odszukał go łatwo, po czym obydwaj z zachowaniem wszelkich ostrożności udali się do domu kupca Abdula Gamala, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Ibrahim Er-Durusz i który do niedawna był faktycznym szefem wywiadu włoskiego w Abisynii. Kapitan Medini, otworzywszy bramę swoim kluczem, zaprowadził kolegę do znajdujących się na piętrze apartamentów Ibrahima.

— A gdzie jest gospodarz? — rzekł Campolo. — Pytam o to nie z własnej ciekawości, lecz z polecenia pułkownika Bossio.

— Sam nie wiem, dokąd wyjechał Er-Durusz — odparł Medini. — Wyjechał w sierpniu, miał wrócić za dwa, trzy tygodnie, tymczasem do dzisiaj nie dał znaku życia. Obawiam się, czy nie sprzątnął go jego kompan, niejaki Clyde Eyston, który tutaj przez miesiąc leczył się z rany postrzałowej otrzymanej w dość zagadkowych okolicznościach. Ibrahim Er-Durusz uważał go za przyjaciela, ale temu przyjacielowi źle z oczu patrzyło.

— Hm, to szkoda.

— Gdyby pan wiedział, jak ja żałuję! Ibrahim był wprost nieocenionym pracownikiem, był żywą encyklopedią abisyńską.

— Z której — dorzucił Campolo — między innymi byłbym się był dowiedział czegoś pewnego o pochodzeniu i przeszłości tej oto młodej dziewczyny. Czy pan kapitan nie zna jej przypadkowo?

Z tymi słowy przedstawił koledze fotografię Dalili Borez.

— Nie — zaprzeczył Mario Medini — ale warto by pokazać to zdjęcie naszemu A.106.

— Kto to zacz?

— Człowiek, który niby należy do zbirów Jonasza Mongoszy, lecz pracuje dla nas. W najbliższy poniedziałek spotkam się z nim znowu. Jeśli więc kolega chce, to...

— Najchętniej, panie kapitanie. Pragnąłbym jednak na razie zatrzymać tę fotografię przy sobie, a wręczę ją panu dopiero w niedzielę. Mam wprawdzie zamiar tego dnia wypłatać Etiopczykowi grubszego figła, ale znajdę chyba czasu na tyle, by spotkać się z panem.

— Grubszego figla? Czemu wybrał pan na to niedzielę?

— W niedzielę będzie trzynasty października — odparł z uśmiechem Campolo — a trzynastka zawsze przynosiła mi szczęście.

Czyż mógł przeczuć, że tym razem trzynastka będzie dlań tak bardzo feralna?!

— Chciałbym też — rzekł w końcu, gdy omówili już inne sprawy służbowe — zobaczyć się jak najrychlej z naszym attaché militaire, który na pewno jest pod dobrą obserwacją. Czy pan kapitan mógłby mi ułatwić dyskretną schadzkę z nim?

— Oczywiście. Zastanie go pan w poselstwie, dokąd udamy się zaraz.

— Zaraz? Razem? W biały dzień?!

— To jeszcze nic — odparł Medini, ubawiony zdziwieniem kolegi. — Możemy przy tym nieść transparent z napisem *Baczność, poddani negusa! Oto idą szpiedzy włoscy*, a pomimo to nikt nas nie zaczepi po drodze.

— Jakże to?!

— Zrozumie pan za chwilę.

I zrozumiał, kiedy Mario Medini sprowadził go do podziemnego korytarza, który zaczynał się w piwnicy tego domu i biegł pod miastem w kierunku północno-wschodnim w stronę toru wyścigowego, a potem dalej ku dzielnicy poselstw i konsulatów, mając po drodze kilka rozgałęzień. Ostatni ganek, łączący ten labirynt z pewną altaną w ogrodzie należącym do poselstwa włoskiego, Medini z dumą nazwał swoim dziełem.

— Po wyjeździe Ibrahima Er-Durusz poleciłem jego robotnikom przerwać dotychczasową robotę, a rozpocząć kopanie tutaj — rzekł.

— A czy który z tych robotników nie wygada się, że...

— O, nie! To są niewolnicy, którzy nigdy nie opuszczają podziemi. Tu mieszkają, pracują i... umierają.

Przypadkiem spotkali oddział tych nieszczęśników, a widok ludzi-szkieletów przykutych łańcuchami do taczek obecnie czubato napełnionych ziemią, ludzi bezgranicznie przygnębionych, smutnych, lśniących od potu, okrwawionych, cuchnących tak, jakby rozkładali się już za życia, i bez litości bitych przez zwyrodniałych dozorców wywarł wstrząsające wrażenie na poruczniku Campolo. Stał jak wryty, chociaż ponury korowód żywych trupów zniknął już w bocznym kruzganku i żalosne dźwięki łańcuchów w końcu ucichły.

— Hallo, kolego — zabrzmiał głos kapitana Mediniego. — Gdzie pan tam ugrzązł?

— Miałem wrażenie, iż w piekle.

— Porównanie trafne tym bardziej, że nasz Ibrahimek, choć jest wcale przystojnym mężczyzną, ma w sobie coś z diabła. Zapewne dlatego upodobił to swoje królestwo do dantejskiego piekła.

— Ale jak my, Włosi, możemy tolerować podobne barbarzyństwa?!

— A co mam począć? Wypuścić tych niewolników na wolność? Uczynię to, skoro Abisynia skapituluje, co nastąpi w lutym.

— W lutym? Hm, bardzo wątpię.

— Ja nie wątpię. Wprawdzie żołnierze abisyńscy bronią się wspaniale, wprawdzie ich wodzowie, wbrew naszym przewidywaniom, nie załatwiają między sobą starych porachunków, ale wszystko to skończy się momentalnie ze śmiercią... negusa i jego rodziny.

— Planujecie na nich zamach? To może przeciwko nam wzburzyć opinię całego świata.

— Niech pan będzie spokojny. Ja już tak to urządzę, że ani cień podejrzenia nie padnie na nas.

Kapitan Medini, który dotychczas nikogo nie wtajemniczył w szczegóły swojego planu,

nie zrobił oczywiście wyjątku dla tego kolegi.

— Mogę pana tylko zapewnić, że jeśli w drugiej połowie stycznia nasze wojska złamią nareszcie opór Abisyńczyków, to będzie to przede wszystkim moją zasługą — dodał tonem przechwałek.

Campolo postanowił zameldować zwierzchnikowi po powrocie do Erytrei, że *ten postrzelony Medini* szykuje zamach na życie negusa, a na razie skierował rozmowę na inne tory.

— Pułkownik Bossio mówił mi również, że w Addis Abebie przebywa jeszcze pańska małżonka.

— A przebywa, przebywa — odburknął Medini i zaklął.

— Mieszka podobno w poselstwie, którego z zewnątrz ludzie Jonasza strzegą zbyt dobrze, by mogła je opuścić dyskretnie. Ale czemu nie wyprowadzi jej pan stamtąd tą bezpieczną drogą?

— Co mi z tego! Podkopem, którym teraz idziemy, można przedostać się z jednej dzielnicy do drugiej, to wszystko. A przy bramach miasta czatują agenci, którzy dokładnie znają rysopis mojej Madelon. Nawet reprodukcje jej fotografii z paszportu mają przy sobie.

— Czy nic można by żony pana kapitana ucharakteryzować na tubylkę?

— Nnnie. Jest na to za wysoka, za jasna, nie włada poprawnie żadnym językiem etiopskim, zresztą... — Ugryzł się w język. Wolał przemilczeć to, że Madelon ani rusz nie chciała uciec z Abisynii bez ukochanego męża. Zamiast tego powiedział z serdeczną pasją. — Niech diabli wezmą głupca, który mi tu babę zwał na kark.

Już od dłuższej chwili szli pod górę, co porucznikowi Campolo nasunęło przypuszczenie, że zbliżają się do celu. Medini wyprowadził go z błędu.

— Zbliżyliśmy się do dawnego wyjścia znajdującego się koło toru wyścigowego — tłumaczył swojemu towarzyszowi.

Mówiąc to, ujął w dłoń zawieszoną u pasa latarkę elektryczną, której światło dotychczas padało na ziemi tuż przed nimi i skierował je prosto przed siebie. Wówczas Campolo ujrzał w odległości kilkudziesięciu kroków pionowo stojącą drabinę, a znacznie bliżej, na prawej ścianie korytarza ciemną czeluść, jak gdyby głęboką niszę. Nie była to jednak nisza, lecz początek bocznego ganku, wiodącego stąd prosto do poselstwa włoskiego.

— Ten ganeczek wykopano już za moich rządów — pochwalił się znowu kapitan Medini. — Dawniej podziemia kończyły się tam, gdzie stoi drabina. Tamtędy wprowadzano naszych ludzi, wysłanych do Ibrahima, którego siedziba dzięki temu była nieznana nikomu oprócz garsteczki najwierniejszych sług.

— Czy to wyjście jest obecnie zamurowane lub zasypane ziemią?

— Nie. Wolałem je zachować na wypadek niebezpieczeństwa.

— Niebezpieczeństwa, zagrażającego ze strony Jonasza?

— Przede wszystkim ze strony... wody. Pamięta pan ów rwący potok, który zabiera stąd ziemię wykopaną przez niewolników?

— Oczywiście. Lecz płynie on o dobrych dwieście metrów poniżej poziomu pańskiego labiryntu. Do takiej wysokości nie dojdzie żadna powódź.

— Nie wiadomo, nie wiadomo. Proszę nie zapominać, że jego koryto jest właściwie tylko szczeliną, która u szczytu liczy zaledwie piętnaście metrów szerokości... Poza tym oprócz tego strumienia może tu być jeszcze kilka innych podobnych strug wodnych. W Abisynii co druga rzeka płynie raz normalnie wierzchem, raz pod ziemią. I gdybyśmy przy naszych pracach minerskich⁽¹⁾ natrafili na taką rzeczkę, zaleje ona cały labirynt w mgnieniu oka...

Tak stać się miało naprawdę, ale później, znacznie później. Na razie nic jeszcze nie wróżyło straszliwej katastrofy i porucznik Campolo w myśli uznał obawy starszego kolegi za

całkowicie nieuzasadnione.

— Jeśli o mnie chodzi — mruknął — to stokroć więcej niż wody lękałbym się tego zapasowego wyjścia, które tam, na powierzchni ziemi, może ktoś odkryć nawet przypadkowo i...

— O to nie ma strachu — wtrącił Mario Medini. — Górny wylot szybu, w którym stoi drabina, znajduje się... pod łóżkiem pewnego czarownika, a ten czarny szarlatan, ślepo oddany Ibrahimowi, budzi taki respekt u zabobonnych Abisyńczyków, że nikt z nich nie ośmieli się wejść do jego chaty.

W przeciwieństwie do głównego korytarza podziemnego, boczny ganek był niski i bardzo wąski. Nawet idąc gęsiego, ocierali się o ściany łokciami, a głowy musieli pochylać raz po raz, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie „sufit” był podstemplowany. Nie sprzyjało to dalszej rozmowie i droga zaczęła się dłużyć, lecz w końcu nadszedł jej kres. Po krętych drewnianych schodkach wyszli na górę, stanęli pod ciężkim wiekiem, w które Medini uderzył pięścią cztery... dwa... i znów cztery razy. Musiał przez kilka minut powtarzać to umówione pukanie, zanim w wieku otworzono lufcik, aby sprawdzić, kto idzie, po czym w końcu podniesiono ciężką, okutą klapę. Znaleźli się w ładnej, porośniętej bluszczem altanie, gdzie stale „urzędował” najbardziej zaufany woźny poselstwa, stary Pietro.

— Pukałem chyba z kwadrans — rzekł doń Medini strofująco — tyś spał albo głuchniesz na starość.

— Czy można spać na kwadrans przed zlinchowaniem?

— Jak to? Jak to?

Zanim woźny zdążył odpowiedzieć, za niezbyt stąd odległym murem ogrodu zabrzmiał przeraźliwy krzyk, któremu zawtórowały po chwili setki, tysiące głosów. Ten zbiorowy ryk przeszedł rychło w przeciągłe wycie, ponure, straszne, złowrogie.

— Co to?!

— Czarni awanturują się przed poselstwem. Zaczęło się to...

Mario Medini nie miał ochoty słuchać sprawozdania z przebiegu demonstracji, która jeszcze trwała, a przy abisyńskim temperamentem mogła łatwo zmienić się w rzeź przebywających tu Włochów. Pobiegł więc wraz z porucznikiem Campolo przez park w stronę pałacyku. Z kilku jego kominów buchały kłęby dymu, co świadczyło, że na gwałt palono sterty mniej ważnych dokumentów, których nie opłacało się wywozić. Bramy głównego budynku od strony ogrodu strzegło trzech funkcjonariuszów poselstwa, uzbrojonych jak Rinaldo Rinaldini⁽²⁾, ale prawie nieprzytomnych ze strachu. Dowiedzieli się od nich, że hrabia Vinci telefonował wprost do cesarza, lecz podczas rozmowy ktoś przeciął druty.

— Jeśli negus natychmiast nie przyśle odsiecz, zginęliśmy bez ratunku. Oni tam krzyczą, że porąbią nas na kawałki.

— Drogo by Abisynia za to zapłaciła!

— Możliwe, ale nas to nie wskrzesi.

Porucznik Campolo nawymyślał woźnym od tchórzy, po czym zapytał z flegmą, czy pan attaché militaire już przyjmuje. Medini natomiast popędził na poddasze, gdzie znajdowała się jego tutejsza kwatera. Pchnął drzwi środkowego z trzech małych pokojów i ujrzał swoją żonę klęczącą przed obrazkiem Matki Boskiej.

— Madelon, dlaczego mnie nie słuchasz! — rzekł z wyrzutem.

Na dźwięk jego głosu odwróciła szybko głowę, a jej piękna, zalana łzami twarzyczka wypogodziła się natychmiast.

— Jesteś, najdroższy mój!

Podniosła się, przybiegła do niego. Kiedy przytuliła się, wyczuł nerwowe drżenie jej rąk.

— Boisz się?

— Już nie, już ani trochę, lecz umierałam ze strachu... o ciebie. Wyłącznie o ciebie, Mario.

— Wzruszasz mnie doprawdy.

— Powiedziałeś to jedynie ustami — westchnęła. — Daleki, bardzo daleki jesteś teraz od dawnych, prawdziwych wzruszeń.

— Nie pora na nie — odburknął. — Czemu nie schroniłaś się do podziemi! Mówiłem ci, że w razie niebezpieczeństwa...

— Tak, Mario, tak, ale ja sama nie zesłabym do podziemi.

— Dlaczego?!

Zawahała się, potem skorzystała skwapliwie z tego, że demonstranci znów natarli na kordon policji przy akompaniamencie nowych wrzasków.

— Czy mówiono ci już, jakie pogróżki padają z tłumu?

— Owszem. Pogróżki godne barbarzyńców.

— Czy nie są większymi barbarzyńcami ci nasi lotnicy, którzy zrównali z ziemią tyle spokojnych wiosek w Tigre.

— Z naszej strony urzędowego potwierdzenia tej wiadomości dotychczas nie było, a obcym dziennikarzom nie wierzę.

— Ale musisz wierzyć w to, co sam widzisz i czynisz. Mam na myśli okrutne traktowanie niewolników Ibrahima Er-Durusz, którego dzieło ty prowadzisz dalej, niestety... Nie marszcz czoła, mój Mario. Mówię ci tę gorzką prawdę tylko przez serdeczną troskliwość o ciebie. Bo wierzę... możesz to nazwać zabobonem... wierzę, iż każda zbrodnia musi być pomszczona, więc i ta, której ofiarą padają ci nieszczęśliwi w podziemiach. I dlatego ja boję się tego labiryntu okropnie. Niesamowity lęk mniej przejmuję, kiedy...

— Więc przygotuj się na to — przerwał jej szorstko — że skoro poseł Vinci nareszcie wyjedzie z resztą personelu poselstwa, będziesz musiała zamieszkać właśnie tam, w podziemiach!

— Sama?! Nie, nieee, nigdy!

Wybąkał pod nosem coś, z czego zrozumiała tylko jedno słowo: *histeryczka*. Wmawiała w siebie, że przesłyszała się fatalnie, wołała ludzię się nadal, iż jej ukochany Mario nie zmienił się nic od czasów ich szczęśliwego pożycia w Rzymie. A coraz trudniej było w to uwierzyć...

— O, Mario, czy wrócą kiedy nasze piękne dni?...

Oстрым, szyderczym śmiechem tłukącego się szkła parsknęła szyba i spory kamień pokatulał się po podłodze aż do ich stóp.

Mario Medini podbiegł do rozbitego okna, stanął z boku, aby nie narażać się bezpotrzebnie.

— Do diabła, aż tak blisko już podeszli?!

Demonstranci, choć uzbrojeni w noże i kamienie, nie atakowali policjantów, nie bili ich, jak dotąd, to przecież byli swoi, rodacy. Nie przerwano więc dotychczas kordonu, lecz zepchnięto go po wielki klomb przed pałacykiem. Ale nie wszystkim odpowiadał tak spokojny przebieg antywłoskiej demonstracji. W tłumie dostrzegł Mario kilku mężczyzn, którzy wymowną gestykulacją zachęcali sąsiadów do większej agresywności i, świecąc jej przykładem, rzucali kamienie ponad głowami policjantów. Znowu gdzieś zadźwięczała szyba.

— Dałbym sobie rękę uciąć, że wśród tych prowodyrów jest paru ludzi Jonasza Mongoszy — mruknął kapitan Medini. — Ale nie ciesz się, jednooki drabie; nie dostaniesz nas tak łatwo, choć dobrześ to widowisko wyreżyserował.

Owa reżyseria była naprawdę niezła. Bowiem w pewnej chwili ktoś krzyknął *niech żyje policja* i od razu wszyscy policjanci wyrosli wysoko ponad tłum, który w tak podstępny sposób

chciał uporać się z kordonem. Zanim to jednak nastąpiło, na tyłach gromady zabrzmiały wrzaski przerażenia i bólu. Zrazu państwo Medini nie mogli pojąć co zaszło, gdyż eukaliptusy zasłaniały dalszy widok. Aż wreszcie...

— Gwardia!

Gwardziści negusa, przywiezieni na kilkunastu samochodach ciężarowych, rozpędzali demonstrantów kolbami. Czynili to z taką brutalnością, że Mario Medini zaczął ich okłaskiwać.

— Daję ci nowy dowód mojej bezstronności — rzekł — nawet u wrogów cenię prawdziwe zalety i...

— Ty nazywasz zaletą objawy zdziczenia?!

Za tak dosadne skrytykowanie tego, co jemu przypadło do gustu, zemścił się bezzwłocznie po swoim.

— Zgadnij, kto chce zobaczyć się ze mną koniecznie... No?

— Kobieta? — spytała zaniepokojona.

— Nie. Twój **kochanek!**

Pobladła, spojrziała na męża z wyrzutem.

— Nie powinienes używać określeń, które w fałszywym świetle stawiają przede wszystkim ciebie — odparła, siląc się na spokojny ton. — Byłam kochanką Gastona wtedy, kiedy ty jeszcze nie byłeś moim mężem.

— Czy tylko wtedy?

— Jak możesz w to wątpić!

— Muszę wątpić. Przecież od swego przyjazdu tutaj do połowy lipca mieszkałaś w willi Gastona d'Harcourta, przedstawiając się za jego siostrę. Wiem, że uczyniłaś to na rozkaz mojego szefa, który w ten sposób chciał odwrócić od ciebie podejrzenia tubylców i ułatwić ci poszukiwania zaginionego męża. Ja zaś, uwięziony przez sułtana Dżiimy nie dałem znaku życia od pół roku. Nawet przez swoich zwierzchników byłem uznany za zmarłego, mogłaś więc uważać się za wdówkę. I mieszkałaś pod jednym dachem ze swoim dawnym kochankiem! Czy to nie uprawnia do szerokich domysłów?

— Tak, ale...

— Sama przyznałaś, że twój niespodziewany przyjazd do Abisynii szalenie ucieszył Gastona, że on prześladował cię swoimi umizgami. Miejże zatem odwagę powiedzieć resztę, że z sobą żyliście tak, jak ongiś w Rzymie.

— Nie!

— Ani razu nic należałaś tu do niego?

— Nie!

— Ale całowaliście się często?...

— Mario, nie poznaję cię doprawdy. Trzy miesiące minęły od chwili, gdy Bóg zwrócił mi ciebie, i nigdy nie zadręczałeś mnie takimi pytaniami, aż nagle teraz...

— Bo teraz wypadło mi niespodziewanie to, że spotkam się z tym panem oko w oko.

Chcę więc przedtem wiedzieć o was wszystko! Twierdzisz, że nie oddałaś mu się nigdy.

Przypuśćmy, iż to jest prawdą. Lecz nie w mówisz we mnie, że przez tyle miesięcy żyliście razem jak brat ze siostrą, że nie doszło nigdy do pocałunków, pieszczot i daleko posuniętych poufałości... Aha, spuściłaś wzrok! Prosiłbym jednak o dokładniejsze informacje;

Ze szczerym obrzydzeniem musiała odbyć tę niezwykłą spowiedź małżeńską, której epilog był jeszcze bardziej nieoczekiwany. I brutalny tak, że Madelon, ubóstwiająca męża bezgranicznie i ślepa na jego wady, nagle przejrzała.

⁽¹⁾ prace minerskie – dawne działania oblężnicze polegające na stosowaniu przez oblegającego m.in. specjalnych podkopów. Słowo *mina* znaczy m.in. kopalnia, podkop.

⁽²⁾ Rinaldo Rinaldini – *herszt zbójców*. Bohater powieści Christiana A. Vulpiusa (1798).

ROZDZIAŁ X

Największą sensacją dnia w Asmarze stał się wybuch amunicji nieopodal Adi Ugri. Ponieważ nazajutrz ofensywa włoska utknęła o kilkanaście kilometrów na południe od Adui, Dalila Borez uznała bez wahania, że pomiędzy tymi dwoma faktami zachodzi ścisły związek, i była niezmiernie dumna ze swego dzieła. Ale radość jej trwała krótko. Kiedy w rozmowie z pewnym oficerem zapytała, dlaczego Włosi nie posuwają się dalej, otrzymała odpowiedź, że muszą wpierw pobudować drogi na zdobytym terenie, po czym nastąpi drugi skok naprzód, na Makalle. — Więc to nie przez tę eksplozję? — Na to oficer parsknął homeryckim śmiechem. — Choćby taki transporcik wylatywał w powietrze codziennie jeden, nie poczujemy tego zupełnie — odparł. — Czy wiesz, czekoladowa księżniczko, ile wagonów amunicji zużywamy codziennie od wybuchu wojny?

Przykrość, jakiej doznała z powodu tego rozczarowania, była jednak niczym wobec innego wydarzenia, które rozegrało się pod wieczór, kiedy szła na spotkanie z profesorem Mearzą w kawiarni. Od miejsca tej schadzki dzieliło ją zaledwie 40 kroków, gdy zwrócił jej uwagę wysoko na słupie naklejony afisz, przed którym tłoczyło się sporo ludzi. Przystanąła, zaczęła czytać i od razu pociemniało jej w oczach. Było to bowiem obwieszczenie następującej treści:

10.000 LIRÓW NAGRODY

otrzyma ten, kto w jakikolwiek sposób przyczyni się do ujęcia dezertera, mordercy sześciu osób

FRUMENCJUSZA UADŻIRA...

Poniżej zamieszczony był dokładny rysopis poszukiwanego, przy czym aż dwa razy wspomniano o tym, że Uadżir ma uciętą lewą dłoń. Zacytanej Dalili wydało się więc, iż majaczy w gorączce, kiedy nagle ujrzała na swoim ramieniu kikut strasznie okaleczonej ręki, źle zawinięty brudną szmatą. Odwróciła głowę i omal nie zemdląła. Tuż za nią stał szelmowsko uśmiechnięty Frumencjusz Uadżir!

— Dobry wieczór — rzekł. — Co oni tam napisali!

Trzepnęła go po zabandażowanej łapie, którą już podnosił, by pokazać jej plakat, ścisnęła mu rękę w przegubie, ściągnęła ją na dół jak najniżej, podniosła się na palcach, chcąc szepnąć mu do ucha kilka słów ostrzeżenia, lecz w tej samej chwili z drugiej strony przystąpił do niej Mearza.

— Przepraszam za małe spóźnienie — rzekł, witając się z nią.

Ujął jej prawą dłoń, a lewą ścisnął rękę Uadżira. Swoją szczupłą sylwetką oddzielała Włocha z wywiadu od dezertera, na którego głowę wyznaczono nagrodę i wszyscy troje stali wraz z gromadką innych ludzi pod fatalnym obwieszczeniem. Tak upłynęło kilkanaście sekund strasznych, a długich jak wieczność. Wreszcie Dalila, przerażona wojowniczym chrząknięciem Uadżira, zaczęła prosić profesora, by zaczekał na nią w kawiarni, dokąd ona przyjdzie za chwilę.

— Nie wszyscy z tych ludzi umieją czytać i ktoś z nich prosił mnie, abym mu wytłumaczyła, co tu napisano — rzekła.

Mearza uwierzył w to i wyręczył ją w głośnym odczytywaniu listu gończego. Już po pierwszym zdaniu Uadzir oswobodził swą rękę z kurczowego uścisku Dalili. Ale nie odszedł od razu. Okazał się na tyle rozsądnym, że zaczekał do końca, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

Na werandzie kawiarni, ku utrapieniu profesora, zastali kilku znajomych oficerów, którzy przysiedli się natychmiast do Dalili. Tematem rozmowy stała się od razu katastrofa pod Adi Ugri.

— To nie był nieszczęśliwy wypadek — rzekł Mearza, chcąc popisać się przed *czekoladową księżniczką*, że wie więcej niż inni — to zbrodniczy zamach! I władze są już na tropie sprawczyń!

Dalila zakrztusiła się nagle tak, że w oczach stanęły jej łzy.

— Czy te ciastka mają ości, jak ryba? — zażartował ktoś.

Większość zainteresowała jednak bardzo sensacyjna wiadomość.

— Sprawczyń! Więc zamachu dokonała kobieta?

— Tak. Młoda, podobno bardzo przystojna blondynka.

— Blondynka?!

— Do licha, skąd się tu wzięła blondynka, w dodatku przystojna?

— Prawdopodobnie agentka angielska.

— Przekłęci Anglicy!

Włosi zaczęli rzucać pogróżki pod adresem synów Albionu, a przez ten czas Dalila opanowała się do reszty.

— Nie chce mi się wierzyć — rzekła — aby kobieta mogła wykonać napad na kolumnę aut jadących zapewne pod eskortą. Skąd pan wie, że to dzieło kobiety? — zwróciła się do profesora. — Przecież mówił pan przedtem, że ci żołnierze, którzy znajdowali się w tych dziesięciu samochodach zginęli wszyscy.

— Wiemy to z zeznań wachmistrza żandarmerii, który tę zbrodniarkę aresztował na drodze.

— Ach, więc ona już jest pod kluczem?!

— Niestety, jeszcze nie. Uciekła dzięki pomocy dezertera Uadzira, który jednego żandarma przebił lancą na wylot, a drugiego ranił ciężko. Właśnie ten drugi w drodze do szpitala zeznał to wszystko.

— Skoro on ją aresztował i prowadził przez jakiś czas, to zapewne zapamiętał sobie jej twarz i pozna ją...

— ...ale dopiero na Sądzie Ostatecznym — wtrącił Mearza. — Zanim go dowieziono do szpitala, umarł.

— Umarł — powtórzyła Dalila z niemałą ulgą. — A umarli milczą na szczęście — dodała w myśli.

Umarli milczeli, za to żywi mówili bez końca o wybuchu pod Adi Ugri, zwłaszcza gdy rozniosło się, że był on dziełem jakiejś młodej, jasnowłosej piękności. Zauważyło ją krytycznego popołudnia kilkanaście osób, jadących z frontu przez Adi Ugri do Asmary lub w odwrotnym kierunku, lecz spośród nich tylko jeden człowiek, pewien major artylerii górskiej dał dowód swojej spostrzegawczości. Zgłosiwszy się do prowadzącego śledztwo kapitana żandarmerii, oświadczył między innymi:

— Przed stojącą na szosie kolumną samochodów z amunicją ujrzałem wóz, do którego brodaty tubylec właśnie zaprzęgał muły. Na wozie piętrzyły się koszyki z owocami. Sprzedawała je żołnierzom smukła, przystojna damulka w dużym słomkowym kapeluszu. Była ubrana bardzo niegustownie, krzykliwie. Miała na sobie czerwoną suknię z liliowym szlakiem i żółty pasek.

Rysów jej twarzy nie umiałbym opisać, ale przy spotkaniu poznałbym tę zmię od razu...

Dalila, dowiedziawszy się dzięki swoim znajomościom o tych zeznaniach, postanowiła unikać jak ognia wszystkich majorów artylerii, a swoją krzykliwą suknię spalić natychmiast. Nie obawiała się kupca, u którego nabyła ową tandetną kieckę, gdyż niegustowny szlaczek liliowy przyszyła sobie sama, a złoty pasek pochodził z innego sklepu. Natomiast szalonym lękiem napawał ją fakt, że w gaju oliwnym, obok miejsca, gdzie zatrzymała nieszczęsną kolumnę aut, zostawiła przez zapomnienie swój kwef oraz arabski haik z przyszytym doń od wewnątrz woreczkiem. W tej kieszeni niosła przedtem perukę, którą wprawdzie zabrała, lecz miała tam również różne toaletowe drobiazgi i tych obecnie doliczyć się nie mogła.

— Jeśli tam zostawiłam grzebień, który mi darował Mearza, jeżeli go znajdą, od razu wpadną na mój trop — myślała ze ściśniętym sercem.

Coraz częściej nawiedzała ją pokusa, by wrócić do Abisynii jakąś bezpieczną drogą. Jonasz Mongosza powiedział do niej, kiedy wyjeżdżała z Addis Abeby: — Nie narażaj życia bezpotrzebnie. Jeżeli wyczujesz, że lada moment możesz być zdemaskowana, uciekaj natychmiast! — Miała więc upoważnienie do opuszczenia swego posterunku, natomiast nie miała pewności, czy nadszedł już moment, o którym mówił Jonasz.

— Jeszcze trochę zaczekam — powtarzała sobie — jeszcze muszę coś zdziałać dla swoich, bo właściwie nie dokonałam dotychczas niczego.

Bo nie liczyła takiej drobnostki, jak wysłanie do Addis Abeby „recepty” na obronę przed czołgami. Zdarzyło się to w dwa dni po wysadzeniu w powietrze dziesięciu aut z amunicją. Z frontu przyjechał służbowo jeden z jej wielbicieli, oczywiście wpadł do niej na pół godzinki, które w całości wypełniło opowiadanie o jego wojennych wyczynach. Musiał się przecież pochwalić, jak to swoimi czołgami miażdżył czarnych „barbarzyńców”, którzy z dziką brawurą atakowali stalowe potwory... bambusowymi lancami.

Jeździłem po nich jak po rozsypanych śliwkach i wgniatałem w ziemię zmasakrowane cielska. Ach, powiadam ci, czekoladowa księżniczko, to było wspaniałe widowisko...

Długo zachwycał się w ten sposób, a Dalila Borez, choć w sercu jej wrzał wulkan nienawiści do białych krzewicieli takiej cywilizacji, pokładała się od śmiechu, zachęcając tym Włocha do dalszych opisów tej rzezi.

— A czy tobie nic tam nie grozi? — spytała w pewnej chwili.

Zajrzała mu przy tym w oczy z tak świetnie udanym niepokojem, że zaczął ją gorąco całować po rękach, rozczulony jej troskliwością.

— Czy nie ma żadnej broni — nalegała dalej — która mogłaby zniszczyć twoje piękne maszyny?

— Jest, jest, ale Czarni jej nie mają. Nie znają też łatwego sposobu walki z tankami, który polega na tym, że w terenie spodziewanego ataku czołgów kopie się głębokie jamy, nakrywa się je z wierzchu gałęziami i lekko przysypuje ziemią...

— Ach, więc to są po prostu takie doły, jakich używa się do chwytania żywcem dzikich zwierząt! — zawołała.

Dosłownie to samo powiedział w trzy dni później ras Nazibu, któremu Jonasz Mongosza przesłał z Addis Abeba do Hararu „receptę” Dalili i natychmiast rozpoczęło się polowanie na czołgi, które zwłaszcza na południowym froncie mocno dawały się we znaki Abisyńczykom. Na północy zaś śmierć, pożogę i zniszczenie siały przede wszystkim samoloty, dlatego Dalila Borez z kolei zainteresowała się najbardziej lotnictwem. Miała już sporo znajomych wśród włoskich lotników, lecz wszyscy oni byli obecnie bardzo zajęci.

Wszyscy z wyjątkiem jednego. Kapitan-pilot Campiuchi, właściciel rozkosznego pudła, którego zabierał ze sobą na wszystkie rajdy, przebywał w Asmarze i nadal miał bezlik wolnego

czasu. Koledzy nazywali go żartobliwie: lotnikiem do specjalnych poruczeń, lub złośliwie: pilotem cywilnym, gdyż ostry regulamin, jaki wprowadzono z dniem wybuchu wojny, jego nie obowiązywał. Dalila zaś, wiedząc, że Campiuchi nigdy nie brał udziału w bombardowaniu abisyńskich osiedli, darzyła go pewną sympatią.

— Gdyby on i profesor Mearza nie byli Włochami, mogłabym ich nawet pokochać — rzekła kiedyś, gdy zastanawiała się, którzy z jej tutejszych znajomych są dla niej najmiłsi.

Giovanni Delsanto w ogóle nie był brany pod uwagę przy tych rozważaniach, jako klasyczny wyjątek od reguły.

— Jego można pokochać, chociaż niestety jest Włochem — uznała i westchnęła, bowiem Giovanni coś długo tym razem nie wracał do Asmary.

Niebawem miał stąd wyjechać także Mearza i to na dłuższy czas, a może na zawsze. Gubernator Somalii, a zarazem głównodowodzący na froncie południowym, generał Rodolfo Graziani, który za swoje okrucieństwa wobec tubylców w Cyrenajce otrzymał w roku 1919 przydomek *Bicz Trypolitanii*, zażądał przysłania jakiegoś znawcy wszystkich języków etiopskich, a już nazajutrz po tym radiotelegramie Mearza dowiedział się, iż wyznaczono właśnie jego. Na próżno dowodził, że nie zna ani połowy języków używanych na terytorium Abisynii, że szczególnie słabo włada narzeczami ludów chamickich, zamieszkujących Ogaden. Nie pomogło nic, rozkaz, to rozkaz.

— Przeklęty, ponury Bossio mnie tak urządził — przypuszczał wcale nie bezpodstawnie. — Już przed miesiącem wyczułem, że on chce pozbyć się mnie stąd jak najprędzej. Ale dlaczego! Dlaczego!!

Dla wszystkich w biurze było to zagadką, którą dopiero Dalila miała rozwiązać później, pewnej nocy brzemiennej w denerwujące wypadki.

Przy pożegnaniu profesor Mearza nie szczędził *czekoladowej księżniczce* życzliwych rad.

— Nie zawieraj żadnych nowych znajomości, piękna uczennico. Ludzie Jonasza wiedzą już na pewno, gdzie pracujesz, i będą starali się podsunąć ci jakiegoś fałszywego wielbiciela.

— Bądź spokojny, mistrzu. Wiesz chyba dobrze, iż nie stykam się w ogóle z tubylcami, tylko z Włochami.

— Taki łotr może być rodowitym Włochem.

— Czyżby Włoch mógł trzymać stronę Abisyńczyków!

— Zdrajców i szpiegów nie brak nigdzie. Nawet w naszym wywiadzie.

— Nniemożliwe!

— A jednak tak jest, Dalilo. W największym zaufaniu powiem ci to, o czym wiem już dość dawno...

Chociaż znajdowali się w jej willi, chociaż nikogo trzeciego nie było w mieszkaniu, Mearza bezwiednie zniżył głos.

— W naszym biurze szyfrów leży list wysłany stąd do Makale i przychwycony po drodze...

— Przychwycony po drodze — wyszeptaly jej zbielele wargi.

— Tak. Gołąb, który go niósł, został zabity. Major Corini rozszyfrował tylko część tego diabelskiego szyfru, ale i ta część wystarcza najzupełniej do stwierdzenia smutnego faktu, że wysyłane do Abisyńczyków informacje pochodziły albo z głównej komendy, albo z naszego gmachu. Z naszego! Czyli pośród nas kryje się niebezpieczny szpieg, rozumiesz?!

— Rooooozumiem — wyjąkała. — Jak ustrzec się przed nim? — dorzuciła co prędzej.

Mearza, jak przystało profesorowi, wygłosił cały wykład o środkach zabezpieczających członków wywiadu przed szpiegami. Zagadał się tak, że omal nie spóźnił się na lotnisko, bowiem do głównej kwatery generała Grazianiego wysyłano go samolotem, który miał lecieć ponad

Abisynią. Tę samą podróż w obydwie strony odbył niedawno temu generał de Bono, o czym Dalila dowiedziała się po powrocie brodatego konkwistadora. Rozpaczała bardzo z tego powodu, chociaż Assar Weziry pocieszał ją, że Abisyńczycy i tak nie zdołaliby stracić generalskiego samolotu, który na pewno szybował na ogromnej wysokości.

— O ile to w ogóle jest prawdą, że stary brodacz odważył się na taką przejażdżkę — powątpiewał. — Wybadaj raczej, jakie wrażenie wywołała na Włochach katastrofa *Ausonii*. Nie słyszałaś o tym?

Ausonia, najpiękniejszy statek handlowej floty śródziemnomorskiej Włoch spalił się, jak wiadomo, w pobliżu Aleksandrii. Z zeznań pasażerów i załogi wynikało, że na statku nastąpiły równocześnie dwa wybuchy, w czym jeden koło rur doprowadzających do kotłów ropę, która, zapaliwszy się, zalała wnętrze statku i spowodowała jego zagładę. Ogień rozszerzał się tak gwałtownie, że gdyby nie pomoc stacjonowanych pod Aleksandrią okrętów angielskich, prawdopodobnie nie byłby ocalał nikt. W Asmarze mówiło się o tej katastrofie stosunkowo niewiele, gdyż największą sensacją dnia stał się przyjazd (pierwszy) marszałka Badoglio, szefa generalnego sztabu armii włoskiej, niemniej nazwa *Ausonia* oblała się Dalili o uszy kilka razy.

— Owszem, słyszałam — odparła na pytanie Assera.

— A czy Włosi domyślają się, że maszynę piekielną podłożył pod rury z ropą nasz człowiek?

— Co ty mówisz!... Ależ to bohater!

— Głupiec, nie bohater, skończony głupiec. Zamiast podpalić transport z wojskiem czy z materiałem wojennym, zniszczył *Ausonię*, statek wprawdzie piękny, kosztowny, lecz dla nas całkiem nieszkodliwy... Zwymyślam tego osła od ostatnich.

— Zatem on przyjedzie tutaj?

— Już jedzie. To podobno desperat gotów na wszystko. Jemu więc powierzę robotę, do której ty dawniej paliłaś się nierozsądnie. Przeszło ci to na szczęście, co?

— Przeszło — odparła i wybuchnęła śmiechem.

Assar Weziry, który nadal dostarczał armii włoskiej zwierząt jucznych i zaledwie wczoraj powrócił z nowej podróży do Sudanu, nic jeszcze nie wiedział o eksplozji pod Adi Ugri. Dalila z Enzullahem urządzili ten zamach za jego plecami i postanowili nie przyznawać się do niego wobec tchórzliwego szefa. Dlatego teraz, gdy Assar wyraził przypuszczenie, że ta niebezpieczna zachcianka jej przeszła, uśmieła się serdecznie.

Za to nazajutrz rozpoczęła się nowa seria dni trwogi. Jej kucharz, tubylec, ale... jak domyślała się od dawna... konfident wywiadu wygrzebał z popiołu metalową klamrę paska, który spaliła w piecu kuchennym wraz z czerwoną suknią. Guziki od niej ocalały również, choć na szczęście straciły swą dawną barwę.

Znacznie bardziej Dalila zdenerwowała się w biurze. Z Addis Abeby nadszedł właśnie meldunek kapitana Mediniego o tragicznej śmierci porucznika Campolo. Leonardo Campolo poległ od kuli, kiedy próbował ratować się ucieczką przed ludźmi Jonasza Mongoszy, którzy w niedzielę dnia 13 października o świcie zdemaskowali go koło tamtejszej radiostacji.

...a zdemaskowali go dzięki temu, że z Asmary podano im wiadomość o wyjeździe L. Campola i jego dokładny rysopis, zaznaczając, że L. C. brak części lewego ucha. Doniósł mi o tym, niestety za późno, mój tut. konfident.

Zlikwidujcie szpiega, jaki jest wśród Was, inaczej on zlikwiduje cały nasz tut. wywiad...

Obszerny ten radiotelegram z biura szyfrów odniesiono wprost do gabinetu pułkownika Bossio, a jednak po kilku godzinach cały gmach huczał już od rozmów na temat tego raportu. Nie

znano go dokładnie, gdzieś ktoś coś usłyszał o śmierci Campola, o zdrajcy, lecz od czego fantazja. Zatrudnieni tutaj poschodzili się grupkami w tym czy w owym pokoju i dalejże snuć domysły co do osoby zagadkowego szpiega. Najgorliwszą przy tym słuchaczką była oczywiście Dalila Borez. By odsunąć ewentualne podejrzenia od siebie, wtrącała różne uwagi, szukała winowajcy po wszystkich urzędach i komendach, byle nie tu, co na ogół spotykało się z aprobatą obecnych. Aż nagle bomba! Do salki, w której zgromadziło się już ponad dwadzieścia osób, wszedł cicho jak kot szef biura szyfrów, major Corini. Jedyny po śmierci Campola wróg *czekoladowej księżniczki*. Zorientowawszy się, o czym mowa, grzmotnął pięścią w płytę najbliższego biurka.

— Panowie! — krzyknął strofująco. — Nie zapominajcie, że prócz nas, Włochów, są w tym pokoju także inne osoby!

Takich *innych osób* oprócz Dalili były jeszcze dwie, dwaj Erytrejczycy, starsi podoficerowie, duszą i ciałem zaprzędani Włochom, lecz nieprzyjazne spojrzenie majora musnęło wyłącznie ją. Uczuła, iż krew nabiega jej do głowy i, gdy Corini dorzucił złośliwą uwagę o zdradzieckości wszystkich kolorowych, nie wytrzymała.

— Czy pan major sądzi — zawołała ze *świętym oburzeniem* — że wśród Białych nie zdarzają się zdrajcy?!

— W każdym razie nie słyszałem, aby w tej wojnie jakikolwiek Włoch przeszedł na stronę wrogów, jak wasz Gugs... A zresztą — dodał — wyniośle i znowu spojrzął na Dalilę tak, że ciarki ją przeszły — co ja **sądzę**, to moja rzecz... na razie!

Słowa te zrobiły niemałe wrażenie na obecnych. Chociaż Corini wyszedł i można było prowadzić nadal rozmowę, sala opróżniła się szybko. Dalila Borez opuściła ją ostatnia. Dręcząc się przypuszczeniem, że major Corini już wie, kim ona jest naprawdę, wlokła się ociężale korytarzem w stronę swojego pokoju i już z daleka ujrzała przed jego drzwiami żandarma. Przystanąła, zdrętwiała. — Uciekać! — To była pierwsza myśl, lecz odrzuciła ją zaraz; ucieczka z tego gmachu, z żandarmem depcącym po piętach nie miała żadnych szans ani sensu. Zresztą żandarm-tubylec już szedł ku niej, zatrzymał się, strzelił obcasami. Szyderstwo!!

— Cooo? — wykrztusiła, oparłszy się ręką o ścianę.

Żandarm odparł, że proszona jest do bramy, tam czeka na nią jakiś oficer... Jakiś! — Ten, który ma mnie aresztować — była pewna. Do głównej bramy miała spory kawałek drogi korytarzami. Zawsze tu spotykała żandarmów, zawsze witali ją przyjaznym uśmiechem, a teraz... o strach ma wielkie oczy! Pożegnalnym spojrzeniem objęła westybul gmachu. — Nie wejść tu już nigdy i nic więcej nie zdziałam dla ojczyzny — myślała z gorącością. Wreszcie dotarła do bramy. Przymknęła oczy, siłą woli pchnęła swój korpus naprzód, tak minęła furkę. Czyjaś dłoń klepnęła ją w ramię.

— W imieniu króla aresztuję panią, księżniczko. — Już miała zwiesić głowę z rezygnacją, gdy padły dalsze słowa: — Aresztuję na całe popołudnie. Pojedziemy na lotnisko, a potem do jakiej knajpki.

Szybko podniosła powieki. Przed nią stał roześmiany kapitan-pilot, pod pachą trzymał czarnego pudelka. Campiuchi! Kochany Campiuchi, zawsze wesoły, zawsze skory do żartów. Przebaczyła mu w myśli, że ją tak mimowolnie nastraszył, och, miała ochotę uściskać go serdecznie za to, że to był on, przyjaciel, a nie taki jegomość, jakiego spodziewała się tu zastać.

— Czy przyrzeka mi pani całe popołudnie? Muszę korzystać ze sposobności — trajkotał, mrużąc znacząco oko — bo skoro wróci Giovanni, biedny Campiuchi od razu pójdzie w odstawkę. A Giovanni wraca za... — umyślnie zrobił pauzę i pogroził palcem, ujrzawszy nagle ożywienie w jej oczach podłużnych jak migdały — za rok!

— Nie wierzę.

— No, niech stracę, za miesiąc! — przekomarzał się z nią.

— Jeszcze nie wierzę.

— Więc powiem prawdę. Giovanni wraca w sobotę.

W ową sobotę, dnia 26 października spotkała Dalilę Borez bodajże najstraszniejsza z dotychczasowych przygód. Chcąc wyglądać pięknie, udała się do zakładu fryzjerskiego Husseina Kiamila, czyli Assara Weziry'ego, który zresztą osobiście nie zajmował się już tym nierentownym w porównaniu z dostawami wojennymi przedsiębiorstwem i pozwolił się okradać Lagudakisowi. Zbliżała się godzina szósta po południu, słońce właśnie zachodziło. W męskim salonie goliło się na niedzielę kilku gości, w damskim, oddzielnym od tamtego kotarą, w której jakiś ciekawski wypalił kilka dziurek papierosem, nie było żywego ducha. Lagudakis na widok młodej damy, ubranej po europejsku, przekazał swojego namydlonego klienta praktykantowi, a sam, z wielkim szurganiem nogami, podbiegł do przybyłej.

— Nie poznał mnie — stwierdziła z humorem.

W pierwszej chwili nie poznał jej rzeczywiście. Była tu tylko raz, jeszcze we wrześniu i miała wtedy na sobie strój kobiet arabskich. Widząc, jak inaczej traktuje ją dzisiaj, postanowiła dać mu małą nauczkę i na razie grała taką damę, jak gdyby była co najmniej panią kapitanową. Gdy ją z honorami wprowadził do damskiego salonu, usiadła przy stolczku do manicure'u i bez słowa położyła na nim dłonie.

— Śliczne rączki, tylko zaniedbane, bardzo zaniedbane. Ale opaliła się signorina wprost wspaniale! Przy takiej cerze najwłaściwszy będzie dla paznokci lakier ciemnoczerwony. Jak nos adiutanta marszałka Badoglio. Widziała go pani?

— Nos? Nie patrzę ludziom na nosy — wycedziła wyniośle.

— Ja miałem na myśli marszałka, który...

Lagudakis wymowny, jak wszyscy fryzjerzy damscy „szczebiotał” bez przerwy, przeskakując z tematu na temat susami kangura, a tymczasem męski salon opróżniał się szybko. Po klientach wyszli pomocnicy, po nich dwaj praktykanci i w końcu w całym zakładzie fryzjerskim pozostał tylko Lagudakis z Dalilą, jak wtedy. Lecz jakże inny niż wtedy miał być epilog tego sam na sam! I jakże tragiczny!

Po ukończeniu manicure'u Grek poprosił uprzejmie, by signorina zechciała nareszcie zdjąć kapelusz. To do niczego nie zobowiązuje, on, Lagudakis nie leci na zarobek, lecz musi zobaczyć, czy fryzura nie wymaga jakich drobnych poprawek. Dalila, śmiejąc się w duchu, zdjęła swój słomkowy, ocieniający jej twarz kapelusz i fryzjerowi zdumienie podniosło brwi wysoko.

— Takich włosów, jak żyję, nie widziałem u białej kobiety! Signorina zapewne ma w żyłach lekką domieszkę krwi, że tak powiem, afrykańskiej, prawda?... Do licha, ja już signorinę kiedyś widziałem. Ale gdzie?

— Tutaj! Czy pan mnie nie poznaje?

Pomogła jego pamięci, przypomniała mu dziewczynę „arabską”, która tu kupowała wschodnie olejki i która po raz pierwszy w życiu dała sobie zrobić manicure. — To byłam ja! — Lagudakis długo chwiał głową ze zdziwienia, a równocześnie oceniał wzrokiem jej suknię, jej kosztowną bransoletę, jej złoty krzyżyk z dwunastoma brylantami wielkości sporego grochu.

— Niektórzy ludzie łatwo dochodzą do majątku — westchnął zazdrośnie. — Niespełna dwa miesiące temu signorina wyglądała mi na biedną pokojówkę czy kelnerkę, a dzisiaj... wybrylantowana dama! Na czym, jeśli można wiedzieć, dorobiła się pani tak szybko?

— Na wojnie — odparła po dłuższym namyśle.

— A czego pani dostarcza Włochom?

— Ja? Niczego.

— Hm, to dziwne!

Powstrzymał się od uwagi, że podczas wojny zarabiają najwięcej dostawcy wojenni i szpiegdy. Skoro zaś ona niczego nie dostarcza armii, to jest... Nie, nie ona jest przede wszystkim młodą, piękną kobietą i zapewne znalazła sobie bogatego kochanka... Tak pomyślał na razie, Dalila zaś trochę zaniepokojona owym *hm, to dziwne!*, jęła niezgrabnie dowodzić, że obecnie bogacą się tutaj wszyscy.

— Gdzie tam wszyscy! — zaprzeczył. — Ja osobiście jestem takim dziadem, jakim byłem zawsze. I pozostanę nim nadal — dodał pół żartem, a na pół z goryczą — chyba że los pozwoli mi spotkać jedną z tych osóbek, na których głowy wyznaczono wysokie nagrody. Czytała pani afisze?

— Nnnie. Nie było mnie w Asmarze.

Lagudakis znalazł więc jeszcze jeden temat do monologu. Wyliczywszy kilku dezertersów (*po tysiąc lirów za sztukę*), nieco więcej uwagi poświęcił kapralowi Uadzirowi, za którego ujęcie przyrzeczono 10.000 lirów nagrody, aż w końcu dobrał się do tajemniczej blondynki.

— Otaksowali ją na dwadzieścia tysięcy. Dziś właśnie rozlepiano plakaty, widziała pani? Mój Boże, jakby się to przydało człowiekowi dwadzieścia tysięcy lirów!... Ale szukaj wiatru w polu, czyli blondynki w Erytrei...

— Czy tu w ogóle nie ma jasnowłosych kobiet?

— Są. Utlenione. I brzydkie jak wszystkie Włoszki. A tamta miała być młoda, młodzianka i bardzo piękna. Więc albo to była Angielka, która zwiła stąd natychmiast po zamachu, albo przeciętna sobie brunetka, tylko po prostu w odpowiedniej peruce...

Dalila drgnęła bezwiednie, gdyż jego dłonie zajęte właśnie przy jej włosach zadygotały, kiedy wymówił ostatni wyraz zdania. Czyżby przypomniał sobie, że ongiś sprzedał jej perukę ze złocistymi włosami? Czy się domyślił?! Dlaczego umilkł ten gaduła?

Złowroga cisza trwała może kilkanaście sekund, lecz zaciążyła Dalili na sercu nieznośnie. Nieśmiało podniosła głowę, spojrzała w lustro. Zobaczyła w nim zmienioną twarz Greka. W jego chytrych oczach błyszczała radość. Odgadł, domyślił się najwidoczniej, ale jeszcze nie miał stuprocentowej pewności. Jeszcze porównywał, sprawdzał w myśli słuszność swoich nagle zrodzonych podejrzeń. Jego wargi poruszyły się.

— Młoda, śliczna dziewczyna... blondynka, czyli w peruce... ubrana po europejsku, jak teraz. Zgadza się wszystko! I brylanty ma, choć niedawno temu była biedna jak kościelna mysz — mamrotał.

Chciała zaprzeczyć, zbić go z tropu, chciała powiedzieć, że krzyżyk z brylantami jest jej rodzinną pamiątką, że miała go na szyi także wówczas, gdy była tu po raz pierwszy, lecz słowa uwięzły jej w gardle, kiedy w lustrze spotkała wzrok Lagudakisa. Przeżona zerwała się, ale już wczepił wszystkie palce w jej włosy, szarpnął, obalił ją na krzesło.

— Nie uciekniesz, o nie! — warknął, tarmosząc ją za czuprynę tak, że głową uderzała raz po raz o wysokie oparcie fryzjerskiego krzesła.

Dalila z bólu krzyknęła bardzo głośno, co miało dwa następstwa. O jednym z nich dowiedziała się później, drugim było to, że stojący za nią Grek przestał znęcać się nad jej włosami, za to ścisnął ją za gardło tak, że na chwilę straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, stwierdziła, iż zwiniętymi w sznury prześcieradłami czy ręcznikami skrępowano jej ręce i nogi, a korpus na wysokości piersi przywiązano do oparcia ciężkiego krzesła. Tylko głową mogła poruszać swobodnie, poza nią była unieruchomiona w tych bandażach, niczym mumia.

— Czy pan oszalał?! — wykrztusiła.

— Jeszcze nie. Dopiero oszaleję z radości, gdy mi wypłacą dwadzieścia tysięcy lirów za twoją głowę! Za twój łeb, ty zbrodniarko!

— Jak śmiesz mnie...

— Śmiem! — wtrącił podniesionym głosem i krzyczał dalej crescendo⁽¹⁾, tupiąc przy tym nogami, aż się rozlegało po całym zakładzie. — Sto razy powtórzę ci do oczu, że tyś wysadziła w powietrze amunicję pod Adi Ugri! Tyś zamordowała trzydziestu ludzi, eskortujących te auta. Ty!

— Czy masz na to dowody!

— Mam! Po pierwsze peruka, którą kupiłaś ode mnie, żeby udawać blondynkę. Dalej twoje...

Długo gadał, ona zaś słuchała uważnie. Jego rzekome dowody było tylko domysłami, lecz bała się śledztwa. Nie przygotowała sobie żadnego alibi na ów wieczór, kiedy nastąpił wybuch pod Adi Ugri. Powiedziała wówczas służbie, iż wyjeżdża na spacer ze znajomym oficerem; teraz zapytają, z którym? Nawet taki drobiazg, jak znalezienie przez jej kucharza w piecu osmalonej kłamry paska i guzików sukni obciąży ją fatalnie, a cóż dopiero mówić o peruce, która dotychczas spoczywała w jej szafie. Ale najbardziej przerażała ją myśl o nieuchronnej konfrontacji z owym majorem artylerii, który podobno zapamiętał sobie twarz tajemniczej blondynki. Jeśli zapamiętał naprawdę, zginęła bez ratunku! Przez swoją karygodną lekkomyślność. Przez to, że zamiast do jakiegokolwiek innego fryzjera przysłała właśnie tutaj, do tego przeklętego Greka.

A Grek Lagudakis, dawszy upust swojemu gadulstwu, zaczął... tańczyć z radości, że otrzyma wyznaczoną nagrodę od władz.

— Dwadzieścia tysięcy lirów! — powtarzał w upojeniu. — Nareszcie jestem bogaty, nareszcie!

Z rozwichrzonymi włosami, w rozpiętym kitlu, który podczas tych zwariowanych piasów upodobnił się do jakichś skrzydeł, wyglądał wręcz niesamowicie. Czyżby naprawdę oszalał!

— Słuchaj — rzekła Dalila po namyśle — jeśli mnie natychmiast puścisz, dam ci tę bransoletę i...

— Aha! Chcesz mnie przekupić! — przerwał jej. — To zeznam także. To będzie nowym dowodem twej winy... No, pora skończyć z tobą.

Wpatrzona w lustro, nie spuszczała go z oka. Zdjął kitel, przygładził sobie włosy, potem poklepał ją po głowie.

— Nie zaprzataj sobie główki myślą o ucieczce. Związałem cię bardzo dokładnie, a drzwi sklepu zamknę na klucz — rzekł. — Zresztą moja nieobecność potrwa tylko minutkę. Policjant, którego zamierzam tu poprosić stoi, jak wiesz, na rogu ulicy....

— Nie odchodź. Pogadajmy rozsądnie i...

— Powiedziała *nie odchodź*. Rozczulasz mnie — pokpiwał sobie z niej w najlepsze. — O, gdyby tu był telefon, na pewno nie pozbawiałbym cię mojego towarzystwa. Niestety, telefonu nie ma, cały personel już wyszedł, muszę więc opuścić cię, najdroższa. Dla chleba, dla tych dwudziestu tysięcy!

— Moi towarzysze pomszczą mnie krwawo! Ty zginiesz!

— Nie zginę, gdyż drapnę, skoro tylko forszę dostanę. No, dowiedzenia ci, piękna „blondynko”...

Śmiejąc się głośno, odsunął kotarę, wyszedł z damskiego salonu do męskiego. Zanim jednak kotara opadła na powrót, w całym zakładzie fryzjerskim zgasło światło.

⁽¹⁾ crescendo (wł. *wzrastając*) – coraz silniej; coraz głośniejsze.

ROZDZIAŁ XI

Major Oskar Hagen, który na wiosnę roku 1930 przybył do Abisynii pod przybranym nazwiskiem *Clyde Eyston* zdjął z głowy zawój wraz z fezem i połą szammy otarł spoconą łysinę.

— Mam wrażenie, że śnię — mruknął, rozglądając się po ogromnej jaskini, której tylko małą część widział na razie.

— Włóż dłoń w płomień mojej pochodni, a przekonasz się, czy to sen, czy jawa.

— Dziękuję ci, Ibrahimie za życzliwą radę, ale wolę przekonać się inaczej. — Oburącz podniósł z wysiłkiem duży, żółty „kamień” i przez chwilę ważył go w dłoniach. — O tak, widzisz?

— Widzę. To wszystko złoto!! A nie wierzyłeś przyjacielu.

— Tyś niby wierzył?

— Mniejsza z tym. Grunt, że to, co każdy miał prawo uważać za wschodnią bajkę, okazało się prawdą. Nie odbyliśmy tej podróży nadaremnie.

— I zasłużyliśmy sobie uczciwie na taką nagrodę. Policz, Ibrahimie, ile to tygodni upłynęło od naszej rozmowy z Lidżem. Ile miesięcy!

Rozmowa, ta, podczas której Ibrahim Er-Durusz i znany awanturnik Hagen wyłudzi od zdetronizowanego cesarza Etiopii, Lidża Jassu, klucz *tajemnic władców Abisynii* odbyła się jeszcze dnia 11 lipca. Tej nocy Hagen otrzymał postrzał w ramię. Ponieważ wiedział, że z polecenia cesarza Hailego Selassiego policja szuka go wszędzie, nie mógł zgłosić się do żadnego z lekarzy-Europejczyków i oddał się pod opiekę tubylca-znachora, którego sprowadził mu Ibrahim. Że nie przypłacił tej kuracji gangreną, było prawdziwym cudem.

— Wiedziałem, iż z tego nie umrę. Co ma wisieć, nie utonie — powtarzał z humorem, nie przeczuwając, że wygłasza coś w rodzaju prorocтва.

Upłynęło pięć tygodni, zanim rana zagoiła się na tyle, że Hagen mógł wziąć udział w długiej, męczącej wyprawie.

— Porządny z ciebie chłop — rzekł wtedy do Ibrahima. — Inny byłby skorzystał z mojej niemocy, byłby sam wyruszył po skarby i zagarnął je wyłącznie dla siebie, a ty czekałeś cierpliwie, aż ja wyzdrowieję.

— Czyż nie przysięgliśmy sobie nawzajem, iż jeden drugiego nie oszuka, nie okradnie? — przypomniał mu Arab. — Przysięga to święta rzecz!

Oskar Hagen potakiwał z zapalem, był tego samego zdania... na razie.

W drugiej połowie sierpnia opuścili stolicę Abisynii, kierując się zrazu na zachód, do Addis Alom, potem coraz bardziej na północ, aż koło wioski Derai dotarli do Niebieskiego Nilu. Ze względu na wówczas jeszcze trwającą porę deszczową podróż odbywała się bardzo powoli, musieli też okrążyć wszelkie osiedla i w rezultacie zużyli dziesięć dni na przebycie niespełna stu osiemdziesięciu pięciu kilometrów. Ale ten pierwszy etap podróży był niczym w porównaniu z tym, co ich jeszcze czekało. Formułka określająca położenie *Góry Mądrości* brzmiała w dosłownym przykładzie tak:

Jej szczyt ma kształt głowy,

*jej brzuch pełen skarbów,
wejście jest pod wodą,
a strzeże go Abbai.*

Abbai to etiopska nazwa Nilu Niebieskiego. Nad nim więc miała leżeć owa legendarna góra.

— Na jego lewym brzegu — dodał Lidż Jassu, kiedy go prosili o dokładniejsze informacje. — Jest tam długa pieczara, której część wynurza się spod wody. Tamtędy wiedzie droga do największych grot świata, które kryją tajemnice władców Abisynii. Ale dotrzeć zdoła do nich tylko człowiek naprawdę bardzo odważny.

— Odwagi nam nie brak, wasza cesarska mość — odparł Hagen. — Chcielibyśmy jednak dowiedzieć się jeszcze, czy od Derai mamy płynąć z prądem, czy też w górę Nilu...

— Oczywiście, iż w górę. I przestańcie mnie zanudzać pytaniami. Powiedziałem już tyle, że nawet ślepy odnalazłby skarby królowej Saby.

Nie nalegali więcej, zresztą nie było na to czasu. Wydawało się im, że skoro posiadają tyle wskazówek, łatwo trafią do celu. Gdy więc przybyli do Derai i wynajęli sobie żaglową łódź, wyruszyli w górę rzeki, trzymając się jak najbliżej jej lewego brzegu. Jeśli wiatr nie sprzyjał, a silny prąd wody unicestwiał pracę wiosłarzy, zarzucali kotwicę. Robili to zresztą co wieczór i płynęli tylko za dnia, by w ciemnościach nie przeoczyć wylotu owej pieczary i wznoszącej się tuż nad nią, jak sądzili błędnie, góry, której szczyt miał kształtem przypominać ludzką głowę. Żegluga w takich warunkach musiała być bardzo powolna, chociaż wysoki, a bodajże najwyższy w roku poziom wód czynił Nil spławnym dalej niż w jakimkolwiek innym miesiącu. Ale w końcu trzeba było opuścić łódź i dalszą podróż odbywać brzegiem, na mułach wynajętych w jakiejś wiosce.

Tak mijały dni, tygodnie. Widzieli po drodze setki szczytów górskich, lecz żaden z nich nie był podobny do ludzkiej głowy. Gdy 3 października dotarli do jeziora Tana, major Oskar von Hagen, który już od dawna gonił resztkami cierpliwości, wybuchnął. Z jego ust posypały się pod adresem Lidża Jassu tak wymyślne przekleństwa, że „zaimponowały” nawet Ibrahimowi Er-Durusz. Na próżno starał się uspokoić wzburzonego przyjaciela, na próżno przypominał mu, że Lidż dał im uroczyste słowo, iż jego informacje są prawdziwe. W końcu zaproponował mu okrążenie jeziora Tana oraz wycieczkę do źródeł Abbai. Poświęcili na to dalszych piętnaście dni, lecz znowu na próżno.

— I co ty na to, Ibrahimie! Czy uwierzyłeś nareszcie, że oszukał nas ten przekłęty degenerat, który za to oby gnił w więzieniu drugich dziewiętnaście lat?!

— Nie. Sądzę natomiast, że z nas para skończonych głupców.

— Dlaczego!

— Po pierwsze, zapomnieliśmy o tym, że każda tajemnicza wyprawa cesarza Menelika po złoto trwała tylko dwa do trzech tygodni, zatem skarbów królowej Saby należy szukać znacznie bliżej Addis Abeby.

— Szukaliśmy tam przecież.

— Ale szukaliśmy wejścia do grot we wrześnie, w miesiącu, w którym woda na Abbai stoi najwyżej. Skoro nawet w normalnym czasie owa pieczara jest częściowo zalana, to co dopiero podczas powodzi!

— Z tym zgodzić się można, lecz jak wytłumaczysz mi to, że nie zauważyliśmy nigdzie po drodze góry ze szczytem podobnym do głowy!

— Widocznie *Góra Mądrości* nie przytyka bezpośrednio do Nilu i inne góry ją zasłaniają. Tak też było, co zresztą naocznie stwierdzili niebawem. Niebawem, gdyż żegluga z

prądem rzeki odbywała się w znacznie szybszym tempie. Przystawali jednak obok każdej osady rybackiej, by zasięgnąć języka, czy w okolicy nie ma jakiej nadbrzeżnej jaskini. Każdą indagację oczywiście poprzedzało nawiązanie przyjaznych stosunków z mieszkańcami wioski, czyli obdarowanie ich cuchnącym mięsem hipopotamów, których było tu wszędzie prawie równie wiele jak krokodyli. Ponieważ nakaz ogólnej mobilizacji wprowadził stąd już wszystkich zdolnych do walki mężczyzn, hojność Ibrahima i Hageny spotykała się z tym większym uznaniem. Zapewne dzięki niej dowiedzieli się już koło Abali, że gdzieś poniżej ujścia rzeki Bascilio wypływa z *Abbai strumień, który dusze potępionych odnosi do piekła*.

— Zdaje się, iż nareszcie wpadliśmy na właściwy trop — cieszył się Hagen. — Ja osobiście chętnie reflektuję na podróż do tego piekła.

Jeszcze przez pięć dni żaglowali po Niebieskim Nilu, oglądając ślady potwornego zniszczenia na obydwóch brzegach. Przedtem, gdy szeroką na milę strugą wody płynęli przeciw prądowi, Hagen nie zdawał sobie sprawy z tego, o ile pora deszczowa utuczyla rzekę. Wydawało się, że tak obszerne jest normalne koryto Nilu; jeśli od czasu do czasu zahaczali kilem żagłówek o jakieś niewidzialne przeszkody, nie chciał uwierzyć, iż przepływają ponad zatopionymi lasami trzciny papirusowej, która tworzy na brzegach naturalne żywopłoty, wysokie na siedem metrów. Teraz uwierzył w to chętnie, bowiem spotykali nie tylko trzciny, ale nawet drzewa „ozdobione” na wierzchołkach daszkami chat, snopami słomy i siana, które tam zawiesiła powódź.

— Do stu diabłów, więc aż tak wysoko sięgała tu woda?!

— O, to jeszcze nic — odparł Ibrahim — to był zwyczajny wylew, jak co roku. Ale ja pamiętam kilka takich powodzi tam niżej, w krainie Szankalla, że woda zakryła najwyższe palmy.

W pobliżu wysoko położonej wioski Uoggiddi przybili do brzegu znowu. Okazało się tutaj, że od *strumienia płynącego do piekła* dzieli ich stąd około dwunastu kilometrów, ale reflektantów na wspólną podróż w głąb ziemi nie było w Uoggiddi na lekarstwo. Za ogromnie wygórowaną cenę (trzy hipopotamy plus tuzin ładunków do karabinu, plus czerwona parasolka) zgodził się w końcu jakiś miejscowy bohater wskazać im sławetną pieczarę. Zabrali go do łodzi wraz z rodziną, która na wypadek jego śmierci miała zainkasować należne mu honorarium i wyruszyli w dalszą drogę. Przebyli ją szybko, za to bardzo długo szukali wejścia do pieczary. Z trudem wypatrzył je ktoś z tubylców, tak było zawałone tym wszystkim, co powódź tu naniosiła. Kiedy odsunęli te zapory, ujrzeli czarną czeluść, do której woda Nilu wlewała się z umiarkowaną szybkością tak, że wiosłarze mogli bez trudu przeciwstawić się sile tego prądu.

— Aby tam płynąć, musimy zdjąć nasz maszt.

Musieli pierw zrobić jeszcze coś innego, mianowicie wysadzić na brzeg przewodnika z jego rodziną i wypłacić mu przyrzeczoną nagrodę. Po zdjęciu masztu rzucili kotwicę, aby mieć punkt oparcia przy wyjeździe z pieczary pod prąd, wciągnęli wiosła, schylili głowy i z zachowaniem wszelkich ostrożności prześlizgnęli się przez niski otwór.

— Przypomina mi to żywcem *Lazurową Grotę* na Capri — odezwał się Hagen, oświetlając elektryczną latarką wnętrze pieczary. — Zachodzi tylko ta maleńka różnica, że tam niema tych miłych zwierzątek.

Rzekłszy to, zdzielił wiosłem przez łeb jaszczura, którego nieoczekiwana wizyta łodzi wprawiała w widoczne osłupienie, Roilo się tu od krokodyli wszelkich wielkości, a kiedy służący Ibrahima zapalili pochodnie, całe to towarzystwo rzuciło się do ucieczki i w wąskim wejściu powstał ścisk niebywały.

— Wyobrażam sobie, jakie miny mają teraz nasi przyjaciele z Uoggiddi. Prawdopodobnie odmawiają za nas *Wieczne odpoczywanie* — żartował Hagen, sterując łodzią. — Prześcąńcie wiosłować na chwilę. Chcę wiedzieć, którędy woda stąd odpływa i dokąd.

Ku jego zdziwieniu łagodny tutaj prąd wody nie poniósł ich łodzi w głąb pieczary, lecz jakby na powrót ku wejściu, a potem na prawo od niego. Ibrahim, który raz po raz badał głębokość wody, stwierdził, że dno podnosi się szybko. Podniosło się w końcu tak, że łódź siadła na kamieniach.

— Dalej trzeba iść na własnych pedałach.

— O, panie, a krokodyle?! — krzyknął jeden ze służących.

— Krokodyle nie atakują w tak płytkiej wodzie.

Woda nie sięgała tu ani do kolan, a trzy metry dalej był brzeg. Brzeg niski, płaski, oślizgły, przez który woda cieniutkimi strugami przelewała się dalej nie wiadomo dokąd. *Do środka ziemi, do piekła*, twierdzili mieszkańcy Uoggiddi oraz innych wiosek nad Nilem. To samo mówili obecnie trzej służący Ibrahima, kiedy Hagen powrócił do łodzi z wiadomością, że brzeg ma najwyżej piętnaście metrów szerokości, a potem spada pionowo w nieznaną przepaść.

— Do piekła, powiadacie? To świetnie. Warto chyba zobaczyć już za życia, jaki komfort panuje w naszym pozagrobowym hotelu.

— Czy aby sznurów nam wystarczy? — zafrasował się Ibrahim.

Wystarczyło aż nadto, gdyż głębokość owej przepaści nie przekraczała dwudziestu metrów. Po Hagenie opuścił się na jej dno Ibrahim, jego służący pozostali w łodzi, do której przytwierdzono jeden koniec liny. Mieli tutaj czekać na powrót swojego pana choćby... — do końca życia! — brzmiał rozkaz. Czekali rzeczywiście tak długo, ale któż mógł wtedy przewidzieć, iż policzone są godziny życia tych trzech wiernych służących?!

Woda, która spływała po niemal prostopadłej ścianie, tworzyła na dole strumyk wijący się leniwie wśród kamieni nieproporcjonalnie doń szerokiego koryta, ono zaś zajmowało tylko czwartą lub piątą część olbrzymiego tunelu wyrzeźbionego przez siły przyrody.

— Twoje podziemia w Addis Abebie to nędzna parodia tej groty — orzekł Hagen, na próżno próbując dojrzeć sklepienia lub którąkolwiek ze ścian oprócz tej, pod którą stali.

A stali jeszcze u stóp ociekającej wodą skały, wzdłuż której opuścili się na linie. Ibrahim Er-Durusz, świecąc sobie pochodnią, chodził tam i na powrót, mierzył coś krokami, w końcu stuknął się w czoło.

— Teraz nareszcie rozumiem! — zawołał.

— Co?

— Słowa wielkiego Menelika.

— Jakie?

— Że wystarczy pchnąć pewien kamień w Abisynii, aby zniszczyć dwa sąsiednie kraje. Te kraje, to Egipt i Sudan, a ów kamień, to właśnie ten tutaj potężny blok granitu. Skrzynia dynamitu pchnęłaby go albo rozłupałaby go z łatwością i Egipt stałby się pustynią.

— Dlaczego? W jaki sposób?

— W taki, że gdyby nie było tego bloku, Niebieski Nil, zamiast płynąć, jak dotychczas w stronę Sudanu, runąłby tutaj!

— Czyli wsiąkłby w ziemię niczym ten strumyczek.

— Mylisz się, majorze. Ten strumyk na pewno znowu gdzieś wypływa na powierzchnię ziemi, jak tyle rzek abisyńskich, i bodaj, czy nie płynie on dawnym korytem Nilu!

Ta na pozór fantastyczna hipoteza nabierała cech prawdopodobieństwa w miarę, jak szli z biegiem strumyka, który łatwo mogli przeskoczyć, i jak porównywali z jego nikłą strugą sto razy większą szerokość i mało co niższą wysokość tego tunelu. Żaden przybór wody w strumyku nie usprawiedliwiał potężnych rozmiarów podziemnego koryta, zatem musiało ono przedtem należeć do jakiejś dużej rzeki. A taką był w tych stronach tylko Niebieski Nil.

— Historię Egiptu znamy wprawdzie na przestrzeni pięciu tysięcy lat i w tym czasie Nil

płynął zawsze, jak płynie dzisiaj — myślał głośno Hagen — lecz cóż znaczy pięćdziesiąt stuleci w życiu planety? Tyle, co w naszym marnym życiu minuta.

Znaleźli sobie wdzięczny temat do rozmowy. Może i naprawdę Niebieski Nil płynął ongiś tędy, dopóki jaki kataklizm geologiczny nie zatarasował mu drogi granitowymi blokami? Może nawet on sam ściągnął je sobie „na łeb”, podmywając bok góry, która wznosi się właśnie na tym jego zakręcie? Może w owych prastarych czasach, kiedy on uchodził do Morza Czerwonego lub do Zatoki Adeńskiej, najżyźniejszymi krajami na świecie były dzisiejsze pustynie Aussa i Dankalia, a bogaty teraz Egipt był tym, czym sąsiadujące z nim części Sahary?

— Może dałoby się przywrócić status quo ante⁽¹⁾?

Hagen ożywił się nagle, w jego niespokojnej głowie już zakiełkowała nowa szalona myśl. Nadmieniwszy, że dwie trzecie części wody i urodzajnego mułu otrzymuje Egipt od Niebieskiego Nilu, a resztę od Białego i innych jego dopływów, doszedł do wniosku, że warto by *Aglikom splatać figla*.

— Zapominasz — rzekł Ibrahim surowo — że w Egipcie, prócz garstki Anglików, mieszkają miliony rodowitych Egipcjan i Arabów!

Major Hagen zmienił więc temat rozmowy, ale bynajmniej nie zrezygnował z wariackiej zachcianki. Że jej wykonanie byłoby bardzo łatwe, przekonał go dramat, jaki rozegrał się niebawem.

Po godzinie marszu zagroziła im drogę nowa przepaść, znacznie głębsza niż pierwsza, jak mogli wnosić z łoskotów kamieni, które w nią rzucali. Należało wrócić po linę i pochodnie, których zapas wyczerpywał się szybko. Zawrócili więc, ale tym razem szli z dala od strumyka, po jego lewej stronie, a wzdłuż południowej ściany tunelu. To, co pod nią znaleźli w pewnym miejscu, zabobonny Ibrahim poczytał sobie za złą wróżbę. Znaleźli bowiem ludzki szkielet. Skąd się tu wziął, nie mogli pojąć. Gdyby to był kościec jednej z ofiar powodzi, leżałby nad strumykiem.

— Może ten człowiek także szukał skarbów królowej Saby?

Kiedy w jakiś czas potem zeszli niżej ku środkowi tunelu stwierdzili ze zdziwieniem, że poziom wody w strumyczku wzrósł nieco. I wzrastał szybko dalej, co świadczyło, iż Nil znowu wzbiera.

— To nic groźnego — sądził Hagen. — Wystarczy, by gdzieś w górach spadł ulewny deszcz, a woda podnosi się zaraz i równie szybko opada. Takich „fal” minęło nas w drodze kilka, pamiętasz!

— Tak, tak, ale wówczas nasza łódź nie stała w niskiej pieczarze.

— Tam do diabła!

Przyspieszyli kroku, choć pod górę szło się ciężiej. Strumyk szumiał coraz głośniejsze, coraz szerzej rozlewał się na boki, o przeskoczeniu go nie było już mowy. Wreszcie ujrzeli granitową skałę, która rzekomo, czy naprawdę zakorkowała prastare koryto Niebieskiego Nilu. Ujrzeli ją, dostrzegli nawet na jej tle swoją linę z węzłami. Lina ta, zanim do niej dobiegli, zakołysała się podejrzenie i zaczęła opadać.

— Co to znaczy?!

Odpowiedział im z góry krzyk mrozący w żyłach krew. Krzyk tak donośny, że zagłuszył na chwilę szum wody, która już nie ściekała po skale, lecz zeskakiwała z niej wąskim wodospadem. W dwie sekundy później coś ciężkiego spadło do stóp Hageny, opryskało go całego.

— Człowiek?!

— Allah! — jęknął Ibrahim. — To mój stary Mohammed!

Znów przeraźliwy wrzask, znowu biała kaskada cisnęła w przepaść człowieka, potem

łódź, potem kilka małych krokodyli i znowu człowieka. Wszyscy trzej służący Ibrahima ponieśli śmierć na miejscu, wszystkie zapasy żywności i amunicji znalazły się w wodzie...

— Na Boga, jak to się stało?! Łańcuszek kotwicy był mocny i...

— Kismet⁽²⁾ — wtrącił Ibrahim grobowym głosem — widocznie wszystkim nam było pisane zginąć tu dzisiaj.

⁽¹⁾ status quo ante (łac.) – stan poprzedni.

⁽²⁾ kismet (tur.) – przeznaczenie, fatum, los.

ROZDZIAŁ XII

— My dwaj jeszcze żyjemy!

— Niestety. Lepsza ich nagła śmierć, niż to, co nas czeka przed nieuchronnym końcem.

— Nie kracz, fatalisto, tylko pomóż mi wyławiać z wody nasze puszki z konserwami.

— Chcesz przedłużyć sobie męczarnie? Po co? Przecież nikt nie pospieszy nam z pomocą, a sami o własnych siłach nie wyjdziemy stąd.

— Tędy nie wyjdziemy, to pewne, lecz może są inne wejścia? Są na pewno! Czy przypuszczasz, że Menelik lub któryś z dawniejszych cesarzy wybierał się po złoto tak zakazaną drogą? Nonsens. Musiał mieć inną, wygodniejszą, tylko Lidź Jassu wołał to zataić. Wołał nas wysłać tędy na pewną śmierć, jak sądził.

— A gdzie w takim razie pewność, że wysłał nas tam, dokąd dostać się pragnęliśmy? Podziemnych grot, jaskiń, korytarzy są w Abisynii tysiące! Tysiące znanych, Allahowi zaś wiadomo, ile jeszcze nieznanych. Gdzie pewność, pytam, iż skarby królowej Saby znajdują się tutaj? Może są ukryte w innej części kraju? Może Lidź Jassu zadrwił sobie z nas haniebnie?

— Wielka szkoda — odburknął Hagen — że te rozsądne refleksje nie nawiedziły cię wcześniej, że oburzałeś się, kiedy mówiłem, co sądzę o Lidżu, o tym nikczemniku z piekła rodem. Przez to wpadliśmy w te paskudne tarapaty.

— Wpadliśmy tylko przez to, że tobie zachciało się skarbów. Byłem bogaty i ty mogłeś przy mnie zarobić sporo grosza, ale ty...

Syk pochodni położył kres wzajemnym wymówkom. Pochodni mieli trzy tuziny, lecz wszystkie mokre, dopiero z wody wyjęte, a jedyna sucha ostatnia z tych, które zabrali z sobą, opuszczając się tutaj po lince, właśnie dogasała. Kiedy zgasła i ogarnęły ich nieprzebite ciemności, Hagen z ciężkim sercem zdecydował się zapalić swoją latarkę elektryczną. Wiedział, że jej mały akumulator wyczerpie się w ciągu sześciu godzin, ale cóż począć; po ciemku iść nie można,

— Iść? — zdziwił się Ibrahim. — Dokąd? Po co? Jesteśmy w tunelu, którego jeden koniec zamyka przepaść nieznannej głębokości, a drugi pionowy, oślizgły blok granitu, wysoki jak trzypiętrowy dom.

— Każdy tunel prócz obydwóch wylotów posiada ściany i...

— Czy nie szliśmy wzdłuż jednej z tych ścian?

— Jest jeszcze druga ściana, północna.

— Znajdziemy pod nią zapewne drugi szkielet.

Hagen zirytowany nagłym pesymizmem przyjaciela, zrobił mu nieparlamentarną propozycję i zaczął pakować do plecaków puszki z konserwami. Zanim jednak wyruszyli w drogę, Ibrahim oddał ostatnią posługę swoim trzem służącym, których zniekształcone zwłoki pozostały tutaj, w przeciwieństwie do ich potrzebnej łodzi, uniesionej przez strumyk Bóg wie dokąd. Każdego z nich oparł plecami o głaz, każdego odwrócił twarzą na wschód, w stronę Mekki, przy każdym odmówił surę za zmarłych, po czym przystąpił do majora, objął go za szyję.

— Jeśli mnie tutaj przeżyjesz, o kilka godzin — rzekł — spraw rai podobny pogrzeb.

— Lanie ci sprawię, ty puszczyku — wrzasnął Hagen dostatecznie już zirytowany

ponurymi cytatami z Koranu, jakimi Ibrahim długo żegnał zmarłych wyznawców Proroka.

Objuczeni żywnością, bronią, amunicją i sznurami odmaszerowali w kierunku wschodnim, z biegiem strumyka, idąc jego lewym brzegiem, ale daleko od niego, a tuż u stóp północnej ściany tunelu, Hagen oświetlał ją nieustannie swoją latarką, lecz na próżno; posiadała sporo zagłębień, żadne z nich jednak nie było wylotem jakiegoś bocznego ganku. Ze względu na konieczność oszczędzania akumulatora szedł teraz znacznie szybciej niż przedtem, gdy posuwali się prawym brzegiem, toteż już po czterdziestu pięciu minutach drogi ujrzał przed sobą pozornie ślepy koniec tunelu, który tam urywał się nagle i pionowo spadał w przepaść.

— Czy nie mówiłem ci, że nie ma stąd wyjścia? — zakrakał znów Ibrahim Er-Durusz. — Niepotrzebnie szliśmy tutaj, niepotrzebnie trzeba będzie wracać, by powrócić do naszych towarzyszków. Należało od razu położyć się obok nich i...

— Kłaść się wśród nieboszczyków?! — Hagen wzdrygnął się na samą myśl o tym. — Nigdy! Raczej rzucę się w przepaść!

Nie panując nad sobą, pobiegł naprzód aż na samą krawędź urwiska, skierował w dół smugę światła latarki, omiół nim boki tego ogromnego szybu, wrzasnął, skręcił w lewo, w kilku susach przebył niedużą odległość dzielącą go od północnej ściany tunelu, padł na kolana i wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

— Zwariował nieborak — mruknął Arab.

— Ibrahim! Hej, Ibrahimie, pędź do mnie, co tchu!

W głosie Hagena wibrowała radość. Ibrahim jednak nie entuzjazmował się tak łatwo. Otwór w północnej ścianie tunelu, znajdujący się o dobrych pięć metrów poniżej, mógł być bramą jeszcze jednej bocznej jaskini, to pierwsze. Po drugie zaś, wydostać się stamtąd na powrót do głównego tunelu nie byłoby rzeczą łatwą.

— Nie mamy i tak nic do stracenia — odparł Hagen. — Mnie wszystko jedno, czy będę zdychał z głodu tam, czy tutaj, o kilka metrów wyżej.

Stanął na tym, że Ibrahim zostanie na razie tu, a major opuści się na linie i wybada, dokąd wiedzie ten otwór. Aby do niego dotrzeć, trzeba było, wisząc na sznurze nad niezgłębioną przepaścią, rozhuścić się mocno wahadłowym ruchem. Hagen dokazał tej sztuki po kilku próbach okupionych licznymi sińcami, z impetem wpadł w otwór tajemniczej jamy, zniknął w nim na chwilę, po czym wychylił się znowu rozpromieniony.

— Miałem dobre przeczucie — zawołał. — To jest wylot bocznego korytarza. Spuść mi mój bagaż i wracaj do swoich nieboszczyków, jeżeli nadal wolisz ich towarzystwo.

Ibrahim oczywiście wolał pójść w ślady energicznego kompana. Kiedy stanął obok niego i z dołu odmierzył wzrokiem przestrzeń, jaką musieli przebyć zawieszeni nad przepaścią, przypomniał sobie słowa Lidza Jassu, że do grot Saby zdoła dotrzeć tylko człowiek naprawdę odważny. Przekonali się teraz, iż, mówiąc tak, Lidz nie przesadził bynajmniej.

— A zatem — wnioskowali z nagłym przyływem optymizmu — można żywić nadzieję, że Lidz w ogóle mówił nam prawdę.

I znowu zaczęli w to wątpić, gdy w pięć godzin później akumulator latarki wyczerpał się doszczętnie, a końca korytarza, w który się zapuścili, wciąż jeszcze nie było widać. Pochodnie nie obeschły dostatecznie, musieli więc posuwać się dalej na oślep, badając grunt przed sobą kolbami swoich sztucerów. Pochód w takich warunkach odbywał się powoli, chociaż dawno już odrzucili część bagażu, aby ulżyć sobie trochę. Pochód utrudniało także to, że korytarz przy dość znacznej szerokości był miejscami bardzo niski; po kilku bolesnych zderzeniach głów ze stalaktytami, szli już stale pochyleni, zgarbieni, co męczyło ich szybko i zmuszało do częstymi odpoczynków. Ale najwięcej obok ciemności dawała się im we znaki grobowa cisza. Tam, w

przedhistorycznym korycie Nilu, w owym głównym tunelu mieli przynajmniej szmer strumyka, tutaj zaś żaden szelest nie pomagał im w odpędzeniu myśli, że zostali żywcem pogrzebani.

Wtem... kiedy przygnębienie doszło do punktu kulminacyjnego... Hagen, który szedł pierwszy, uczył, że do twarzy przylgnął mu jak gdyby liść. Liść żywy! Pochwycił go i w świetle zapalki ujrzał ślicznego motyla. To nieoczekiwane spotkanie skrzepiło ich na duchu bardziej, niż odkrycie małego źródła, które pozwoliło im ugasić pragnienie. Szli coraz szybciej, chociaż od wyjścia z głównego tunelu droga wciąż wiodła pod górę, chociaż byli zmęczeni nieludzko. Z rozkoszą wdychali w siebie inne powietrze, co prawda bardzo ciepłe i przesycone odurzającą wonią egzotycznych kwiatów, ale mimo braku rzeźkości najrozkoszniejsze pod słońcem, bo nie pochodzące stąd, z tych przeklętych podziemi. Aż wreszcie gęste, nieprzebite mroki stały się tylko zwyczajną nocą, a hen, w górze zamigotały gwiazdy. Ujrawszy nad głowami niebo, Ibrahim i Hagen padli sobie w objęcia, potem osunęli się na trawę i, zanim zdążyli wymienić kilka słów, zasnęli kamiennym snem.

Kiedy się obudzili, słońce stało już wysoko. Widząc przed sobą bezlik najwspanialszych kwiatów, nad którymi krążyły roje barwnych jak tęcza motyli, nie mogli zrazu pojąć, gdzie są ani którędy dostali się do tego ogrodu otoczonego urwistymi skałami. Aż w końcu zauważyli wśród krzewów ciemną dziurę, wylot podziemnego korytarza, który zaprowadził ich tutaj. Posiliwszy się, ruszyli w dalszą drogę tym malowniczym wąwozem. Szli gzygzakami, okrążając kępy drzew kadzidłowych, mirrowych i figowców, a gdzieś tam musieli nożami wycinać sobie jakie takie przejście w zbitym gąszczu wysokich krzaków obsypanych różowym kwieciem. Po dwóch godzinach marszu Ibrahim, który wtedy szedł pierwszy i pierwszy wydostał się z gęstwiny na jakąś łączkę, krzyknął głośno. Hagen podbiegł do niego natychmiast. Spojrzał w kierunku, który wskazywała drżąca dłoń Araba i zobaczył na najniższym z czterech mających w oddali szczytów górskich kulistą bryłę dziwnie podobną do ludzkiej głowy.

— Widzisz? To *Góra Mądrości*! Nareszcie... nareszcie!

— Nie powiem, żeby nam do niej było stąd blisko, oj, nie — westchnął Hagen. — Czekaj nas jeszcze co najmniej trzydniowy spacer.

Obliczając tak, popełnił grubą omyłkę. Już w godzinę później zabiegła im drogę potężna skała zamykająca północno-wschodni wylot jaru. Tutaj zaczynał się drugi, znacznie krótszy od pierwszego ganek podziemny, po którego przebyciu weszli w nowy parów, długi na parę kilometrów. Ta „zmiana dekoracji” powtórzyła się kilkanaście razy w ciągu ich sześciodniowego marszu, a wszystkie owe tunele i wąwozy o prostopadłych ścianach były dziełem tego samego strumienia. Erozja miała wdzięczne pole do popisu tutaj, pośród wapiennych skał.

Szli wciąż w kierunku północno-wschodnim, wciąż pod górę. Ile razy z podziemi wkraczali do następnego jaru wysyłali pierwsze spojrzenie ku Górze Mądrości, której kulisty szczyt pęczniał powoli, jak gdyby odległość dzieląca ich od niego zmniejszyła się nie o wiele. Dość trudno było wypatrzeć tę szarą kulę, gdyż zlewała się z tłem tej samej barwy, a tło stanowiła leżąca dalej na północ góra Kollo, która wznosi się na 4.300 metrów nad poziom morza i tworzy najwyższy punkt olbrzymiego masywu górskiego Legambo.

— Od wschodnich stoków Legambo blisko jest do Dessie — rzeki Ibrahim z naciskiem. — Tam znajduje się główna kwatera wojsk abisyńskich.

— Co mnie to obchodzi — odburknął Hagen. — Ja myślę tylko o tern, gdzie znajduje się kasa królowej Saby.

— Gdzie? Oczywiście tam. — Arab wyciągnął rękę w stronę Góry Mądrości i przypomniał mu werset, który miał im służyć za drogowskaz: *Jej szczyt ma kształt głowy, jej brzuch pełen skarbów.*

— Ale którędy dostaniemy się do tego „brzucha”!

Zaprowadził ich tam ostatni z naturalnych tuneli łączących wyloty jarów, przez które od sześciu dni maszerowali zwawo, lękając się, że im zabraknie żywności. Nie mogli bowiem uzupełnić jej zapasu w żadnym z owych wężozów, pokrytych na dnie bujną roślinnością, lecz nie posiadających ani drzew owocowych, ani zwierzyny, prócz małych ptaszków, na które nie opłacało się polować. Kiedy siódmego dnia rano znaleźli się nagle w połowie wysokości gigantycznego leja, stwierdzili, że sławetna Góra Mądrości jest po prostu jednym z dość licznych w Abisynii wygasłych wulkanów. Najpierw spojrzeli w górę, ku okrągławemu otworowi krateru. Na jego krawędzi zobaczyli olbrzymi kulisty głaz w kształcie głowy ludzkiej. Widzieli tę głowę obecnie z profilu. Chcieli ją obejrzeć z bliska, okazało się jednak, że górna część leja jest bardzo spadzista i bez pomocy lin zawieszonych u szczytu wyjść stąd nie można.

— Trzeba zejść na dół... Mam wrażenie — dodał Hagen, posyłając pożegnalne spojrzenie owemu głazowi — iż wyplucie tego kamiennego łba na powierzchnię ziemi było ostatnim wyczynem sportowym wulkanu...

— A może pierwszym! Może to był jego korek?

Schodziło się wcale wygodnie, szli jednak powoli, z przystankami, lękając się gazów, lecz nie wyczuli ich obecności. Dno krateru wypełniało, jak zwykle w Abisynii, jeziorko. Kiedy je okrążyli, przeżyli jeszcze jeden moment strachu. Już przed chwilą zauważyli, że ściemnia się szybko, jak gdyby zmrok zapadał, a przecież była to godzina ósma rano. Zaintrygowani tym zjawiskiem, zadarli głowy do góry i zdrętwieli na chwilę; u szczytu leja ujrzeli jakiegoś potwora bajecznych rozmiarów, który szybko wciągał do krateru swoje brudnobrązowe cielsko i zasłaniał nim słońce.

— Do stu diabłów — krzyknął Hagen — przecież to jest najzwyczajniejsza chmura deszczowa.

Śmiejąc się, szli brzegiem jeziorka, które deszcz z owej chmury zlewał obficie. Pomogło im to odnaleźć wejście do grot, przez nie bowiem odpływał nadmiar wód z krateru. Już w pierwszej grocie panowały egipskie ciemności, musieli więc zapalić pochodnię. Z trzech tuzinów pochodni, jakie mieli na początku tej wyprawy pozostało im obecnie tylko pięć sztuk.

Olbrzymich grot, które Hagen nazywał *kotłami świętej pamięci wulkanu*, było sześć. W pierwszych trzech nie zauważyli nic godnego uwagi. Pod ścianami leżały sterty zakurzonych kamieni, środkiem przepływał strumyczek odprowadzający wodę z jeziorka w kraterze. Gdy ten sam widok powitał ich w czwartej grocie, Hagen stracił cierpliwość.

— Gdzież są te skarby, do najjaśniejszej cholery?! — powtarzał, biegając z pochodnią od ściany do ściany.

W pewnej chwili krótka włócznia, którą przedtem podpierał się w drodze, wjechała mu między nogi tak, że upadł na kolana. Ten błahy wypadek dopełnił miary jego gniewu z powodu zawodu, jaki go tu spotkał. Miotając ohydne przekleństwa, jął kamień, o który potknął się rzekomo, walić i kłuć stalowym grotem bambusowej dzidy. Nie chodziło mu o dziecinną zemstę, ale o sprowokowanie Ibrahima, jedyne go człowieka, jaki był z nim tutaj, jedyne go, z którym mógł wyklócić się, czy pobić i w ten sposób ulżyć sobie trochę.

— Oskar!

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Ibrahim nazwał przyjaciela po imieniu. Potem przybiegł do niego, pochwycił go za ramię.

— Puść mnie! — warknął Hagen.

— Oskar, czy nic nie słyszysz! Czyś ogłuchł?!

— A ty, coś usłyszał!

Ibrahim wyrwał mu włócznię z ręki, uderzył nią z całej siły o kamień.

— Słyszałeś ten dźwięk?! — krzyknął. — Jakby metal o metal!

Hagen nareszcie zrozumiał. Schylił się, podniósł ów „kamień”, nożem zaczął zeskrobywać pokrywającą go warstwę stwardniałych osadów, a czynił to z tak gorączkowym pośpiechem, że skaleczył się w palec. Wtem nóż zgrzytnął i pod jego ostrzem zakwitł w świetle pochodni żółty błysk rozszerzający się w miarę, jak odpadała skorupa:

— Złoto!!!

— Złoto — powtórzył Ibrahim, niemniej wzruszony.

— Do licha, że ja tego od razu nie poznałem po wadze!

Kolejno wypróbował kilkanaście innych brył z różnych stert w tej i w poprzednich trzech grotach oraz w następnej, w piątej, największej. Wszystkie posiadały tę ciężką wagę, ten sam metaliczny dźwięk wydawały, kiedy żgał je włócznią, tak samo migotały złotymi skrami po zeskrobaniu warstwy osadów. Tych zaś, które leżały pod spodem nawet skrobać nie trzeba było; wystarczało je wymyć w strumyku i obtrzeć, aby zabłysły.

Major Hagen wyczerpany radosnym podnieceniem, zmęczony bieganiną od grotty do grotty, wygramolił się na szczyt najwyższej sterty brył, usiadł tam, zdjął z głowy zawój wraz z fezem i połą szammy otarł spoconą łysinę.

— Mam wrażenie, że śnię — mruknął, rozglądając się po ogromnej grocie, której tylko małą część widział na razie.

— Włóż dłoń w płomień mojej pochodni, a przekonasz się, czy to sen, czy jawa.

— Dziękuję ci, Ibrahimie, za życzliwą radę, ale wolę przekonać się inaczej. — Oburącz podniósł z wysiłkiem, duży, żółty „kamień” i przez chwilę ważył go w dłoniach. — O, tak, widzisz?

— Widzę. To wszystko złoto!!! A nie wierzyłeś, przyjacielu.

— Tyś niby wierzył?

— Mniejsza z tym. Grunt, że to, co każdy miał prawo uważać za wschodnią bajkę, okazało się prawdą. Nie odbyliśmy tej podróży nadaremnie.

— I zasłużyliśmy sobie uczciwie na taką nagrodę. Policz, Ibrahimie, ile to tygodni upłynęło od naszej rozmowy z Lidżem. Ile miesięcy!

— Wolę liczyć, ile tysięcy wielbłądów trzeba by użyć do przeniesienia tej masy złota, biorąc pod uwagę, że przy dłuższej podróży na jednego wielbłąda niedobrze jest ładować więcej ciężaru jak dwieście kilo.

— A ja sądzę — Hagen powstał — że wszystkie te obliczenia należy odłożyć sobie na później. Pozostała nam już tylko jedna pochodnia!

ROZDZIAŁ XIII

Ruszyli więc co prędzej w dalszą drogę, której kierunek stale wskazywał im strumyk. W szóstej grocie brył złota nie było wcale, za to rojło się tam od czaszek ludzkich, piszczeli i całych szkieletów.

Czyżby te kości należały do naszych poprzedników?!

— Może do niewolników, którzy przynieśli te skarby, a których przezorna królowa Sabcia hurtem tutaj otruła, aby nikt prócz niej nie znał drogi do jej grot.

Naliczyli z górą sto czaszek do zakrętu, przy nim zaś szkielety po obydwóch stronach strumyka leżały jedne na drugich tak, że trzeba było przeskakiwać przez te makabryczne zasieki.

— Teraz rozumiem — mruknął Hagen, ujrawszy za zakrętem niski otwór, przez który sączyło się tutaj światło dzienne. — Tam jest to drugie wejście, to łatwiejsze, używane przez Menelika. Może to on sam poznosił stare szkielety z całej jaskini na jedną kupę, aby jej widok przerażał intruzów, wdzierających się do podziemi od tej strony.

Snując przeróżne hipotezy na temat tego cmentarzyska, szli aż do końca groty wzdłuż strumyka. Wypełniał on ów nieduży otwór na szerokość w całości, a na wysokość przy obecnym poziomie wody tak, że nad jej powierzchnią pozostała szpara na dwie dłonie.

— Teraz nie unikniemy kąpieli.

Ponieważ prąd był tutaj dość silny, Hagen opasał się wpół linką, której drugi koniec miał trzymać Ibrahim. Zanurzył się. Woda sięgała mu zaledwie do pasa, musiał więc uklęknąć, aby przecisnąć się otworem na drugą stronę. Zniknął Ibrahimowi z oczu na chwilę, a potem...

— Hurra! — krzyknął. — Tu są wspinałe schody!

To, co nazwał schodami, było opadającym łańcuchem wąskich, małych kaskad, z których najwyższa miała zaledwie trzy metry wysokości. Każda z nich znajdowała się tak blisko swoich dwóch „sąsiadek”, że wszystkie razem tworzyły jak gdyby jeden wodospad, długi na pół kilometra. Stosunkowo najwięcej miejsca było na jego najwyższym tarasie, obok otworu wiodącego do szóstej groty, albo do pierwszej, jeśli liczyć od tej strony. Za to niektóre niższe stopnie woda zalewała całkowicie, przynajmniej teraz, na skutek ранego deszczu. Dzięki temu zstępowanie po *wspinałych schodach* nie było rzeczą łatwą, ani bezpieczną. Gdyby nie to, że na przemian asekurowali się linką, byliby podczas tej przeprawy zginęli na pewno.

— Całe szczęście, że jest nas dwóch — odezwał się Ibrahim, gdy raz zjechał na grzbiecie pół metra i tylko sznur powstrzymał go przed upadkiem z następnego stopnia, pięć razy wyższego. — Jeden człowiek o własnych siłach nie zszedłby tędy nigdy.

— A cesarz Menelik?! Czy sądzisz, że on był tak nieostrożny, by zabierać ze sobą kogokolwiek, gdy udawał się do grot?

— Musiał to robić, przecież nie mógł sam dźwigać na plecach tych worków złota, jakie przywoził do Addis Abeby.

— I żaden z tych ludzi później nie próbował szczęścia na własną rękę?
Nieprawdopodobne!

— Owszem, całkiem prawdopodobne, gdyż słudzy, jacy towarzyszyli Menelikowi w jego tajemniczych wyprawach, po powrocie z nich z całą pewnością natychmiast umierali... Ja

osobiście byłbym bardzo zdziwiony, gdyby mi kto powiedział, że mądry Menelik kiedykolwiek zapomniał o tej prostej ostrożności, jaką jest zgładzenie niepotrzebnych świadków.

— Tanie u was jest życie ludzkie.

— A u was, Białych, jest droższe? — zaperzył się Ibrahim. — Czy mam ci przypomnieć okropności wojny światowej?!

Hagen co prędzej zmienił temat rozmowy. Schodzenie trwało przeszło pół dnia.

Wymierzywszy rozmiary najgorszych stopni doszli do przekonania, że w zimie, podczas niskiego stanu wód, przeprawa przez te kaskady zabrałaby im o połowę mniej czasu.

— Za to w porze deszczowej dostęp do skarbów Saby jest zupełnie odcięty zarówno z tej strony, jak i z pieczary na brzegu Nilu Niebieskiego.

— To możliwe, Ibrahimie. A czy masz jeszcze jakie wątpliwości co do tego, której z tych dwóch dróg używali władcy Abisynii?

— Też oczywiście. Tędy idzie się kilka godzin, tamtędy siedem dni.

— Dlatego, powtarzam, Lidź Jassu jest skończoną świnia, że wskazał nam gorszą i tak niebezpieczną drogę.

— Ale teraz wszelkie niebezpieczeństwa mamy już poza sobą.

Ibrahim omylił się fatalnie, lecz któż mógł przewidzieć, iż ta cicha, malownicza dolinka posiada tak strasznego cerbera! Dolina w górnej swej części była właściwie typowo abisyńskim jarem o pionowych ścianach, ale jeden wylot tego wąwozu zamykały owe „wspaniałe schody”, po których spienionymi kaskadami spadał tu strumyk wypływający z jeziora w kraterze wygasłego wulkanu. Naprzeciw wodospadu i w odległości pół mili od niego ściany wąwozu zbiegały się, tworząc wąską bramę. Ponieważ zaś równocześnie teren podnosił się w tej gardzieli, woda nie miała stąd odpływu. Dlatego roiło się tu od stawków, kałuż, trzęsawisk i od komarów, pocztylionów febry.

— Nie będziemy chyba nocowali w tak malarycznej okolicy...

Do zachodu słońca pozostała im zaledwie godzina, ruszyli więc w drogę niezwłocznie.

Hagen, zajęty zeszkrobaniem skorupy osadów ze sporej bryły złota, jaką zabrali z grot „na próbę”, pozostał nieco w tyle i myślał o nieprzebranych skarbach królowej Saby, które miały stać się wyłącznie jego... nie! nie wyłącznie!... miały stać się ich wspólną własnością! Ibrahim zaś, uprzykrzywszy sobie konserwy, marzył na razie tylko o innym menu dzisiejszej wieczery. Liczył na to, że obfitość wody ściąga tutaj moc zwierzyny, ale jak dotychczas nie spotkał ani marnej antylopy.

Tak dotarli do owej bramy, przepołowionej rozłożystym baobabem, którego korona tworzyła tu naturalny dach, a zarazem most pomiędzy obydwoma ścianami skalnymi. Ibrahim doszedł tam pierwszy i nagle Hagen usłyszał jego przeraźliwy krzyk. Podniósł głowę, przetarł sobie oczy, sądząc, że śni. Ani rusz nie mógł pojąć w pierwszej chwili, jakim cudem Arab powoli wznosi się w górę. Dopiero po kilku sekundach dojrzał nad Ibrahimem, wiszącym poziomo, w pozycji człowieka pływającego na wznak, grubą, ciemną linę, czyli ogon olbrzymiego pytona. Ze sztucerką gotowym do strzału podbiegł do drzewa i wtedy po raz pierwszy nawiedziła go myśl *Jeśli Ibrahim zginie, właścicielem największego na świecie skarbu będę ja sam!*

Zadarł głowę do góry. Zobaczył rozpaczliwie wierzgające nogi swojego towarzysza, które wnet zniknęły wśród gęstego poszycia liści.

— Ratuj!

— Ba, ale jak? — mruknął Hagen.

Nie mógł objąć bardzo grubego pnia baobabu, nie mógł podskoczyć tak wysoko, by uchwycić jego najniższe konary, nie mógł też strzelać na osłep. Miał prawo powiedzieć sobie z czystym sumieniem, że nic przyjacielowi pomóc nie może... na razie. Na razie, gdyż niebawem

sytuacja uległa zmianie.

Pytony najchętniej atakują upatrzone ofiary w ten sposób, że z drzewa rzucają się na nie, obalają je siłą swego upadku i właściwa walka rozgrywa się na ziemi. Dlaczego tutejszy boa dusiciel rozpoczął napad inaczej, nie wiadomo. Może po raz pierwszy miał do czynienia z człowiekiem i chciał sobie tę dziwną, białą odzianą małpę z bliska obejrzeć, zanim poweźmie ostateczną decyzję? Może, przeciwnie, często polował na ludzi i wiedział z doświadczenia, że strącanie ich z dużej wysokości znakomicie ułatwia zwycięstwo nad nimi?

Wtem... dolne gałęzie baobabu zafalowały gwałtownie.

— Allah! — wrzasnął spadający na łeb Ibrahim.

Hagen uskoczył w bok w samą porę. Gdyby to był uczynił o dwie sekundy później, byłoby po nim. Arab runął na ziemię, aż jęknęło. Mimo to poderwał się natychmiast, ale równocześnie przygniótł go napastnik, który podczas spadania z drzewa wyglądał jak gigantyczna sprężyna. Pod jej ciężarem Ibrahim rozpląszczył się na ziemi, lecz trwało to mgnienie oka. Potem ruchliwy, elastyczny ogon węża przesunął się pod nim, opasał go w pół, odwrócił na bok, na wznak, na drugi bok, na brzuch i dalej kulał go po trawie, a po każdym takim obrocie na ciele ofiary przybywał jeden straszliwy pierścień, na razie jeszcze dość luźny.

— Ratuj mnie!

Mrożący w żyłach krew okrzyk przyjaciela wyrwał Hagen z osłupienia, w jakie wprowadził go widok tego pytona. Słyszał o tym, że w Abisynii węże długie na dwadzieścia metrów nie należą do rzadkości, ale po raz pierwszy w życiu sam ujrzał takiego olbrzyma. Jego tułów był w pośrodku gruby jak udo atlety. Jego długość, trudna do dokładnego określenia obecnie, podczas walki, na pewno przekraczała piętnaście metrów.

— Strzel mu w łeb!

Splaszczony łeb właśnie odwrócił się w stronę Hagen, snadź wąż posłyszał szelest jego kroków na trawie. Stropił się też nieco na widok drugiego człowieka, który w dodatku nie uciekał z wraskiem, lecz śmiało podchodził bliżej. Wreszcie Hagen przystanął, podniósł broń do oka. Pyton, jak gdyby zdziwiony takim wydłużeniem się ręki ludzkiej, podniósł łeb wyżej, zakołysał nim, rozwarł paszczę. Wylot lufy sztucera dzieliło od niej zaledwie półtora metra. Teraz tylko nacisnąć cyngiel i strzał oddany z tak małej odległości rozsądzi wężowi czaszkę, a Ibrahim Er-Durusz będzie ocalony. Otóż to właśnie! Będzie ocalony! Gdyby zaś zginął, nie trzeba by dzielić się z nikim skarbami władców Abisynii...

— Strzelaj, na Alla ha!

Major Hagen zwlekał nadal. Myślał, walczył z pokusą, ale walczył, marząc o porażce. Bo czemużby nie ulec tak ponętnej pokusie?

— Pal!!

Nie wypalił, choć przyszło mu na myśl, iż mógłby umyślnie spudłować. Nie wypalił, gdyż obawiał się, że huk mógłby przerazić węża i skłonić go do ucieczki, do wypuszczenia zdobyczy.

— Dusi mnie! Paaaaa!!

— Nnnie... Nie mogę. Ręce mi drżą...

Drżał mu przede wszystkim głos, kiedy łąał tak bezczelnie. Cofnął się o krok, o dwa kroki, o trzy, cztery, aż w końcu przestał udawać; opuścił broń. Dopiero wówczas Ibrahim zrozumiał.

— Zdrajco — wykrztusił. — A twoja przysięga?

— O, przepraszam. Przysięgliśmy sobie nawzajem, że jeden drugiego nie okradnie, ani nie zabije... Czy ja cię teraz napadłem, czy boa?

Boa dusiciel przekonał się, że drugi człowiek odchodzi, że zatem pragnie zachować

neutralność w tym „konflikcie abisyńskim”, powrócił do przerwanej roboty, zacieśnił swoje spłoty dokoła ciała Araba. Chrupnęły pręty żeber w zgniecionej klatce piersiowej. Krwotok wewnętrzny pchnął strugę krwi do gardła nieszczęsnej ofiary, tłumiąc jej ryk bólu i jęki. Kiedy nastąpiła złowroga cisza, Hagen jął się zastanawiać, czy powinien węża zastrzelić, czy nie. Wybrał to drugie po namyśle. Uważał, że niepożądanych podróżnych, którzy by przypadkowo zapuścili się w te strony zniechęci do zwiedzania dolinki spotkanie z takim jej cerberem.

— A ja wiem, że on tutaj jest i będę miał się na baczności, gdy powrócę, aby zabrać złoto — myślał, mijając niebezpieczną bramę tego wąwozu — złoto, moje złoto! Moje wyłącznie!

Powtarzanie tych słów sprawiało mu wielką przyjemność, lecz jednocześnie wywoływało wizję Ibrahima konającego w morderczym uścisku pytona. Wizja ta prześladowała go szczególnie w nocy. Była to najgorsza noc ze wszystkich, jakie przeżył w Afryce. Nigdy jeszcze diabelskie chichoty hien nie brzmiały w jego uszach tak niesamowicie jak tym razem. Nigdy w życiu nie prześnił tylu koszmarnych snów. Pocił się z gorąca, potem zaś schwyciły go silne dreszcze.

— Czyżbym złapał malarię? Przecież codziennie napycham się chininą w maksymalnych ilościach ...

Nad ranem stwierdził, iż powodem gorączki nie jest malaria, ale coś gorszego w jego położeniu. Lewa dłoń była dziwnie nabrzmiąta, a w całym ramieniu rwało go gorzej niż przy bólach reumatycznych. W pierwszej chwili sądził, że ugryzł go zimb. Zimb, postrach Abisynii, jest to owad trochę większy niż nasza osa, lecz posiadający żądło tak silne, że przebija skórę nawet słoni i hipopotamów. Rany zadane tym żądłem powodują owrzodzenia i gnicie, a w końcu śmierć ukąszonego. Gdy zimby pojawią się w jakiejś okolicy, wszystko co żyje rzuca się do panicznej ucieczki, która ma pewne szanse tylko wtedy, jeśli w pobliżu jest piaszczysty teren, bowiem zimby nie znoszą piasku.

Po dokładniejszym jednak obejrzeniu spuchniętej dłoni Hagen doszedł do przekonania, iż ranka na palcu nie jest okrągła, ale podłużna, jak gdyby po nożu. Przypomniał sobie nareszcie, że wczoraj, w grotach królowej Saby, swoim nożem zaciął się w palec, kiedy z nerwowym pośpiechem zeskrobywał wapienne osady z bryły złota. Tak, to była ta sama ranka. Co prędzej rozgryzł ją, wyszał, opalił nad płomieniem ogniska. Ten bolesny zabieg byłby mu może pomógł, gdyby go był zrobił o dwanaście godzin wcześniej. Teraz było już za późno. Koło południa Hagen spostrzegł z przerażeniem, iż dłoń zgrubiała mu jak bochenek chleba.

— Palec mi diabli wezmą, jeśli nie spotkam jakiego lekarza. Oczywiście Białego!

Do wieczora spotykał tylko tubylców, stare kobiety i młodych pastuszków, gdyż dorośli wraz ze swoimi żonami dawno już wyruszyli na wojnę. Nie miał żadnego pożytku z tych spotkań, aż wreszcie natknął się na starca, który mówił po amharsku, a nawet rozumiał kilkadziesiąt wyrazów angielskich. Zapytany o lekarzy europejskich, wyciągnął dłoń na wschód.

— Tam, w Dessie oni być. Tu nigdzie nigdzie.

— Czy daleko stąd do Dessie?

— Bardzo blisko. Dwa dni, kiedy kto znać drogą.

Niestety Hagen nie znał drogi, a wyrostek, który zgodził się służyć mu za przewodnika, uciekł najbliższej nocy, zabierając „na pamiątkę” obydwie muły kupione wczoraj przez Hageną, oraz jego sztucer. Okradziony tak sromotnie, szalał w bezsilnej wściekłości, tym bardziej że obecnie groźne nabrzmienie ręki doszło już do łokcia i czas naglił diabelnie.

— Później odszukam tego draba i zastrzelę go jak psa, jeżeli przez tę zwłokę stracę choćby jeden palec.

Hagen na razie wolał nie myśleć o tym, że może stracić całą rękę lub nawet życie. Uważał to zakażenie krwi za drobnostkę...

— Nie trzeba wcale chirurga — sądził — pierwszy lepszy eskulap potrafi zrobić takie hokus-pokus, że łapa skłębnie mi od razu.

Przez cały dzień szedł na wschód, szedł wytrwale, chociaż kręciło mu się i szumiało w głowie coraz bardziej, a ramię paliło go żywym ogniem. Na krótko przed zachodem słońca, zagroził mu drogę mały strumyk. Położył się na jego brzegu, ugasił pragnienie, po czym zanurzył w wodzie chorą rękę. Tak zasnął albo zemdlał z wyczerpania. Kiedy się ocknął, była noc. Na niebie cudnie błyszcząły gwiazdy, lecz prócz nich dostrzegł jakieś inne gwiazdy na ziemi, u stóp górskiego zbocza, po którym szedł wczoraj od południa. Te drugie gwiazdy pędziły parami w kierunku północno-wschodnim. Po chwili wiatr przyniósł mu dalekie odgłosy łoskotu silników spalinowych.

— To samochody! — zrozumiał. — Kolumna aut jadących do Dessie. A zatem do gościńca już niedaleko stąd.

Zelektryzowany tym odkryciem, poderwał się i runął do wody. Na czworakach przebył płytki strumyk, powstał i, zataczając się jak pijany, zaczął iść w stronę szosy, która z Addis Abeby przez Debra Brehan i Uorra Ilu wiedzie do Dessie. Z góry szło się lekko, noc była widna, pomimo to jednak Hagen upadał raz po raz.

— Kiedy ja tak zesłabłem?

Dziwiło go to tym bardziej, że piekący ból w lewym ramieniu już przeminął. Prawie nie czuł tej ręki. Przekonawszy się o tym, kiedy runął na nią wśród ostrych kamieni, starał się upadać tylko na lewy bok. A przewracał się ustawicznie i coraz trudniej dźwigał się z ziemi, chociaż dawno już porzucił cały swój bagaż. Cały, prócz zabranej z grot królowej Saby sporej bryły złota. Była to ta sama bryła, przy której oskrobywaniu skaleczył się w palec tak fatalnie.

Chwilami szedł na kolanach lub czołgał się niezgrabnie i o świcie dotarł do przydrożnego rowu. Dalej nie mógł ująć ani kroku, ale nie przejmował się tym zbytnio. Wierzył, że tutaj znajduje go na pewno, odwieżą do Dessie, gdzie lekarzy europejskich jest obecnie kilkunastu. Znowu stracił przytomność. Ocknąwszy się, ujrzał klęczącego obok Araba. Czyżby Ibrahim zmartwychwstał?! Hagen przerażony wybałuszył oczy. Odsapnął. To nie był Ibrahim, ale jakiś nieznany człowiek. Odwróciwszy głowę, mówił właśnie:

— On umiera. I to jest Biały.

— Biały? Co ty mówisz! — zawołał ktoś spiżowym głosem.

Na dźwięk tego głosu Hagen poruszył się niespokojnie. Na gościńcu ujrzał siedem pięknych wierzchowców oraz sześciu jeźdźców. Nie Abisyńczyków, lecz Arabów. Jeden z nich, zapewne przywódca, wysoki, smukły mężczyzna schodził właśnie do głębokiego rowu, niebawem pochylił się nad Hagenem, któremu twarz tego Araba wydała się dobrze znajoma. Ależ tak, to jego śmiertelny wróg z czasów wojny światowej, to słynny pułkownik Lawrence!

— Nonsens — wymamrotał. — On zginął, co było w dużej mierze moją zasługą... Majaczą w gorączce, ot co! Skądże by tu Lawrence...

Przymknął ociężałe powieki, za to Arabowie dopiero teraz zaczęli oczy wytrzeszczać co się zowie i spoglądać po sobie ze zdumieniem. Jeden z nich obnażył Hagenowi głowę.

— Sidi — rzekł do dowódcy — ja tego człowieka skądś znam.

— Hm, mnie wydaje się również, że gdzieś go już kiedyś spotkałem. Ale gdzie?

— Wiem! Tego roku wczesną wiosną w Aleksandrii!

— Racja, na brodę Proroka, to on!

- Tak, sidi. To on napastował cię wtedy i obrzucał obelgami.

— On śledził nas w Egipcie ...

— On unicestwił twą wyprawę w głąb Pustyni Libijskiej...

— Przez niego lotnicy włoscy rozproszyli naszą karawanę...

— I zabili nam pół setki ludzi...

— Których przysięgliśmy pomścić!

— A ja z nim mam jeszcze stare porachunki z czasów wojny!

Hagenowi, który słyszał i rozumiał wszystko, robiło się coraz cieplej. W pewnej chwili przyszło mu na myśl, że Ibrahim Er-Durusz miał stosunkowo lekką śmierć w porównaniu z tym, co jego czeka teraz. Nagle uczuł, że wyrwano mu bryłę złota, którą dotychczas kurczowo ścisnął w prawej dłoni.

— Sidi, to szczere złoto!

— Z mojej kopalni! — wtrącił Hagen skwapliwie. — Każdemu z was dam wagon złota, jeżeli odwieziecie mnie natychmiast do szpitala.

Dowódca Arabów ryknął salwą szyderczego śmiechu, a za nim jego towarzysze. Potem zwrócił się do Hageny.

— Swojego czasu odgrażałeś się, że będziesz mnie żywcem piekł na wolnym ogniu — przypomniał mu. — Odpowiedziałem ci wtedy: *Przyjmuję wyzwanie, ale obawiam się, iż na rożnie znajdziesz się właśnie ty!*... No, i kto z nas miał słuszność? Kto kogo upiecze?... Milczysz. Nie masz odwagi ani na tyle, by spojrzeć mi w oczy, ty nędzny tchórze...

Hagen, któremu raczej wszystko można było zarzucić, tylko nie tchórzostwo, zatrząsł się z oburzenia. Chciał wroga obrzucić stekiem wyzwick, ale nie zdołał rozewrzeć ust zaciśniętych nagłym skurczem. Odemknął oczy, lecz nic nie zobaczył oprócz mgły, która szybko gęstniała, stawała się nocą. Dla niego! Bo przecież był wtedy biały dzień, afrykańskie słońce zalewało ich oślepiającą jasnością i żarem. Jedynie Hagen nie widział tego, nie czuł upału i dygotał z zimna.

— Od początku byłem przekonany, że spotkanie z Lawrencem to idiotyczny sen — pomyślał z ulgą. — Teraz jest noc. Skoro świt rozpocznie ładować na wielbłądy skarby królowej Saby. Moje złoto! Wyłącznie moje!

Bolesne szarpnięcie ściągnęło go z krainy błogich marzeń na ziemię do przydrożnego rowu obok gościńca wiodącego do Dessie. Ktoś tarosił go, wymyślał mu od tchórzy, ktoś inny ujął się za nim. Brrr, ale jak!

— Sidi, czy nie widzisz — przemówił ów drugi — że nasz wróg przed chwilą skonał?

— Niemożliwe! — zabrzmiał donośny jak dzwon głos dowódcy sześciu Arabów. — A rzeczywiście — stwierdził po chwili zmartwiony. — Miał szelma szczęście z tą gangreną. Uchroniła go przed inną śmiercią, na jaką zasłużył sobie nie raz, ale sto razy.

— Sidi, czy zostawimy go tak?

— Nie. Nawet najgorszy łotr jest jednak człowiekiem i nie można go rzucić na pastwę hienom. Pochowamy go, przyjaciele.

Kiedy człowiek umiera, najdłużej ze wszystkich zmysłów służy mu słuch. Służy wiernie swojemu panu jeszcze wówczas, gdy on już wygląda na nieboszczyka. Clyde Eyston, recte Oskar Hagen, słyszał więc całą tę rozmowę i szcęk dwóch krótkich łopat, z których pomocą kopano grób. Dla niego! Nie mógł krzyknąć, nie mógł ani drgnieniem powieki oznajmić swoim grabarzom, iż jeszcze żyje. I pragnie żyć stokroć bardziej niż kiedykolwiek dotychczas. Przecież jest obecnie najbogatszym człowiekiem na świecie!

— Wystarczy, przyjaciele. Pomóżcie mi teraz przenieść go...

Potworna trwoga przeniknęła Hageny do dna duszy. Od dziecka lękał się najbardziej tego, by nie być pogrzebanym żywcem i wyobraził sobie, iż ma go to właśnie spotkać, że jego przedśmiertne odrętwienie jest tylko letargiem.

Arabowie dźwignęli go i ponieśli, czuł to doskonale. Potem zaczęli go opuszczać do rowka, który później zamierzali zasypać ziemią i przywalić kamieniami tak ciężkimi, aby ich hieny nie zdołały odsunąć. Płytki był ten grób, lecz Hagenowi wydało się, że zlatuje w otchłań

bez dna. Zanim jednak przekroczył próg nieznanego świata, który jedni zwać wiecznością, a drudzy nicością, uświadomił sobie, iż zabiera ze sobą klucz tajemnic władców Abisynii i kryjówka skarbów królowej Saby pozostanie nieznaną może przez drugie trzydzieści stuleci.

ROZDZIAŁ XIV

Dalila Borez była pewna, że światło zgasił Lagudakis. Zdziwiła się więc niezmiernie, kiedy usłyszała jego pomruk niezadowolenia:

— Co, u diabła, krótkie śpięcie, czy jak? Dlaczego zgasło?

Grek ruszył naprzód i wpadł na jedno z krzesel. Syknął z bólu, zaklął, kopnął krzesło, ale nie szedł dalej. Zachręściły zapalki w pudełku, które wyciągnął z kieszeni. Mruczając coś pod nosem, wyjął zapalkę, zapalił ją i w tej samej chwili coś palnęło go w piersi tak, że zatoczył się w tył, a zapalki wypuścił z rąk. Równocześnie wrzasnął.

— Kto tu jest?!

W jego głosie dygotał lęk. Dalila wyczuła to od razu i cała zamieniła się w słuch, jak ongiś, kiedy wraz z nieżyjącym dziś ojcem czatowała koło dżungli na zwierzynę. Jej ucho nawykło od dzieciństwa do wylawiania z pozornej ciszy najlżejszych szelestów pochwyliło delikatny szmer w męskim salonie zakładu fryzjerskiego. Szmer ów, przypominający suwanie dłonią po ścianie dobiegał ją z drugiego końca lokalu. A Lagudakis stał o dwa albo trzy metry od niej, tuż za kotarą; wyraźnie słyszała jego oddech przyspieszony ze strachu. Zatem to nie on podążał ku drzwiom w niewiadomym celu.

Wtem zazgrzytał klucz w zamku wewnętrznych drzwi, poza którymi znajdowała się opuszczona, lecz nie zamknięta żaluzja. Ach, więc po to spieszył w tamtą stronę ów nieznajomy osobnik!

— Kto tu jest? — powtórzył Grek. — Mów albo strzele!

Odpowiedział mu przenikliwie cienki, ironiczny śmiech. Tajemniczy intruz wyraźnie kpił sobie z pogroźki wypowiedzianej drżącym głosem albo wiedział, że Lagudakis nie posiada żadnej broni palnej.

Śmiech zbliżał się powoli w tę stronę, a Grek zmykał przed nim krok za krokiem, aż stanął tuż obok krzesła, do którego była przywiązana Dalila. Zachichotała do wtóru tamtemu, zmiarkowawszy, iż Lagudakis dzwoni zębami ze strachu. Potem zaczęła mu dogadywać, chcąc go sterroryzować do reszty.

— Czy nie mówiłam ci, że moi ludzie mnie pomszczą? Zginiesz!

— Niedoczekanie wasze! — krzyknął z nagłą determinacją. — potrafię się bronić i...

— Czym? — wtrąciła, chcąc poinformować niewidzialnego sojusznika o „stanie uzbrojenia” Lagudakisa.

— Brzytwą!

— I z brzytwy chciałeś strzelać?!

Parsknęła śmiechem jak najgłośniejszym, aby tamtemu umożliwić wykonanie nagłego ataku. Nie skorzystał z tego, nie reflektował na walkę w ciemnościach z człowiekiem uzbrojonym w brzytwę, wołał mu ją pierw wytrącić z ręki, jak przedtem pudełko zapalek.

Nagle zabłyśła kieszonkowa latarka elektryczna. W jasnym kole jej światła Dalila ujrzała pod ścianą Lagudakisa trzymającego w podniesionej ręce otwartą brzytwę. W jego zmrużonych oczach zabobonny strach walczył o lepsze z wściekłością, że chcą go pozbawić nagrody przyrzeczonej za wykrycie zagadkowej blondynki, która wysadziła w powietrze dziesięć

ciężarowych aut z amunicją. On, Lagudakis, nie tylko wykrył tę sabotażystkę, lecz ujął ją nawet i miał święte prawo do obiecanych dwudziestu tysięcy lirów. Dla nich gotów był do walki na śmierć i życie, chociaż odwagą nie grzeszył nigdy.

Od momentu zapalenia latarki nie upłynęły ani dwie sekundy, kiedy w powietrzu śmignął ciężki flakon z kolońską wodą i przygwoździł do ściany prawą dłoń Greka, który choć po tym ciosie upuścił brzytwę, rzucił się naprzód z szalonym impetem. Czy to miał być brawurowy kontratak, czy próba ucieczki, nie wiadomo. Faktem było to, że latarka zgasła i w nieprzebitych ciemnościach rozpoczęły się zapasy dwóch mężczyzn. Zataczając się od ściany do ściany, raz po raz wpadali na krzesło Dalili i tym samym posuwali je w różne strony. Dzięki temu zdarzyło się, że pod prawą stopą wyczuła brzytwę, która wypadła z ręki Lagudakisowi. Nieco później obydwaj walczący runęli na podłogę.

— Na pomoc! Ratu...

Greki niedługo korzystał z tego, że przeciwnik podczas upadku wypuścił jego szyję ze swoich palców. W połowie drugiego okrzyku schwycił go znowu za gardło, uniemożliwiając mu wołanie o pomoc.

W pewnej chwili, gdy walczący znaleźli się ponownie obok krzesła, jeden z nich niechcący uderzył Dalilę w nogę i pod jej pantofelkiem odkrył broń, która łatwo mogła rozstrzygnąć tę uciążliwą walkę. Dalila, odgadłszy natychmiast, o co chodzi, nadepnęła brzytwę z całej siły.

— Puść ją, to ja!

Bardzo znajomy głos, ale czyj? W każdym razie nie Lagudakisa, wobec czego podniosła stopę. Jęk i nagła cisza po nim świadczyły, że brzytwa zadecydowała o porażce Greka. Zwycięzca powstał, oparł się o wysokie krzesło Dalili, dyszał ciężko, odpoczywał po męczących zapasach.

— Najserdeczniej dziękuję za...

Na tym urwała, gdyż trzepnęła ją w kark z pasją.

— Dlaczego mnie...

— Dlaczego?! A kto urządził zamach pod Adi Ugri? Bez mojej wiedzy! Wbrew mojej woli! I tak głupio, że nawet ten bałwan Lagudakis domyślił się, czyja to sprawa... No, ale ja zrobię z tobą porządek!

Teraz dopiero nabrała pewności, że tym, który pospieszył jej z pomocą tak ogromnie w porę i który stoi przy niej, jest Assar Weziry. Aby go nie drażnić, słuchała jego wymówek z pokorą, dość zresztą szczerą. Ostatecznie on miał słuszość, postąpiła bardzo lekkomyślnie, że przyszła czesać się do tego samego fryzjera, który niedawno sprzedał jej fatalną perukę. Kiedy wyznała to ze skrucą, Assar udobruchał się niespodziewanie szybko, żartobliwie wytargał ją za włosy i przylgnął gorącymi ustami do jej szyi. Potem zaczął rozplątywać węzły ręczników i prześcieradeł, którymi Grek przywiązał ją do krzesła. Czynił to bez pośpiechu, a więzów szukał najchętniej tam, gdzie nie było ich z pewnością, na przykład pod bluzką. Gdy zaprotestowała przeciwko takiej gorliwości akcji ratunkowej, zamknął jej usta pocałunkiem. I przypomniał, że przecież ocalił jej życie.

— Czy nie należy mi się za to nagroda?

— Tttak, ale nie tutaj! Och, zapal nareszcie światło.

Zapalił. Pierwsze spojrzenie skierowała na Lagudakisa. Leżał nieruchomo na brzuchu, o dwa metry od jej krzesła. Usłyszawszy kroki szefa wracającego od głównego kontaktu światła odwróciła głowę w chwili, gdy odsuwał kotarę oddzielającą męski salon od damskiego, i krzyknęła, jak gdyby zobaczyła upiora. Kobięco piękny i zawsze elegancki Assar Weziry obecnie, po zaciętej walce z Lagudakisem, wyglądał wręcz odrażająco. Twarz miał pocętkowaną

rdzawymi plamami, jego rasowe dłonie były zbroczone krwią aż do przegubów. Dalila wzdrygnęła się z obrzydzenia na myśl, że te ręce dotykały jej przed chwilą. Zasłoniła sobie oczy.

— I on mnie pocałował!

Assar Weziry spojrział w lustro, parsknął wymuszonym śmiechem, podszedł do najbliższej miednicy, zaczął się myć. Podczas tego zapukano.

— Kogo tam diabli niosą? — mruknął niezadowolony.

Pukanie w żaluzję, powtórzyło się zaraz.

— Z ulicy? Rozumiem. Jakiś spóźniony klient ujrzał światło i chce ogolić się, lub ostrzyc. Niech sobie zaczeka do poniedziałku.

Lecz tamten ani myślał czekać. Bił pięścią w żaluzję, aż w końcu Assar Weziry odezwał się zapytał, kto tam.

— Policja! — padła odpowiedź. — Proszę otworzyć natychmiast!

Gąbka wypadła z rąk persowi, jego twarz stała się szara, jak popiół.

— Przyszli po nas!

Syczącym szeptem powtarzał w kółko te trzy wyrazy, wlepiając przerażony wzrok w zasłonięte żaluzją okno, do którego dobijano się z zewnątrz. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, co Dalila mówi mu do ucha. Ona zaś starała się w kilkunastu słowach uspokoić szefa, przekonać go, że na razie nie ma powodów do paniki. O tym, co spotkało Lagudakisa, nikt nie mógł wiedzieć dotychczas, a gdyby chodziło o jaką aferę szpiegowską, nie szukano by ich tutaj, tylko na piętrze, i nie przysłano by po nich policji, lecz żandarmów.

— Słusznie! — przyznał, spojrzawszy na nią z uznaniem; zaimponowała mu jej zimna krew. — Ale co mam począć?

— Wpuścić ich, skoro usuniemy trupa. Czy nie ma tu gdzie jakiej dobrej kryjówki?

— Jest. Piwnica. Pomóż mi go przenieść...

Wejście do piwnicy znajdowało się w perfumerii sąsiadującej z męskim salonem. By nie oznaczyć przebytej drogi śladami krwi, zwinęła linoleum, na którym leżał Grek, w tym rulonie przenieśli go i położyli obok prostokątnego otworu, jaki ukazał się w podłodze po podniesieniu wieka. Zaledwie jednak strącili go do piwnicy, zaczęły tam rozbrzmiewać jęki.

— On żyje! — wyszeptała Dalila.

— Otworzysz, czy nie?! — ryczał ktoś na ulicy i da capo jął bombardować żaluzję, aż rozlegało się w całym domu.

— A niech to wszyscy diabli! — warknął Assar Weziry. Wcisnął w dłoń Dalili swoją latarkę elektryczną. — Musisz tam zejść, pilnować go i dobić, jeżeli nie będzie zachowywał się cicho.

Rzekłszy to, popchnął Dalilę tak znienacka, że omal nie stoczyła się po stromych stopniach. W samą też porę schyliła się, inaczej ciężkie wieko, opuszczone z impetem byłoby ją palnęło w głowę i zabiło na miejscu.

— Czy on tego pragnie?!

Posłyszała jeszcze nad sobą szcęk skobla i szybkie kroki Assary wybiegającego z perfumerii, potem na górze zrobiło się cicho. Za to pod nią jęki rozlegały się coraz głośniejsze. Zapaliła latarkę. W jej białym świetle u stóp schodków, na których stała, zobaczyła na pół rozwinięty rulon linoleum. Wystawały z niego obydwie dłonie Lagudakisa, starającego się wyleźć lub choćby głowę wydobyć z tego futerału. Kierując się litością, pomogła mu w tym i odskoczyła wstrząśnięta widokiem jego okropnej rany, której nie widziała przedtem. Musiała jednak przemóc odrazę i klęknąć tuż obok rannego, gdyż zaczął wzywać pomocy.

— Gdzie jestem? — spytał, kiedy uczuł, że ktoś znajduje się przy nim i głaska go po głowie.

— W bezpiecznym miejscu.
— W bezpiecznym... On tu nie przyjdzie, ten niewidzialny zbój?
— Nie.
— Uwięziono go?
— Tttak.
— To dobrze. Niech go powieszają razem z nią... Chcę lekarza.
— Lekarz już był, kiedy pan leżał zemdlony.
— I co? Co powiedział? Że będę żył?
— Tttak.
— Dzięki Bogu... Tam, w Grecji... żona, dzieci czekają na mnie. Ja muszę żyć, muszę!

Dalili zbierało się na płacz. Nie wiedziała, że ten człowiek ma żonę i dzieci, za to wiedziała, że on żyć nie będzie, nie może, gdyż to równałoby się wydaniu wyroku śmierci na nią i nie tylko na nią. Skoro Assar przyjdzie tutaj, dobije go bez litości. Och, lepiej byłoby, gdyby nie doczekał tej okrutnej chwili, gdyby sam umarł teraz.

— Pić — jęknął. — Wody mi dajcie...

Nawet tego życzenia spełnić nie mogła, nie było przecież wody tutaj, w piwnicy. Musiała łąć, że lekarz nie pozwolił mu nic pić.

— Skąd ja ten głos znam? — mruknął Lagudakis.

Wtem dotknął dłonią swojej rany na szyi i stwierdził, iż nie jest zabandażowana. Zrozumiał, że oszukano go, że nie wzywano pomocy lekarskiej, że nadal pozostał w szponach ludzi, którzy nie wypuszczą go żywcem choćby dla własnego bezpieczeństwa. Jakże mógł nie poznać po głosie swojej groźnej klientki, za której schwytanie władze włoskie przyrzekły dwadzieścia tysięcy lirów nagrody!

— Przez ciebie zginę, ty zmijo — wybuchnął — przez ciebie moje dzieci czeka nędza, głód, poniewierka...

— Mów ciszej, jeżeli ci życie miłe!

Umilkł na chwilę, rozważał, dlaczego zależy jej na tym, aby nie podnosił głosu. Wreszcie zrozumiał i to, odgadł, że w pobliżu są jacyś ludzie, którzy mogliby mu pospieszyć na ratunek.

— Na pomoc! — wrzasnął. — Mordują! Na pomooc!

Assar Weziry polecił dobić go, jeżeli nie będzie zachowywał się cicho. Dobić rannego?! Wzdrygnęła się na samą myśl o tym, wołała zatkać mu usta połą jego kitla. Z rozpaczliwą energią starał się oderwać jej dłonie trzymające ten knebel, lecz nazbyt już był osłabiony, aby tego dokazać. Kiedy przestał się szamotać, usunęła knebel.

— Umieram — wyszeptał — lecz przyjdę do ciebie! Gdy będziesz zasypiała, stanę koło twojego łóżka...

— Zamilcz, błagam cię.

— Ujrzysz mnie tam co noc... Nie zaznasz spokoju już nigdy!

Potem zaczęła się agonía. Ponure rżenie konającego przeraziło Dalilę tak, że rzuciła się do ucieczki. Nie zdołała oczywiście podnieść wieka, które jej szef zamknął na skobel i nagle zrodziło się w jej umyśle podejrzenie, iż Assar chce ją zgładzić również, jako jedyne go świadka jego zbrodni.

Tymczasem Assar Weziry skończył już „rozmowę” z osobnikiem, który wkroczył do salonu męskiego po podniesieniu żaluzji w drzwiach od ulicy. Był to niski grubasek o twarzy okrągłej jak księżyc w pełni i wiecznie roześmianej. Musnąwszy przelotnym spojrzeniem Assara opartego o futrynę drzwi, skierował wzrok w głąb zakładu fryzjerskiego, zerknął też ku otwartym na oścież drzwiom perfumerii.

— Ppppan... czego?

— Ja — odparł przybyły — chcę mówić z Lagudakisem.

— On już wyszedł.

— Wyszedł? Ależ to niemożliwe! Przed dobrą godziną rozmawiałem z nim, polecił mi, bym na niego zaczekał na rogu, w kawiarni. Siedziałem tam, byłbym go był zauważył na pewno... Kim pan jest?

— Właścicielem tego przedsiębiorstwa. A pan?

— Przyjacielem Lagudakisa...

— Zatrudnionym w policji?

— Ja? Skąd panu to przyszło do głowy?

— Jak to, skąd! Pukając w żaluzję wołał pan *tu policja*.

Grubasek wybuchnął śmiechem. Trzymał się za brzuch i chichotał niemal po każdej sylabie swojego wyjaśnienia, które brzmiało:

— Chciałem nastraszyć Lagudakisa. To był żart. Pyszny, co?

Na takie dictum Assar Weziry zgłupiał. Tyle strachu najadł się tutaj, uwierzywszy w niespodziewaną wizytę policji, aż okazało się teraz, że to był fałszywy alarm. *Żart!*. Tygrysim susem dopadł rozbawionego przybysza, chlasnął go w twarz z całej siły, poprawił lewą z drugiej strony a dłonie wspaniale przylegały do tych pyzatyńskich policzków. Potem złapał grubaska za kark, wypchnął go na ulicę i obdarzył mocnym kopniakiem na drogę.

— To był także żart — krzyknął, opuszczając szybko żaluzję.

Ulżyło mu to, lecz nie na długo. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, że zrobił kapitalne głupstwo, potraktowawszy w taki sposób człowieka, który był przyjacielem Greka i czekał dzisiaj na niego.

— Gdy władze zaczną szukać Lagudakisa, ten grubas z zemsty będzie zeznawał tak, aby podejrzenia padły na mnie — przewidywał. — A może drab już teraz sprowadzi mi na kark policjanta celem spisania protokołu za to twarzobicie? Tak czy owak należy tamtego usunąć stąd jak najprędzej!... Ale gdzie go umieścić?

Assar Weziry zastanawiał się nad tym przez pół godziny, w końcu doszedł do przekonania, że byłoby niezmiernie trudno wywieźć stąd zwłoki tak, aby tego nie zauważył nikt ze służby, że zatem należy pochować Lagudakisa tutaj, w jednej z piwnic.

— To będzie najprostsze — uznał i niezwłocznie wyszedł na dziedziniec po łopatę i kilof.

Długo szukał tych narzędzi, gdyż nie chciał o nie pytać swoich ludzi, aby nie budzić jakich domysłów.

— Gotowi pomyśleć, iż zamierzam skarby zakopać w ziemi.

Kiedy powrócił do swojego zakładu fryzjerskiego, posłyszał głucho dudnienie dobiegające jak gdyby z perfumerii.

— Aha, Dalila chciałaby nareszcie wyjść z piwnicy — odgadł — ale jak ona śmie urządzać takie hałasy?! Gdyby tu, zamiast grubasa, który oberwał po papie, byli naprawdę weszli policjanci, miałbym się z pyszna! Nno, ale ja jej za to natrę uszu i nie tylko za to!

Choć odgrażał się tak, nie skarcił winowajczyni ani słowem, jeszcze musiał ją uspokajać, bowiem to, że wraz z konającym Lagudakisem była zamknięta przez godzinę, rozstroiło jej nerwy zupełnie. Ledwie zdołał ją nakłonić do tego, aby mu pomogła wykopać głęboki grób dla Greka, a ciężką okazała się ta robota w tutejszym kamienistym gruncie. Wreszcie koło godziny jedenastej wieczór ukończyli skrupulatnie zacieranie śladów zbrodni Assara, który potem ją usilnie zaprasza do swojego mieszkania.

— Dlaczego nie chcesz? — spytał gniewnie, gdy odmówiła. — Zjemy sobie razem kolację i...

— Nie potrafiłabym nic przełknąć — wtrąciła.

— Więc prześpimy się razem. Należy mi się chyba coś za to, że przez ciebie stałem się zabójcą, że ocalałem ci życie.

— Tak, tak, ale nie dzisiaj. Pozwól mi odetchnąć, zapomnieć o tym, co przeżyłam tutaj w ciągu tych okropnych pięciu godzin.

— Zapomnisz o wszystkim w moim łóżku...

Zapewniając Dalilę, że to jest niezawodny sposób odprężenia nerwów, zaciągnął ją na piętro niemal siłą, lecz o krok od swojej porażki zdołała mu uciec. Uciekła po drzewie rosnącym koło balkonu. Tą samą drogą niegdyś wtargnęła do mieszkania Assara po raz pierwszy, czyli wówczas kupiła perukę od Lagudakisa, który dziś życie zakończył tak tragicznie.

Myślała o nim nieustannie, wlokąc się do willi, jaką oddano jej do dyspozycji, i starała się wmówić w siebie, że nie jest winna jego śmierci. Nie czuła dotychczas wyrzutów sumienia z powodu zabicia trzydziestu żołnierzy, którzy wylecieli w powietrze pod Adi Ugri dzięki jej zdradzieckiemu darowi, natomiast Lagudakis stał się dla niej od razu przeklętą zmorą i miał nią pozostać na długo.

Nie chcąc budzić służby, weszła do domu od ogrodu przez okno, które stale podczas jej nieobecności bywało niedomknięte, aby mogła wrócić tamtędy. Mógł to kiedyś zauważyć ktoś niepożądany i skorzystać z tej drogi, dlatego zwykle przed udaniem się na spoczynek z rewolwerem w dłoni rewidowała wszystkie cztery pokoje, kuchnię i łazienkę. Dzisiaj zapomniała o tym, była zresztą taka zmęczona, że zrezygnowała nawet z prysznicu i z przebrania się w piżamę. Zdjąwszy suknię, rzuciła się na łóżko i zgasiła lampę. Lękała się dzisiaj ciemności, lecz w jej sypialni było zawsze dość jasno, dzięki latarni ulicznej stojącej przed willą.

— Obym mogła zasnąć jak najprędzej — westchnęła.

Życzenie to byłoby się prawdopodobnie spełniło, gdyby nie to, że w jadalni zegar zaczął wybijać godzinę. Naliczyła dwanaście uderzeń i od razu przypomniała sobie, że któryś z jej wielbicieli nazywał północ godziną duchów. Dotychczas śmiała się z tego, lecz teraz przyszła jej na myśl pogrożka umierającego Greka: — Przyjdę do ciebie. Gdy będziesz zasypiała, stanę koło twojego łóżka. Ujrzysz mnie tam co noc. Nie zaznasz spokoju już nigdy! — Każde z tych słów wryło się jej w pamięć, dźwięczało jej w uszach jego chrapliwym głosem. A właśnie biła północ. Antyczny zegar kurantowy подарowany jej przez lotnika Campiuchiego, po ostatnim uderzeniu jął wygrywać melodyjkę, którą grał zawsze o dwunastej godzinie, w południe i o północy.

— Ja chyba mam silną gorączkę — wyszeptała, gdyż wydało się jej, że słyszy czyjeś kroki w mieszkaniu.

Nie, to nie było przywidzenie. Odgłosy kroków stawały się coraz wyraźniejsze, coraz bliższe. Ktoś szedł tutaj, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Sączące się przez firankę światło latarni ulicznej przez otwarte drzwi wdzierало się również do sąsiadującego z sypialnią saloniku i tam oniemiała z przerażenia Dalila ujrzała wysoki cień. Posuwał się teraz bezszelestnie, gdyż całą podłogę saloniku okrywał dywan. Wreszcie dotarł do drzwi sypialni, przystanął. Nie, to nie było wytworem wyobraźni. Tam, na progu stał ktoś z pewnością! Kto?

— Lagudakis!!! — krzyknęła przeraźliwie i zemdląła.

ROZDZIAŁ XV

Kiedy ją ocucono, ujrzała nad sobą zatroskaną twarz człowieka, który jutro miał powrócić z niebezpiecznej podróży na drugą stronę frontu bojowego. Tak, to był porucznik Giovanni Delsanto jedyny Włoch, którego lubiła bez wszelkich zastrzeżeń. Jego oczekiwała niecierpliwie, dla niego chciała wyglądać jak najpiękniej i dlatego udała się do fryzjera, nie przeczuwając fatalnych następstw tej zwykłej kokieterii.

— Nareszcie otworzyłaś oczy, a już chciałem wezwać lekarza.

Giovanni Delsanto był serio zaniepokojony jej omdleniem i, jako jego mimowolny sprawca, usprawiedliwiał się teraz ze skrucą: Powrócił do Asmary o kilkanaście godzin wcześniej, niż przewidywał. Nie zastawszy pułkownika Bossio, przybiegł tutaj, by przywitać się z *czekoladową księżniczką*. Nie zastał jej również, ponieważ jednak miała rzekomo wrócić niebawem, postanowił poczekać na nią. Służba znająca go dobrze, pozwoliła mu czekać w mieszkaniu i odeszła do suteryn, on zaś, zmęczony długą podróżą zdrzemnął się na fotelu. Obudzony przez kurant, stwierdził ze zdumieniem, że jest północ, że on spał tu prawie pięć godzin, potem przyszło mu do głowy, iż widocznie ona, Dalila nie wróciła jeszcze do domu, inaczej byłaby go przecież zbudziła, A może jednak wróciła, tylko chciała go ukarać za to, że spał tak bezceremonialnie w jej mieszkaniu? Postanowił przekonać się o tym, zajrzeć do sypialni, zanim wyjdzie z willi...

— Nie przypuszczałem — ciągnął dalej — że tak cię przestraszę, mała księżniczko... No, lecz teraz najwyższy czas, bym odszedł.

— Juuuż? Dlaczego?

— Dlatego, że nie mam w żyłach wody, tylko gorącą krew! — odparł, ślizgając się wzrokiem po jej obnażonych ramionach i po małych piersiach, rysujących się aż nazbyt wyraźnie poprzez jedwab koszulki.

— Więc nakryj mnie pledem aż za brodę, ale zostań jeszcze. Opowiedz mi coś o swojej podróży albo o czym chcesz.

— Nie. Nie mógłbym ręczyć za siebie.

Chciał powstać, gdyż od chwili, kiedy odzyskała przytomność, siedział na krawędzi jej łóżka, lecz przytrzymała go za rękę.

— Zostałbym bez obawy — dodał żartobliwie — gdybyś była stara albo brzydka jak Grek, który przyśnił ci się o północy.

— Grrrek?!

— No tak. Gdym stanął na progu, zawołałaś *Lagudakis!* Tak nazywa się jeden tutejszy fryzjer, Grek, który golił mnie już nieraz, a ciebie zapewne czesał, skoro go znasz, skoro przyśnił ci się dzisiaj... Ale pora mi...

— Nieee!! — krzyknęła i wpiła palce w jego ramię. — Nie chcę być sama! Zostań, błagam cię, zostań ze mną ...

Objęła go za szyję i zaczęła namiętnie całować po twarzy, powtarzając swą prośbę, by nie odchodził teraz, nie wydawał jej na pastwę trwogi.

— Boję się, zrozum ... Miałam okropne sny — skłamała.

Giovanni błogosławił w duchu owe okropne sny, które rzuciły mu w ramiona tak bardzo przenieżnaną kobietę. Całował ją do utraty tchu, jednak wciąż jeszcze miał skrupuły, czy może wyzyskać do ostatka moment jej załamania się czy słabości.

— Dalilo — przemówił głosem nabrzmiałym od pożądania — jesteś młodziutką dziewczyną, ale zapewne już wiesz, że...

— Wiem — wtrąciła krótko.

— I sama tego pragniesz?!

Pięć minut temu byłaby powiedziała: — Wszystko mi jedno, co będzie, byle ktoś pozostał przy mnie aż do rana. — Lecz obecnie, po tylu płomiennych pocałunkach była podniecona na równi z Giovannim albo bardziej, boć abisyńska krew bardziej jest gorąca niż włoska. Nie odrzekła więc nic, tylko osunęła się na wznak i podścieliła mu swoje ciało; nawet taki skrupulat jak Giovanni Delsanto musiał uznać tę odpowiedź na swoje pytanie za całkiem wystarczającą.

Za to później, gdy zrozumiał, że nie był pierwszym kochankiem *czekoladowej księżniczki*, żądał jak najbardziej dokładnych wyjaśnień, lecz żądał na próżno. Dowiedział się zaledwie tyle, że przed nim należała do innego mężczyzny tylko jeden raz i to wbrew swojej woli.

— Tym mężczyzną, tym łotrem był Mearza?! — krzyknął.

Tym mężczyzną był zdetronizowany cesarz Lidż Jassu, ale tego przecież nie mogła powiedzieć, nie chcąc narazić się na niebezpieczną indagację, domysły, podejrzenia. Dawała różne wymijające odpowiedzi, aż zniecierpliwiła ją w końcu jego natarczywa ciekawość.

— Czy podobne pytanie zadajesz wszystkim swoim kochankom?

— Ciebie nie uważam za kochankę — odparł — lecz za moją przyszłą małżonkę!

Powiedział to niemal uroczyście a potem zaczął ją zapewniać, że tak poważne zamiary wobec niej żywi od dawna, że pragnie ją poślubić, skoro zakończy się obecna wojna.

— A ty, czy chcesz zostać moją żoną?

— Ja?!

— Ty, maleńka, ty. Czy nie kochasz mnie?

— Nie wiem.

— Ale pokochasz na pewno. Skoro zaś dwoje ludzi, jak my, kocha się wzajemnie, dla utrwalenia swego szczęścia powinni zawrzeć małżeństwo. To przecież całkiem jasne i proste.

Dla niej ta sprawa wcale nie była prosta. Wprawdzie Salomon Mongosza, młody junak, którego pokochała swoją pierwszą miłością, podobno zginął, wprawdzie Jonasz, jego starszy brat przyrodni, a jej mąż, był kaleką i zaraz po ślubie przyrzekł jej dać rozwód, kiedy ona tego zażąda, lecz były jeszcze inne przeszkody, ważniejsze. Wojna i jej następstwa! To, że Włosi dla osiągnięcia swoich zdobywczych celów wymordowali dziesiątki tysięcy jej rodaków. To, że ona, Dalila, była abisyńskim szpiegiem, o czym Giovanni na razie nie wiedział, i co musiałyby ukrywać przed nim także po wojnie, aby nie zburzyć gmachu swojego szczęścia. To, że... och, takich rys na ścianach tego gmachu ukazałoby się bardzo wiele, jedna z nich szczególnie silnie wystąpiła już nazajutrz.

Nazajutrz, czyli dnia 27 października, Giovanni Delsanto dowiedział się, że również w niedzielę, dwa tygodnie temu, w Addis Abebie zginął od kuli jego przyjaciel Leonardo Campolo. Wieczorem u Dalili mówił o tym chyba przez dwie godziny, a potem zaczął miotać przekleństwa i pogrożki pod adresem nieznanego zabójcy porucznika Campolo.

— Gdybym go dostał w moje ręce, wymyśliłbym mu tortury, o jakich nie śniło się Neronowi ani waszym Danakilom! Mój biedny Leonardo, spraw żeby twój morderca dostał się do niewoli — wołał w przystępie rozpacz, gdyż kochał Campola jak brata. — Spraw to i wskaż mi tego łotra.

Dalila wdrygnęła się mimo woli. Później zaś, kiedy Giovanni rozplakał się w jej

ramionach, przyszło jej na myśl, że rozdzieliła ich na zawsze śmierć Leonarda Campolo, który zginął dzięki jej raportowi wysłanemu do Addis Abeby. Nie do zniesienia byłoby dla niej pożycie z Giovannim nieprzeczuwającym, iż znenawidzonym przez niego zabójcą Leonarda jest właśnie ona, Dalila Borez. Nie do zniesienia byłoby prolongowanie na całe życie podłej komedii, jaką musiała grać obecnie dla dobra swojej ojczyzny.

— Nic nie będzie z naszego małżeństwa — pomyślała sobie, zresztą bez większego żalu, bowiem koncepcja ta od razu wydawała się jej nierealną.

Wręcz przeciwnie było z Giovannim. On naprawdę od dawna nosił się z zamiarem poślubienia po wojnie *czekoladowej księżniczki* abisyńskiej od dawna przywiązał się do tych myśli, a to, że od wczoraj była jego kochanką, uważał za jej formalną zgodę na jego małżeńską propozycję. Przy tym Dalila dała mu chwile rozkoszy, jakiej nigdy nie zaznał w dawniejszych swoich przygodach erotycznych, to także zaważyło na szali. I to również, że współczuła mu tak gorąco, z powodu tragicznej śmierci Campolo, że łagodziła jego smutek, że zdawała się rozumieć go niczym wierny kompan, stary, wypróbowany przyjaciel.

— Teraz, gdy niema już Leonarda — powiedział, zasypiając w jej objęciach — najlepszym moim przyjacielem będziesz ty.

Krótko, bardzo krótko miała trwać ta przyjaźń. Następnego dnia, to jest w poniedziałek po południu, pułkownik Bossio powrócił z Massauy do Asmary i przede wszystkim wezwał do siebie porucznika Delsanto. Wysłuchawszy jego sprawozdania z podróży do Abisynii, skierował rozmowę, na Leonarda Campolo.

— Wiem, panie pułkowniku — rzekł Giovanni ze smutkiem — wiem, że zginął.

— A czy wie pan także, kto go zgubił? Wasza nieostrożność! Wasze gadulstwo! Campolo był na tyle lekkomyślny, że o swoim wyjeździe do Addis Abeby powiedział komuś... — Tu Bossio przenikliwym wzrokiem wpił się w oczy porucznika. — Jakąś okrężną drogą dostało się to do wiadomości abisyńskich szpiegów, którzy dali znać Jonaszowi Mongoszy.

— To niemożliwe!... Najmocniej przepraszam pana pułkownika, że ośmieliłem się wydać tak niesubordynacyjny okrzyk, lecz znałem dobrze porucznika Campolo. Może najlepiej. Byłem jego jedynym przyjacielem. I skoro nawet mnie ani słowem nie wspomniał o swojej podróży do...

— Na pewno nie wspomniał?

— Na pewno! Daję słowo honoru.

— Hm... Jednakże musiał wygadać się przed kimś. Dowodzi tego zarówno raport kapitana Mediniego, jak i przychwycony meldunek szefa wywiadu abisyńskiego w Asmarze. Meldunki swe najwidoczniej wysyłają w kilku egzemplarzach, skoro nasz biedny Campolo zginął pomimo przejścia jednego... no, to do rzeczy nie należy.

— Czy pan pułkownik nie zechciałby mi pozwolić przejrzeć odnośne akta? Może wpadnę na ślad, który ...

— Bardzo chętnie — wtrącił Bossio. Połączył się telefonicznie z majorem Corinim i skierował do niego porucznika Delsanto.

Giovanni nie bawił tam długo. Jeden rzut oka na ów szyfrowany meldunek przekonał go, że pisała go ta sama ręka, która skreśliła kilkanaście słów na kartce, jaką ongiś znalazł u Dalili. Treść owej kartki znał na pamięć:

Przyjmij tę drobnostkę i nie płacz już więcej przeze mnie. A kartkę zniszcz!

Twój szef, A.

Szefem Dalili w ich biurze był Antonio Mearza. Antonio, stąd A! Onegdaj *czekoladowa*

księżniczka wyznała Giovanniemu, że przed nim należała tylko do jednego mężczyzny i to wbrew swojej woli. Rozpaczała wówczas zapewne, skoro napisał: *Nie płacz już więcej przeze mnie* i skoro „na otarcie łez” podarował jej bardzo kosztowną bransoletę. To przyszło Giovanniemu do głowy już dawno, to nieraz doprowadzało go do wściekłości, ale i dziwiło, skąd profesor Mearza mógł sobie pozwolić na tak wspianały prezent.

— Teraz rozumiem — bełkotał, spiesząc korytarzem do gabinetu swojego zwierzchnika — łajdak pracował na dwa fronty, a wywiad abisyński pono nie żałuje pieniędzy... I dla pieniędzy pan Mearza zdradzał ojczyznę, dla pieniędzy wydał na śmierć mojego Leonarda... O, drogo ty za to wszystko zapłacisz, kanalio!

Pułkownika nie zastał tym razem. Podobno Bossio musiał dziś wieczór wziąć udział w jakimś bankiecie, a przedtem miał ważną konferencję z szefem lotnictwa i już odjechał.

— Nie szkodzi — mruknął Giovanni — to nawet lepiej, że podzielię się z nim moim odkryciem dopiero jutro. Przedtem postaram się o kilka próbek pisma tego zdrajcy.

Zdobył je w biurze z łatwością, ale rozczarował się bardzo. Kaligraficzne pismo profesora nie przypominało w niczym *hysterycznych gryzmołów* człowieka, który stał na usługach wywiadu abisyńskiego i wysłał do Addis Abeby meldunek, że wyjeżdża tam porucznik Campolo. Więc to nie Mearza? Szkoda, wielka szkoda.

Giovanni był szczerze zmartwiony swoim zawodem, lecz nie zwalniał go on od kontynuowania dochodzeń, kto jest zdrajcą i sprawcą śmierci Leonarda. Jedyнным śladem, jaki mu pozostał była kartka znaleziona niegdyś u Dalili. *Czekoladowa księżniczka* wiedziała, kto jej przysłał tę kartkę wraz z cennym upominkiem i musi wymienić nazwisko tego człowieka. Przeprowadziwszy takie rozumowanie, udał się natychmiast do mieszkania kochanki. Właśnie wychodziła z willi — na spacer — jak mu powiedziała, ale zawróciła z radością sądząc, że przyszedł spędzić z nią czas równie przyjemnie, jak ubiegłej nocy i poprzedniej. Od razu też wciągnęła go do swojej sypialni, a służbie dała urlop do rana.

— Muszę z tobą pomówić w bardzo ważnej sprawie — zaczął.

— Później, później... popieść mnie najpierw.

Całowała go tak gorąco, że nie mógł nie spełnić jej życzenia, lecz potem przystąpił niezwłocznie do *badania uroczego świadka*.

— Wpadłem na trop człowieka, który spowodował śmierć Campola. Ten łotr znajduje się tutaj, w Asmarze, i lada chwila będzie zdemaskowany, w czym musisz nam dopomóc, ponieważ ty go znasz.

— Ja?! — wykrztusiła, patrząc na niego z przestraczem.

— Ty. Tu, u ciebie, znalazłem raz... całkiem przypadkowo... kartkę na której ktoś napisał...

Ku jej przerażeniu znał na pamięć treść krótkiego listu Assara i dodał, że ten sam charakter pisma ma przejęty przez władze włoskie meldunek tutejszej placówki wywiadu abisyńskiego.

— Ależ ja nie stykam się tutaj z żadnymi tubylcami.

— Wiem, kochanie, wiem. Tym szpiegiem jest, niestety, ktoś z naszych, ba, ktoś z naszego biura! Od kogo dostałaś ten liścik?

— Nnnie pamiętam. Poznałam tu ze stu oficerów, a do nazwisk...

— Zawsze podziwialiśmy — wtrącił — twoją świetną pamięć.

— Nie można jednak żądać, bym zapamiętała sto nazwisk, dla mnie bądź co bądź trudnych do wymówienia, cudzoziemskich.

— Mnie nie chodzi o stu ludzi, tylko o jednego człowieka. O tego, który wyrządził ci krzywdę, gdyż sam przyznaje w liście, że przez niego płakałaś i na otarcie łez przysłał ci piękną

bransoletę, to było zaledwie dwa miesiące temu! W ciągu tak krótkiego czasu żadna kobieta nie zapomni tego rodzaju... przygody. Mogę więc żądać, byś wymieniła nazwisko tego lajdaka.

— Ale ja naprawdę zapomniałam, jak brzmiało to nazwisko.

— Zapomniałaś, hm ... Zatem opisz mi go.

— Nie potrafię. Och, czemu ty mnie dzisiaj tak dręczysz, Giovanni! Czy nie lepiej korzystać z tego, że wróciłeś do Asmary na kilka dni, że jesteś w łóżeczku ze mną, z twoją przyszłą żoną?!

— Już nie jestem w łóżku! — odparł, wyskoczywszy na podłogę. — A teraz mów. Czy to jest starszy gość, czy młokos? Jak mu na imię? Jaką ma rangę? Czy to oficer sztabowy?

Zadał jej takich pytań kilkanaście, ale nie doczekał się odpowiedzi. Dalila milczała zawzięcie, starając się osłodzić mu to demonstracją drastycznej, iście afrykańskiej kokieterii. Giovanni pozostał jednak na to nieczuły, zmarszczył brwi i z rękami założonymi na plecach krążył po sypialni przez dłuższą chwilę. W końcu przystanął obok krzesła, na które, kiedy rozbierała się pospiesznie, rzuciła swoją suknię, kapelusz, pończochy i dużą ze skóry krokodyla torbę, jaką otrzymała właśnie od porucznika Delsanto.

— Twoje postępowanie uprawnia do podejrzeń — rzekł surowo, a Dalila struchlała, bowiem Giovanni ujął w dłoń jej torebkę — do podejrzeń, że chcesz tego zdrajcę ocalić, że więc jesteś albo jego kochanką, albo ślepym narzędziem. Czy jednak zdajesz sobie sprawę, jakie będą następstwa twojego uporczywego milczenia?

Długo tak przemawiał do niej, lecz nie zrozumiała z tego ani słowa. Cała jej uwaga ześrodkowała się na torbie, której zameczkiem Giovanni bawił się machinalnie, a w której znajdowała się fatalna **peruka!** Jeszcze wczoraj rano Enzullah powtórzył jej kategoryczny rozkaz szefa: — Natychmiast zniszczyć perukę! — Ale wczoraj była niedziela i Giovanni bawił tutaj od rana do... rana dzisiejszego dnia. Dzisiaj nie poszła do biura, odpoczywała po nocnych szaleństwach. Gdy obudziła się późno po południu, przypomniała sobie żądanie Assara i zaczęła rozmyślać, w jaki sposób ma je wykonać. Spalić perukę? Nie. Przekonała się już raz, iż jej podejrzliwy kucharz, wyjmując z jedyne go w domu pieca popiół, bada go nader uważnie. Postanowiła zatem rzucić perukę w nurty Anseby, ale gdy wychodziła z domu spotkała porucznika Delsanto, który obecnie trzymał w rękach torebkę z jej kompromitującą zawartością.

A Giovanni Delsanto jeszcze wciąż mówił:

— Nie pojmuję też, jakim prawem to indywiduum mianuje się w liście twoim szefem. Twoim zwierzchnikiem u nas w biurze był Antonio Mearza, którego z listy osób podejrzanych musiałem skreślić... niestety — dodał w duchu — czyli miałaś lub masz nadal jakiegoś drugiego szefa. Na czym polega współpraca z nim, radbym wiedzieć...

Spojrzał na Dalilę, stwierdził ze zdziwieniem, że jej ciemnośniada twarz stała się popielata, co u Kolorowych jest oznaką przerażenia, jak bledność u Europejczyków. Siedziała na łóżku po turecku, na podwiniętych nogach, sztywna, nieruchoma tak, że gdyby nie lekkie drżenie palców spoczywających na prześcieradle, można by ją było wziąć za lalkę z muzeum figur woskowych. Śmiesznie wytrzeszczonymi oczami patrzyła na... na co? Giovanni pobiegł spojrzeniem za kierunkiem jej wzroku, który wpijał się w torebkę, lekko rozchyloną. Odgadł bez trudu, że ona boi się panicznie, aby nie zajrzał do torebki. Czyżby tam znajdowały się listy od zdrajcy, którego nie chciała wydać?!

Dalila odetchnęła, gdyż Delsanto odłożył torbę na krzesło. Nie przypuszczała, że to jest tylko manewr, że niespuszczający z niej oka Giovanni zauważył jej westchnienie ulgi. Wtem pochwycił torebkę, otworzył ją, zanim zdążyła temu przeszkodzić, chociaż skoczyła z łóżka na niego susem godnym pantery. O pół sekundy wcześniej Giovanni usunął się tak, że Dalila spadła na podłogę, runęła na kolana. W tej pozycji zastygła jak przedtem na łóżku, a podobnie

zneruchomiał porucznik Delsanto, wyciągnąwszy z torby zamiast spodziewanych listów damską perukę ze złotymi włosami, zaondulowanymi, ułożonymi z tyłu głowy w modne loczki.

— Więc to tak!!

Zbierał myśli... Pod Adi Ugri wyleciało w powietrze dziesięć ciężarowych aut z amunicją. Wybuch spowodowała maszyna piekielna ukryta prawdopodobnie w koszyku z owocami, które sprzedawała szoferom po drodze jakaś młoda, urodziwa, złotowłosa dziewczyna. Mimo całej energii, z jaką prowadzono śledztwo, mimo wyznaczenia dużej nagrody pieniężnej, nie odnaleziono tajemniczej blondynki. A była nią Dalila Borez, to nie ulegało teraz żadnej wątpliwości wobec jej zachowania się tutaj. Skoro zaś ona odegrała główną rolę w zamachu pod Adi Ugri, to najwidoczniej stała na usługach wywiadu abisyńskiego, dostarczała mu wiadomości zdobytych w biurze i w rozmowach ze znajomymi, których dobierała sobie wyłącznie z korpusu oficerskiego.

— Jakie to wszystko przeraźliwie jasne — wyszeptał — jasne, zrozumiałe i... straszne!

Straszne było dla niego. Gdyż pokochał szczerze tę dziewczynę, pieścił ją, całował, zamierzał poślubić. Poślubić wroga swej umiłowanej ojczyzny! Szpiega, który im tyle szkody wyrządził! Morderczynię trzydziestu żołnierzy rozerwanych na strzępy przez eksplozję pod Adi Ugri! A skoro odważyła się na taką zbrodnię, to na pewno bez wszelkich skrupułów wydała na śmierć Leonarda Campolo, jego przyjaciela! Bo któż inny, jak nie ona mógł zdobyć wiadomość o wyjeździe Campolo do Addis Abeby?! Kto potrafiłby podać tak dokładnie jego rysopis?! Przecież Leonardo był mizantropem, odludkiem, większość kolegów nie znała go nawet z widzenia, tylko od Giovanniego nigdy nie stronił i właśnie Giovanni przedstawił go *czekoladowej księżniczce*... na jego nieszczęście.

— Och, podła, nikczemna...

Dalila Borez zerwała się na równe nogi.

— A ty, czy nie jesteś szpiegiem? — zasyczała. — Czy będąc na moim miejscu cofnąłbyś się przed jakąkolwiek zbrodnią?! Czy siedziałbyś z założonymi rękami, gdyby potężny nieprzyjaciel najechał twą ojczyznę i bez litości mordował twoich ziomków, mężczyzn, kobiety, dzieci?! No mów, odpowiedz!

Nic nie odpowiedział, gdyż w duchu musiał przyznać, że ona ze swojego punktu widzenia miała zupełną słuszność. Niemniej jednak była dla Włoch wrogiem, szkodnikiem, którego należało zniszczyć!

— Giovanni, Giovannino — odezwała się cicho, łagodnie.

Nikt na świecie nie umiał wymawiać jego imienia tak pieszczotliwie, jak ona, a jej dziecinny głosik przypominał znów srebrne dzwoneczki.

— Zabij mnie, ale przedtem popieść jeszcze ostatni raz... Giovannino, spójrz na mnie — prosiła, ufna w potęgę swoich wdzięków — spójrz.

Nie spojrział. Wsunął fatalną perukę do kieszeni, skierował się ku drzwiom, przystanął jednak na progu, kiedy zawołała szyderczo:

— Tak wygląda wdzięczność Włocha!

— Bądź spokojna — odparł — pamiętam o tym, że niegdyś ocaliłaś mi życie w jarze koło

...

— Nie to miałam na myśli — wtrąciła.

— A ja, przede wszystkim to! I spłacę swój dług wdzięczności, lecz później krwawo pomścę Leonarda Campolo, którego zgubiłaś ty!

ROZDZIAŁ XVI

Porucznik Delsanto wyszedł od Dalili o ósmej wieczorem. Pół godziny później wybiegła z domu, chcąc udać się do Assara Weziry'ego, by zameldować mu, co zaszło i powtórzyć ultimatum Giovanniego. Nie dotarła tam jednak. Ulica, przy której mieszkał Assar Weziry była z obydwóch stron zamknięta kordonem policji. Hen, poza kordonem majaczyły sylwety wozów straży ogniowej i karettek szpitalnych, a woń spalenizny aż kręciła w nosie.

— Co się tu paliło?

— Jeszcze się pali... O, tam na prawo...

— Ale co?

— Dom Husseina Kiamila.

Drgnęła. Tak przecież nazywał się tu oficjalnie Assar Weziry, jej zwierzchnik i szef abisyńskiego wywiadu na całą Erytreę. Zaniepokojona rzuciła kilka pytań, na które odpowiadał jej „z nadwyżką” chór gapiów, z radością małomiasteczkowych plotkarzy witających każdą nową słuchaczkę czy słuchacza. A było tu o czym mówić, było! Kierownik zakładu fryzjerskiego Kiamila niejaki Lagudakis zniknął w sobotę. Jego przyjaciel szukał go przez dwa dni, wszystkich pytał o Lagudakisa, aż w końcu wezwał pomocy władz. Agenci przywieźli ze sobą psa policyjnego, który w piwnicy zaprowadził ich do miejsca, gdzie ktoś zakopał zwłoki nieszczęsnego Greka...

— Więc znaleziono go?! — wykrztusiła Dalila.

— Nie tylko jego, ale i zabójcę!

— Tto znaczy?

— Ano, Husseina Kiamila.

— Czy on... czy ten zbrodniarz przyznał się do winy?

Tego nie wiedział nawet praktykant ze zakładu Kiamila, który był obecny przy arestowaniu *pana pryncypała*. Wiedział natomiast, że zaprowadzono Kiamila na piętro, do mieszkania. Tam właśnie rozegrał się jakiś dramat ze strzelaniną i pożarem, który niebawem szybko ogarnął całą górną część budynku. Z sześciu czy siedmiu osób przebywających wówczas na piętrze ocalał podobno tylko jeden człowiek.

— Czy Kiamil? — spytała.

Znowu nikt nic pewnego rzec nie umiał. Dopiero koło godziny jedenastej stwierdzono niezbicie, że Hussein Kiamil zginął, rozpoznano go wśród zwęglonych zwłok, jakie znaleźli strażacy w zgliszcach. Zdobywszy tę wiadomość, Dalila wycofała się z tłumu gapiów, których pomimo tak późnej pory wciąż przybywało. Śmierć szefa przygnębiła ją ogromnie i to przede wszystkim jako patriotkę. Zdawała sobie sprawę z tego, że działalność abisyńskiego wywiadu na terenie Erytrei stanie się iluzoryczna bez Assara i bez niej, a zanim Jonasz Mongosza przyśle tu odpowiednich następców, dużo wody upłynie w Abbai i Bóg wie, jak daleko dotrą Włosi.

Rozmyślając nad tym, szła, dokąd nogi poniosą. Poniosły ją oczywiście w stronę jej willi. Dzielilo ją od niej najwyżej sto kroków, kiedy przypomniała sobie nareszcie, że należałoby jeszcze dzisiaj zawiadomić Enzullaha o zgonie szefa. Ba, lecz Enzullah mieszkał diabelnie daleko stąd, ona zaś po dwóch nocach quasi-poślubnych i po dzisiejszych momentach grozy

ledwie powłóczyła nogami.

— Przecież jutro rano, jak zwykle, przywiezie mi żywność; wtedy mu powiem o... O, Boże, co to?!

Ujrzała cień człowieka stojącego pod drzewem i wpatzonego w okna jej mieszkania. Dawniej widywała go tam prawie każdego wieczora, raz nawet polowała na niego, choć bez skutku, potem przestała się nim interesować. Bawiło ją tylko to, że ona wykrada się z domu i wraca przez ogród, a jakiś głupi szpicel sterczy przed frontem willi, w alei. W końcu zapomniała o jego istnieniu, gdyż ze swoich nocnych wypraw nie wracała aleją nigdy. Wydarzyło się to dopiero dzisiaj, przez roztargnienie. Dzisiaj ujrzała znów tajemniczego obserwatora lub raczej jego cień ukośnie przecinający chodnik.

— Dawniej miał na głowie tropikalny kask — pamiętała — a teraz, no, no, czapkę oficerską. Może to znajomy?

Zgadła, iż znajomy, lecz nigdy nie byłaby odgadła, że to właśnie ten! Trudno doprawdy orzec, kto z nich dwojga wyglądał na bardziej zaskoczonego, czy Dalila Borez, czy on, pułkownik Bossio! Po chwili kłopotliwego milczenia, Bossio jął wyjaśniać niezręcznie, skąd wziął się tutaj o tak późnej porze.

— Po prostu wracałem z bankietu w kasynie do...

— ...do domu — odpowiedziała mu jak najgorzej, gdyż z kasyna do swojego mieszkania Bossio nie mógł wracać tędy, chyba, że zamierzał przedłużyć sobie drogę o milę.

— Nie — krzyknął — do biura!

Dalila z wielką afektacją jęła wyrażać swój podziw dla pracowitości zwierzchnika, który około północy wraca do roboty i to po libacji w kasynie oficerskim. Słowom, naigrawała się z niego bezczelnie, to nie ulegało wątpliwości, a wywołało ten skutek, że pruderyjny Bossio postanowił przekonać ją za wszelką cenę, iż mówił prawdę.

— Jak to dobrze, że panią spotkałem — rzekł, zatrzymując przejeżdżającą taksówkę — przetłumaczy mi pani kilka stron i...

— Dzisiaj?!

— Dzisiaj, panno Borez, dzisiaj — zemścił się za jej niedowierzenie i za kpiny. — Skoro ja muszę pracować nocami, to niech i pani raz spróbuje tej wątpliwej rozkoszy... No, jedziemy do naszej budy...

Przybyli tam o północy. Przy bramie oraz w westybulu właśnie zmieniano wartowników. Żaden z nich nie pytał o nic pułkownika Bossio, każdy stawał przed nim na baczność i „bił w dach” aż miło. Dalila, która po raz pierwszy wchodziła tu o takiej porze, zwracała uwagę na wszelkie szczegóły tak, jak gdyby jej to miało być potrzebne. — Przypuszczałam, że w nocy gmach jest zamknięty na cztery spusty, a tymczasem tu wcale nietrudno wejść komuś z personelu — myślała, krocząc obok pułkownika. — Jaka szkoda, iż nie wiedziałam o tym wcześniej. Teraz za późno... Ale może z moich spostrzeżeń skorzysta ktoś z naszych ludzi...

W swoim gabinecie Bossio jął sumiennie przygotowywać pokaz rzekomej pracowitości, przenosząc z różnych szuflad i skrytek całe sterty akt na biurko, koło którego Dalila czekała cierpliwie.

— To wszystko muszę dzisiaj załatwić — łgał, wzdychając.

— Podziwiam pana pułkownika. A ja co mam przetłumaczyć!

Zaczął szukać jakiegoś tekstu, którego przekładem chciał ją dziś obarczyć niepotrzebnie. Podczas tego z grubej zielonej teczki wysunęła się mapa. Jeden rzut oka wystarczył Dalili do stwierdzenia, że jest to plan Addis Abeby. Czarna przerywana krecha u dołu to linia kolejowa, cztery błękitne żyły to potoki przecinające miasto, zielone plamy to eukaliptusowe gaje, prostokąt w górze oznaczał tor wyścigowy, a potrójny czarny pierścień w samym środku mapy...

Gibbi, siedzibę cesarza. Lecz co miały oznaczać czerwone kreski, nie liczące się z kierunkiem ulic i zakończone strzałkami? Albo czerwone krzyżyki, z których najgrubszy wyrysowano tuż obok pałacu negusa negesti?!

— O, to mi pani przetłumaczy — odezwał się Bossio. — Proszę sobie usiąść tam, przy stole...

Usiadła, gdzie kazał, lecz oczywiście nie zabrała się wcale do tłumaczenia tych banialuk. Myślała o tym, że tak niewiele czasu pozostało jej na ucieczkę i że jednak warto by było przedtem dokonać jakiegoś wyczynu, na przykład wykraść stąd listę szpiegów włoskich w Abisynii i na przyczynek tę dziwną mapę. Ale jak tego dokazać?

Z rozmyślań nad tym wyrwał ją głos Bossia, który w pewnej chwili podszedł do niej.

— W ciągu godziny nie napisała pani słowa?! Pani spała?

— To bardzo możliwe. W ogóle nie pojmuję, w jakim celu przyszedł tu oboje. Nie wniósł pan przez to we mnie, że miał zamiar pracować dzisiejszej nocy i że tylko przypadkowo znalazł się pan koło mojej willi. Pan tam przychodził niemal codziennie! Godzinami stał pan pod drzewem wpatrzony w okno mej sypialni!

Bossio osłupiał. Dopiero po dłuższej chwili zdołał wykrztusić:

— Pani chyba za wiele dziś wypła, panno Borez.

— Po co ta obłuda, panie pułkowniku. — Zdjęła kapelusz, powstała, zaplotła dłonie na karczku. — Czy nie jestem godna tego, by i pan marzył o mnie przy księżycu i tęsknił, i...

— Jak pani śmie twierdzić, że to byłem ja!

— Nie ja jedna zauważyłam tam pana, moi goście również!

Bossio osunął się ciężko na fotel, zwiesił głowę.

— Widzieli mnie? — spytał zgnębiony. — Poznali?

— Nie poznali, gdyż nie pozwoliłam im ścigać snującego się pod willą człowieka, wiedząc, że jest nim pan, mój kochany szef.

— Ale śmiała się pani ze mnie do łez, co?

— Nie. Byłam głęboko wzruszona. — Podeszła do niego i usiadła na poręczy jego fotela. — Dziwiło mnie tylko, dlaczego pan nigdy nie wszedł do willi. Czy nie domyślał się pan, że spośród wszystkich, którzy mnie odwiedzają najmiłym gościem byłby właśnie pan?!

Bossio podniósł głowę, spojrzał jej w oczy przenikliwie, nieufnie.

— Ja, stary, a nie Campiuchi albo Delsanto? — spytał z kpiącym uśmiechem, ale w jego głosie dzwięczała nagle rozbudzona nadzieja.

— Campiuchi to głuptas, śmieszek, a Delsanto brutal, zazdrośnik. Obydwaj chcieli mnie odwiedzić jutro, lecz nie przyjmę nikogo, jeżeli pan zechce mnie odwiedzić.

— A jeśli nie zechcę?

— Zemszczę się — odparła niby żartobliwie — wszystkim znajomym powiem, kto to spacerował co wieczór pod moimi oknami...

Nazajutrz to jest we wtorek dnia 29 października Dalila wczesnym rankiem wysłała całą służbę po różne niepotrzebne zakupy. Chciała być w domu sama, kiedy nadejdzie jej dostawca jarzyn i mleka. Enzullah stawił się punktualnie, a jego pierwsze słowa brzmiały: — Asssar nie żyje!

Wiem o tym, byłam tam, gdy gaszono pożar, który niewątpliwie on sam wywołał. Nie przypuszczałam, że Asssar zdobędzie się na to.

— Ależ to nie on! Przeciwnie, on już zaczynał nas sypać, gdy agenci przy rewizji znaleźli jakieś kompromitujące papiery w jego mieszkaniu. Zaklinał się, że powie wszystko, jeżeli Włosi zagwarantują mu bezkarność. I wtedy mój towarzysz strzelił do niego, a potem wrzucił do pokoju bombę zapalającą, podczas gdy ja ostrzeliwałam agentów...

— Nic nie rozumiem. Skądęście się tam wzięli?

— Szliśmy do Assara, szliśmy twoją ulubioną drogą przez jego ogród i po drzewie, które rośnie obok balkonu. Właziliśmy już na balkon, kiedy do mieszkania wprowadzono Assara i zaczęto go przesłuchiwać w sprawie zabójstwa jakiegoś Greka. Widząc, co się święci, chciałem drapnąć, ale mój towarzysz wybrał walkę.

— Dzielny człowiek.

— Ba, to jest przecież ten sam, który spalił Włochom ich najpiękniejszy statek, *Ausonię!* To byłby wymarzony następca. Assara...

— Jan on wygląda? Chodzi mi tylko o to, czy jest wysoki?

— Owszem.

— Ale czy tak wysoki, aby go po ucharakteryzowaniu można było wziąć za pułkownika Bossio?

— O! Co ty znowu knujesz?

Dalila przedstawiła mu plan, jaki zrodził się w jej głowie tej nocy, plan zuchwały, wariacki. Oczywiście Turek zaczął go podważać rozsądnymi argumentami, z których ona tylko jeden uznała za słuszny.

— Masz rację, Enzullahu, że taką sztuczkę powinno się należycie opracować; że warto by poświęcić nawet parę tygodni, byle zapewnić sobie jej pomyślny wynik... A jednak musimy to wykonać już dzisiejszej nocy, gdyż jutro mam być aresztowana.

Krótko, treściwie opowiedziała, co zaszło tu wczoraj. Giovanni zdemaskował ją, ponieważ jednak ongiś ocaliła mu życie, postanowił spłacić ten dług wdzięczności w ten sposób, że wyznaczył jej 36 godzin na wyjazd z Erytrei. Termin ten upływa jutro, w środę o ósmej rano. O tej godzinie porucznik Delsanto zgłosił się do żandarmerii, wyjawiał, kto był sprawcą zamachu pod Adi Ugri i na dowód złożył perukę, tajemniczej „blondynki”. Tak jej tu wczoraj oświadczył, a można być pewnym, iż słowa dotrzyma.

— Na Allacha — zawołał zdumiony ogrodnik — i ty, zamiast o ucieczce, myślisz o dalszej walce, choć została ci tylko doba czasu?!

Dalila rzeczywiście nie pomyślała dotychczas o ucieczce. Zaczęła zastanawiać się nad tym dopiero gdy Enzullah odszedł. Miała do wyboru właściwie tylko dwie drogi; albo wynająć żaglówkę w Massaua i płynąć do Dżibuti, albo pieszo wędrować wciąż w kierunku południowym i prześlizgnąć się wśród frontowych oddziałów włoskich. Nie lękała się pościgu, była pewna, że potrafi zmienić swój wygląd nie do poznania, lecz martwiło ją to, iż podróż zajęłaby jej kilka tygodni, zarówno podróż morzem jak i lądem.

Z tych rozmyślań wyrwał Dalilę łoskot potężnych silników. Dziewięć olbrzymich samolotów bombowych płynęło nad Asmarą, kierując się na południe, ku Abisynii, by tam szerzyć mord i pożogę. Niemal codziennie odprowadzała wzrokiem powietrznych korsarzy, życząc im, by po drodze skręcili kark, aż dopiero dzisiaj ich widok wywołał u niej inną refleksję.

— Samolotem dotarłabym do swoich za parę godzin!

Tu od razu przyszedł jej na myśl Campiuchi. On spośród wszystkich znajomych lotników cieszył się wyjątkową swobodą jako tak zwany żartobliwie *pilot do specjalnych poruczeń*. On był w niej zakochany niemal tak, jak jego przyjaciel Giovanni Delsanto...

— Ba, ale czy Giovanni nie ostrzegł go przede mną?

Podeszła do telefonu, zadzwoniła na lotnisko, do kantyny, gdzie Campiuchi „urzędował” najczęściej. Dziś był tam również i nieprędko dopuścił ją do głosu, w gadulstwie dając wyraz swej radości, że *czekoladowa księżniczka* pamiętała o nim. chociaż *ten szczęściarz* Giovanni bawi obecnie w Asmarze.

— Zerwałam z nim wczoraj — wtrąciła. — Nie chcę go znać.

— Brawo!... To jest, chciałem rzec, bardzo mi przykro, że mój przyjaciel poszedł w odstawkę... Ale dlaczego? Co on przeskrobał?

— To powiem wieczorem. Proszę też usilnie, aby pan na razie unikał spotkania z Giovannim. Koniecznie! Wszystko wytłumaczę, kiedy pan przyjdzie do mnie o godzinie... powiedzmy, o szóstej!

Do tego czasu skomponowała sobie dwie bajki; o scenie zazdrości, jaką jej rzekomo urządził Giovanni właśnie z powodu niewinnego flirtu z kapitanem-pilotem Campiuchim, i drugą, bardziej ryzykowną, o tragicznym wypadku, który zmusza ją do natychmiastowego wyjazdu.

— Czy słyszał pan o znalezieniu zwłok niejakiego Lagudakisa? A czy przysłoby panu do głowy, iż ten Grek zginął przeze mnie?

— Niemożliwe! W jakiż sposób pani...

— W taki — wtrąciła — że w sobotę wieczór udałam się do fryzjera i cesał mnie właśnie ów Lagudakis. Widocznie przypadłam mu do gustu, gdyż guzdrał się umyślnie, czekając aż wszyscy wyjdą. Wtedy opuścił żaluzje, zamknął drzwi na klucz i... rzucił się na mnie, jak zwierzę. No cóż, widział, że nie jestem białą kobietą, wiedział, że za kolorową nie ujmie się nikt, więc nie lękał się następstw swojego czynu... Kiedy mi związał ręce, zaczęłam głośno wzywać pomocy. Mój krzyk usłyszał właściciel zakładu fryzjerskiego, mieszkający w tym samym domu, nazwiskiem ... zaraz...

— Hussein Kiamil, znałem go — dorzucił kapitan Campiuchi, który ze wzburzeniem słuchał tej opowieści.

— Zdaje się, że Kiamil. Przybiegł do nas, chciał mnie obronić, lecz rozjuszony Grek zaczął go dusić. Kiamil, przyparty do ściany, złapał jakąś brzytwę, zamachnął się i Lagudakis runął do jego stóp nieżywy. Wówczas Kiamila ogarnął dziki strach... Ach, co ja przeżyłam!... Kiamil kazał mi trzymać latarnię, a sam zniósł trupa do piwnicy i tam go zakopał. Przy mnie! Potem zmusił mnie do złożenia przysięgi, że będę milczała dopóki on żyje. On nie żyje od wczoraj, więc teraz mogę mówić, prawda?

— Możesz, słodkie biedactwo, możesz.

— Ubiegłej nocy znaleziono zwłoki Greka, aresztowano Kiamila, który sporą część winy za to zabójstwo zwałił na mnie. Nie znał mego nazwiska, lecz opisał mnie podobno bardzo dokładnie. Poza tym jego personel zna mnie i dlatego muszę stąd uciekać natychmiast!

— Broń Boże! To byłoby niejako przyznaniem się do winy. Pani powinna sama, dobrowolnie udać się na policję i zeznać ...

— Nie, nie! — krzyknęła. — Wrzucą mnie do lochu, powieszają...

Przez pół godziny tłumaczył jej, że u Białych zabójstwo dokonane przypadkowo, w obronie własnej nie podlega karze, że więc nawet Kiamilowi nic w tym wypadku nie groziło, a cóż dopiero jej... Wszystko na próżno. *Czekoladowa księżniczka* powtarzała mu w kółko abisyńską zasadę: *zqb za zqb, życie za życie*. Zapewniała go, że od soboty do dnia dzisiejszego ani oka nie zmrużyła ze strachu, że jest bliska obłądu, że woli otruć się, niż czekać, aż policja zadreńczy ją na śmierć, że on, Campiuchi będzie miał w niej najwierniejszą kochankę, niewolnicę, jeżeli tej nocy wywiezie ją z Erytrei. Samolotem!

— Ba, gdyby to nie był samolot wojskowy.

— Przecież nikt nie musi wiedzieć o tym, że polecę z panem czy z jakim innym lotnikiem. Tak przynajmniej mówił Bossio.

— Pułkownik Bossio o tym wie?!

— Nie tylko wie — obełgiwała go w żywe oczy — ale chce mnie dziś w nocy odwieźć na lotnisko.

— No, skoro tak, to jestem do pani dyspozycji wraz z moim samolotem, piękna Dalilo — oświadczył i dodał żartobliwie — a co do nagrody...

— Otrzyma ją pan w Gallabat — wtrąciła.

— W Gallabat? Jeśli już uparła się pani uciekać do Sudanu, to poręczniej byłoby mi lądować pod Khashm-el-Girbą lub koło Cassali.

— Tam nie znam nikogo, a w Gallabat mam ciotkę.

Dalili chodziło o to, by wydatnie skrócić sobie dalszą drogę, po wylądowaniu; bowiem Gallabat leży o 125 kilometrów od jeziora Tana, podczas gdy odległość między Taną a Cassalą jest trzy razy większa.

ROZDZIAŁ XVII

Pracowity miała ten wieczór. Zaledwie wyprawiła lotnika Campiuchiego, nadszedł Enzullah z koszykiem winogron, pod którymi ukrył żądane przez nią cztery magazynki z nabojami do jej rewolweru i buteleczkę nasennego środka.

— Widzę stąd — rzekła z uśmiechem — że zdołał cię przekonać twój dzielny towarzysz.

— Ech, to taki sam szaleniec jak ty — odparł Turek — kiedy mu przedstawiłem twój wariacki plan, wpadł z zachwytem. Za godzinę przyprowadzę tutaj jego i jeszcze dwóch ludzi. Ukryjemy się w ogrodzie. Odemknij okno w kuchni, kiedy wykończysz swojego pułkownika...

Bardzo szybko „wykończyło” pułkownika Bossio wino ze zdradziecką domieszką. Już po drugim kieliszku zaczął mówić rzeczy okropnie nieprzyzwoite, jak na tak pruderyjnego purytanina.

— Jaki idiota namówił cię do noszenia europejskich szmat!

— Czy w abisyńskim stroju jestem piękniejsza? Więc w jakim?

— W żadnym! Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? W szpitalu? Wyłajałem cię podczas przesłuchania. Przerażona wyskoczyłaś z łóżka, padłaś na kolana przede mną, a nie miałaś na sobie ani strzępka odzieży. To było cudowne! Taką widywałem cię zawsze w swoich marzeniach, taką chcę zobaczyć cię znowu na jawie. Choć raz, Dalilo, choć raz... Dzisiaj, dobrze?

— Dobrze, lecz przedtem napijemy się jeszcze.

— Później, później, to wino jest dziwnie mocne.

— Taaak? Nie zauważyłam. Zmienię je zaraz, ale pierw... skoro kieliszki już nalane... wypijmy toast, od którego nikomu uchylić się nie wolno. Piję więc... — podniosła kieliszek — za **nasze** zwycięstwo!

— Za zwycięstwo! — ryknął pułkownik z zapalem.

Kiedy go prowadziła do swojej sypialni, zataczał się i sapał niesamowicie, potem zwałił się na jej łóżko, jak kłoda. Stwierdziwszy po chwili, że zasnął, wyszła do kuchni, odemknęła okno wychodzące na ogród. Enzullah przybiegł do niej natychmiast, lecz równocześnie w jadalni zaczął dzwonić telefon. Zapomniała odłożyć słuchawkę... na szczęście!

— On leży w sypialni. Zaprowadź ich tam, ja pędzę do telefonu.

Dzwonił... to było dla niej niespodzianką... dzwonił Giovanni.

— Jeszcze nie wyjechałaś?! — zaczął tonem wymówki. — Mylisz się, jeżeli sądzisz, że ja nie dotrzymam słowa. Jutro o ósmej rano wykonam to, co przyrzekłem, a wiesz chyba, jakie to będzie miało następstwa.

Od wyrzutów przeszedł do próśb. Zaklinał ją, by go usłuchała, by mu pozwoliła spłacić dług wdzięczności. Ze względu na możliwość podsłuchu w centrali telefonicznej mówił ogólnikami, co mu wnet gardłem zaczęło wylaźnić. Żałował, że słuchawka nie była odłożona, gdy zadzwonił, bo miałby być pretekst do przyjścia tutaj raz jeszcze. Domagał się coraz wyraźniej, aby go Dalila zaprosiła, lecz na próżno.

— Za późno — odrzekła — auto, którym pojedę do Massauy już czeka. Żegnam cię więc i...

— Nie, nie, zaczekaj, kochanie — wtrącił błagalnie — skoro już nie mogę cię ujrzeć, pozwól mi słuchać twego głosu choć przez chwilkę.

Wydużyła się ta „chwilka” do trzydziestu minut, aż w końcu Enzullah położył kres gruchaniu rozstających się kochanków. Zawiesiwszy słuchawkę, Dalila włożyła kapelusz i płaszcz z ogromnymi kieszeniami, w których ukryła wszystko to, co było jej potrzebne dzisiejszej nocy, przede wszystkim zaś aparat fotograficzny i lampę tak silną, że mogła przy zdjęciach zastąpić magnezję. Wtem na progu sypialni stanął... pułkownik Bossio! Dalila cofnęła się z krzykiem, za to Enzullah aż rzeć zaczął ze śmiechu.

— To przecież nie Bossio, tylko ucharakteryzowany na niego mój kompan... No, idziemy. Każda minuta jest dzisiaj droga.

Nieopodał willi czekał samochód, którego kierowca także należał do ich szajki. Pamiętając o tym, że Bossio nawet w taksówkach siadał najchętniej obok szofera, posadzili na tym miejscu jego sobowtóra. W głębi limuzyny usiedli Dalila, Enzullah i Uadzir, a w willi przy pułkowniku pozostał na straży ten pomocnik, którego specjalnością była charakteryzacja. W piętnaście minut później auto stanęło przed główną bramą gmachu, w którym znajduje się biuro wywiadu włoskiego. Zegary były właśnie jedenastą.

— Będziemy na was czekać na rogu ulicy — rzekł Enzullah — w razie wsypy, nie żałujcie kul, a my dokonamy reszty bombami.

Dalila najbardziej lękała się przejścia przez westybul, w którym zawsze siedziało kilku żandarmów. Dwóch ich tu było dzisiaj. Na widok rzekomego pułkownika zerwali się tak raptownie, że odruchowo wsunął dłoń do kieszeni. Ufff, oni chcieli tylko stanąć na baczność. Zasalutował niedbale, pomaszerował dalej ku schodom, a obok niego Dalila. Ale to najgorsze jeszcze ich czekało. Na piętrze, w drugim końcu korytarza ukazał się oficer idący w stronę klatki schodowej, czyli naprzeciw nich. Kiedy mijał jedną z nielicznych w korytarzu lamp, Dalila poznała go i zdrętwiała; to był major Corini, jej wróg. Tak fatalnego spotkania w ogóle nie przewidywała.

— Baczność! — syknęła. — Weź mnie pod ramię. On na pewno coś powie, ale ty milcz, na Boga! Wskaż na mnie, wzrusz ramionami i idź dalej.

Tak się też stało, a major Corini stał długo i spoglądał za nimi. Nie przyniosło im też ulgi to, że w końcu znowu zabrzmiały jego oddalające się kroki; może on zorientował się w sytuacji i szedł po żandarmów?!

Zgodnie z ułożonym planem, tylko Dalila weszła do gabinetu pułkownika Bossio. Jego sztuczny sobowtór miał stać na straży za drzwiami i udawać, że wyszedł stąd właśnie, gdyby ktoś ukazał się na korytarzu. Stał więc, czuwając nad bezpieczeństwem „panny Borez”, która pomimo europejskiego stroju ogromnie przypominała mu młodziutką Gallankę imieniem Taitu, jego ukochaną dziewczynę, pono zabita przez Włocha pod Addis Abebą. Właśnie dlatego wołał nie patrzeć na Dalilę, nie rozdrapywać najboleśniejszej rany serca. Nie przeczuwał, że okłamano go, że dzielna Taitu żyje, walczy w Erytrei z Włochami jako Dalila Borez, że przed chwilą ścisnął jej rękę...

Po trzech godzinach czekania Frumencjusz Uadzir stracił cierpliwość. Chciał koniecznie zaatakować posterunek przy bramie i Enzullah musiał szamotać się z nim nie na żarty, aby go zatrzymać w aucie. Dobrze zrobił, że go zatrzymał, gdyż w końcu tamci dwoje wyszli z gmachu. Z obfitym łupem.

— Teraz na lotnisko — zawołała Dalila wesoło.

— I głos ma podobny, i śmiech — mrucał jej współnik.

— Nie, rzeki Enzullah stanowczo — pierw odwieziemy do swojego domku Uadzira. Nie można z nim jechać na lotnisko, gdzie wszyscy będziemy musieli wysiąść z auta i defilować pod

jasnymi lampami; nie zapominajcie, że podobizna jego gęby była zamieszczona na listach gończych, a ucięta łapa mu nie odrosła. Każdy go pozna

W drodze do domu Enzullah ją nakłaniać Dalilę, by część swojej zdobyczy powierzyła jemu.

— Gdyby samolot zleciał, cała twoja praca poszłaby na marne. Zresztą gołębie pocztowe będą w Dessie może już jutro wieczorem, a ty z Gallabatu nie dotrzesz tam ani za dziesięć dni — dowodził.

Przyznała mu rację i większą część rolek filmowych pozostawiła w jego rękach. Blisko ogrodu Enzullaha „nawaliła im kicha”, co spowodowało blisko godzinną zwłokę, gdyż patałach szofer nie miał w aucie zapasowej dętki ani opony, ani nawet przenośnej latarni. Skutkiem tego przybyli na lotnisko parę minut przed czwartą nad ranem. Rzekomy pułkownik Bossio uściskał dłoń kapitanowi Campiuchi i zniknął co prędzej, aby nie dopuścić do rozmowy, podczas której głos zdradziłby go natychmiast. Lecz Campiuchiemu wystarczało najzupełniej to, że wiceszef wywiadu sam odwiózł tutaj Dalilę Borez i uściskał ją serdecznie, jakby na pożegnanie; zresztą ona także nie zasypiała gruszek w popiele:

— Staremu ze wzruszenia głos uwiązł w gardle, dlatego nic nie mówił. Zaczynam wierzyć, że on także podkochiwał się we mnie... Kochany kapitanie, czy wnet fruniemy pod niebo?

— O tak, najpóźniej za godzinkę.

Wiele emocji przeżyła podczas tej swojej ostatniej nocy spędzonej w Erytrei, lecz najbardziej denerwująca była ta godzina przymusowej bezczynności, oczekiwania na start. Po każdym dzwonku doznawała przykrego skurczu serca, przyjazd każdego auta niemal zbijał ją z nóg, a tu jak na złość dwie eskadry samolotów bombowych gotowały się do odlotu, więc ruch panował ożywiony i dzwonki telefonów dźwięczały raz po raz. Próbowwała skrócić sobie czas rozmową z Enzullahem, którego przedstawiła lotnikowi, jako swojego wiernego sługę. Odsunawszy się na bok, zaczęła go wypytywać o jego kompana, który tak dobrze odegrał rolę pułkownika Bossio.

— On mi bardzo przypomina kogoś bliskiego — usprawiedliwiła swoją ciekawość. — Czy nie wiesz, z jakich stron pochodzi?

— Z Ogadenu. No, ostatecznie tobie mogę zdradzić, kto to jest.

— Kto?

— Przyrodni brat Jonasza Mongoszy, imieniem...

— Salomon! — krzyknęła. — Więc on żyje! O, Boże, Boże, że też...

— Czekoladowa księżniczko — zawołał w tej chwili kapitan Campiuchi — jestem gotów.

— Dobrze, już idę... Enzullahu, powiedz Salomonowi, że ja... Nie, lepiej nie mów nic.

Nie trzeba mu zaprzętać głowy kobietą teraz, kiedy wszystkie jego myśli powinny służyć ojczyźnie. Za to czuwaj nad nim tak, jak gdyby był twoim synem.

— Ba, kto upilnuje takiego wariata! Boję się, że on nawet teraz przygotowuje jakieś nowe szaleństwo...

Enzullah miał rację. Gdy samolot, osiągnąwszy przepisową wysokość, poszybował w kierunku południowo-zachodnim, Dalila wychyliła się, odwróciła głowę, chcąc pożegnalnym spojrzeniem objąć Asmarę, nagle ujrzała oślepiający błysk, po którym wystrzelił ku niebu gejzer ognia. Patrzyła nań długo, lecz bynajmniej nie zmaleł, chociaż z każdą minutą wzrastała o dwa i pół kilometra odległość pomiędzy mknącym samolotem a miejscem pożaru. Domyśliła się więc, że Salomon Mongosza „ulokował” swoje małe bomby w tankach z benzyną przy lotnisku.

O godzinie szóstej podziwiała wschód słońca; mijali wtedy przedwojenną granicę Erytrei. Pół rodziny później o paręset metrów przed nimi nagle wykwitł biały obłoczek. Campiuchi

natychmiast poderwał samolot w górę tak, że wszystkie następne obłoczki zjawiały się już pod nimi. Potem odwrócił głowę, podał swojej pasażerce karteczkę, na której napisał: *Strzelali do nas z zenitówek. Czy bała się pani?* Dalila, która oczywiście nie słyszała detonacji, zrozumiała teraz, czemu lotnik nie odpowiadał na jej pytania, zrozumiała, że ryk silnika zagłusza wszystko. Na drugiej stronie kartki nagryzmoła: *Nie lękam się niczego z Panem!*

Nie lękała się naprawdę, nie przeczuwała, że los jej zgotuje jeszcze jedną niespodziankę. Przecież poza nimi została już prowincja Tigre, gzygzakowato przecięta linią frontu bojowego. Począwszy od rzeki Takaze płynęli ponad Amharą, nad rdzenną Abisynią. Po lewej ręce majaczył olbrzymi kompleks gór, z których najwyższa, Ras-Daszan, wznosi się na 4.620 metrów. Znajome to były okolice dla nich obojga. Tam bowiem, w dzikim jarze, Dalila poznała Giovanniego Delsanto. Tam na niego czekał wówczas Campiuchi, ukrywający samolot w zeribie na skraju doliny, która zmieniała się podczas każdej powodzi w jeden duży staw.

Również po lewej stronie, ale daleko przed nimi leżało stare miasto Gondar, od którego blisko już do jeziora Tana, a po prawej stronie ujrzeli stopy ciągnące się nieprzerwanie aż hen, poza granicę Sudanu. Dalila właśnie otrzymała nową kartkę z napisem: *Za kwadrans będziemy w Gallabat*, kiedy Campiuchi nałożył sobie na uszy słuchawki. Niebawem poszła w jego ślady, znalazłszy obok swego fotela drugą parę słuchawek, a pierwsze słowa, jakie usłyszała, brzmiały:

— ...oskarżona o szpiegostwo, sabotaże i o zabójstwo trzydziestu żołnierzy pod Adi Ugri rzekoma Dalila Borez zbiegła z Asmary...

W tym momencie kapitan Campiuchi obejrzał się znowu. Czynił to dzisiaj, w ciągu trzygodzinnego lotu ze sto razy i zawsze był roześmiany, rozpromieniony ze szczęścia; za to teraz wyglądał wprost strasznie. Długo, długo wpatrywał się w Dalilę. Jeszcze nie był pewny, jeszcze nie chciał uwierzyć, że ta słodka dziewczyna z miną niewiniątka jest abisyńską Matą Hari⁽¹⁾, ale radio oskarżało ją bez przerwy. Speaker wojskowej radiostacji w Asmarze wyliczył sumiennie jej grzechy, podawał dokładny rysopis i przypominał, że obowiązkiem każdego Włocha jest pomóc w schwytaniu Dalili Borez, która tyle szkody wyrządziła ich ojczyźnie.

Campiuchi przestał się wahać. Nacisnął stery, samolot zatoczył duży łuk w lewo, łuk większy niż półkole i skierował się ku północy. **Zawrócił!** Dalila zrozumiała to od razu, od razu też powzięła decyzję. Wyjęła rewolwer. Mierząc z niego w lotnika, lewą ręką kilka razy wskazała na ziemię. Campiuchi schylił się, po chwili podał jej kartkę z odpowiedzią na to ultimatum: *Od kuli stokroć lżejsza jest śmierć niż ta, która ciebie czeka przy spadaniu. Pomyśl o tym, zanim strzelisz.* Pomyślała, nie strzeliła do niego, za to wpakowała siedem kul w motor, a drugich siedem z nowego magazynku w „zegary” umieszczone przed pilotem. Musiała przedtem rozpiąć rzemienie, którymi była przywiązana i wychylić się tak, że przeciętny niezgrabiasz byłby był zleciał na łeb.

Dopiero po wystrzelaniu trzeciego magazynka silnik zaczął krztusić się, tracić regularność obrotów. Po wściekłym spojrzeniu kapitana poznała, że w końcu trafiła samolot w jakąś słabiznę. Mimo rozpaczliwych wysiłków, Campiuchi musiał lądować natychmiast, o co jej właśnie chodziło. Miała jeszcze jedną siódmkę kul, nie lękała się więc walki z nim na ziemi.

A ziemia zbliżała się szybko. I rzeka, ponad którą kilkanaście minut temu przelecieli w odwrotnym kierunku. Na obydwóch jej brzegach rosły niewysokie drzewa. Pierwszy ich szereg na lewym, czyli południowym brzegu samolot przeskoczył gładko, lecz w drugi palnął podwoziem, aż zatrzeszczało. Równocześnie zaś Dalila, która na swoje szczęście zapomniała przywiązać się ponownie pasami, wyleciała jak z procy, spadła na grzbiet w szeroką kępę trzciny, zemdląca.

Ocknąwszy się, stwierdziła, że nic ją nie boli i że gdzieś w pobliżu przeraźliwie smutno wyje pies. Kierując się tym głosem, przedzierała się przez gęsty las bambusów, dopóki nie

dotarła do rozbitego samolotu. Kapitan-pilot Campiuchi dogorywał. Poznał ją jednak, pożegnał uśmiechem przebaczenia i obarczył ostatnim zleceniem :

— Zaopiekuj się moim pieskiem.

Przyrzekła mu to najsoleńniej. Ani jej przez myśl nie przeszło, że ten mały pudel *Nero* kiedyś pomści swego pana.

⁽¹⁾ Mata Hari (1876-1917) – pseudonim holenderskiej tancerki, która w 1917 roku została oskarżona we Francji o szpiegostwo. Miała działać jako podwójny agent na usługach Francji i Niemiec.

ROZDZIAŁ XVIII

W niedzielę, dnia 17 listopada Dalila Borez, recte Taitu córka Yamgana, dotarła do Dessie, gdzie przebywał chwilowo jej nominalny mąż, Jonasz Mongosza, szef abisyńskiego wywiadu. Telegrafowała do niego przedtem z Gondaru i nazajutrz Otrzymała z Addis Abeby depeszę, której treść po rozszyfrowaniu brzmiała:

Wyjeżdżam do głównej kwatery. Chcę cię tam spotkać najpóźniej szesnastego.

Jonasz

Spóźniła się zatem o jeden dzień tylko, lecz i to naraziło ją na wielkie wymówki, zakończone westchnieniem:

— Wszystko spóźnia się u nas, a już najgorzej mobilizacja.

— Oj, to prawda — przyznała ze smutkiem i zaczęła opowiadać mężowi o swoich wrażeniach z podróży, jaką właśnie odbyła.

Odbyła ją z Dabdo do Dessie, czyli przez prowincje Ermaciocio, Dembia, Beghemeder, część Godzamu i Amhary. Mniej więcej tą samą drogą, tylko w przeciwnym kierunku, jechała z początkiem sierpnia, dążąc do Erytrei na swój niebezpieczny posterunek.

I zauważyła wtedy, że mijane przez nią wioski były niemal wyludnione. Pozostały w nich tylko dzieci pod opieką zgrzybiałych starców, gdyż kobiety na równi z mężczyznami wyruszyły już do punktów zbórnych wyznaczonych przez odnośnych dedżaków czy rasów.

A teraz, w powrotnej drodze zastała w większości tych samych osiedli całą ich ludność, nie wyłączając młodych, zdrowych mężczyzn. Czyżby zbiegli z szeregów? Nic podobnego! Byli w owych punktach zbórnych, gdzie mieli otrzymać nowoczesne karabiny lub choćby ładunki do własnych, przestarzałych strzelb. Tygodniami czekali na to, lecz na próżno, i gdy wyczerpały się do cna zapasy żywności w danej okolicy, kazano im wrócić do swoich sadyb. Taka podobno była wola cesarza.

— Dlaczego! — oburzyła się Taitu. — Dlaczego negus negesti nie wysłał ich na front?!

— Na rzeź, chciałaś powiedzieć zapewne. Bo trudno by inaczej nazwać walkę ludzi mających tylko noże i włócznie z regularną armią wyposażoną w tysiące dział, kulomiotów, samolotów bombowych i czołgów.

— Więc czemu nie uzbroił ich tak, jak są uzbrojeni Włosi? Czy żal mu było na ten cel pieniędzy?!

— Nie bluźnij, głupia kobieto! Cesarz oddałby ostatniego talara na obronę niepodległości Etiopii, a z nim my, patrioci. Lecz przywóz broni do Wschodniej Afryki był zakazany przez Białych. Oczywiście Włosi mający własny przemysł wojenny drwili sobie z tego zakazu, który tylko nas...

— Ale zakaz został zniesiony — wtrąciła.

— Został zniesiony dopiero wówczas, gdy Włosi bez żadnego ultimatum czy formalnego wypowiedzenia wojny wtargnęli do naszego kraju, gdy ich barbarzyńscy lotnicy zbombardowali

wszystkie osiedla w północnej części Tigre. Wtedy dopiero Biali łaskawie pozwolili zbroić się także nam.

— I zbroimy się nareszcie?

— Tak, lecz w zbyt powolnym tempie.

— Dlaczego?

— Bo agenci fabrykantów broni nie ufają nam, żądają całej zapłaty z góry, my zaś, po tylu smutnych doświadczeniach, tym bardziej nie mamy powodów do ufania im. Nie wyobrażasz sobie, ilu wśród nich jest oszustów.

Tu Jonasz Mongosza opowiedział żonie autentyczną historię łajdackiego tricku, jakiego ofiarą padł cesarz Haile Selassie. Zdołał do niego dotrzeć pewien Żyd polski, rzekomo dziennikarz, i przedstawivszy się jako komiwojażer niemieckich fabryk chemicznych, jął dowodzić, że Etiopię przed jarzmem włoskim może ocalić tylko jakiś nowo odkryty gaz bojowy.

Cesarz ani słyszeć o tym nie chciał, jako szczerzy przeciwnik barbarzyńskich metod wojowania, lecz minister wojny na własną odpowiedzialność zamówił większą partię tego towaru i prawie połowę słonego rachunku pokrył z góry. Oszust tylko czekał na to. Zabrawszy pieniądze, wyjechał z Etiopii i udał się prościuteńko do... Włoch, gdzie „zdemaskował haniebne zamiary negusa”, oczywiście nie za darmo! A ponieważ od Abisyńczyków już nic zarobić nie może, podczas gdy włoskie ministerstwo propagandy hojnie płaci za wywoływanie nastrojów filowłoskich za granicą, więc sprytny aferzysta zamieszcza w prasie felietony i wygłasza przez radio pogadanki naszpikowane nikczemnymi oszczerstwami pod adresem Abisynii.⁽¹⁾

— Podobnych łotrów – kończył jednooki szef wywiadu – grasują u nas setki, jeśli nie tysiące. Osiemdziesiąt pięć procent Białych, którzy przybyli do Etiopii, to poszukiwani w swoich ojczyznach przestępcy, korzystający tu z prawa azylu, to awanturnicy, złodzieje, oszuści. I jak wśród nich rozpoznać uczciwego agenta, który otrzymawszy zaliczkę na towar, dostarczy go naprawdę, skoro każdy bez wyjątku legitymuje się dokumentami nie budzącymi żadnych wątpliwości?

— A czy trzeba zamawiać broń koniecznie przez tutejszych agentów? Czy nie można by trafić wprost do fabryk?

— Owszem i czynią to obecnie nasze placówki zagraniczne, dzięki czemu otrzymaliśmy tu po wybuchu wojny sześć transportów amunicji. Nie wystarczyło tego jednak na obdzielenie nawet tych żołnierzy, którzy już walczą, cóż więc dopiero mówić o rezerwach!

— A ilu żołnierzy mamy pod bronią tak naprawdę?

— Niespełna dziewięćdziesiąt tysięcy.

— Jak to! — zdziwiła się Taitu. — Gdy byłam w Erytrei nieraz słyszałam na własne uszy, że nasza armia liczy z górą milion chłopów!

— Tę plotkę puścili w obieg sami Włosi, by usprawiedliwić przed światem swoje niedołęstwo. Bo na przykład na froncie północnym mamy w tej chwili czterdzieści dwa tysiące lichu uzbrojonych wojowników, podczas gdy oni mają blisko pół miliona żołnierzy wyekwipowanych najbardziej nowoczesnie i pomimo to trzymamy się tam wspaniale już siedem tygodni!

— Wspaniale, jak wspaniale — mruknęła sceptycznie. — Dziewięć dni temu Włosi zdobyli Makalle, stolicę prowincji Tigre...

— Nie zdobyli! Nasze wojska wycofały się z Makalle dobrowolnie, by uniknąć oskrzydlenia.

— Tak czy owak Włosi są dziś w Makalle, a jego mieszkańców czeka nędza, ponieważ i...

— Już ich nie czeka — wtrącił Jonasz ponuro. — Nie żyją!

— Nie rozumiem. Przecież mówiłeś, że Włosi nie zdobyli miasta, że nasi opróżnili je sami. Czyżby mieszkańcy Makalle bronili się na własną rękę i polegli w boju?

— Nie. Potwierdzają to nawet Włosi w swoim urzędowym komunikacie wojennym numer, o ile pomnę czterdziesty... O, masz tu, przeczytaj te trzy zakreślone przeze mnie zdania. Owe zdania brzmiały następująco, jak każdy może sprawdzić:

Samo zajęcie miasta odbyło się bez walki, albowiem nocą żołnierze abisyńscy wycofali się z Makalle.

Do Makalle wkroczyły jako pierwsze kolumny gen. Pirzio Biroli oraz gen Santiniego; ludność przyjęła oddziały włoskie białymi chorągwiami na znak poddania się.

Natychmiast po wejściu wojsk włoskich rozlepiono afisze z podpisem generała de Bono zredagowane w urzędowym języku amharskim, nawołujące ludność do pokoju, gdyż Włosi przybywają nie jako wrogowie, lecz jako oswobodziciele.

— Można od biedy strawić te powiastki o misji oswobodzicielskiej, gdy Włosi głoszą je w zachodnich częściach Ogadenu, zamieszkałych przez Gallan, ale od kogo chcą oswobodzić ludność amharską w amharskiej prowincji, to wiadomo tylko ich ministerstwu propagandy — rzekł Jonasz, szukając w teczce jeszcze innego komunikatu włoskiego. — Lecz mniejsza z tym. Na razie zajmuje nas oboje tylko to, że ludność Makalle przyjęła najeźdźców białymi chorągwiami na znak poddania się. A skoro tak, to owa ludność żyła w chwili zajęcia miasta przez Włochów i oni sami to przyznają. Nie mogli też zbyt długo ukrywać tego, że nieco później ludność Makalle została zmasakrowana, że **wymordowano dwa tysiące kobiet i cztery tysiące dzieci!**

— Straszne! — Taitu zakryła sobie twarz dłońmi. — I kto dokonał tej potwornej zbrodni? Faszyści, czy askarysi?

— Kto? Ci łgarze piszą, że oddziały naszego następcy tronu, które jeszcze w ogóle nie brały udziału w żadnej walce! Które stanowią naszą rezerwę! Które od początku wojny stoją tutaj, w Dessie, skąd do Makalle jest trzysta kilometrów!! I czyż może człowiek o zdrowych zmysłach w ogóle przypuścić, że wojownicy narodu dziesiątkowanego przez lotników krwiożerczego najeźdźcy będą im w tym pomagali, będą zabijali własne żony i dzieci?! A jednak Włosi zasypują świat haniebnymi oszczerstwami i wielu naiwnych w nie wierzy i sympatyzuje z naszym wrogiem...

— Czemuż zatem my nie stosujemy podobnych metod?

— Bo nie stać nas na to. Dzienniki europejskie, które zgodziły się zamieszczać wszelkie kłamstwa o Etiopii, biorą za to po dziesięć tysięcy lirów miesięcznie, a pisma amerykańskie każą sobie płacić jeszcze drożej. My na ładunki do karabinów mamy za mało pieniędzy, skąd je wziąć na tak kosztowną propagandę?

— Pomimo to większość Białych trzyma z nami.

— Topnieje ta większość, topnieje, miła Taitu. W pierwszych dniach wojny cały świat nam współczuł, pięćdziesiąt kilka narodów w Genewie uznało Włochy za napastnika, za burzyciela pokoju. Kiedy jednak sprzedajne gazety łyknęły kilkadziesiąt milionów lirów, od razu zmieniły się nastroje, bo czytelnicy wierzą święcie we wszelkie brednie, jakie wydrukuje ich ulubione czasopismo.

— Podobno jutro wejdą w życie sankcje.

— Cesarz liczy na to najbardziej, ja ani trochę, gdyż nazbyt dobrze znam chciwość Białych.

Tu Jonasz Mongosza przytoczył kilka jaskrawych przykładów tej bezgranicznej

chciwości a mianowicie: Podczas wojny światowej Anglicy masowo szli na dno koło Dardaneli, zatapiani tureckimi torpedami z fabryk angielskich! Niemieckie instrumenty celownicze od Zeissa, tak zwane *firing directors* służyły flocie angielskiej, niemieckie tarcze stalowe z fabryk Thyssena i Stinnesa broniły żołnierzy belgijskich i na niemieckich drutach kolczastych z *Fabryki Drutu i Kabli* w Magdeburgu zawisły tysiące niemieckich piechurów szturmujących okopy francuskie! A znowu francuski dwusiarzeczek węgla, wywożony przez Szwajcarię do firmy Stolzenberg w Hamburgu i użyty do wyrobu fosgenu, jednego z najstraszliwszych gazów bojowych, wymordował tysiące żołnierzy francuskich!⁽²⁾

— Skoro zaś ci przemysłowcy bez skrupułów bogacili się kosztem życia milionów swoich ziomków, to żaden biały geszefciarz nie zawaha się z pewnością przed zaopatrywaniem Włoch we wszystko, co im będzie potrzebne do tępienia nas, obojętnych mu Etiopczyków — rozumował słusznie Jonasz. — Skoro podczas wojny światowej chęć łatwego zysku zagłuszyła u białych kupców lęk przed procesem o zdradę i przed stryczkiem, to któż ulęknie się jakiejś tam kary pieniężnej grubo mniejszej, niż to, co każdy łotr zarobi na jednym transporcie towaru. I dlatego ja nie wierzę w skuteczność sankcji gospodarczych czy finansowych. Dopóki świat nie zdobędzie się na to, by stosować sankcje militarne przeciwko podpalaczom pokoju, dopóty żaden naród nie może być pewny swojego jutra!

— Tłumaczyłeś mi niegdyś, że Anglicy nie dopuszczą do tego, by Włosi opanowali źródła Nilu Niebieskiego. Czy zatem nie liczysz na...

— Najpewniej — wtrącił — liczyć tylko na własne siły.

— Wystarczy nam ich, aby Włochów odeprzeć i zepchnąć w morze tak, iżby po raz trzeci nie wyciągali złodziejskich łap po naszą ziemię. Ty sam mnie uczyłeś, że Etiopia przez tysiące lat zwycięsko broniła swojej niepodległości, że gromiliśmy zawsze najeźdźców, że...

— Tak, tak, ale ci dawniejsi najeźdźcy nie posiadali samolotów, ani gazów trujących!

— O gazy bądź spokojny.

— Nie powiesz mi, iż Włosi ich nie mają tutaj!

— Owszem mają, bo je z Włoch wysłano. Lecz generał de Bono nie pozwolił ich używać, mówiąc, że nie splami się nigdy stosowaniem barbarzyńskich środków walki, że bez tego potrafi zmusić negusa do rokowań i do przyjęcia protektoratu włoskiego nad Abisynią.

— Tak powiedział?

— Tak, wiem to od kilku oficerów włoskich, a nie wątpisz chyba w moją dobrą pamięć.

— Nie wątpię i dziękuję ci za pomyślną wiadomość. Bo chociaż nasi dzielni żołnierze przyswoili sobie błyskawicznie dzisiejszy sposób wojowania, chociaż nauczyli się kryć przed samolotami i zastawiać pułapki na czołgi, to jednak wobec gazów byłiby najzupełniej bezsilni z powodów, które znasz dobrze... Pocieszyłeś mnie Taitu. Zrozumiałem też nareszcie, dlaczego Włosi dotychczas nie zastosowali gazów bojowych.

Jonasz Mongosza kazał słudze przynieść gąsiorek tedżu, co było widowym znakiem, że poweselał rzeczywiście, lecz jego radość miała trwać niedługo. Zanim bowiem wychylił pierwszy kubek dla uczczenia szczęśliwego powrotu Taitu, do tukullu wpadł młody abisyński balambaras, czyli kapitan, rozpromieniony, jak gdyby przed chwilą awansował na keniazmacza, to jest na pułkownika dowodzącego prawem skrzydłem.

— Geta Mongosza — rzekł stając na baczność — melduję, że nasz podsłuch radiowy właśnie podchwycił dobrą nowinę z Asmary.

— Dobrą? Nareszcie!... A jaką?

— Generał de Bono popadł w niełaskę w Rzymie i wczoraj został odwołany. Na jego miejsce przyjdzie marszałek Badoglio.

Jednooki wejrzał pogardliwie na młodziutkiego oficera.

— Geta to zwiesz dobrą nowiną? — warknął.

— Czyżbyś był innego zdania, o Beladin Geta?

Jeden z najwyższych tytułów abisyńskich *beladin geta* znaczy dosłownie *najmędrszy panie*, a młody balambaras wymówił te dwa słowa z wyraźną ironią. Na jego szczęście jednak mściwy Jonasz Mongosza nie zwrócił na to uwagi, nazbyt wstrząśnięty wieścią o zmianie na stanowisku głównodowodzącego u wrogów.

— Czyż i ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, czemu został odwołany de Bono? — zwrócił się do Taitu, gdy balambaras wyszedł. — Bo trzymał krótko Grazianiego, znanego z krwawych rządów w Trypolitanii! Bo nie używał gazów bojowych! Bo szpitale oszczędzał! Bo nie kazał bombardować Addis Abeby, ani nawet Dessie! Bo był za miękki, bo nie pozwalał otwarcie gnębić naszych braci w zajętych obszarach!

— A rzeź kobiet i dzieci w Makalle, to co!?

— To kropla w morzu wobec tego, co nastąpi teraz! Teraz dopiero poznamy całe bestialstwo białych żołdaków, których sędziwy de Bono nie spuszczał ze smyczy, by snadź nie obciążać sobie sumienia u schyłku życia. Za to teraz zaczną się bezprawia, gwałty, barbarzyństwa i...

— Nie będziemy ich znosili w pokorze — wtrąciła Taitu z energicznym błyskiem swoich ciemnych, podłużnych jak migdały oczu. — Za każdą zbrodnię zapłacimy im dokładnie taką samą zbrodnią!

— Taką samą? — Jonasz smętnie pokiwał głową. A czyż mamy choćby jeden samolot bombardujący? Albo żółtą rosę śmierci?

— Żółtą rosę śmierci? Co to jest?

— To jest **iperyt**, wynalazek szatana!

⁽¹⁾ Złośliwa aluzja do Marka Romańskiego (właśc. Romana Dąbrowskiego), dziennikarza i pisarza.

⁽²⁾ Potworne zbrodnie przemysłu wojennego przedstawi! autor w swoim reportażu pt. *SIR BAZYLI ZACHAROW - KRÓL ARMAT* oraz w powieści pt. *JUTRO*. (Przyp. aut.)

ROZDZIAŁ XIX

Już pierwsze dwa rozkazy marszałka Badoglio, wydane jeszcze z drogi, przez radio, potwierdziły przewidywania Jonasza Mongoszy, choć na pozór brzmiały całkiem niewinnie:

- 1) *Rozbroić tubylców na zajętych terenach.*
- 2) *Zawiadomić dziennikarzy zagranicznych przebywających w Erytrei i Somalii, że od dzisiaj są osobiście odpowiedzialni za wszelkie wiadomości dotyczące konfliktu włosko-abisyńskiego zamieszczone w czasopismach, dla których pracują.*

Oprócz uczciwych dziennikarzy, wojennych korespondentów bogatych koncernów prasowych, znajdowało się wówczas w kwaterze generałów de Bono i Grazianiego sporo takich, którzy w zamian za bezpłatny przejazd w obie strony plus utrzymanie, plus dwa tysiące lirów „na papierosy” zgodzili się posyłać do swoich krajów jako własne korespondencje wyłącznie to, co im wypitrasi włoskie ministerstwo propagandy.

Ale nawet ci zaprzędani heroldzi faszystowskiego imperializmu nagle zatęsknili za swoimi ojczyznami, gdy podano im do wiadomości rozkaz Badoglio. Każdemu miłe życie, a wydawcy czasopism są tak nieobliczalni! Niechby który przez roztargnienie lub dla wymuszenia większej subwencji zamieścił raz trochę prawdy o konflikcie abisyńsko-włoskim, nnnno! Nic by wtedy odnośnemu korespondentowi wojennemu nie pomogła jego płatna lojalność, jego lizusostwo wobec włoskich władz. Jako „osobiście odpowiedzialny” poszedłby na dłuższy czas pod klucz, o ile nie spotkałby go straszny los Matteotiego, którego zamęczono i potwornie zmasakrowano... Gdzie? W „barbarzyńskiej” Abisynii? Nie! W faszystowskim, „arcykulturalnym” Rzymie!

Tak więc zanim jeszcze dnia 28 listopada na pokładzie statku *Pannio* kwaśny de Bono zdał komendę swemu następcy, Piotrowi Badoglio, większość dziennikarzy już uciekła z Erytrei i ze Somalii. Bez krępującej cenzury prasy można było przystąpić do wykonywania rozkazu o rozbrajaniu krajowców w podbitych częściach Abisynii.

Rozkaz ten na oko nie powinien by dziwić nikogo, gdyż żaden najeźdźca nie lubi mieć w zapleczu frontu uzbrojonych tubylców. Ale w tym wypadku uzbrojenie składało się tylko z mieczy, włóczni i staroświeckich, sznurkami powiązanych strzelbisk. Ale te pukawki, niegroźne dla czołgów czy dla pancernych aut, były zawsze niezbędne do odstraszenia drapieżników i dla zdobywania sobie mięsa, głównego pokarmu w okolicach górzystych, niezdatnych pod uprawę roli. Od niepamiętnych czasów owi górale polowali na lwy, teraz lwy zaczęły polować na nich, gdyż rozkaz Badoglio pozbawił ich jedynej obrony.

Nie wszyscy jednak pozwolili się rozbroić, więc część opornych stracono, reszta uciekła w lasy. I właśnie dzięki pomocy tych zbiegów, świetnie znających teren, znalazł się nagle na tyłach włoskich bohaterki ras Seyum z tysiącem wojowników. Nie próżnował tam oczywiście. Tępiąc mniejsze oddziały wojsk włoskich, unikając większych i niszcząc spotkane kolumny z amunicją, przeciął na ukos całą rozległą prowincję Tembien, od miesiąca zajęta przez wroga. Dotarł niemal pod mury Aksum, co wywołało niesłychaną konsternację w sztabie Badoglio, gdyż

ewentualna utrata *świętego miasta*, zdobytego kosztem ogromnych ofiar w ludziach zaraz na początku kampanii, byłaby największym sukcesem moralnym tubylców. Zaalarmowano więc wszystkie stacjonowane w okolicy bataliony, szwadrony, baterie, a cztery eskadry samolotów rozpoczęły polowanie na rasa Seyuma. Wytropiły go w końcu w jakimś na wpół zadrzewionym wąwozie i zasypały setkami bomb. Lądować się tam nie dało, więc trudno było sprawdzić, ilu Abisyńczyków poległo skutkiem tego bombardowania, lecz na zdjęciach fotograficznych dokonanych z *lotu ptaka* naliczono z górą osiemset jasnych plamek.

— Tak zawsze ze samolotu wygląda poległy Abisyńczyk dzięki swojej białej szammie — tłumaczył marszałkowi Badoglio komendant osławionej eskadry *La Disperata*: — a ten duży namiot, rozdarty moją celną bombą, był czerwony, jak zauważyliśmy wszyscy. Ponieważ zaś wiemy, że taki szkarłatny namiot posiadał tylko rasa Seyum, możemy uważać za pewnik, iż rasa zginęła. I nic dziwnego; zaskoczyliśmy jego bandę rano tak niespodziewanie, że nikt nie zdążył uciec do lasu.

— Zresztą lasek spaliliśmy także na wszelki wypadek — dorzucił inny lotnik. — Jeśli nawet Seyum zdołał się schronić między drzewa, to usmażył się tam żywcem...

A tymczasem rasa Seyum wraz z całym oddziałem biwakował w zaroślach o dwa kilometry od zbombardowanego wąwozu. Naprzeciw wodza siedział przystojny młodzieniec w mundurze włoskiego askarysa i wymawiał się od przyjęcia kosztownego pierścienia jako dowodu wdzięczności rasa za ostrzeżenie go w porę przed atakiem lotniczym.

— Ja tylko spełniłem swój obowiązek wobec rodaków, którym najwięcej mogę pomóc przez to, że noszę ten przeklęty mundur, — mówił. — A ocalenie zawdzięczają ci ludzie twojemu, dostojny książę, świetnemu podstępowi. Wyobrażam też sobie miny Włochów, którzy zapewne już jutro dotrą do tego wąwozu i nie znajdą w nim ani jednego trupa, tylko same niezakrwawione szammy...

— Oraz mój pusty namiot — dorzucił Seyum z uśmiechem. — Tak, podstęp był niezły, za to moje wojsko wygląda dziś jak stado podskubanych kur. Ale nie trąpcie się, chłopcy — zawołał głośno — gdy odbierzemy wrogom Makalle, sprawię każdemu z was droższą szammę niż ta jedwabna, którą nosił zdrajca Gugsu, dopóki go nie wciśnięto w mundur włoski.

— A kiedy odbijemy Makalle? — zapytało kilka głosów.

— Może za kilka dni, jeśli Bóg pozwoli.

— Czy nie zmarzniemy tymczasem bez szamm? — zafrasował się nadworny trefniś, towarzyszący swojemu panu we wszystkich wyprawach. — Dzisiejsza noc będzie szczególnie zimna, przeczuwam.

— Dzisiejsza noc mogłaby być dla was bardzo gorąca — odezwał się fałszywy askarys — gdyby dostojny książę zechciał wykonać napad na obóz pod Abba Tsahama, który w tych dniach ma zlustrować sam Badoglio! Napsułoby mu to dużo krwi, gdyby tam zastał martwych swoich „bohaterów” spod Adui i spod Aksum, oni to bowiem odpoczywają w owym obozie...

Słowa te wywołały ogólne poruszenie. Wszyscy ci wojownicy pochodzili z północnej części Tigre, niemal każdy z nich stracił kogoś z rodziny podczas krwawych walk o Aduę i Aksum, niemal każdy zaprzysiągł zemstę tym batalionom czarnych koszul, które zdobywały te dwa miasta, aż tu okazało się teraz, że część zdobywców Adui obozuje pod Abba Tsahama, więc zaledwie o 25 kilometrów stąd!

Rasa Seyum był zelektryzowany tą wieścią nie mniej od swoich żołnierzy, ale, jak przystało wodzowi, musiał dać dowód przezorności.

— Czy chciałbyś nas wciągnąć w zasadzkę?! — rzekł ostro.

Młodzieniec wytrzymał spokojnie jego przeszywające spojrzenie.

— Gdybym pragnął waszej zguby — odparł, wzruszywszy ramionami — nie byłbym was

ostrzegł dziś o świcie... Nie mówmy jednak więcej o wyprawie na Abba Tsahama, skoro książe nie ma do mnie zaufania.

Właśnie, że mam i to jest najdziwniejsze. Przecież widzę cię po raz pierwszy w życiu!

— Po raz pierwszy widziałeś mnie, książe, w Addis Abebie trzy i pół roku temu, gdyż rodzic mój należał do ślubnego orszaku następcy tronu.

W maju roku 1932 następca tronu, najstarszy syn cesarza Hailego Selassiego poślubił córkę rasa Seyuma, a na tę uroczystość zaproszono dostojników z całego państwa.

— Twój rodzic, powiadasz? Jakże mu jest?

— Józef Mongosza.

— Józef Mongosza?! A niechże cię żyrafa kopnie zadnią nogą, że mi to dopiero teraz mówisz. Syn Józefa, patrzcie no! Ba, ale syn Józefa by niskim, szczupłym chłopcem, pamiętam doskonale, z ciebie zaś jest dryblas, jak się patrzy.

— Wyrosłem, mości książe, zmężniałem...

— I tamten miał jechać do Europy...

— Do Paryża. Na życzenie i na koszt cesarza studiowałem tam medycynę, dopóki nasze poselstwo nie kazało mi wrócić do kraju zagrożonego najazdem Włochów. Ale jeśli dostojny książe jeszcze nie wierzy, że Salomon Mongosza to właśnie ja, proszę mnie egzaminować dalej.

— Ano, skoro sam tego chcesz i ponieważ nigdy nie można być dość ostrożnym, to... hm... Czy twój ojciec miał rodzeństwo?

— Trzech braci, z których najmłodszy, Jakub jest wasalem...

— Już nie jest, już nie jest moim wasalem, gdyż poległ od zatrutych strzał Danakilów, będących na włoskim żołdzie.

— Biedny stryjaszek — westchnął Salomon Mongosza.

— Jakub mówił mi w lecie, że ty lada dzień przyjedziesz do Tigre i będziesz walczył pod moją komendą.

— Tego najgoręcej pragnąłem, lecz brat mój stryjeczny Jonasz nakłonił cesarza do powierzenia mi innej... innej misji.

— A Jonasz Mongosza jest kulawy, czy bez ręki?

— Ani jedno, ani drugie — odparł Salomon z uśmiechem, gdyż rozbawiło go to podstępne pytanie władcy Tigre — za to jest kastratem i prawe oko mu wypalono, kiedy był chłopcem.

— Któż go tak urządził, nie pamiętasz przypadkiem?

— Czy nie pamiętam?! — zachnął się młodzieniec, a z jego łagodnych oczu wystrzelił błysk nienawiści. — Nigdy nie zapomnę, że naszym największym wrogiem obok Włochów są ich nikczemni sojusznicy, bracia Er-Durusz. Nawet w godzinie śmierci nie przebaczę im, choćbym miał za to pokutować w czyścicu do dnia Sądu Ostatecznego!

— No, nareszcie przekonałeś mnie, że należysz do rodu Mongoszów i tym bardziej musisz przyjąć ten pierścień na pamiątkę... A teraz gadaj wszystko, co wiesz o obozie pod Abba Tsahama, bo mam ochotę dzisiejszej nocy wysłać do piekła paruset Włochów.

— Paruset? Niestety tam ich jest przeszło tysiąc!

Pomylił się grubo, lecz o tym dowiedzieli się później. Cały dzień stracili na przebycie dwudziestu pięciu kilometrów, chociaż dwa razy dłuższe marsze w pełnym rynsztunku są w Abisynii na porządku dziennym; tu jednak pochód odbywać się musiał z zachowaniem wszelkich ostrożności i tylko lasami.

O godzinie siedemnastej szpica prowadzona przez Mongoszę osiągnęła szczyt wzgórza zamykającego od południa kotlinę, w której znajdował się obóz. Jego prostokątny majdan i namioty ustawione w ośmiu szeregach otaczał podwójny rząd drutów kolczastych, w paru

miejscach przeciętych wąskimi przejściami, przy każdej zaś z tych bram stało po dwóch wartowników.

— Tych trzeba będzie sprzątnąć tak, by ani najcichszego jęku nie wydali — mruknął ras Seyum, uważnie badając wzrokiem teren przyszej walki. — Ale namiotów jest mi coś za dużo jak na tysiąc ludzi.

— To prawda. Onegdaj było ich znacznie mniej, mógłbym przysiąc. Muszę to zbadać.

Rzekłszy to Salomon Mongosza przysunął do ust dłonie, złożył je w trąbkę i zawył, po czym zachichotał przeraźliwie głośno, aż echo poniosło.

— Co to znaczy?! — warknął ras Seyum z nagłą nieufnością.

— Przywołuję mojego przyjaciela.

— Któż to zacz?

— Frumencjusz Uadżir, ongiś kapral z drugiego pułku askarysów, potem dezertier, dziś bohater, który własnoręcznie wyprawił na tamten świat dziesięciu Włochów! Przyczaił się gdzieś tutaj i poluje na małe patrole.

— Więc dawaj go co prędzej.

Wyczekali się jednak dobrych piętnaście minut, zanim na świetnie przez Salomona udany chichot hieny odpowiedział ktoś w podobny sposób z oliwnego gaju rosnącego na wschód od obozu. Przedtem jednak spoza gaju wysunął się smutny orszak. Na jego czele maszerował pluton egzekucyjny oraz pluton askarysów z łopatami, potem jechało gęsiego sześciu konnych żandarmów, prowadząc na długich postronkach sześciu skazańców z rękami skrępowanymi na plecach, potem szło ze dwudziestu żandarmów pieszych, na końcu zaś postępował tłum starców, kobiet i dzieci rozpaczających tak głośno, że echa ich lamentu dobiegały aż do wysoko położonej kryjówki ludzi z przybocznej straży rasa Seyuma. Zawrzało też wśród nich od razu na ten widok, ale roztrotny wódz nie dopuścił do zbrojnej interwencji na rzecz skazańców.

— Wiem, że jesteście najlepszymi strzelcami na świecie, że stąd wystrzelalibyście do nogi żandarmów, lecz to nie ocaliłoby naszych nieszczęsnych rodaków, ocaliłoby natomiast tych wszystkich Włochów, którzy są w obozie, a których chcemy dziś napaść — powiedział. — Musimy więc być ślepi i głusi na wszelkie zbrodnie wrogów, dopóki noc nie zapadnie. Musimy zachowywać się jak najciszej, aby nie wykryto naszej obecności tutaj, inaczej wszystko na nic... Idźcie teraz, powtórzcie te słowa kolejno wszystkim moim wojownikom.

Najbardziej na prawo wysunięty oddziałek jego wojowników przyłapał niebawem Frumencjusza Uadżira i z zakneblowanymi ustami odesłał go rasowi. Na widok Salomona Mongoszy, towarzyszącemu wodzowi tych zbrojnych, Uadżir odetchnął z ulgą, bo nie wiedząc zrazu w czyje wpadł ręce, już Bogu ducha polecał. Ras Seyum zapytał go przede wszystkim, za co włosi skazali na śmierć sześciu tubylców, w tym jednego księdza koptyjskiego.

— Chyba tylko za to, że żyją — ponuro odparł zagadnięty.

— Musieli przecież jakoś upozorować wyrok

— Upozorowali tym, że w Abba Tsahama znaleziono ładunki do karabinów ze skrzynek, które ktoś wykradł z obozu.

— Ktoś? Czy nie ty przypadkowo? — wtrącił Mongosza.

— Nie ja, Salomonie, klnę się na duszę mojej żony i dzieci zamordowanych przez lotników włoskich. Biali zapewne sami podrzucili naboje swoim ofiarom, bo złościło ich to, że mężowie z Abba Tsahama tak pilnują swoich córek i żon. Hej, gdyby ta wioska nie leżała przy głównym gościńcu dawno już byłby ją spotkał ten sam los, co Bambalę, moją rodzinną wieś!

Zaledwie wyrzekł te słowa, w kotlinie gruchnęła salwa karabinowa i bezwładne ciała skazańców stoczyły się do płytkiego grobu, który askarysi co dopiero skończyli wykopywać.

— Pomścimy was, bracia! — rzekł ras Seyum tonem przysięgi.

Potem zaczął wypytywać Uadzira, czy wczoraj albo dzisiaj nie nadeszły tu jakie nowe oddziały wojska, gdyż namiotów jest stanowczo za wiele jak na tysiąc ludzi. Teraz dopiero pękła bomba. Uadzir oświadczył bowiem, że właśnie dzisiaj umieszczono w obozie pięć batalionów *czarnych koszul*, przybyłych prosto z Massauy, czyli ze statku, gdyż w Massaua ze względu na szczupłość miejsca i na febrę transporty wojska zatrzymują się najwyżej przez kilka godzin. Razem więc przebywa obecnie w tym obozie około sześciu tysięcy chłopów.

— Jaka szkoda — westchnął w końcu — że nie zjawiliście się tu wczoraj, kiedy tam było tylko jedenaście setek ludzi.

Salomon Mongosza, zmartwiony tym również, kłął we wszystkich znanych sobie językach. Nie ulegało dłań najmniejszej wątpliwości, że ras Seyum zrezygnuje z zamiaru napadu na obóz i nie mógł mieć o to do niego pretensji. Tymczasem...

— Hm, wolałbym, aby ich było trochę mniej — mruknął dzielny władca Tigre, skubiąc brodę zawzięcie — ale skorom już rzekł, iż pomszczę tych sześciu nieszczęśników, to nie cofnę się teraz przed walką.

— W tej walce przypadłoby na każdego z nas aż sześciu przeciwników!

— Na lwa może przypaść nawet szesnaście hien, a jednak uciekną przed nim, chociaż szczęki mają równie silne, jak on. Włosi tylko wtedy są odważni, gdy siedząc w czołgach czy w opancerzonych samolotach, walczą z naszymi góralami uzbrojonymi jedynie w stare fuzje. Za to podczas starcia na bagnety i kolby... ech, co tu dużo gadać; sam dziś zobaczysz, jacy z nich „bohaterzy”... A teraz zamilknijcie, bo chcę sobie ułożyć plan nocnego ataku, zanim słońce zajdzie.

Zanim słońce zaszło, pluton egzekucyjny odmaszerował do obozu, żandarmi zaś do wsi Abba Tsahama, pędząc przed sobą rodziny skazańców. W tym samym kierunku podążyli askarysi, lada jako zasypawszy ziemią swoich sześciu rozstrzelanych pobratymców i nikt nie pozostał przy świeżym grobie koło gaju oliwnego. Za to na majdanie zaroilo się od ludzi wyglądających ze szczytu wzgórza, jak mrówki. Na dźwięk trąbki, który przerwał im wypoczynek, wybiegli z namiotów i żwawo ustawiali się w szeregach, które utworzyły kwadrat. Sprawność, z jaką odbyła się ta zbiórka, nie znalazła jednak uznania w oczach rasa Seyuma.

— Ciekawym — mruknął — czy ta wasza karność na pokaz nie ulegnie szybkiemu rozluźnieniu dziś w nocy.

A noc zapadła tak raptownie, jak gdyby słońce było pospolitą świecą, którą jakiś figlarz zdmuchnął zniecka. Codzienna to rzecz pod zwrotnikami, ale na świeżo przybyłych żołnierzy, nieoswojonych z tym zjawiskiem przyrody, zrobiło to przygnębiające wrażenie. Sześciotysięczny chór głosów, właśnie śpiewający *Giovinezze*⁽¹⁾ przycichł od razu, snadź co najmniej połowa *czarnych koszul* umilkła, jak nożem uciął.

— Rycie, łotry, głośno rycie — zawarczał Uadzir, ostrząc osełką szpic swej lekkiej włóczni — to wasza ostatnia pieśń w życiu!

— O ile burza nie pokrzyżuje nam szyków.

— Burza, Salomonie, będzie naszym sprzymierzeńcem, bo zagłuszy huk wystrzałów, bez których nie obejdzie się z pewnością.

— Tak, podczas walki będzie naszym sojusznikiem, ale przedtem błyskawice mogą nam utrudnić zaskoczenie wroga!

— Słusznie, słusznie — przyznał ras Seyum — dlatego też musimy zabawić się z Włochami w żywy las.

Żywy las jest to popisowe ćwiczenie harcerzy abisyńskich, a jakby żywcem ściągnięte z szekspirowskiego Makbeta.

Porucznik Schirru, który z patrolem odbywał ront⁽²⁾ około godziny dziesiątej wieczór,

ujrzał w świetle błyskawicy spory gaj w odległości może stu metrów od tak zwanej *Wschodniej Bramy* obozu. Kiedy w dwie minuty później łysnęło się ponownie, owe zarośla znajdowały się jakby jeszcze bliżej, chociaż dawno już wycięto każdy krzak w odległości trzystu metrów od ogrodzenia z drutów kolczastych.

— Przeklęty kraj! — Tymi słowy Schirru najchętniej rozpoczynał swoje pesymistyczne monologi. — Nawet nocą zwodzi tu człeka fatamorgana. Mógłbym dać sobie rękę uciąć, że ten oliwny gaj rośnie stąd o kilometr, a ja go widzę tak blisko.

Skręcił w prawo, w kierunku południowym, aby z kolei skontrolować tam wystawiony posterunek i po drodze kłął na hieny, które snadź już zwietrzyły świeżą mogiłę sześciu rozstrzelanych tubylców.

— Przeklęty kraj! W Europie wieczorami śpiewają słowiki, tutaj słychać tylko ryk lwa lub chichot tych cuchnących trupojadów.

Dotarli do *Południowej Bramy*, czyli do przejścia w zasiekach, na noc zamykanego odrutowanymi kozłami, stwierdził ze zdumieniem, że i z tej strony wyrosła ogromna kępa krzaków. Kępa ta po czwartej albo piątej błyskawicy dotarła do zewnętrznej strony kolczastego ogrodzenia, lecz oprócz zbitego gąszczu liści, nie było widać absolutnie nic. Pomimo to jednak porucznik Schirru zdecydował się zbadać ten fenomen gruntownie. W tym celu wszedł pomiędzy kozły, zapalił kieszonkową latarkę elektryczną i skierował jej białe światło na najbliższy krzak, spod którego teraz dopiero wyjrzały... ludzkie nogi.

— Takie buty?! — Wyrwał z kieszeni rewolwer. — A to przeklęty kr-ooooch!!!

Ulubione powiedzonko zakończył jękiem bólu, gdyż zanim zdążył pociągnąć za cyngiel, przeszył mu na wylot lewą ramię dzirynt Uadžira, ciśnięty w kierunku latarki. Upadając na ziemię, dostrzegł jeszcze w świetle błyskawicy kilkunastu tubylców, którzy, odrzuciwszy zasłony z gałęzi, zasypali włócznie jego patrol i obydwóch wartowników. Ktoś zdołał przecież wypalić, ale huk wystrzału zlał się w jedno z potężnym łoskotem gromu, równocześnie zaś napastnicy odsunęli zewnętrzny kozioł. Porucznik Schirru instynktownie wsunął się do połowy ciała pod zasieki tak, że tylko po nogach deptali mu ci, którzy z impetem lawiny runęli przed zdobytą *Bramę Południową* do obozu. Wbrew wojennym zwyczajom abisyńskim, zachowali się zupełnie cicho. Tylko Uadžir zachichotał cztery razy tak, jak hieny, by zawiadomić inne oddziały, że oni już rozpoczęli krwawe żniwo.

— Za wcześnie, głupcy, za wcześnie — zżymał się ras Seyum, który miał do przebycia najdłuższą drogę, gdyż wybrał sobie *Północną Bramę*.

Wybrał ją dlatego, że w północnej części obozu stały namioty *weteranów spod Aksum*, z którymi walka mogłaby być cięższa, niż z nowicjuszami. I była cięższa, choć wartowników przy *Północnej Bramie* zasztyletowano i chociaż ani jeden strzał nie padł podczas likwidowania Włochów, którzy spali w pierwszych trzech rzędach namiotów. Ras Seyum wszystko dobrze zorganizował, tylko zapomniał o studni artezyjskiej, która oczywiście musiała mieć własny posterunek. Czy stojący tam żołnierz posłyszał jęki zaskoczonych we śnie kolegów, czy dojrzał napastników, nie wiadomo. Dość, że wystrzelił trzy razy. Natychmiast z wartowni wypadł tuzin *czarnych koszul* i zagrały trąbki na alarm.

— Znowu próbny alarm.

Tak zrazu sądziła większość „weteranów” i nic dziwnego, skoro znajdowali się 65 kilometrów za frontem, skoro z tryumfem oznajmiono im dzisiaj, iż partyzantów Seyuma lotnicy wytepli do nogi. Ten czy ów zaklął więc pod adresem dowództwa, które *nie ma nic lepszego do roboty, jak po nocy budzić spracowanych żołnierzy próbnymi alarmami*. Lecz głos trąbek zagłuszyły wystrzały. Co, u licha?! Więcej zdumieni, niż zaniepokojeni wybiegli z namiotów i zwrócili się twarzami ku północy, skąd najwyraźniej dobiegały krzyki ich rannych kolegów.

Wtem łysnęło się znowu. Wówczas po raz pierwszy zobaczyli napastników umazanych we krwi swoich pierwszych ofiar od stóp do głów. Ta zgraja *czzerwonych diablów* pędziła już tutaj!

— Uciekajmy! — wrzasnął ktoś tchórzliwszy.

— Stać! Gotuj broń!

Oficerowie w zarodku stłumili chęć ucieczki, wzięli w karby żołnierzy. Stwierdziwszy, że napastnik skrył się gdzieś przed salwą, zaczęli z gorączkowym pospiechem formować czworobok na zewnątrz najeżony bagnetami.

Bagnetem odebrany zabitemu przez siebie telegraficie walczył Salomon Mongosza, który miał polecone zniszczyć lub uszkodzić połowę radiostację. Dokonawszy tego dzieła, pognał ku środkowi obozu, gdzie tymczasem czworobok wojska napęczniał tak, że nie mogło być mowy o rozbiciu go przez napastników. Co najmniej połowa Włochów skupiła się tutaj, strzelając na wszystkie strony bez przerwy. Detonacje wystrzałów zagłuszały wrzask Abisyńczyków, którzy teraz nareszcie mogli walczyć po swojemu, to jest z nieludzkim wyciem, ale stokroć hałaśliwsza od wszelkich odgłosów walki była kanonada piorunów. Młodzi żołnierze, dziś przywiezieni tutaj i dopiero drugą noc spędzający na Czarnym Łądzie mogli przekonać się sami, jak inna jest tropikalna burza od burz w Europie, chociaż ulewa nie osiągnęła jeszcze swego nieprawdopodobnego zenitu.

— Nie lękam się już odsieczy — krzyknął ras Seyum do ucha Mongoszy, który wpadł na niego za jakimś namiotem. — Po godzinie takiego deszczu, żaden samochód tu nie dotrze. Lecz tego czworoboku...

— Rozbijemy go! — wtrącił Salomon, bo wzmianka o samochodach przywiodła mu na myśl pancerne auto, stojące obok *Wschodniej Bramy*.

Popędził do niego z garstką wojowników, wyłuszczywszy Seyumowi w paru słowach swój plan, a w trzy minuty później siedział już przy kierownicy stalowego potwora. Prowadziło się go znacznie trudniej niż ongiś w Paryżu taksówkę znajomego szofera, lecz przepisy policyjne nie obowiązywały tutaj na szczęście. Żołnierze Seyuma rozstąpili się szybko. Salomon dał gazu i z całym rozpędem uderzył w południową ścianę żywego czworoboku, miażdżąc tych Włochów, którzy z winy ciemności nie zdążyli odskoczyć na boki. Ze stu Etiopczyków wdarło się natychmiast przez wyłom, jaki w ludzkim murze zrobił samochód pancerny, którego kulomiot kosił już przeciwnie szeregi *czarnych koszul*.

Bitwa przemieniła się w masową rzeź, a jej ostatnim stadium było polowanie na ogarniętych paniką żołnierzy włoskich na próżno usiłujących wydostać się z obozu otoczonego pierścieniem drutów kolczastych. Nie uszli zagładzie nawet ci, którzy w ciemnościach odnaleźli jedną z czterech „bram”, bowiem przy każdej czuwało po dziesięciu Abisyńczyków, nie biorących dotychczas udziału w walce i najbardziej jej spragnionych. Tuż przed północą zakończono łowy na niedobitków, po czym ras Seyum pozwolił swoim utrudzonym wojownikom na godzinny wypoczynek przed odmarszem, sam zaś wszedł do największego namiotu, w którym rozdzielano ładunki do zdobytych karabinów włoskich.

— Czego unieść nie zdołamy, zniszczyć natychmiast — rozkazał i polecił przyprowadzić do siebie głównego bohatera dzisiejszej walki. — Czy umiesz poprawnie pisać po francusku?

— Studiowałem w Paryżu! — przypomniał mu Salomon Mongosza.

— Więc siadaj, podyktuję ci list do Badoglia.

Adresat otrzymał go nazajutrz, kiedy koło godziny jedenastej przyjechał tutaj z Asmary, by naocznie sprawdzić rozmiary kompromitującej klęski, a treść szyderczego listu Seyuma brzmiała:

Panie Marszałku!

Wbrew raportowi Pańskich lotników ośmielamy się żyć nadal, czego liczne dowody pozostawiamy tutaj.

Wśród poległych nie ma ani Pana, ani w ogóle żadnego generała, gdyż Wasza starszyzna woli kryć się w Asmarze, której ja napaść nie mogę... na razie!

Do 8600 Włochów, jakich mamy na sumieniu od 4 października br. przybyło dzisiaj dalszych 6100. Prawdopodobnie więc w najbliższej „liście strat” podacie urzędowo, że od początku wojny zginęło tylko stu czterdziestu siedmiu Waszych. Bo w tym, co głosicie jest jednak trochę prawdy, dokładnie jeden procent.

Z koleżeńskim pozdrowieniem

ras Seyum

dziedziczny władca

Królestwa Tigre

Brzydka twarz marszałka zasepiła się bardzo, kiedy wśród sześciu tysięcy dwustu czternastu poległych tutaj znaleziono tylko stu sześćdziesięciu ośmiu Abisyńczyków.

— A ranni? Chcę mówić z kimś, kto ocalał.

Spośród oficerów włoskich był taki zaledwie jeden, mianowicie Schirru, którego godziny były jednak także policzone. Kiedy postawiono nosze na ziemi, jęknął i zabelkotał:

— Przeklęty kraj... Jakie лихо przyniosło nas tu po...

— Poruczniku, proszę liczyć się ze słowami! — wtrącił ostro jakiś sztabowiec. — Jego ekscelencja pan marszałek chce pana zapytać...

— O co! Czy cierpię? Piekielnie! Przeklęty kraj! I niechaj będą przekłęci szaleńcy, którzy tę wojnę wywołali! Niech zdychają...

— Milczeć!!

— ...zdychają w mękach... tak jak... jaaaaa.

Ostatnie słowa porucznika Schirru cokolwieczek zmieniono na użytek propagandy i prasy. Według tej ulepszonej wersji konający Schirru miał aż do ostatniego tchnienia powtarzać z zapalem:

— Niech żyje faszyzm! Niech żyje nasz umiłowany wódz! O, jakże słodko jest umierać za niego!

⁽¹⁾ *Giovinazza* (wł.: młodość) – oficjalny hymn włoskiej Narodowej Partii Faszystowskiej oraz od lat trzydziestych XX w. hymn armii, jak również nieoficjalnym hymn narodowy Włoch w latach 1924–1943.

⁽²⁾ ront – tu: obchód terenu, placówek straży, posterunków dla sprawdzenia porządku i bezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ XX

W grudniu roku 1935 nie wiodło się Włochom stanowczo.

Ras Seyum, wyciąwszy w pień sześć tysięcy *czarnych koszul* koło wsi Abba Tsahama i zagarnąwszy ich nowoczesne karabiny oraz kulomioty, ani myślał o rychłym powrocie na drugą stronę frontu. Dzięki poparciu miejscowej ludności, która już zdążyła śmiertelnie znienawidzić najeźdźców, czuł się w Tembien całkiem pewnie i poczynał sobie coraz zuchwalej.

By położyć kres tej partyzantce na swoich tyłach i pod naciskiem wciąż atakujących oddziałów rasa Kassy, dowództwo włoskie nakazało odwrót na linię Medebai Tabor–Aksum–Adua. W ten sposób Abisyńczycy w grudniu odzyskali dwie swoje prowincje, mianowicie Tembien i Scire, po czym zaczęli napierać w kierunku północno-wschodnim, usiłując odciąć od Erytrei potężną armię włoską w górzystym okręgu Gheralta.

Również zwycięsko walczyli na szerokim froncie południowym, gdzie ich przeciwnikiem był generał Rodolpho Graziani, *bicz Trypolitanii*.

(Nawiasem mówiąc, Trypolis zdobyli Włosi głównie dzięki bitnym Etiopczykom, których zwerbowali na ochotników, przyrzekając im złote góry, a którym po skończonej kampanii nie chcieli wypłacić nawet zaległego żołdu.)

W pierwszych tygodniach wojny włosko-abisyńskiej zmotoryzowane kolumny Grazianiego dotarły aż pod Sassabaneh, teraz nastąpił sromotny odwrót o trzysta kilometrów! W brawurowym ataku nocnym wojska rasa Nasibu odzyskały warownię Gorrahai utraconą 8 listopada, której zdobycie kosztowało Włochów prawie miesiąc zaciekłych walk i tysiące ofiar. W wielu punktach osiągnięto ustaloną traktatami południową granicę Etiopii, a pod Dolo trochę nazbyt odważny ras Desta wdarł się głębokim klinem do włoskiej Somalii, budząc wśród tubylców entuzjazm, niestety przedwczesny.

Bilans trzymiesięcznej kampanii wojennej był więc niewesoły dla najeźdźców. Po stronie strat: 7 miliardów lirów i 70.000 kalek, zliczonych podczas powrotu do ojczyzny w Kanale Sueskim i trudna do ścisłego określenia, bo w tajemnicy trzymana ilość zabitych. Po stronie zysków: kilka tysięcy kwadratowych mil... nieużytków i jeszcze jeden... marszałek, dla zdementowania pogłosek o powodach odwołania de Bono ze stanowiska głównodowodzącego.

Irytował ten bilans ambitnych generałów włoskich, ale bardziej drażniło ich to, że korpus ekspedycyjny włoski, chociaż sześć razy liczniejszy i sto razy lepiej uzbrojony niż wojska Hailego Selassiego przy każdym starciu ponosił straty przeciętnie siedem razy większe. Zwalili winę na trudności terenowe, na klimat, na choroby, na zdrady, równocześnie zaś, aby jakoś wyładować swoją bezsilną wściekłość i podnieść liczbę poległych Abisyńczyków do poziomu własnych strat,

zwiększyli do maksimum działalność lotnictwa.

Ofiarą tych represji za bohaterstwo tubylców broniących niepodległości swej ojczyzny nie padali żołnierze frontowi, gdyż ci kryli się za dniami w lasach i skalnych pieczarach. Ponieważ zaś nie było ani rowów strzeleckich, fortów, twierdz, prochowni, ani fabryk, mostów żelaznych, gościńców, linii kolejowych (poza jedyną linią Dżibuti–Addis Abeba będącą własnością wrażliwych na straty materialne Francuzów), więc samoloty włoskich „oswobodzicieli”

bombardowały bezbronne miasteczka i wioski, dziesiątkując ich spokojną ludność.

Ślady strasznego zniszczenia, wywołanego tymi rajdami eskadr bombowych, Taitu spotykała często w swojej nowej podróży, zwłaszcza w Ogadenie. Bowiem niedługo popasała w Dessie. Już 20 listopada mąż odesłał ją samolotem do Hararu, gdzie spędziła przeszło dwa tygodnie, zanim wreszcie udało się jej zdemaskować szajkę konfidentów włoskich komunikujących się z armią generała Grazianiego z pomocą tajnej radiostacji. Niezmiernie zadowolony z tego, ras Nasibu pragnął zatrzymać urodziwą rodaczkę w swoim sztabie, lecz na próżno. Taitu uważała, że nie wypełniła jeszcze swojej misji, gdyż nie wytępiła wszystkich tutejszych szpiegów; najniebezpieczniejszy z nich przebywał w kwaterze rasa Desty, jak wynika z tylko częściowo rozszyfrowanych notatek znalezionych w Hararze, dlatego postanowiła udać się najpierw do okręgu Dolo.

Dolo od Hararu dzieli w linii powietrznej 565 kilometrów, ale droga okrężna, jaką Taitu przebyć musiała, wynosiła 750 kilometrów co najmniej. Karawana z amunicją, do której ras Nasibu przyłączył *abisyńską Matę Hari* wyruszyła najpierw w kierunku południowo-zachodnim, przecinając liczne rzeczułki, prawie wyschłe o tej porze roku, odpoczęła w Ghigner u stóp gór dochodzących do 3.000 metrów wysokości, po czym skręciła na południe, ku Uebi Manu.

Ani nad brzegami rzeki Canale Doria, ani nad jej dopływem Uebi Manu nie spotkała takiej osady, która by uszła oka i bomb lotników włoskich. Zburzone świątynie, spalone chaty, setki szkieletów ludzi, których zwłoki padły ofiarą hien i mrówek, świadczyły o tym, że „oswobodziciele” mszczą się tu krwawo za zwycięstwa rasa Desty, że chcą usilnie odciąć go od podstaw wyjściowych, od których sam zresztą oddalił się lekkomyślnie.

W tak niebezpiecznej okolicy karawana wioząca amunicję musiała posuwać się wyłącznie nocami. Za dnia odpoczywała w zaroślach nadbrzeżnych podzielona na kilka grup, aby w razie przypadkowego odkrycia jednej z nich, tylko ją zniszczono, a nie cały transport. Dzięki tym ostrożnościom przebyto szczęśliwie dziewięć dziesiątych części długiej drogi, chociaż dwa razy groźne samoloty bombowe krążyły tuż ponad kryjówkami karawany.

Ale od trzech razy sztuka. Pewnego dnia o świcie pojawił się samolot myśliwski ponad zbombardowaną jeszcze w listopadzie wioską Lenga. Jej pozostali przy życiu mieszkańcy, głównie pasterze, posłyszawszy z daleka złowrogi łoskot silnika, co prędzej wygnali swoje bydło zamykane na noc z obawy przed lwami w dużej, wspólnej zeribie i zaczęli je pędzić w stronę palmowego lasu.

A tam właśnie po całonocnym marszu rozbijała obóz pierwsza część karawany. Taitu, zwabiona wrzawą na skraj lasu, spostrzegła stado bydła rozpaczliwie przynaglone do pośpiechu przez gromadę ludzi, wśród których przeważały dzieci. Wszystko to pędziło w stronę zbawczego lasu, lecz zanim przebiegło połowę odkrytej przestrzeni, dzielącej go od wsi, przemówił kulomiot. Obniżywszy lot brawurowo, włoski „oswobodziciel” obsypał uciekających gradem kul, wyorał szeroką bruzdę trupów, nawrócił, skosił lewą stronę niedobitków i znowu nawrócił w kierunku palm. Zapędziwszy się za jakimś chłopcem, który ocalał z pogromu, poderwał swój aparat w górę, by nie wpaść na drzewa i pośród nich zoczył karawanę. Nie pożałował jej kul oczywiście, lecz ze znacznie mniejszym skutkiem niż przedtem, kiedy strzelał do ludzi i zwierząt pozbawionych wszelkiej osłony.

Taitu, której śniada twarzyczka pod wpływem oburzenia stała się szara jak popiół, nie spuszczała z oka skrzydlatego wroga. Domyślała się, że on nie poprzestanie na tym, co uczynił, że teraz odleci do swoich, zamelduje, iż odkrył tu karawanę z amunicją i ściągnie jej na kark całą eskadrę samolotów bombowych. Jakoż zanosilo się na to. Wystrzeliwszy wszystkie taśmy ładunków, lotnik wzbił się w górę, obrał kierunek południowy, lecz zanim uleciał z kilometr, zamilkł motor. Warknął krótko, znów umilkł, aluminiowy ptak zakołysał się niepokojąco, zaczął

opadać ślizgowym lotem i niebawem wylądował po drugiej stronie wsi Lenga.

— Co to znaczy? — zastanawiała się Taitu. Może on tam porozumiewa się ze szpiclem, którego ja szukam? Może chce go zabrać ze sobą?

Tak przypuszczając, zażądała od przywódcy karawany kilku żołnierzy do pomocy, jednak wbrew jej woli wszyscy bez wyjątku wyruszyli wraz z nią na tę wyprawę. Po drodze musieli przejść obok pasterzy z Lengi, ich żon, dzieci i zwierząt wymordowanych przez lotnika, a widok ofiar tej rzezi, o pomstę do nieba wołającej, rozwścieczył żołnierzy rasa Nasibu.

— Dawać tego kata!

— Powiesić go!

— Spalić go i tę przeklętą maszynę z nim!

— Potem, potem, na razie musimy go dostać żywcem — wołała Taitu, biegnąc w pierwszym szeregu. — I nie róbcie wrzasku, inaczej on wzbije się w powietrze i ujdzie naszej zemsty.

To poskutkowało natychmiast. Hałaśliwi wojownicy momentalnie przemienili się w myśliwych, podchodzących najbardziej płochliwą zwierzynę. Tymczasem lotnik z gorączkowym pośpiechem majstrował coś przy silniku, którego niespodziewany defekt zmusił go do lądowania, potem przyskoczył do śmigła, chcąc motor puścić w ruch. Opornie to szło jak na złość, a w momencie, gdy i tego dokazał, zabrzmiał bojowy okrzyk towarzyszy Taitu. Na widok gromady zbrojnych, którzy, wynurzywszy się z krzaków, ruszyli pędem w tę stronę, młody Włoch zdrętwiał z przerażenia. Zrozumiał, że chcą go dostać żywcem, dlatego nie strzelali. Zrozumiał, że srodze odpokutuje za tę sadystyczną masakrę, dokonaną z własnej pilności, gdyż wysłano go tylko na zwiady, a nie dla tępienia ludności cywilnej, co należało do „kompetencji” eskadr bombowych.

— Uciekać! — przemknęło mu przez myśl. — Może zdążę oderwać się od ziemi, nim nadbiegną. Muszę zdążyć, muszę!!

Skoczył przed siebie, chcąc najkrótszą drogą dostać się na swoje siodełko pilota i, pod wpływem trwogi, zapomniał o już wirującym śmigle. Ono zaś ciachnęło go w kark tak, że odcięta głowa pokatulala się pomiędzy koła podwozia.

— Oto Bóg sprawiedliwie ukarał Włocha — rzekła zdyszana Taitu, dobiegłszy do samolotu, którego silnik znowu sam umilkł po chwili. — Samolot trzeba nakryć gałęziami, przyda się on naszym ogromnie!

Schyliwszy się nad kadłubem zabitego Włocha, wyjęła mu z kieszeni portfel, aby nie zląkomił się na niego ktoś niepowołany.

— Oddam to rasowi Deście, może tam są jakie ważne papiery.

Przejrzała je zresztą sama i stwierdziła, że młodzieńki lotnik, zgilotynowany przez swój samolot, nazywał się Tito Miuniti. Jego głowę zatknięto na włócznie i postanowiono nieść ją tak w tryumfie, chociaż Taitu gorąco przeciwko temu protestowała.

— Włosi ogłoszą, iż myśmy go zabili — przewidywała słusznie.

— Skądże by się dowiedzieli — powątpiewano — że taki upominek przywieziemy rasowi z podróży?

Dowiedzieli się jednak i szaleli... z radości! Nareszcie znaleźli pretekst, jakiego szukali na próżno od paru tygodni. Zaraz też w Mogadiscio⁽¹⁾, stolicy Somalii rozpoczęto druk ulotek, których tekst zamieściła później cała filowłoska prasa w Europie, a który brzmiał:

Zabiliście jednego z naszych lotników, podporucznika Miuniti Tito, wziętego do niewoli. Ucieliście mu głowę, wbrew wszelkim prawom ludzkim i międzynarodowym, według których jeńcy są nietykalni.

W zamian za to otrzymacie to, na coście sobie zasłużyli.

A zasłużyli sobie uczciwie na nienawiść Włochów żołnierze rasa Desty, gdyż dokonywali czynów świadczących o bezprzykładnej brawurze. Oderwawszy się od swoich punktów wyjściowych, ten dwunastotysięczny hufiec górali przebył jednym skokiem czterysta kilometrów, dnia 21 listopada koło Dolo wtargnął do Somalii i nie pozwolił wyprzeć się stamtąd trzem dywizjom, a w żywność oraz w amunicję zaopatrywał się nocami w okopach... włoskich, wycinając w pień ich załogi.

Nic tedy dziwnego, iż Włochom przypadła do gustu rada ich szpiega działającego w okręgu Dolo. Szpieg ów doniósł, że górale Desty bardzo źle znoszą malaryczny klimat ogadeńskich nizin. Że więcej niż Biali używają chininy i innych lekarstw profilaktycznych, że febra, tyfus i dyzenteria szybko dadzą rady tym niezwykłym w polu wojownikom, jeżeli zniszczy się jedyny w południowym Ogadenie skład medykamentów, znajdujący się przy szwedzkim szpitalu Czerwonego Krzyża.

Wszystko już w tej wojnie bombardował faszystowski „Kulturträger”⁽²⁾, nie wyłączając chrześcijańskich kościołów (np. w Abbi Addi) ani pomniejszych ambulansów (np. w Dessie, dnia 6. XII. 1935 r.), lecz dotychczas nie miał czelności napaść na ogromny szpital polowy, którego namioty Szwedzi rozbili przezornie w odległości trzydziestu kilometrów na północny-zachód od wojskowych obiektów w Dolo. W tych warunkach nikt nie uwierzyłby w „omyłkę” lotników i trzeba było zaryzykować jawny atak, do czego brakowało tylko pretekstu. Dostarczył go raport tego samego szpiega, że dnia 26 grudnia przyniesiono do obozu rasa Desty odciętą głowę lotnika, nazwiskiem: Miuniti Tito.

⁽¹⁾ Mogadiscio (wł.) – obecnie Muqdishu (Mogadysz).

⁽²⁾ Kulturträger (niem.) – szerzyciel kultury, określenie, jakie nadali sobie Niemcy uważający się za krzewicieli kultury w Europie. Określenie to w Polsce używane ironicznie.

ROZDZIAŁ XXI

Dwa dni przedtem Taitu odłączyła się od kolumny amunicyjnej. Dziesięcioletni Jafet, jedyny spośród mieszkańców wsi Lenga, który ocalał i który przywiązał się jak pies do Taitu, chciał jej koniecznie towarzyszyć, ale nie zgodziła się na to, pragnąc zachować zupełną swobodę działania. Przywódca karawany musiał w końcu do swego muła przywiązać upartego Jafeta, po czym dopiero Taitu mogła spokojnie skręcić na zachód do... szwedzkiego szpitala.

— Coś mnie boli w sobie — oznajmiła tam, symulując objawy chorobowe, wymagające parudniowej obserwacji. — Słyszałam, że macie tu hakima, który zna zaklęcia na wszelkie dolegliwości...

Hakimów, czyli lekarzy, było tam kilkunastu, w czym dziewięciu Szwedów, ale Taitu, ku jej wielkiemu niezadowoleniu, odesłano na oddział kobiecy. Jego kierowniczka, a zarazem fundatorka, panna Olga Atherton z miejsca wpakowała *śliczną dzikuskę* do łóżka i posadziła przy niej srogiego cerbera, w osobie pielęgniarki-Murzynki, *silnej jak goryl*. O ucieczce nie mogło być mowy na razie, więc Taitu przeklinała w duchu swój niefortunny pomysł odgrywania chorej. Zaczęła też *błyskawicznie przychodzić do zdrowia*, co jednak także nic nie pomogło.

— Daj Boże, żeby to nie była jaka zakaźna choroba, niemniej musisz przebyć kwarantannę aż do końca — oświadczyła Olga.

Dla zabicia czasu Taitu całymi godzinami rozmawiała z czarną pielęgniarką, wypytując ją zrećnie o każdego spośród personelu szpitala, nie wyłączając Olgi Atherton, chociaż Jonasz Mongosza twierdził, że ta ekscentryczna milionerka angielska całą duszą trzyma ich stronę w tej nieszczęsnej wojnie.

— Tak samo Włosi w Asmarze sądzili o mnie — pomyślała sobie Taitu, a jej nieufność podjudzało niesłychane podobieństwo pomiędzy Olgą Atherton i Alicją Rendell, ongiś konfidentką Ibrahima Er-Durusz.

Czarna pielęgniarka, ubóstwiająca hojną Olgę, wyliczała jej wielbicieli z taką dumą, jakby mówiła o własnych podbojach serc męskich.

— Wszystkie mężczyzny ją kochać mnóstwo-mnóstwo. Jeden to przyjeżdżać tu z Dolo w każdy niedzielę i często częściej...

— Któż to zacz?! — spytała z wielkim zainteresowaniem Taitu, lecz spotkał ją zawód.

Bowiem, według relacji Murzynki, najgorętszym adoratorem pięknej Olgi Atherton był wojskowy doradca rasa Desty, kapitan Charles Callum. O tym kanadyjskim awanturniku, o nienawiści, jaką żywił do Włochów i jaką im brutalnie okazywał, jeśli dostali się do niewoli, Taitu słyszała wiele jeszcze od rasa Nasibu. Skoro zaś Charles Callum był tak zawziętym wrogiem wrogów Abisynii, nie miało najmniejszego sensu podejrzewać o szpiegostwo jego, a raczej Olgę Atherton. Ona zapewne podczas romantycznych przechadzek we dwoje zrećnie wyciąga od niego ważne wiadomości, które następnie przesyła Włochom.

Przeprowadziwszy takie rozumowanie, Taitu postanowiła podsłuchać przy najbliższej sposobności rozmowę tych dwojga. Sposobność taka nadarzyła się już 29 grudnia, czyli w przeddzień zbrodni, jaka po wsze czasy okryła hańbą jej sprawców oraz ich płatnych czy kołtuńsko-ideowych obrońców w Europie.

W niedzielę dnia 29 grudnia przyjechał z Dolo kapitan Charles Callum. Zanim mógł porozmawiać sam na sam z Olgą, musiał wziąć udział w nabożeństwie odprawionym przez pastora Svensona i w wydanym przez naczelnego lekarza doktora Fride Hylandera obiedzie, podczas którego wywiązała się ożywiona dyskusja polityczna. Sprowokował ją sympatyczny chirurg Lundstrom, który znając dobrze zapalczliwość Olgi, jął ze żartów dowodzić, że Włochy z racji swego przeludnienia mają prawo do pustych obszarów Abisynii.

Olga Atherton rozpoczęła kontratak huraganowym ogniem cyfr: 42 miliony ludzi gniotą się na 310.137 kilometrach kwadratowych Półwyspu Apenińskiego, to prawda. Lecz Włochy posiadają oprócz ojczystego kraju i oprócz Dodekanezu i Rodosu, kolonie: Trypolis z Libią, Erytreę, Somalię i kraj Juby, w których na kilometr kwadratowy przypada przeciętnie jeden mieszkaniec, podczas gdy w Abisynii trzynastu! Obszar Somalii wraz z Jubą wynosi 496.122 kilometrów kwadratowych. Mieszka na nim 890.000 ludzi, mogłoby zaś żyć tam kilkadziesiąt milionów, gdyby w regulację rzek somalijskich inwestować małą część tego, co będzie kosztowała ta wojna. A za to, co będzie kosztowała w ogólnej sumie, można by 1.650.000 kilometrów kwadratowych Pustyni Libijskiej, lub choćby jej połowę nawodnić i użyźnić tak, że stałaby się drugim Egiptem i wyżywiłaby znów kilkadziesiąt milionów ludzi, podczas gdy obecnie mieszka ich tam zaledwie 698.000!

Stąd wniosek oczywisty, że Włochy mogą obejść się doskonale bez skał i pustyń Abisynii, że napadły ją dla dogodzenia swym imperialistycznym zachciankom oraz dla wypróbowania swej jakoby odrodzonej armii przed nieuniknioną przy ich agresywności rozgrywką z dwoma państwami europejskimi. Zresztą gdyby perfidne argumenty włoskie miały przekonać świat, to niechaj nikt nie dziwi się ani nie oburza, jeżeli w ślady Italii pójdą gęściej od niej zaludnione Niemcy i, ukończywszy swoje gigantyczne zbrojenia, zgotują któremuś ze sąsiadów smutny los Abisynii!

— Wy, pseudochrześcijanie, którym humanitaryzm, pacyfizm i Liga Narodów służy tylko za temat do płaskich dowcipów — kończyła Olga ze szkarłatnymi wypiekami na policzkach — wy, których słowa i czyny są żywym zaprzeczeniem boskiej nauki Chrystusa, nie zdobędziecie się na żadne współczucie dla nieszczęsnych Etiopczyków. Ale, zaklinam was, na waszych prawdziwych bożków, na egoizm, materializm, utylitaryzm, nie chwalcie zbrodni Włoch, we własnym interesie! Bo jeśli im ta zbrodnia ujdzie bezkarnie, ich przykład znajdzie naśladowców i niepodległość waszych narodów zawisnie na bardzo kruchym włosku!

Najgłośniej ze wszystkich obecnych oklaskiwał to pełne temperamentu przemówienie kapitan Callum. Kiedy jednak później znaleźli się z Olgą we dwoje, wyznał jej, że ma wyżej uszu wszelkich dyskusji politycznych i pragnie z nią porozmawiać o czymś zgoła innym.

— O swej miłości, co? — rzuciła lekko.

— O tym pomówilibyśmy obszerniej jutro, gdyż chcę pani zaproponować wspólną wycieczkę do bajecznie malowniczego wodospadu, jaki odkryłem przypadkowo w tych okolicach. Wyjechalibyśmy konno o świcie i...

— Zgoda, byle nie jutro...

— Właśnie, że jutro, droga panno Olgo, jutro koniecznie! Pojutrze rano muszę być z powrotem w Dolo.

— Przykro mi bardzo, lecz jutro nie mogę, gdyż dzisiejszej nocy oczekujemy nowego transportu rannych. Odłóżmy więc tę wycieczkę do przyszłego tygodnia...

— Na przyszły tydzień tu... — zaczął Charles Callum z błyskiem zniecierpliwienia w oczach i urwał w pół zdania, po czym dziwnie złowrogim spojrzeniem omiół leżące u ich stóp namioty lazaretu. — Panno Olgo, ja panią błagam jak o największą łaskę, żebyśmy tę wycieczkę odbyli jutro. Wiem, praca, ranni, to prawda, lecz pani należy się dzień wypoczynku...

— Mam go właśnie dzisiaj.

— To za mało. Pomówię z doktorem Hylanderem i...

Nalegał długo, prosił tak natrętnie, że w końcu musiało to dziwić Olgę. Zanim jednak zdążyła dać temu wyraz w jakimś zapytaniu, na zakręcie ścieżki wijącej się gzygzakiem po wschodnim zboczu tego pagóra pojawił się sanitariusz wrzeszczący, jak gdyby go obdzierano ze skóry:

— Panno Atherton! Panno Atherton!

— Jestem tutaj — zawołała. — Co się stało?

— Uciekła pacjentka z *szesnastego*.

— Która? Chyba nie ta ładna Taitu...

— Właśnie ta diablica. Pielęgniarka nabiła guza, ogłuszyła ją, związała i znikła bez śladu.

Przeszukaliśmy wszystkie namioty i nic... A jej pielęgniarka chce pani powiedzieć coś ważnego.

Olga Atherton powstała z ławeczki, przyrzekła kapitanowi, że powróci tutaj jeszcze przed zachodem słońca i szybko pobiegła na dół. Zakrył ją zakręt ścieżki wyrąbanej w zbitym gąszczu krzaków, ale Charles Callum ujrzał ją ponownie, kiedy w dziesięć minut później dotarła do pierwszego rzędu szachownicy szpitalnych namiotów, które...

— ...które jutro spalimy na popiół! — warknął. — I dlatego Olga musi stąd odjechać o świcie, chociażbym ją miał porwać siłą! Nie dopuszczę do tego, by zginęła tutaj wraz ze Szwedami! — monologował dalej. — Przecież ja ją kocham naprawdę! To nie to, co było z innymi kobietami, jakie przed nią spotkałem w życiu, nie wyłączając *czekoladowej księżniczki*, która okazała się pono szpiegiem abisyńskim. Dalili Borez nigdy do tego stopnia...

Nie skończył zdania, wybałuszył oczy, zamrugnął niepewny, czy to sen, czy jawa. Bowiem naprzeciw ławeczki, na której siedział, rozchyliły się krzewy obsypane kwieciami i wyszła z nich *czekoladowa księżniczka*, uzbrojona w somalijską włócznię.

— Dalila Borez?! — wykrztusił, nie wierząc w zrozkowi.

— Takam ci ja Dalila Borez, jak ty Charles Callum — odburknęła po włosku Taitu, potrząsając wojowniczo swoją dzidą. — Profesorze Antonio Mearza, podziwiam pańską odwagę, lecz jako patriotka Etiopska muszę pana odprowadzić do szpitala, gdzie każę pana uwięzić.

Wynikało stąd, że nie miała w tych zaroślach żadnych pomocników, że była tu sama. Antonio Mearza przyjął to do wiadomości z entuzjazmem, ale na razie postanowił zagadywać rzekomą Dalilę Borez dopóki się da.

— Nie gub mnie, miej litość! — rzekł błagalnie. — Czyż byłem dla ciebie złym szefem w Asmarze? Czy nie dość ci tego, żeś mi złamała serce?... Uśmiechasz się sceptycznie. Nie wierzysz... Więc przekonaj się na własne oczy, czyją fotografię noszę przy sobie dotychczas...

Szybko wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął z niej... rewolwer, który bezzwłocznie skierował w stronę łatwowiernej Taitu.

— Ręce do góry! Nie z oszczepem, ty szelmo. Swój szpikulec wypuść z dłoni momentalnie, jeżeli ci życie miłe!... Bo mnie miłe bardzo!!

To ostatnie zdanie zostało wymówione takim tonem, że zrozumiała, iż profesor Mearza w myśli już wydał na nią wyrok śmierci. Nie miał zresztą innego wyjścia z obecnej sytuacji, a dla uratowania siebie gotów był na wszystko. Przed natychmiastowym wykonaniem tej samoobronnej egzekucji powstrzymywał go tylko lęk, że detonację wystrzału posłyszano by może w najbliższych namiotach. Tak, tak, należało przejść na drugą stronę wzniesienia i dopiero tam zlikwidować uroczą przeciwniczkę.

— Odwróć się teraz, idź ścieżką powoli na lewo.

Aby przeszkodzić ewentualnej ucieczce, lewą ręką ujął Taitu za kark, a lufę rewolweru przystawił jej do prawej skroni. Pagór po zachodniej stronie był bardzo stromy i nad jedną z jego

kilkudziesięciometrowych przepaści Mearza ustawił swoją brankę.

— Żal mi cię bardzo — „pocieszył” ją — ale rozumiesz chyba sama, że tylko w ten sposób mogę ocalić siebie i pełnić nadal służbę dla ojczyzny, na ważnym posterunku, jaki mi tu wyznaczono... Czy pragniesz pomodlić się przed śmiercią?

Dała odpowiedź twierdzącą, gdyż chciała zyskać na czasie. Nie mogła pogodzić się z myślą, że ona, która z tyłu niebezpieczeństw wyszła cało i tyle tygodni spędziła w głównej kwaterze najeźdźców, teraz przez swoją głupią nieostrożność musi umrzeć tutaj, w ojczyźnie. I to w chwili, gdy tak łatwo zdemaskowała szpiega, może najgroźniejszego, bo wtajemniczonego we wszelkie plany rasa Desty. A skoro ona zginie, Mearza będzie nadal grał rolę doradcy rasa i, jak namówił go na ryzykowną wyprawę w głąb Somalii, tak prędzej czy później wpędzi go w zasadzkę, z której żywa noga nie ujdzie.

— Trochę za długo trwa ta modlitwa — mruknął Antonio, zerknąwszy na zegarek. — Skończ ją nareszcie.

— Zaraz skończę.

Przeżegnała się, padła na kolana, czołem dotknęła ziemi, równocześnie zaś obiema dłońmi zgarnęła dwie szczypty piasku, które zauważyła już przed chwilą i które były jej całą nadzieją. Wstając, posunęła się naprzód o duży krok tak, że odległość pomiędzy nią i Włochem zmniejszyła się do dwóch metrów.

— Przeżegnam się jeszcze raz, a potem strzelaj, ile chcesz do bezbronnej kobiety — powiedziała jednym tchem.

— Dobrze.

— W imię Ojca i Syna...

Przytknąwszy do czoła dłoń zaciśniętą w kułak, oderwała z takim samym rozmachem i ukryty w niej piasek z całej siły cisnęła w oczy profesorowi. Niemal równocześnie obsypała go piaskiem z lewej ręki, po czym przykucnęła błyskawicznie, pomimo to jednak kula gwizdnęła jej tuż nad głową. — Mearza wystrzelił na oślep, kiedy zaś szybko przetarł sobie oczy, dojrzał plecy swej przeciwniczki właśnie znikającej w zaroślach.

Taitu miała pecha. Ścieżką uciekać nie mogła, gdyż w jej wylocie stał Mearza, więc uskoczyła w krzaki. Nie przypuszczała, że tuż poza ich cienką warstwą znajduje się gładka, pionowa skała. Odkrycie to zbiło ją z nóg zupełnie. Była pewna, iż Włoch popędzi za nią i rzeczywiście posłyszała jego szybkie kroki, jego sapanie. Zastygła w bezruchu, wstrzymała oddech, łudząc się, że profesor minie jej marną kryjówkę. Nie minął. Zatrzymał się właśnie przed tym krzewem, za którym stała, plecami przylepiona do skały. Spostrzegł ją, parsknął szyderyczym śmiechem.

— Bardzo mi to na rękę, że zginiesz w tak ustronnym miejscu. Nie będę miał kłopotu z ukryciem zwłok — rzekł.

Przez szpary w zielonym murze listowia dojrzała twarz swojego niegdyś wielbiciela, dziś nieubłaganego wroga. I jego oczy, które dawniej zebrały o jej uśmiech czy pocałunek, teraz zaś spoglądały na nią z nienawiścią. Nie mogła od nich oderwać wzroku, nie mogła uwierzyć w ich bezlitosny wyraz. Nie mogła też zdobyć się na żadną prośbę, chociaż gorąco pragnęła żyć. Patrzyła prosto w te oczy i nagle jedno z nich, lewe, zniknęło!

— Przymknął je, więc teraz wystrzeli.

Ledwie zdążyła tak pomyśleć, rozległ się ryk bólu. Twarz Włocha wykrzywił okropny grymas, coś ciężkiego zważyło się z tamtej strony na rozdzielający ich krzak. Coś? Antonio Mearza! Nielatwo Taitu wydostała się ze swojej kryjówki inną drogą, po czym obejrzała się na swego przeciwnika. Leżał na brzuchu a w jego plecach tkwiło... co prawda bardzo płytko... kilkanaście strzał. Obezwładniła go zaś pierwsza z nich, która trafiła go w lewe oko. Ale gdzież

ów tajemniczy zbawca, który zjawił się tak bardzo w porę? Taitu spostrzegła go wreszcie na szczycie pobliskiej skały i zdumiała się wielce.

— Jafet, ty smyku, toś ty nie w Dolo?

— Gdybym ja był w Dolo, ty byś już nie żyła — odparł chłopiec i z największym spokojem znowu naciągnął cięciwę swego łuku. — Widzisz więc teraz sama, że w tych okolicach nie możesz podróżować bez mojej opieki.

Pod opiekę lekarską dostał się Mearza już w pół godziny później, gdyż Taitu natychmiast pobiegła do szpitala. W to, że „kapitan Charles Callum” jest włoskim szpiegiem, nikt tu nie chciał uwierzyć narazić, lecz tym nie przejmowała się zbytnio. Pragnęła tylko, aby uwierzył w to ras Desta i dlatego wyruszyła do Dolo bezzwłocznie, zabierając ze sobą małego „opiekuna”, Jafeta, oraz eskortę niezbędną do podróży nocą.

Noc z 29 na 30 grudnia Mearza spędził spokojnie, dzięki zastrzykom, za to gdy zbudził się nad ranem, zaczął zdradzać niepokój tak wielki, że musiano wezwać dyżurnego lekarza. Ten próbował uspokoić pacjenta zapewnieniem, iż jego rany nie są groźne.

— Był pan naszpikowany strzałami, niczym święty Sebastian, ale żadna z nich nie wbiła się głębiej. Ten malec jest na to za słaby. Tylko lewe oko uszkodził panu poważnie i będzie pan musiał nosić na nim opaskę przez jakieś dwa miesiące.

— Dwa miesiące — powtórzył z goryczą. — Za dwie godz... Która to godzina, doktorze?

— Piąta.

— Madonna! Czy panna Atherton już wstała?

— W nocy nadszedł transport rannych z frontu, wiec pewnie...

— ...pewnie śpi. Ale trzeba ją zbudzić natychmiast! Wasze... jej życie jest w strasliwym niebezpieczeństwie, przed którym ostrzec może ją tylko jeden człowiek, ja! Słyszysz pan? Jaaa!! Proszę mi wyświadczyć tę grzeczność i przywołać tu zaraz pannę Atherton.

Zbudzono i sprowadzono ją na oddział chirurgiczny, by uspokoić pacjenta, odgrażającego się, że w przeciwnym razie pozrywa sobie bandażę. Długo rozmawiali bez świadków, po czym Olga Atherton oświadczyła lekarzom, iż „kapitan Callum” z lekka mówi dziś od rzeczy.

— Przyśnił mu się wielki atak lotniczy na nasz szpital. Ponieważ zaś święcie wierzy w sny, błaga byśmy wszyscy ratowali się szybką ucieczką, skoro spostrzeżemy na niebie jakikolwiek samolot.

— Nonsens — rzekł naczelny lekarz, Fride Hylander. — Dziesiątki razy przelatywały tędy różne eskadry, lecz nigdy nie rzuciły ani jednej bomby na nas. Włosi nie są barbarzyńcami!

— Nie są?! Jak dotychczas przywieziono nam tu sześć razy mniej rannych żołnierzy z frontu niż kobiet i dzieci z głębi kraju!

— To prawda, panno Atherton — przyznał doktor Lundstrom — ale nękanie ludności cywilnej na tyłach walczącej armii jest jednak bez porównania mniejszą zbrodnią niżeli celowe mordowanie rannych!

— Czy nie wymordowali ich Włosi parę tuzinów w Dessie?

— W Dessie jest negus, jest jego główna kwatery, jest cały korpus następcy tronu. Mogło się więc wydarzyć, że podczas trzykrotnego bombardowania miasta kilkanaście bomb rzucono przez omyłkę na tamtejszy lazaret. Ale tutaj nie ma wojska zupełnie! Tutaj nie ma w ogóle żadnych chat ani namiotów nieoznaczonych emblematami *Czerwonego Krzyża*, zatem omyłka niedopuszczalna! I dlatego — kończył Lundstrom swoją replikę — w to, by Włosi zamierzali kiedykolwiek zaatakować nasz wielki szpital, ja nie wierzę stanowczo!

Nie wierzył, a w niespełna dwie godziny później włoska bomba urwała mu dolną część twarzy. Wydarzyło się to wówczas, kiedy wraz z doktorem Hylanderem operował włoskiego jeńca przywiezionego ubiegłej nocy z dużym transportem rannych. W przedsiönku sali

operacyjnej czekał na swoją kolejkę Antonio Mearza, któremu miano wyjąć z karku jakąś drzazgę strzały, niezauważoną wczoraj przy pierwszym opatrunku. Posłyszawszy łoskot silników, Mearza zerwał się ze szpitalnego wózka i, palnąwszy w skroń sanitariusza, który chciał go zatrzymać, wybiegł z namiotu. Dzięki temu ocalał... na razie.

Olga Atherton na odgłos pierwszych detonacji pospieszyła do okna. Żurawim kluczem sunęła po niebie eskadra ciężkich samolotów bombardujących, a pod nią tryskały z ziemi wciąż nowe gejzery piasku, podartych na strzępy namiotów szpitalnych i... ludzi. Czyjaś odcięta ręka zawisała na pobliskim maszcie flagi *Czerwonego Krzyża*, zaplątawszy się w sznury. Czyjś kadłub, zniekształcony, bez członków runął z wysoka pomiędzy dzieci-kaleki werandujące na prymitywnych leżakach. Czyjaś odcięta głowa wleciała przez okno do namiotu-kaplicy i wytrąciła duchownemu z rąk kielich.

Pierwsza eskadra rzuciwszy bomby burzące i odłamkowe, minęła miasteczko rannych, ustępując miejsca drugiej siódemce samolotów niosących bomby zapalające, które w chwili eksplozji osiągają temperaturę 3000 stopni Celsjusza... Nie ostoi się im ani żelazo, ani beton, a budynki szwedzkiego szpitala były przecież z płótna! Pożar ogarnął je z taką szybkością, że nikt nie ocalał z tych, którzy nie zdążyli wybiec z nich przed przybyciem drugiej eskadry. Na szczęście, ciężko rannych chirurgów Hylandera i Lundstroma wyniesiono przedtem, co jednak nie uratowało tego ostatniego i grób lekarza, który z odległej Szwecji pospieszył do Abisynii z bezinteresowną pomocą bliźnim na wieki pozostanie smutnym pomnikiem włoskiej „kultury” w Afryce. A obok niego groby z górą stu innych ofiar tej barbarzyńskiej rzezi rannych, chorych, lekarzy i pielęgniarek.

Rzeź ukoronował atak trzeciej eskadry z bombami gazowymi i z... ulotkami, oraz „popisy brawury” wszystkich samolotów. Przekonawszy się, że nikt ich nie ostrzeliwuje, lotnicy nabrali odwagi, zbliżyli się do ziemi na kilkadziesiąt metrów i z kulomiotów otworzyli wściekły ogień na niedobitków, uciekających w zarośla. Od kuli zginęło jedno z dwojga dzieci, które Olga Atherton niosła na rękach. Od kuli padła *silna jak goryl* pielęgniarka-Murzynka, która sama dźwignęła poparzonego w kaplicy misjonarza.

A inna znów kula zmiażdżyła kolano profesorowi Mearzy, chociaż zawzięcie wymachiwał flagą *Czerwonego Krzyża* i ryczał na całe gardło, że jest Włochem. Jego głos zginął w ogólnej wrzawie, na którą składało się wycie rannych smażących się żywcem w podpalonych namiotach i grzechot kulomiotów i ogłaszający łoskot silników dwudziestu jeden samolotów trzymotorowych, szybujących obecnie tak nisko. Dziwnym zbiegiem okoliczności Antonio Mearza upadł tuż pod ścianą składu medykamentów, który w swym raporcie radził zniszczyć, a który dopiero teraz ogarnęły płomienie.

— Nemezys. Ja ten atak lotniczy gorąco zalecałem, ja padnę jego ofiarą, pomyślał z nagłą rezygnacją.

Zrozumiał bowiem, że wybiła jego ostatnia godzina, chociażby go ominęły wszystkie dalsze kule i odłamki bomb. Od ognia groziła mu śmierć, a nie mógł już uciec przed nią po tym postrzale lotnika-rodaka. Początkowo czołgał się trochę, lecz w ten sposób przebył zaledwie metr, potem zagroziła mu drogę przeszkoda nie do przebycia dlań, spory lej po wybuchu bomby burzącej. Tutaj runęły setki butli aptecznych z walących się półek magazynu, tutaj płonący strumień eteru dopadł profesora Mearzę i przytulił się do niego bardzo gorąco, przemieniając go w żywą pochodnię....

Końcowy ustęp zaprzysiężonych zeznań doktora Hylandera, ciężko rannego podczas tego bombardowania, brzmi następująco:

...Bomb rzucono przeszło dwieście, nie licząc tysięcy pocisków karabinów maszynowych,

które nas dosięgły.

Wszystkie nasze zapasy zostały kompletnie zniszczone. Trzeba było uciec się do najprymitywniejszych metod przy opatrywaniu rannych.

Nie ma absolutnie żadnego wytłumaczenia faktu zbombardowania ambulansu, który zgodnie z konwencją międzynarodową był oznaczony emblematami Czerwonego Krzyża.

Omylił się doktor Hylander, jest wytłumaczenie tej zbrodni i to bardzo proste: chodziło o zniszczenie zapasów środków leczniczych. I cel ten został osiągnięty, i skutki nie dały czekać na siebie długo. W pozbawionej dnia 30. XII. 1935 medykamentów armii rasa Desty zaczęła się szerzyć malaria, tyfus, przede wszystkim zaś dyzenteria, o co właśnie chodziło „kulturalnym oswojonym” włoskim. A kiedy te zakaźne choroby wydatnie przetrzebiły szeregi górali Desty, „bohaterskie wojska” generała Grazianiego nareszcie zdołały w okręgu Dolo postąpić naprzód o 150 kilometrów, po czym... znowu utknęły na cztery miesiące.

ROZDZIAŁ XXII

Po przymusowym wyjeździe hrabiego Vinci, bardzo nieliczni Włosi, zamierzający bez wiedzy władz abisyńskich pozostać nadal w Addis Abebie, przenieśli się z poselstwa do podziemnego labiryntu. Stąd w razie potrzeby wychodzili na miasto przez dom Abdula Gamala, czyli Ibrahima Er-Durusz, który tragicznie zakończył życie podczas wyprawy po skarby królowej Saby. Jego tutejszy sklep prowadził filar włoskiego wywiadu, kapitan Mario Medini, wlaźszy w skórę kupca ormiańskiego, jakich w Etiopii są tysiące.

Kapitan Medini założył sobie kwaterę nad sklepem, ale nie zgodził się na to, by żona zamieszkała tam razem z nim.

— Wszystkie abisyńskie szpicle mają odbitki twojej fotografii; ucharakteryzować się nie do poznania byłoby szalenie trudno, zresztą nie mogłabyś z tą charakterystyką chodzić stale — tłumaczył jej. Przy pierwszej rewizji domu... a rewizje są teraz na porządku dziennym w Addis Abebie... wpadłabyś w szpony Jonasza Mongoszy, który kogo jak kogo, lecz ciebie na pewno zamęczyłby na śmierć.

Tak więc Madelon-Alicja musiała dzień i noc przebywać w podziemiach. W ich części najwyżej położonej, ponad którą znajdowały się trybuny placu wyścigowego, urządzono jej długą, wąską izbę, której całe umeblowanie składało się z łóżka, stołu, dwóch krzeseł i umywalni. Tutaj Madelon sypiała, czytała, jadła i rozmawiała z Magdaleną, niegdyś służącą Ibrahima, obecnie zaś jej przydzieloną do posług. Codziennie rano Magdalena szła do domu Gamala po żywność dla swojej pani oraz dla siebie, codziennie po południu odbywały razem spacerunki po podziemiach i odwiedzały niewolników, starając się w miarę możliwości ulżyć im ciężkiej doli.

— Skoro Włosi wkroczą do Addis Abeby, wy wszyscy odzyskacie wolność i będziecie mogli powrócić tam, skąd was porwano.

Te zapewnienia Madelon początkowo wywoływały szaloną radość, a po kilku tygodniach już tylko uśmiech gorzkości. Nie brakło śmielszych, którzy *dobrej białej woizeru* wygarnęli prawdę prosto w oczy. Że swój straszny los zawdzięczają braciom Er-Durusz, najwierniejszym sojusznikom Włoch. Że od sierpnia następcą okrutnego Ibrahima jest oficer włoski, pomimo to jednak nie zmieniło się tutaj nic. Że sądząc po wieściach z placu boju, które im *biała woizeru* tu przynosi, wojska włoskie w ciągu trzech miesięcy wojny posunęły się naprzód o zaledwie 55 kilometrów; gdyby zatem miały nadal postępować w tak żółwym tempie, to... biorąc pod uwagę, że w czasie pory deszczowej wszelkie operacje wojenne muszą ulec przerwie... Włosi zajmą Addis Abebę dopiero za kilka lat.

To uzasadnione wówczas przypuszczenie przeraziło Madelon-Alicję, gdyż ona również musiała przebywać w podziemiach tak długo, dopóki marszałek Badoglio nie zajmie stolicy Etiopii.

— A nie zajmie jej bez mojej pomocy — przechwalał się Mario Medini, który odwiedzał żonę coraz rzadziej.

— Kiedy więc nareszcie dokonasz wyczynu, który rzekomo ma położyć kres tej niepotrzebnej wojnie?

— Kiedy? Skoro do Addis Abeby powróci negus!

Cesarz Haile Selassie do połowy grudnia przebywał w Dessie i podczas ustawicznych bombardowań tego miasta zachowywał się jak bohater. Ani razu nie zszedł do schronu pomimo błagalnych próśb swego otoczenia, lecz sam kierował ogniem jedynej w Dessie baterii dział zenitowych, która zestrzeliła kilka samolotów włoskich i była przedmiotem najzawziętszych ataków z powietrza.

Potem zaś, przekonawszy się, że jego obecność w tej czy innej osadzie ściąga na nią tysiące bomb lotniczych i powoduje śmierć setek niewinnych ludzi, zaczął przenosić się z miejsca na miejsce. Onegdaj zagrzewał do boju żołnierzy rasa Mulughety oblegających z trzech stron Makalle, wczoraj konferował z następcą tronu w Dessie, dzisiaj z patriarchą w Addis Abebie, jutro wylądował w Hararze i konno udał się na inspekcję najdalej wysuniętych oddziałów w Ogadenie. Lotnicy włoscy, wiedząc, że samolot cesarski nie ma żadnych kulomiotów, bardzo odważnie polowali na niego całymi eskadrami, lecz bez szczęścia. Za to na różnych prymitywnych lotniskach Etiopii zniszczyli w sumie ponad sto samolotów, ale z... bawełny. Takie niekosztowne „manekiny” z bawełny na drewnianych szkieletach Abisyńczycy fabrykowali masowo, by ściągnąć na nie bomby, przeznaczone przez „oswobodzicieli” dla ludności cywilnej i dla szpitali.

Faktem było, że w swoich podróżach z frontu północnego na południowy i z powrotem cesarz zatrzymywał się w Addis Abebie przez kilkanaście godzin, ale o tym kapitan Mario Medini stale dowiadywał się dopiero w parę dni po jego wyjeździe. Ponieważ zaś Jonasz Mongosza wytepił wszystkich tubylczych konfidentów wywiadu włoskiego, Mario postanowił nawiązać kontakt z kimś spośród nietykalnych, czyli z korpusu dyplomatycznego. Z kimś, kto był w dobrych stosunkach z posłem angielskim, dla którego cesarz Haile Selassie zawsze znalazł trochę czasu na poufną rozmowę, kiedy incognito zawitał do swojej stolicy.

— Czy Gaston d’Harcourt bywa na przyjęciach u sir Bartona? Madelon-Alicja ochłonawszy ze zdziwienia, jakie u niej wywołało to pytanie, dała odpowiedź twierdzącą.

— Bywa nie tylko na oficjalnych przyjęciach, ale także na bridżu co najmniej dwa razy w tygodniu.

— To dobrze, to bardzo dobrze!

Mario nie ukrywał swojego zadowolenia, nawet raczył uściskać żonę, co nie wydarzało się już dość dawno. Natomiast ona zaniepokoiła się mocno. Od czasu brutalnej sceny zazdrości, jaką jej mąż urządził właśnie z powodu Gastona, jego nazwisko było niejako na małżeńskim indeksie, nie wymieniało się go nigdy. A teraz...

— Co to znaczy?

Dowiedziała się tego dopiero 8 lutego. Po południu tego dnia Mario zapukał do drzwi jej ponurej izby, a pragnąc snadź wynagrodzić żonie to, że nie widziała go od dwóch tygodni, był dla niej niezwykle czuły. Roztkliwiał się nad ich obecnym losem, wzdychał, aby wojna zakończyła się jak najrychlej, po czym zaznaczył z naciskiem, że zależy to w dużej mierze od niej, od Madelon.

— Ode mnie?! Mario najdroższy, czyś ty dzisiaj znowu nie wypił za wiele? Jakiż ja, słaba kobieta uwięziona tutaj, mogę mieć wpływ na wypadki, wobec których bezsilna jest Liga Narodów reprezentująca nieomal cały świat?!

— Niby racja, jednakże ja nie cofnę tego, co powiedziałem. I powtarzam, że od ciebie zależy to, kiedy będziemy mogli odjechać stąd bezpiecznie do Włoch i żyć w szczęściu, jak dawniej.

— Och, Mario, by kupić to szczęście, jestem gotowa....

— Na wszystko — podpowiedział jej skwapliwie.

— ...gotowa do wszelkich poświęceń i trudów.
— Twój trud byłby niewielki. Chodzi mi tylko o to, bym wiedział na pewno, kiedy negus znowu zawita do Addis Abeby?

— Dlaczego?

— Bo chcę go wyekspediować na łono Abrahama, co automatycznie zakończy wojnę, gdyż wieść o jego śmierci wytrąci broń z ręki wszystkim Abisyńczykom... I nie lituj się nad nim. Niechaj lepiej zginie jeden człowiek, niż aby ginęły dziesiątki tysięcy ludzi po obydwóch stronach.

— Biedny negus — westchnęła. — A czy zamach na jego życie nie będzie połączony z niebezpieczeństwem dla ciebie?

— Ani trochę. Podkop jest gotowy, mina założona. Wystarczy mi nacisnąć guziczek, aby nowy pawilon cesarski wyleciał w powietrze. Lecz sęk w tym, że nie powinien wylecieć w powietrze bez swojego mieszkańca! Krótko mówiąc, musisz zdobyć pewną wiadomość, kiedy negus...

— Ale gdzie ją zdobyć? Od kogo?

— Od kogo? Powiedzmy, od Gastona d'Harcourta. Tyle dawniej informacji wyciągałaś od niego, wyciągnij jeszcze tę jedną, najcenniejszą.

Zaczął pouczać żonę, jak ma postępować, aby ani Gaston, ani poseł angielski nie domyślili się, komu i na co potrzebna jest data najbliższego przyjazdu negusa do stolicy. Nie powinna więc poruszać tego tematu od razu podczas pierwszej wizyty u Gastona, by nie wzbudzić jego podejrzeń. Natomiast powinna odnowić dawne przyjazne stosunki z nim, odwiedzać go chociażby codziennie i...

— Przecież za dnia nie mogę stąd wychodzić — wtrąciła, patrząc przenikliwie na męża, który dziś stale unikał spotkania z jej wzrokiem.

— Oczywiście, że nie! Nigdy bym na to nie pozwolił, abyś narażała swe życie! — zawołał z emfazą. — Możesz odwiedzać go tylko wieczorami. Moi ludzie będą towarzyszyli ci w drodze jako straż bezpieczeństwa i zaczekają koło willi zawsze, dopóki stamtąd nie wyjdiesz.

— Czy mówisz poważnie, czy też jest to preludium do nowej sceny zazdrości? A może nagle zapomniałaś, że Gaston był ongiś moim kochankiem i marzy wciąż o tym, abym wróciła do niego?!

— Nie zapomniałem, ale mam do ciebie nieograniczone zaufanie.

— I słusznie. Lecz gdyby Gaston chciał wykorzystać moje obecne położenie i... wziąć mnie siłą?!

— Czy cię to z jego strony spotykało bardzo często?

— Nigdy! Jak śmiesz! — oburzyła się.

— Skoro nigdy, to miejmy nadzieję, iż Gaston nadal pozostał gentlemanem, jakim podobno był zawsze. Zresztą, czyż nie powiedziałaś sama, że dla dobra naszej sprawy jesteś gotowa do wszelkich poświęceń?

Madelon bardzo długo nie mogła przyjść do siebie po tej rozmowie. Dawno już zauważyła, że wojna wywarła demoralizujący wpływ na jej męża, lecz cały ogrom deprawacji jego charakteru poznała dopiero dzisiaj. Przecież ten jej ubóstwiany Mario zachęcał ją niedwuznacznie do nawiązania romansu z Gastonem d'Harcourtem, byle za tę cenę zdobyć ważną dla siebie wiadomość! I czy tylko zachęcał? Czyż nie zmuszał jej wręcz do tego groźbami, jakimi ją pożegnał zirytowany, że nie chciała pójść do Gastona już tej nocy?!

Tej nocy Madelon nie zmrużyła oka, nad ranem zaś udała się do domu Abdula Gamala, by zakomunikować mężowi odmowną odpowiedź na jego ultimatum. Z pewnych względów wolała to uczynić osobiście niż przez Magdalenę. Nie obudziła jej, nie lękała się dzisiaj iść

labiryntem sama, gdyż zdecydowała się popełnić samobójstwo, gdyby Mario chciał urzeczywistnić swe pogroźki.

Główny ganek, którym szła, świecąc sobie latarką, ciągnął się prosto jak strzełił ponad kilometr, po czym skręcał w prawo. Za zakrętem ujrzała dobrze znaną pieczarę, której obydwie końce ginęły w nieprzebytych ciemnościach. Ganek przecinał ją pod kątem prostym z pomocą drewnianego mostu, pochyłego, gdyż drugi wylot ganku znajdował się o kilka metrów niżej niż ten, w którym przystanęła na chwilę. Na dnie pieczary ryczał górski strumień podziemny, jakich w Etiopii są tysiące. On właśnie wyłobił sobie to koryto, wąskie, lecz bardzo snadź głębokie, skoro światło silnej lampy elektrycznej zawieszanej nad mostkiem, nie docierało do strugi wodnej. Dawniej, za czasów Ibrahima Er-Durusz posługiwano się tutaj lampami acetylenowymi; Mario Medini wyposażył labirynt w instalację elektryczną.

— Może za godzinę skoczę stąd w przepaść — pomyślała Madelon, mijając mostek dość stromo opadający na drugą stronę.

Po drugiej stronie pieczary ganek posiadał kilka rozgałęzień. Jedno z nich było sławnym podkopem pod pałac cesarski, inne wiodło do strasznych kazamat, w których na noc zamykano niewolników ongiś Ibrahima, dzisiaj jego następcy, kapitana Mediny. A główny ganek liczył tu zaledwie sto kroków długości i kończył się drewnianymi schodkami spiralnie biegnącymi w górę. Po drodze przechodziło się obok głębokiej niszy, która wszystkich napawała uzasadnionym lękiem. Nisza ta była początkiem bocznego korytarza, którego kopanie przerwano, gdyż stwierdzono tam obecność potężnej żyły wody. Co prędzej wzmocniono zagrożoną ścianę betonem, ale równocześnie założono pod nią minę.

— Dzięki niej — mawiał Mario Medini do żony, mogę w razie potrzeby zatopić niemal całe podziemia.

A dzisiaj, mijając wylot owej niszy, Madelon posłyszała bolesny jęk. Skierowawszy w tę stronę światło swojej latarki, spostrzegła na tle betonowej ściany szczupłą sylwetkę ludzką wyprężoną tak, jak gdyby wisiała. Powieszono istotnie tę młodą kobietę za ręce w ten sposób, że dotykała ziemi tylko czubkami palców u nóg. Tortura ta, dawniej często stosowana w niektórych armiach europejskich, jest ogromnie bolesna dla delikwenta, lecz nie powoduje jego śmierci.

— Może to mój ostatni dobry uczynek w tym życiu — pomyślała Madelon, przecinając sznur, na którym zawieszono tamtą.

Była to tubylka zbudowana cudnie jak Gallanki, a przystojna jak Amharyci, których urody przykładem jest cesarz Haile Selassie. Kiedy odsapnęła po swojej przykłej przygodzie, pochwyciła stojącą na ziemi latarkę i skierowała jej światło na twarz swojej wybawicielki.

— Olga Atherton?! — krzyknęła.

Jeszcze bardziej zdziwiła się Madelon.

— Olga, to moja młodsza siostra — rzekła. — Gdzie ona jest obecnie? Skąd ją znasz? I kim ty jesteś?

— Na imię mi Taitu. Teraz uciekajmy, szkoda każdej chwili. Po drodze opowiem, gdzie spotkałem Olę Atherton.

Madelon, chociaż noc spędziła w łóżku, a nie tak, jak ta tubylka, z trudem mogła za nią nadążyć. Taitu orientowała się tu świetnie. Dotarwszy do szczytu spiralnych schodów, wsunęła nóż w jakąś szparę, wypchnęła nim kołeczek ze skobla znajdującego się po drugiej stronie pokrywy, dźwignęła ją i pierwsza wkroczyła do magazynu sklepu kolonialnego Abdula Gamala. Stąd dostały się na galerijkę, obiegającą dokoła ten duży skład zawalony towarami.

— Za czasów Ibrahima nie można było szwendać się tutaj tak swobodnie jak dzisiaj — rzekła Taitu, odmykając jakąś okiennicę, po czym spojrzała na swoją towarzyszkę krytycznie. — Czy ty potrafisz skakać z drzewa na drzewo? Bo jeśli nie, to lepiej zaczekaj, aż sprowadzę tu

swoich.

Powiedziawszy to, stanęła na parapecie okna i stamtąd dała wspaniałego susa na konar nieopodal rosnącego eukaliptusa. Madelon poniewczasie zrozumiała, że powinna była temu przeszkodzić, że Taitu może im ściągnąć tu na kark wcale niepożądanych gości. A Taitu z małpią zręcznością, przerzucała się z jednego drzewa na drugie, dążąc w stronę ogrodzenia. Madelon, patrząc za nią przez okno, nagle spostrzegła coś, czego nie widziała od trzech miesięcy i za czym stęskniła się bardzo:

— Słońce! O, jakże niewypowiedzianie piękny wschód słońca!

Długo, długo pasła tym widokiem oczy, które wciąż zachodziły jej łzami. Czarne stado złych myśli przestało ją nękać, zamiar popełnienia samobójstwa wydał się jej nagle bardzo śmieszny, a życie skarbem bezcennym. Po złotym promieniu słońca spłynęła nadzieja, że Mario nie będzie żądał od swojej żony tak olbrzymiej ofiary, że on tylko na próbę chciał ją wystawić, ale kocha ją nadal, jak ongiś w Rzymie.

Na wspomnienie dawnych chwil szczęścia, Madelon ogarnęła wielka tkliwość, a zarazem całkiem zmysłowe pragnienie, by znowu zaznać mężowskich pieszczot, którymi Mario darzył ją obecnie tak rzadko, tak beznamiętnie, jak gdyby odrabiał uprzykrzoną pańszczyznę.

Korytarzykiem wskazanym jej przedtem przez Taitu dostała się do mieszkania, niegdyś zajmowanego przez Ibrahima Er-Durusz, obecnie przez jej męża. Jakże inaczej wyglądało tutaj niżli w jej ponurej budzie! I dlaczego Mario, gdy uskarżała się na wilgoć, nie przyniósł jej choćby jednego kobierca, chociaż miał tu takie mnóstwo perskich dywanów!

— Widać nie przyszło mu to na myśl — usprawiedliwiała go — ma na głowie tyle ważniejszych spraw.

Do jego ważniejszych spraw należało zapewne urządzenie pijatyk, jak świadczyły o tym liczne baterie pustych butelek, na pół wypróżnione kosze owoców i resztki wyszukanych potraw na srebrnych półmiskach z kredensu zmarłego Ibrahima. Takich przysmaków Madelon nie jadła od dawna, więc skosztowała ich teraz z przyjemnością, po czym przeszła do drugiego pokoju, który z powodu rozmiarów zasługiwał na miano sali.

— Co to znaczy?! — wykrztusiła zdumiona, przerażona, zgorziona.

Bowiem tuż za progiem na dywanie spał jakiś brodaty jegomość, trzymając w objęciach ładnego chłopca, tubylca. Drugi taki sam i tak samo roznegliżowany „duet” ujrzała na kanapie, której wysokie oparcie zasłaniało widok na trzecie „stadło”, obozujące na stercie poduszek. Widać było tylko bujną, nieomal papuaską czuprynę włosów czarnych jak skrzydło kruka, zatem tam spał Mario! Czy sam?! Na uginających się nogach Madelon podeszła do kanapy, wychyliła się i zagryzła wargi do krwi. Jej mąż nie zdradzał wprawdzie upodobań ormiańskich, ale za to miał przy sobie aż dwie partnerki, z których starsza wyglądała na jedenaście lat najwyżej.

Kiedy w godzinę później Taitu wróciła tą samą „napowietrzną” drogą do składu Gamala, spostrzegła siedzącą na skrzyni *białą woizeru*, którą przedtem wzięła za Olgę Atherton.

— Już wiem, kim jesteś — rzekła — lecz bądź bez obaw, Alicjo Rendell. Ocaliłeś mi życie, a my, Abisyńczycy spłacamy uczciwie wszelkie długi wdzięczności... Chodź, pomóż mi odnaleźć podkop pod pałac.

Madelon ani nie drgnęła, ale też nie stawiała żadnego oporu, gdy energiczna Taitu zaczęła ją ciągnąć za sobą. Zeszła do podziemi po spiralnych schodach, pozostawiając wieko podniesione i odciągnąwszy przedtem ciężką, żelazną zasuwę przy drzwiach wiodących ze składu do sklepu. Te niepokojące wyczyny tubylki nie wywołały żadnego zainteresowania u Madelon. Zmiażdżona moralnie tym, co widziała w sali, w której odbyła się orgia, zobojętniała na wszystko, pozwalając, by Taitu robiła z nią, co zechce.

A Taitu zaprowadziła ją na most rozpięty nad podziemnym potokiem, sama usiadła obok i

rozłożyła sobie na kolanach kopie mapek, jakie sfotografowała w biurze pułkownika Bossio na kilka godzin przed swoją ucieczką z Asmary. Spoczywały one dotychczas w biurku Jonasza Mongoszy, który nieraz głowił się nad nimi, usiłując odgadnąć, dlaczego Włosi na planie miasta Addis Abeby wyrysowali takie nieregularne linie i strzałki, i krzyżyki obok niektórych gmachów. Wczoraj dopiero Taitu zrozumiała ich znaczenie, gdy schwytana w mieszkaniu Maria Medini została z jego rozkazu uwięziona w podziemiach.

— To są podkopy! — oznajmiła przed niespełną godziną Jonaszowi, który teraz już odgadł łatwo, jaki jest cel tych podkopów.

— Pozakładali lub zakładają miny. Musisz natychmiast powrócić tam i pilnować, aby nie zdążyli wysadzić czegoś w powietrze, zanim ja z moimi otoczę dom Gamala i wedrę się do niego.

Nie zdołał jednak wdrzeć się bez hałasu. Dzwonki alarmowe zbudziły kapitana Mediniego, który co tchu popędził do podziemi, nie troszcząc się o swoich towarzyszy zabawy, ani o kochanki. Na widok otwartego wieka zdrętwiał z przestachu, lecz niemal równocześnie posłyszał za drewnianą ścianą łoskot spadających żaluzji. Oznaczało to, że agenci Jonasza już wtargnęli do sklepu, że za chwilę wpadną tutaj!

I wpadli w momencie, kiedy zatrasnął za sobą wieko.

— Tam! Tamtędy wiedzie droga do podziemi! — krzyknął piskliwie Jonasz, który jednym swoim okiem umiał dostrzec więcej, niż każdy z jego pomocników dwoma. — Dziesięciu za mną! Reszta obsadzić dom...

Dźwięk dzwonek alarmowych skłonił do odwrotu Taitu, która już dość daleko zapuściła się w boczny podkop wiodący w stronę pałacu cesarskiego. Powróciwszy na skrzyżowanie ganków, wysunęła głowę i ujrzała nadbiegającego człowieka. To był kapitan Medini. Wyjęła rewolwer, ale nie wypaliła. Wyręczył ją w tym Jonasz, który właśnie zbiegł po schodach i zaczął ostrzeliwać uciekającego Włocha, lecz bez skutku na razie. Mario krył się znakomicie za wypukłościami ścian głównego ganku i szczęśliwie dotarł do zamaskowanej szafeczki, której Taitu przedtem szukała na próżno.

— Tam są kontakty elektryczne! — domyśliła się teraz. — Nie mogę dopuścić do tego, by wysadził w powietrze pałac.

Wymierzyła w nogi, strzeliła raz, Mario Medini osunął się na kolana, przedtem jednak zdążył włączyć prąd oraz nacisnąć taster jednej miny. Przy jej wybuchu zadygotały podziemia i potężny łoskot eksplozji zadudnił w nich jak grom. A kiedy przebrzmiał, gdzieś w pobliżu spiralnych schodów wiodących do domu Gamala rozległy się przeraźliwe krzyki ludzi Jonasza, których nagle ogarnęła woda.

Taitu, kierując się nieomylnym instynktem, wyskoczyła ze swej kryjówki, pobiegła do mostu. Gdyby nie to, byłby ją był spotkał los niewolników już pracujących w nowym podkopie i los ich dozorców i grubej Magdaleny, która interpelowała ich właśnie, czy nie widzieli dziś jej *białej woizeru*. Bowiem rwący strumień, który wytrysnął po rozsadzeniu betonowej ściany przez minę, zaczął nasamprzód zalewać wszystkie boczne ganki jako niżej położone niż główny korytarz.

Główny korytarz na piętnastometrowym odcinku pomiędzy mostem, a wejściem do podkopu pod pałac cesarski był suchy... na razie. Tutaj od kilku minut Mario Medini, chociaż raniony w nogę, stawiał zacięty opór Jonaszowi Mongoszy, który usiłował go związać i równocześnie kłął w duchu swoich dziesięciu ludzi, iż nie spieszą mu z pomocą. Nie wiedział, że dwóch z nich utonęło, że pozostali z trudem dobrnęli do spiralnych schodów, nie przypuszczał, że jemu również grozi niebezpieczeństwo ze strony zagadkowej dłań powodzi. Aż nagle stopy zalała mu woda, podnosząc się szybko na wysokość jego kolan.

— Uciekajmy na most! — wrzasnął Mario.

— Już ty mi, bratku nie uciekniesz nigdzie!

— Puść, głupcze, bo utoniemy tu obydwaj!

— Nie puszczę! — odparł zawzięty Jonasz.

Zrozumiał, że Włoch miał słuszość, dopiero wówczas, kiedy prąd zaczął ich znosić ku pieczarze, na której dnie płynął podziemny potok. Ale wtedy było już za późno. Pomimo rozpaczliwych wysiłków zbliżali się nieuchronnie do brzegu przepaści. Ponad nią był rozpięty most, na którym stały dwie kobiety, ich żony, lecz nowy strumień uchodził kaskadą do potoku poniżej zbawczego mostu. Ku jego poręczy wyciągnęły się nagle cztery ręce, o wiele za krótkie, by mogły ją uchwycić. Potem zatrzepotały desperacko w powietrzu i zniknęły w odmętach na zawsze. Niemal równocześnie runęli w przepaść obydwaj godni siebie przeciwnicy, jednooki Jonasz Mongosza i kapitan Mario Medini.

Stało się to na oczach ich żon, których zachowanie się było bardzo różne. Przed katastrofą Madelon nieruchoma jak posąg spoglądała z kamienną obojętnością na męża, który najpierw wpadł w ręce groźnego Jonasza, potem zaś stoczył beznadziejną walkę z żywiołem. Natomiast Taitu, chcąc przyjść z pomocą tonącemu, z narażeniem życia odrywała drąg poręczy, poza którą czaiła się głęboka przepaść. A kiedy wszelki ratunek okazał się daremny, machnęła ręką i głośno zaczęła odmawiać modlitwę za zmarłych. Za to Madelon ocknęła się nagle z apatii, przyskoczyła do swojej towarzyszki szarpnęła ją za ramię.

— To Mario, mój mąż! — krzyknęła. — Pomóż mi go ratować.

Przekonawszy się zaś, że na to już za późno, wpadła w rozpacz i Taitu musiała trzymać ją z całej siły, gdyż byłaby skoczyła w przepaść.

— Dziwno jesteście wy, białe kobiety — mruknęła. — No, ale zmykajmy stąd, bo może nas spotkać to, co naszych mężów.

Jej obawy były uzasadnione. Wypełniwszy wszystkie boczne ganki południowej części labiryntu, cała masa wód spływała w przepaść, w tę głęboką, lecz bardzo wąską szczelinę, którą wyłobił potok. Ale otwór w granitowej skale, jakim potok hen, za Addis Abebą wydostawał się z podziemi na powierzchnię był za mały na taką ilość wody, toteż jej poziom w pieczarze zaczął podnosić się gwałtownie. Groziło to w niedalekiej przyszłości zerwaniem mostu i zalaniem także północnej części labiryntu, czyli długiego korytarza wiodącego do nędznego mieszkania Madelon.

Idąc owym korytarzem, Taitu wypytywała swoją towarzyszkę o wyjście z podziemi. Dawniej było ich trzy, lecz pierwsze z nich, w ogrodzie poselstwa włoskiego, Mario Medini kazał zasypać już dawno, dostęp do drugiego, znajdującego się w domu Gamala zamknęła dziś woda. Wchodziło zatem w grę jedynie trzecie wyjście, to koło placu wyścigowego.

— Ta drabina, widzisz!

Wszedłszy na ową wysoką drabinę, Taitu próbowała oburącz podnieść wieko i stwierdziła, że albo jest zabite gwoździami, albo stoi na nim jakiś bardzo ciężki przedmiot czy mebel. Na próżno też pukała i wołała. Czarownik, którego tukull stał w tym miejscu nie mógł klapy otworzyć z tej prostej racji, że właśnie dzisiejszej nocy... umarł. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, zaczęła nożem dziobać zbite z grubych desek wieko, zamierzając wyciąć w nim taki otwór, aby mogła przezeń wysunąć rękę.

Jak długo trwała ta praca, godzinę, dobę, czy tydzień, Madelon nie umiałaby odpowiedzieć. Usiadłszy na najniższym szczeblu drabiny, znowu zapadła w stan zupełnego odrętwienia, z którego w końcu wyrwało ją dojmujące zimno. Ze zdziwieniem stwierdziła, że siedzi we wodzie, której poziom podnosił się powoli, lecz stale. Nad nią gwizdał ktoś z pasją smętną melodię abisyńską i stukał uparcie, aż wióry sypały się na dół.

— Taitu, woda mnie zalewa!

— Usiądź wyżej.

Co kwadrans Madelon posuwała się wyżej o jeden szczebel, a woda za nią. Tymczasem Taitu, chociaż omdlewały jej ręce, rozszerzała otwór w wieku tak, aby mogła precyzyjnie się przezeń cała. Stwierdziła już bowiem, że stojąc na chwiejącej się drabinie, dłonią nie odsunie ciężkiego łóżka ustawionego na wieku w podłodze tukullu. Wtem nóż wypadł jej z ręki.

— Trzymaj go! — krzyknęła.

Za późno. Zanim Madelon pojęła, o co chodzi, nóż trzonkiem palnął ją w plecy i zatonął. Taitu rozebrała się szybko, wręczyła towarzysze swoją latarkę i skoczyła do wody. Nie wypływała tak długo, że Madelon straciła nadzieję, iż kiedykolwiek zobaczy dzielną tubylkę, lecz Taitu wynurzyła się w końcu, niestety bez noża. I na próżno nurkowała jeszcze kilka razy.

— Za głęboko. Nie mogę dotrzeć do dna.

Otrząsając się jak pudel po kąpieli, wyszła znowu na szczyt drabiny i w świetle latarki obejrzała dokładnie dziurę w wieku. Wydało się jej, że mogłaby zmieścić w niej głowę, skoro zaś przejdzie głowa to i reszta korpusu przejść powinna, jeśli ktoś jest bardzo szczupły.

— Spróbuję wyleźć stąd, a ty pchaj mnie z całej siły.

Były to najgorsze chwile dla nich. Madelon, która już i tak czuła się bardzo niepewnie na drabinie stojącej jak gdyby w głębokiej studni w czterech piątach częściach napełnionej wodą, musiała teraz siedzieć na szczeblu bez trzymania i oburącz windować w górę stopy swojej towarzyszki. Taitu zaś, usiłując wraz z głową precyzyjnie przez otwór jedną ręką, w pewnej chwili utknęła tak, że nie mogła się posunąć ani w górę, ani z powrotem na dół. Wtem jej wyciągnięta dłoń napotkała jakiś pewny punkt oparcia, krawędź łóżka. Naprężyła mięśnie do maksimum, ugięła ramię i podciągnęła się o kilka cali, chociaż każde poruszenie szpikowało jej skórę drzazgami. W końcu, po półgodzinnych wysiłkach, wywindowała się na zewnątrz cała podrapana do krwi i osłabiona tak, że nie mogła powstać, cóż więc dopiero odsunąć ciężkie łożo z nieboszczykiem. A należało je odsunąć, aby podnieść wieko, gdyż przez wycięty w nim otwór Madelon nie precyzyjnie się z pewnością.

— Taitu, woda sięga mi już po pas! — zabrzmiał właśnie jej głos. — Czy chcesz mnie tu pozostawić?!

— Chce... chce mi się dziwnie.... spaaaaać — wymamrotała niewyraźnie Taitu i z wyczerpania zemdlała.

ROZDZIAŁ XXIII

Wielu spośród oficerów włoskich walczących w Abisynii okazało się nie tylko pionierami kultury rzymskiej, ale również siewcami niezrównanego humoru faszystowskiego. Dziś w Europie nie są jeszcze znane ich wszystkie kapitalne dowcipy, wiele z nich z pewnością nigdy nie dojdzie do wiadomości szerokiego ogółu, a więc tym bardziej należy zanotować chociażby kilka znanych już figli, jakie Włosi splatali tubylcom. I tak:

Siedmiu księży uwięzionych w prowincji Scire zamknęli w kościele Debra Baye, który następnie oblali naftą i podpalili.

W górskiej prowincji Semien zdolnych do noszenia broni wieśniaków za ręce poprzybijali gwoździami do pni drzew, aby snadź nie musiały pościć lwy i hieny, które masowo zbiegły się w te góry wypłoszone z dolin ciąglą kanonadą.

W prowincji Tembien stu ludzi rasa Seyuma zewsząd otoczonych zmusił głód do kapitulacji! Ponieważ jeńcy błagali o trochę jedzenia, litościwy oficer włoski kazał ich nakarmić ołowiem, czyli wystrzelać z kulomiotu.

W Hararze spalili Włosi francuską misję katolicką, przy czym omal nie zginął siedemdziesięcioośmioletni biskup, msgr.⁽¹⁾ Jarrousseau.

Wszystkie nieliczne zbiorniki wody, zwłaszcza stawy na tyłach północnej armii etiopskiej zatruli Włosi z pomocą straszliwej trucizny, o czym jeszcze będzie mowa poniżej.

Rzecz prosta, że ofiary tych „kulturalnych” wyczynów w końcu zapragnęły błysnąć podobnym humorem i pewnego razu koło Dora Takle znaleziono zabitych sześćdziesięciu zmilitaryzowanych robotników włoskich, którzy budowali most dla wojska.

A zaledwie przebrzmiało dobrze zapłacone echo świętego oburzenia z powodu tej napaści na cywilów, prasa filowłoska doniosła światu o jeszcze większym barbarzyństwie Etiopczyków: — Używają kul dum-dum!⁽²⁾ — Zapomniano jedynie dodać, że od kilku miesięcy Abisyńczycy na północnym froncie nie mają innej amunicji, jak tylko tę, którą zdobywają na wrogach. Że zatem kule dum-dum, o ile naprawdę były w użyciu, musiały pochodzić z Włoch!

We Włoszech zaś kosztowna, przeciągająca się kampania w Abisynii zdobywała sobie coraz większą... niepopularność. Nic nie pomogły wyreżyserowane przez faszystów objawy patriotyzmu, ani surowy zakaz noszenia żałoby po poległych, których liczbę urzędowe listy strat zmniejszały do absolutnego nonsensu. Nagły brak listów z Afryki od tego czy innego żołnierza był dla jego rodziny najpewniejszą oznaką, że stało się nieszczęście. Ogólne niezadowolenie, choć tłumione żelazną pięścią, wzrastało tak niepokojąco, iż rząd musiał dać do zrozumienia swojemu generalissimusowi:

— Albo nareszcie zaczniesz trochę zwyciężać, albo na twoje miejsce przyślemy trzeciego pana B, wprawdzie Żyda, lecz także marszałka, a zarazem specja od lotnictwa... Więc spiesz się, **drogi** Pietro!

Ale Pietro Badoglio był wodzem bardzo roztropnym. Obejmując stanowisko głównodowodzącego, zażądał posiłków, posiłków i jeszcze raz posiłków. Przez trzy miesiące trzymał się w defensywie, tracąc większość obszarów, które przedtem zdobył de Bono, lecz przez trzy miesiące bez przerw nadchodziły do Erytrei nowe transporty wojsk i materiałów wojennych.

Ogólne koszty kampanii wzrosły do dwunastu miliardów lirów, stąd dwuznacznik: **Drogi Pietro**.

Marszałek Badoglio nie był ryzykantem. Rozpoczynając swoją ofensywę na wzgórze Aladzi, bronione przez 2500 wojowników Mulughety i przez dwa stare moździerze, rzucił do walki aż 7 dywizji piechoty, kilkaset czołgów i tyleż szybkostrzelnych dział. Ale o wyniku bitwy zdecydowało lotnictwo. Samoloty myśliwskie odcięły obrońcom dowóz żywności, samoloty bombardujące zrzuciły na Amba Aladzi kilkadziesiąt wagonów bomb, a gdy po kilku dniach huraganowego ognia głód wytrącił karabiny z rąk niedobitków abisyńskich, siedem dywizji piechoty ruszyło walecznie do szturm na milczące, zrównane z ziemią okopy. I długo, szeroko pisało się potem w Europie o wspaniałym zwycięstwie włoskim pod lub raczej na Amba Aladzi.

Marszałek Badoglio był wodzem mądrym. Dobrze znał swych „Pappenheimerów”⁽³⁾ jeszcze z czasów wojny światowej, kiedy to nie mieli sobie równych w... odwrotach. Etiopczyków zaś poznał tutaj, kiedy mu wydarli Semien, Tembien i Scire. Wiedział już, że najchętniej walczą szablami, gdyż wówczas lotnicy nie bombardują ich, nie chcąc razić swoich. Aby więc lotnictwu przywrócić swobodę działania, sposób prowadzenia bitew ulepszono następująco: W pierwszej linii szły tubylcze pułki erytrejskie. Gdy zwarły się w boju na bagnety, noże, włócznie, szable ze swoimi braćmi abisyńskimi, lotnicy wraz z artylerią otwierali ogień na zmieszaną masę walczących. W pościg za niedobitkami wyruszały bataliony i szwadrony rdzennej armii włoskiej **pilnowane i popędzane** przez dywizje *czarnych koszul*. Dzięki tej genialnej metodzie podpora faszyzmu, *czarne koszule*, nie ponosiły żadnych strat w ludziach, chociaż głównie ich zasługą było to, iż armia nolens volens⁽⁴⁾ szła naprzód. Cóż dziwnego, że nareszcie szła, skoro z tyłu zagrzewano ją do boju tak **gorąco?!**

Marszałek Badoglio, jak przystało dobremu wodzowi, nie gardził podstępem. Gdy po stracie wzgórza Aladzi cesarz Haile Selassie nakazał odwrót w stronę jeziora Asziangi, lotnicy rozrzucili ulotkę, w której dowództwo włoskie **uroczyście zapewniło** żołnierzy abisyńskich, że bombardowani z powietrza już nie będą, gdyż Włosi nie chcą walczyć z nimi, tylko z negusem. I rzeczywiście w ciągu dwóch dni nie spadła ani jedna bomba ze samolotów, a lotnicy przyjaźnie pozdrawiali nieprzyjaciela. Ich akrobatyczne popisy w przestworzach wzbudzały podziw u maszerujących na południe kolumn Etiopczyków, którzy też ani myśleli słuchać rozkazu swoich dowódców, aby ostatni etap drogi odbyć nocą.

Noc przeznaczyli sobie na zasłużony odpoczynek. Spędzili ją w zaroślach porastających całą przestrzeń, jaką przebyli od Amba Aladzi. Dopiero teraz czekał ich przykry marsz przez pustynną wyżynę zupełnie pozbawioną wysokich skał, jaskiń i drzew, dających błogosławiony cień. Wyruszyli o świcie, by przed zachodem słońca dotrzeć do jeziora Asziangi, lecz zaledwie przebyli połowę drogi, w północnej stronie nieba ukazało się 40 wielkich samolotów bombardujących. Abisyńczycy, z natury łatwowierni i święcie wierzący w przyrzeczenie choćby śmiertelnego wroga, powitali dopędzające ich eskadry wesołymi okrzykami, w oczekiwaniu nowych ewolucji powietrznych.

Wtem spod nieba lunęła na zbitą kolumnę ulewa bomb. Ci, którzy nie zginęli od razu, rozpierchli się natychmiast, szukając jakichkolwiek naturalnych schronów. Lecz tych nie było tutaj na lekarstwo i właśnie dlatego Włosi zaatakowali przeciwników dzisiaj, a nie wczoraj lub onegdaj, kiedy droga wiodła wśród wąwozów i zarośli. Potem zaś, gdy bomb i parzącej cieczy zabrakło, eskadry obniżyły lot do maksimum i znowu rozpoczęło się ulubione polowanie na lekko rannych, bardzo zabawnie padających pod ogniem kulomiotów. Z dwunastu batalionów etiopskich, które wraz z żonami towarzyszącymi wojownikom padły ofiarą tego podstępu, tylko sześćset osób dotarło do jeziora Asziangi, gdzie pomysłowy marszałek zgotował im jeszcze straszliwszą zasadzkę.

Ale pomimo wszystkich tych swoich zalet, wojny z negusem nie wygrał sędziwy

marszałek Badoglio, tylko jego pomocnik, młodzieniec zaledwie dziewiętnastoletni, niemniej jednak rokujący jak najlepsze nadzieje na przyszłość dla całego świata. I chociaż ten nowy Napoleon jest wzorem skromności, chociaż nic lubi, by o nim pisano czy mówiono, chociaż swoje druzgocące zwycięstwa przypisuje wodzom, którym służy, trzeba koniecznie przedstawić tu pokrótce jego chwalebny życiorys i rysopis:

Rok urodzenia: 1917.

Miejsce: W Niemczech.

Narodowość: Już kosmopolita.

Wzrost: Olbrzymi.

Twarz: Żółtawa, ohydna.

Oczy: Jak śmierć.

Znaki szczególne: Cuchnie musztardą.

Zalety: Dusi, parzy, żre.

Zawód: Dostawca trupów.

Ojciec: Chemik nieznanany, wariat.

Matka: Zbrodnicza myśl ludzka.

Imię i nazwisko: Siarczek chloroetylowy.

*Pseudonim literacki: **Iperyt.***

Tak, tak, tak, po trzykroć, podboju Abisynii dokonał straszliwy iperyt. Stosowano go na południowym froncie od początku wojny, lecz tylko sporadycznie, gdyż de Bono, znając bezwzględność Grazianiego, przydzielił mu małe ilości gazów bojowych. Ale „miękki, nieudolny” de Bono został odwołany co prędzej, na jego miejsce przyszedł „prawdziwy żołnierz” Badoglio.

Przyszedł i zafrasował się wielce. W miarę jak uprawiający partyzantkę ras Seyum porwał mu wciąż nowe transporty broni, zwiększała się liczebność armii negusa. Zasiłał ją nie tylko głąb kraju, ale przede wszystkim ludność już podbitych obszarów, oburzona gwałtami najeźdźców, oraz erytrejscy askarysi, którzy zrozumieli, że skazano ich na śmierć, że mają swoim Włoskim panom służyć za tarczę, więc masowo dezercerowali do pobratymców. W ciągu trzech miesięcy ilość walczących Abisyńczyków wzrosła z 90.000 do 170.000! Wprawdzie różnicę tę wyrównywały z nadwyżką świeżo sprowadzone posiłki z Włoch, ale wyrównywały ją tylko cyfrowo. Bo, co tu owijać w bawełnę, jeden Abisyńczyk starczy za czterech Włochów lub za pięciu!

W tej ciężkiej opresji marszałek Badoglio przypomniał sobie iperyt. Zaczęto go obficie stosować w pociskach artyleryjskich i w bombach lotniczych, okazało się to jednak za mało skuteczne. Potem spróbowano rozpylaczy, czyli rozpryskiwaczy. Są to duże zbiorniki wmontowane w kadłub samolotu i mogące pomieścić 500 kilogramów cieczy bojowej. Zbiornik taki wypróżnia się przez otworzenie kurka, a strumień iperytu rozpada się w powietrzu na krople, kropelki, które zraszają wszystko. Według teoretycznych obliczeń, jeden samolot niosący 2.000 kilo iperytu może zatruć nim pięćdziesiąt do sześćdziesięciu hektarów gruntu. W praktyce zaś... Ba, ale praktyki w tym dobroczynnym kierunku nikt nie miał dotychczas, Abisyńczykom przypadła więc rola doświadczalnych królików, a wynik polewania ich iperytem przeszedł najśmielsze marzenia. włoskich „tragarzy kultury”! I tak:

Spośród 30.000 żołnierzy rasów Imru i Ayyelu, którzy odebrali Włochom prowincję Scire, zginęło od iperytu z górą 20.000. Z niewiele mniejszego korpusu rasa Seyuma ocalało tylko kilkudziesięciu ludzi, resztę wymordował iperyt nad rzeką Takkaze. Również dzięki

iperytowi wytępiłi Włosi doszczętnie hufce rasów Kassy i Mulughety, liczące w sumie 38.000 ludzi. W końcu jedynym ich przeciwnikiem na północnym froncie pozostał cesarz ze swoją gwardią. Ten dziesięcioletni korpusik był wprawdzie wyszkolony przez europejskich instruktorów, posiadał nawet kulomioty, lecz nie miał ani masek gazowych, ani butów, ani hełmów, a poprzez bawełniane mundury iperyt przenikał bez trudu do ciała i parzył potwornie. Nad brzegami jeziora Asziangi, którego wodę Włosi również zatruli iperytem, co przypląciły życiem tysiące ludzi, mułów i wielbłądów, gwardię negusa rozbił w puch... kto! Marszałek Badoglio? Kłamstwo! Zwyciężył znowu iperyt!

W pierwszych tygodniach wojny zarówno korespondentów pism zagranicznych, jak i samych Włochów, wprawiała w osłupienie szaleńcza brawura Etiopczyków. Bo gniazda trajkocących wściekle kulomiotów zdobywali gołymi dłońmi! Bo, nie mając nożyc, przerywali zasieki z drutów kolczastych własnymi ciałami! Bo w biegu wskakiwali na pędzące czołgi! I jeździli tak, czekając, aż zamkniętych wewnątrz żołnierzy upał skłoni do zaczerpnięcia powietrza, po czym zmuszali ich do przeprowadzenia czołgów na swoją stronę!

Wszystkie te dowody bezprzykładnej odwagi nie zdały się na nic, kiedy do głosu przyszedł iperyt. Iperyty, który jako gaz powoduje kaszel podobny do szczekania, utratę głosu, zapalenie płuc, mdłości, wymioty, krwawą biegunkę. Iperyty, który jako ciecz wyżera oczy i pokrywa ciało ohydny wrzodami. Iperyty, który tak podstępnie naśladuje rosę na liściach, na trawie i w ocienionych miejscach nie traci swej napastliwości do trzech tygodni. Iperyty, który przenika wszelką zwyczajną odzież oraz grube skórzane podeszwy butów. Iperyty, który przywaruje zdradziecko, a rani ciało dopiero w kilka godzin po skażeniu, czasem nawet po upływie doby, kiedy jego ofiara jest pewna, że uniknęła niebezpieczeństwa lub nic o nim nie wie.

Taki to straszliwy kat tworzył przednią straż Włochów podczas ofensywy Badogli. Tysiące dzielnych Abisyńczyków, aby skrócić swoje potworne męczarnie, popełniło samobójstwo. Dziesiątki tysięcy oślepionych kobiet i dzieci ogarniętych obłędem przerażeniem, spadły w przepaść lub popędziły w dżungle, gdzie padły ofiarą dzikich zwierząt. Zwierzęta zaś domowe także zakosztowały parzącego deszczu i gwałtownie zaczęła się wśród nich szerzyć wścieklizna, zagrażając znękanym tubylcom nowym niebezpieczeństwem.

Według pobieżnych obliczeń, Włosi spalili w Abisynii ponad 300 wsi i miasteczek, tyleż kościołów chrześcijańskich z bibliotekami pełnymi pergaminowych manuskryptów pisanych w liturgicznym języku gyyz, które już choćby z powodu matuzalowego wieku stanowiły bezcenny skarb. W zamian za to przysporzyli podbitemu krajowi blisko 300.000 grobów, 45.000 ślepców i pół miliona innych kalek. Jak na początek misji cywilizacyjnej to wcale nieźle i faszyzm ma prawo być dumny ze swojego dzieła.

A kiedy w trzy tygodnie po dwukrotnej rzezi tubylców nad jeziorem Asziangi obeschły ostatnie krople iperytowych deszczów, kiedy z łąk, drzew, krzaków, ścieżek wyparowały resztki chemicznych trucizn, marszałek Badoglio mógł kontynuować marsz ostrożnie przerywany, mógł zająć Dessie, główną kwaterę negusa i jego stolicę, Addis Abebę. Bez wystrzału! Nie było już obróńców, droga do serca kraju najwaleczniejszych w świecie wojowników stała otworem. Sprawił ten cud: IPERYT-ZWYCIĘZCA.

(1) msgr.; monsignore (wł.) – tytuł wyższych duchownych na dworze papieskim.

(2) dum-dum (ang.) – pocisk karabinowy z wprasowaną spłonką z rtęcią piorunującą, która powodowała wybuch w ciele; później także pocisk z obciętą lub rozciętą przednią częścią powodującą rany szarpane.

⁽³⁾ znam swoich Pappenheimerów (niem.: *ich kenne meine Pappenheimer*) – przen., żart., iron. znam swoich ludzi, wiem, ile są warci i czego się można po nich spodziewać.

⁽⁴⁾ nolens volens (łac.) – chcąc nie chcąc.

ROZDZIAŁ XXIV

Idąc za radami Anglików, cesarz Haile Sellasie wraz z całą rodziną opuścił kraj. Na wyjeździe podarował ludowi kosztowne urządzenie swoich pałaców.

— Co w nich znajdziecie, podzielcie między siebie, by nic nie wpadło w ręce chciwych Włochów, którzy spodziewają się tutaj Bóg wie jakich skarbów — powiedział i życzenie to spełniono.

Wraz z cesarzem udali się na wygnanie sędziwy ras Kassa i dzielny ras Nasibu, który, mając tylko 40.000 nędznie uzbrojonych wojowników, przez siedem miesięcy stawiał skuteczny opór pięć razy liczniejszej, świetnie wyekwipowanej armii Grazianiego i żadnej z jego zmotoryzowanych kolumn nie pozwolił przerwać frontu szerokiego na 1000 kilometrów!

A podczas gdy cesarz ze świętą pojechał budzić sumienie spodłałego świata, w stolicy Abisynii zapanował chaos. Jej mieszkańców na widok ofiar iperytu wciąż napływających z północy ogarnął gniew, którego ostrze w takim podnieceniu umysłów łatwo było skierować przeciwko wszystkim Europejczykom. Wśród wzburzonych tłumów pojawili się agenci-prowokatorzy, którzy w nocy spalili pałace cesarskie.

— Wyciąć w pień Białych! — ryczeli. — Podpalić poselstwa!

Poselstwa już przedtem zamieniły się w małe fortece. Odparły atak obalamuconego pospólstwa, które wyładowało swoją wściekłość w demolowaniu sklepów ormiańskich i greckich. Prowokatorzy robili, co mogli, byle stworzyć pretekst dla późniejszych represji. I stworzyli.

W wtorek 5 maja o piątej po południu pierwsze oddziały włoskie wkroczyły do Addis Abeby i jeszcze tego samego dnia zaczęło się masowe rozstrzeliwanie *mętów społecznych*. Dlaczego wliczono do nich np. dyrygenta nadwornej kapeli negusa i jego dworzan, i oficerów gwardii, którzy oddali zwycięzcom swoje szpady, i miejscowych policjantów, to już pozostanie na zawsze tajemnicą „oswobodzicieli”. Faktem jest tylko, że rozstrzeliwano dzień w dzień po pięćdziesięciu tubylców, wprawdzie rozbrojonych, ale zdolnych do noszenia broni. Ponieważ zaś w końcu oburzyło to zagranicznych dziennikarzy i misjonarzy, i lekarzy z różnych ambulansów Czerwonego Krzyża, wszystkich tych *bezczylnych intruzów* władze włoskie kolejno wydalily z Abisynii. Tylko dwoje *uciązliwych cudzoziemców* nie wykonało rozkazu wyjazdu: świątobliwy starszy biskup Jarrousseau i młoda, ekscentryczna Angielka, Olga Atherton.

— Wyjadę wtedy, gdy ja to uznam za stosowne — powiedziała Olga do Madelon, odprowadzając ją na dworzec. — Nie pozwolę na to, by mi wydawał rozkazy pierwszy lepszy lazzarone⁽¹⁾, który w cywilu utrzymuje się z naciągania turystów czy z żebraniny! Gardzę tą hołotą!

— Ma pani rację, lecz proszę mówić ciszej — odezwał się opiekun i wielbiciel jej siostry, Gaston d'Harcourt. — Po tym, co tu widziałem, straciłem resztki szacunku dla faszystów — dodał zniżonym głosem. — Jestem bezgranicznie szczęśliwy, iż po urlopie nie wrócę już na tę placówkę. Zamieszkamy z Madelon w Paryżu. Sądzę, że pani odwiedzi nas tam niebawem.

— Niebawem jak niebawem. Mam pewne plany...

Ścisłe biorąc, autorem tych planów był John Gliwa, zamerykanizowany Polak,

wicekonsul USA w Addis Abebie, a sam plan „jako taki” polegał na propozycji, by Olga zmieniła swój stan cywilny i zamiast *miss Atherton* zwała się *mistress Gliwa*.

— Wahałam się z początku. Bądź co bądź mówiłam z Johnem zaledwie trzy razy w życiu, to trochę za mało, by zaryzykować małżeństwo — opowiadała z humorem siostrze i Gastonowi.

— Aż wczoraj zdecydowałam się wyjść za mąż jak najprędzej, byle zrobić na złość Włochom. Niech no później spróbują wydalić stąd żonę wicekonsula, ci brudni metecy⁽²⁾!

— Wicekonsula?! O jakim Johnie pani mówi? Jego nazwisko?

— Gliwa.

— Przecież to mój najlepszy przyjaciel — krzyknął Gaston.

— Tym lepiej. Świetnie się składa, gdy dwóch przyjaciół zamierza poślubić dwie siostry, choćby nierodzone, jak my dwie.

Gaston mrugnął na Olgę, by na razie pozostawiła ten temat w spokoju przez wzgląd na żalobę i stan nerwów siostry, lecz Madelon na szczęście nie słyszała jej słów. Wciąż zamyślona, milcząca żegnała wzrokiem miasto eukaliptusów, w którym

przyszło jej tyle wycierpieć i tyle najpiękniejszych złudzeń pogrzebać na zawsze.

Po odejściu pociągu przepelnionego wydalonymi cudzoziemcami Olga wsiadła do taksówki i kazała się wieźć do poselstwa amerykańskiego, musiała więc przeciąć od południa na północ, ale trochę na ukos, całą Addis Abebę. Po drodze ścigały ją zaczepne spojrzenia oficerów włoskich, panoszących się butnie na cudzych śmieciach. Jeden z nich na pryncypalnej ulicy rasa Makonnena, urządził sobie coś w rodzaju polowania na bezpańskiego psa, zmuszając przechodniów do wzięcia udziału w obławie. W końcu osaczono zewsząd biednego pudła, który na znak kapitulacji przewrócił się na grzbiet i pocieszenie wyciągnął łapki w górę. Ku zdziwieniu tubylców nawykłych do różnych wybryków „oswobodzicieli” oficer nie wyrządził psu żadnej krzywdy, przeciwnie zaczął go czule głaskać.

— Nero, nie poznałeś mnie, głupi kundlu? — dziwił się.

Oficerem tym był porucznik Giovanni Delsanto, przyjaciel kapitana-pilota Campiuchiego, do którego pudel ongiś należał. Campiuchi po swym odlocie z Dalilą Borez nigdy nie powrócił do Asmary, czyli albo zginął, albo dostał się do niewoli. Skoro zaś jego pies odnalazł się tutaj, to...

— Może zaprowadzi mnie do ludzi, którzy wiedzą, co stało się z Campiuchim... Już ja tam wycisnę z nich prawdę swoją metodą!

Tak rozumując, Giovanni Delsanto kazał odnieść pudła do sklepu, w którym mógł nabyć obrozę i smycz.

— Jesteś mi już niepotrzebny — rzekł do askarysa, któremu przedtem kazał nieść psa. — Tu masz pół lira za fatygę.

Wyszędłszy ze sklepu, askarys rzucił tę monetę pierwszemu spotkanemu żebrakowi i popędził w stronę placu Amida. Tam w pewnej gospodzie miał spotkać się z ojcem swoim, który go wczoraj poczęstował bardzo kłopotliwą misją:

— Salomonie, synu mój, wiesz chyba, że w naszym rodzie obowiązuje zasada lewiratu. Poddając się jej, musiałem ongiś poślubić żonę mego zmarłego brata, a Jonaszowego ojca. Ponieważ zaś teraz zmarł Jonasz, więc ty, jako najstarszy z jego stryjecznych braci, musisz ożenić się z wdową po nim...

— Jak to, Jonasz był żonaty, chociaż kastrat?!!

— Ano był i tylko świętym Pańskim wiadomo, po kiego licha wziął sobie babę na kark, skoro nie mógł mieć z niej pożytku.

— I dlatego ja mam teraz cierpieć!!

— Cierpieć nie musisz. Jeśli ci niewiasta nie przypadnie do gustu, możesz ją zaraz

odesłać do naszych posiadłości. Lecz poślubić ją i utrzymywać musisz, syneczku, bo tak każą nasze obyczaje.

— Ano, skoro każą... Rozkaz, to rozkaz — odparł Salomon. — Nędzy przy mnie nie zazna ta baba, lecz żyć z nią nie będę, ani z żadną inną. Żadna już nie zastąpi mi tej, którą zabito...

Trudno więc opisać bezgraniczną radość Salomona Mongoszy, kiedy dziś ojciec zaprowadził go do wdowy po Jonaszu i kiedy okazało się, że to jest właśnie Taitu, którą Salomon od roku uważał za zmarłą. Taitu zaś aż popłakała się ze szczęścia. Bo także nie wierzyła w to, iż kiedykolwiek spotka ukochanego. Pół roku temu, tuż przed swą ucieczką z Asmary, ujrzała go przelotnie, potem wszelki słuch po nim zaginał, nawet wszytkowiedzący Jonasz nie wiedział, czy jego brat jeszcze żyje.

Stary Józef Mongosza, nie chcąc przeszkadzać zakochanym, wyszedł po tedz, niezbędny dla obłania tej uroczystości i zabrał ze sobą małego Jafeta, biadającego, że pudel Nero, jego ulubieniec gdzieś zaginał. Pozostawszy sam na sam z narzeczonym, Taitu, jak gdyby chciała usprawiedliwić się przed nim, że nie jest dziewicą, chociaż narzucony jej mąż Jonasz był kastratem, zaczęła opowiadać o swojej strasznej przygodzie z eks-cesarzem etiopskim, Lidzem Jassu, dzisiaj już nie żyjącym.

Lidz Jassu zmarł według Abisyńczyków na gruźlicę, Włosi natomiast twierdzą, że otruto go z rozkazu negusa, który przecież mógł być zgładzić go już dawno, gdyby chciał, lecz nie uczynił tego i przez dziewiętnaście lat otaczał swojego więźnia opieką, zbytkiem, wygodami, o jakich nie śniło się więźniom politycznym w pono kulturalnej Europie.

Faktem jest, że Lidz zmarł i że co do powodów jego zgonu trudno dziś dociec prawdy. Ale faktem jest również, że nikt nie mija się z prawdą tak chętnie, jak właśnie faszyci. Bo na przykład według ich komunikatów, ras Seyum zginął od bomby 18 listopada 1935, negus w grudniu, ras Nasibu został zamordowany przez własnych żołnierzy 11 listopada 1935 r., ras Kassa popełnił samobójstwo 1 marca 1936 r., a następca z tronu spadł z samolotem i umarł z ran w szpitalu w Choa. Tymczasem wszyscy ci dostojnicy, uśmierceni przez załganą propagandę włoską, żyją dotychczas i podróżują po Europie, za wyjątkiem rasa Seyuma, który pozostał w Abisynii, podobnie jak rasowie Imru i Ayyelu.

Salomon Mongosza przerwał niedokończoną spowiedź swej *małej dziewczynki*. (Wolał ją tak nazywać, niżli bratową.) Oświadczył, że nie jest zazdrosny o zmarłych, ale nie ścierpiałby tego, co się stało, gdyby jej kochanek żył. Na takie dictum Taitu zrobiło się bardzo gorąco. Nie miała już teraz odwagi wyznać, że oprócz Lidza Jassu, należała do Giovanniego Delsanto, do Włocha! Była więc podwójnie zadowolona z tego, że Salomon, uprzykrzywszy sobie rozmowę, upomniał się o trochę pieszczot...

— Nie próżnowaliście tu, widzę — rzekł wesoło Józef Mongosza, kiedy powrócił z okazałym gąsiorem tedzu.

Przyproceedził ze sobą poznanego w gospodzie inwalidę, który tam nazbyt śmiało pomstował na Włochów. Zapraszającym gestem otworzył przed nim drzwi na oścież i kaleka ujrzał w głębi izby Salomona w mundurze askarysa.

— Głodnym jest — rzekł okropnie zachrypłym głosem — lecz wołę zdechnąć, aniżeli wejść w dom, który gości włoskiego parobka!

— Wejdz, bracie — prosił Salomon, ujęty odwagą przybysza. — I wiedz, że gdyby wszyscy askarysi robili to, co ja, nie byłoby Włochów ani w Abisynii, ani nawet w Erytrei!

Na dźwięk jego głosu kaleka drgnął, potem wszedł szybko do izby.

— Salomon Mongosza?! — krzyknął zdumiony. — I Dalila?!

Oni zaś nadal spoglądali nań jak na obcego, gdyż stojący przed nimi upiór ani wyglądem,

ani choćby głosem nie przypominał ich wiernego przyjaciela, górala z Tigre, Frumencjusza Uadzira, którym był.

— Te ropiejące dziury na gębie, to z iperytu — wyjaśnił im. — Głos zdarty też z niego i jedno oko mi wyżarł ten diabelski płyn... Usiądę sobie w kącie, inaczej straciecie chęć do jadła, patrząc na mnie.

— Przeciwnie! — ozwała się Taitu. — Chcę na cię patrzeć jak najwięcej, by podsycić mą nienawiść do najeźdźców. Takich jak ty powinien był negus zabrać ze sobą, to może by wzruszył Europę.

— Nie trza nam jej współczucia, sprawiedliwości żądamy! A jeśli nie będzie nam dana, biada światu! — prorokował stary Józef. — Biada mu, jeżeli nie ukarze Włoch, bo ich zły przykład znajdzie naśladowców i...

— Już ich znalazł, ojcie — wtrącił Salomon. — W marcu wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii, za rok, za półtora wkroczą gdzie indziej i co im kto zrobi? Albo kto przeszkodzi koalicji dwóch, trzech mocarstw, spragnionych nowych kolonii, w podboju słabo zaludnionej Ameryki Południowej!! Nikt!! Przez obojętność świata wobec zbrodni Włoch zbiorowe bezpieczeństwo stało się czystą iluzją! Żelazna pięść tryumfuje nad prawem! Każde państwo znów może bezkarnie napaść słabszego sąsiada, zagrabić jego ziemię, wymordować jego ludność i zażądać od innych, by tę zbrodnię uznali za legalną, powołując się na klasyczny przykład Włoch.

— Ależ to w konsekwencji doprowadzi do drugiej wojny światowej, dziesięć razy krwawszej niż pierwsza!

— A tak! Nie sto tysięcy, jak u nas, lecz sto milionów wdów i sierot będzie w Europie przeklinało Włochów jako tych, którzy podłożyli ogień pod gmach pokoju świata! I dwieście milionów kalek...

— Mało! — wtrącił Uadzir zapalczywie. — Ja modłę się co dzień, aby wszyscy Biali, ilu ich jest, poznali na swej skórze, co to iperyt!

— Poznają, na pewno poznają.

— Daj Boże, lecz co nam do Białych, myślmy o sobie.

— O czym tu myśleć, skoro wojna przegrana. Z winy negusa!

— Ojcie, jak możesz!

— Z winy negusa, powtarzam!

Józef Mongosza uzasadniał swoje twierdzenie następująco: Katolicy misjonarze francuscy, których wychowankiem był Haile Selassie zaszczepili mu w duszy zgubny humanitaryzm. Zniósł niewolnictwo, wziął na swe utrzymanie dziesiątki tysięcy wyzwolenców, zamiast przeznaczyć te sumy na zakup armat. Salomona Mongoszę i wielu jego rówieśników wysłał do Europy na swój koszt, każąc im studiować medycynę, podczas gdy powinni byli uczyć się tam fabrykacji iperytu. Pozakładał setki szkół, przytułków, szpitali, zamiast budować twierdze, prochownie i fabryki broni. Sprowadzał książki, zeszyty, mikroskopy, roentgeny, szczepionki, lekarstwa, zamiast samolotów bombowych. Przez to właśnie Etiopia jęczy dziś pod butem brutalnego najeźdźcy. Przez to, że jej władca, szlachetny marzyciel, cywilizując swój kraj, obdarzał go głównie tym, co Biali wynaleźli dla dobra bliźnich, zamiast przyswoić Abisynii te Białych wynalazki, które służą do jak najskuteczniejszego mordowania, oślepienia, kaleczenia ludzi i do niszczenia ich dobytku.

Dawszy w ten sposób upust swemu rozgoryczeniu, Józef Mongosza od spraw publicznych przeszedł do prywatnych. Skoro wojna skończona, trzeba by wrócić do pracy na roli, tym bardziej, że Włosi grożą konfiskatą dóbr, których właściciele zostaną przychwyceni poza obrębem swoich posiadłości. Posiadłości Józefa Mongoszy leżały w północnym Ogadenie,

plantacje kawy zmarłego Jonasza Mongoszy w prowincji Kaffa jeszcze nie zajętej przez najeźdźców i tam właśnie Józef radził odjechać synowi wraz z przyszłą małżonką. Potem zwrócił się do kaleki:

— A ty, przyjacielu, gdzie osiedlić się wolisz, u mnie, w Tanda, czy u Salomona? Jeśli lubisz polować na dzikie bestie, to...

— Lubię. Zwłaszcza na Włochów! — wtrącił Uadzir.

— Te łowy skończyły się już, niestety. Musimy po nich wylizać się z ran, musimy sporo dzieci napłodzić i wychować na dzielnych wojowników, na mścicieli naszej tegorocznej klęski.

— Słusznie, ojcze, słusznie — potakiwał Salomon, patrząc pożądliwie na swoją ukochaną — my dwoje na pewno będziemy o to dbali.

— Dałbym sobie uciąć rękę — odrzekł stary Józef z uśmiechem, — że wyście już zaczęli o to dbać, kiedy wyszedłem po tedź.

Mężczyźni, nie wyłączając małego Jafeta, który właśnie lampę zapalał, wybuchnęli hałaśliwym śmiechem, a zmieszana, zapłoniona Taitu schowała się za plecy Salomona. Józef ponownie napełnił kubki tedżem.

— Wyłaź z kryjówki, ty moja podwójna synowo, bo chcę wznieść toast na cześć waszego przyszłego potomstwa.

Skwapliwie podbiegła do teścia, lecz w tej samej chwili, jakby zwiastun nieszczęścia, wpadła do izby duża czarna kula i palnęła Taitu w brzuch tak, że wypuściła z dłoni kubek.

— Zły znak — mruknął starzec.

— Znalazł się Nero! — cieszył się Jafet. — Gdzieś ty bywał?

Nie wiadomo, gdzie pudel bywał, ale dowiedzieli się zaraz kogo przyprowadził. Na widok wkraczającego do izby oficera, Salomon rad nierad stanął na baczność, Uadzir splunął, Jafet łypnął okiem na swój łuk wiszący na ścianie, a Józef, udając gospodarza, wyszedł nieproszonemu gościowi naprzeciw. Ale Giovanni Delsanto odepchnął go szorstko i podszedł do Taitu, pod którą z przerażenia ugięły się nogi.

— Gdzie jest kapitan-pilot Campiuchi? — spytał ostro. — No, mów!

— Spadł z samolotem i... zginął.

— A ty i Nero żyjecie, choć byliście w tym samym samolocie!

— Tak. Campiuchi snadź nie miał szczęścia...

— Jak nie miał go mój biedny Leonardo Campolo i tylu innych naszych, których zgubiłaś ty! Ale ja ich pomszczę!... Dalilo Borez, aresztuję cię w imieniu wicekróla. Proszę iść za mną.

— Ona zostanie tutaj! — warknął Uadzir, zmierzając ku drzwiom, aby odciąć Włochowi odwrót. Równocześnie Salomon, oparł dłoń na rękojeści bagnetu.

Giovanni Delsanto jednym spojrzeniem omiół twarze obecnych, patrzących nań z nienawiścią, szybko wcisnął w usta munsztuk⁽³⁾ świstawki i gwizdnął przeraźliwie. Na ten znak do izby wpadło sześciu askarysów, drugich sześciu wetknęło tu głowy przez okna. Teraz Włoch zwrócił się do Uadzira.

— Myślałeś, łotrze, że przyszedłem tu sam, co?!... Brać go!

Dwóch żołnierzy wczepiło dłonie w okryte łachmanami, poranione iperytem ramiona kaleki, który aż jęknął z bólu. Tymczasem Józef wysunął się przed Taitu i jął dowodzić, że ona nie nazywa się Dalila Borez, że nie wyjeżdżała stąd nigdy, że on ręczy za jej niewinność całym majątkiem....

— A ja swoją głową! — wtrącił Salomon.

— Ciebie także zbałamuciła ta żmija! Dowiedz się więc, łatwowierny głupcze, że ona jest szpiegiem! Że długo grasowała w Erytrei jako agentka Jonasza Mongoszy! Że ma na sumieniu kilku oficerów włoskich, moich przyjaciół! Że własnoręcznie wysadziła w powietrze transport

amunicji wraz z trzydziestoma niewinnymi żołnierzami!

W miarę jak padały te ciężkie oskarżenia, wzrastało zdumienie eskorty porucznika Delsanto. Zdumienie i... uznanie dla tej małej, ślicznej kobietki, która pono dokonała takich wyczynów!

— Dowiedz się wreszcie — kończył Giovanni — że Dalila Borez już dawno została skazana na śmierć zaocznie i wyrok teraz będzie wykonany! Wątpię w to, by jego królewska wysokość taką zbrodniarkę raczył ułaskawić...

— Nie chcę waszej łaski — mruknęła Taitu.

— W takim razie — Salomon westchnął cicho — zginę z nią. Ja także mam na sumieniu niejednego Włocha...

— Co tam on — dorzucił kaleka bagatelizująco. — Ja sam jeden zabiłem tego plugastwa osiemnaście sztuk!

— A ja zniszczyłem wasz statek *Ausonia*! I tanki z benzyną, w Asmarze! I w Dessie na lotnisku spaliłem wam osiemnaście samolotów bombowych!

— Jam jest kapral askarysów Uadżir, dezterter!

— Jam jest Salomon Mongosza, brat strasznego dla was Jonasza!

Giovanni Delsanto nie przerywał im, słuchał ze zrozumiałym zainteresowaniem tych zwierzeń. Wyglądały one na przechwałki, dopóki nie padły nazwiska: Uadżir, Mongosza. I ten zuchwały podpalacz Salomon Mongosza, tropiony przez setki żandarmów, ukrywał się wśród askarysów! Jak to dobrze, iż abisyńska krewkość czy desperacja wyrwały mu z ust te słowa!

— Słyszeliście, chłopcy, co ci tu gadali? W śledztwie będą chcieli to odwołać, ale mam dwunastu świadków w was!

— Tak, od was zależy nasze życie — rzekł Uadżir i dorzucił kilkanaście słów w języku zupełnie nieznanym Giovanniemu.

— Po włosku mów, ty psie!

Jego rozkaz zagłuszył iście etiopski harmider, bowiem zachęceni przykładem kaleki, Taitu, Salomon, Józef i Jafet zaczęli równocześnie mówić coś do askarysów bardzo głośno i z oszałamiającą, szybkością.

— Milczeć, banda! — ryknął porucznik, wyjmując rewolwer.

— Nie jestem zobowiązany słuchać pańskich rozkazów — rzekł z godnością Józef Mongosza — i nie pozwolę na to, by mnie jakiś intruz...

— Stul pysk, etiopski wieprzu, albo...

— Albo co, ty włoski rozbójni...

Nie dokończył. Giovanni, straciwszy panowanie nad sobą, palnął go w głowę rękojeścią ciężkiego rewolweru. Trafił nieszczęśliwego w skroń, zabił na miejscu, jak stwierdzono zaraz.

— Tego nie chciałem — mruknął i nagle wzrok jego padł na Taitu, która wraz z Salomonem klęczała przy zwłokach starca. — To przez ciebie! Ty wszystkim, którzy cię kochali, przyniosłaś nieszczęście! — Czy Giovanni uwierzył w to naprawdę, czy zgrywał się tylko, nie wiadomo, lecz jego patos był porywający. — Przeklinam dzień, w którym cię poznałem! Przeklinam noc, w którą oddałaś mi się po raz pierwszy, ty diablico!

Salomon, choć zgnębiono tragiczną śmiercią ojca, posłyszał to, zrozumiał, przeniósł wzrok na Taitu, która wyglądała wręcz niesamowicie.

— Czy... tto... prawda? — wykrztusił.

— Prawda — przyznała głośno — należałam do niego niegdyś w Asmarze, ale... — susem pantery przyskoczyła do Giovanniego i po rękojeść wbiła mu sztylet w piersi — ale powiedziałeś, że o zmarłych nie będziesz zazdrosny. A więcej kochanków nie miałam — dokończyła jednym tchem.

Ugodzony śmiertelnie wykonał na pięcie, na zginających się nogach jakiś dziwaczny półobrót i runął na wznak tuż obok Józefa Mongoszy. Askarysi w pierwszej chwili osłupieli, potem trzech z nich rzuciło się w stronę zabójczyni, którą Salomon szybko osłonił własnym ciałem.

— Koledzy! — krzyknął. — Ona tylko pomściła mojego rodzica. Czy wy postąpiłibyście inaczej, gdyby bez powodu zabito kogoś bliskiego wam?!

— Ano, racja — mruknął jeden z tych, którzy stali za oknem. — *Oko za oko, ząb za ząb* mówi Stary Zakon.

— W każdym razie — rzekł kapral, jedyna szarża wśród dwunastu askarysów, których Delsanto tu przyprowadził jako swą eskortę — powinniśmy was wszystkich zabrać na odwach.

Powiedział wyraźnie *powinniśmy*, zamiast *musimy*! Inny żołnierz poszedł jeszcze dalej, bo przypomniał kolegom, iż zabity porucznik zabrał ich nie z koszar czy z wartowni, lecz z ulicy, tu w sąsiedztwie, czyli żaden Włoch nie wie, że jacyś askarysi byli świadkami zabójstwa oficera.

— Skoro tak — błagał ich Salomon — to pozwólcie nam uciec i sami odejdźcie stąd co prędzej.

Askarysi krótko poszwargotali między sobą, pokiwali głowami.

— Dokąd to chcecie uciekać? — spytał ich kapral. — Bo nuż niedaleko, nuż wróćcie, capną was i wyśpiewacie, że my...

— Bądź spokojny — wtrącił Uadzir. — Wrócimy tu dopiero wówczas, gdy ras Imru zbierze dość wojska, by odebrać Włochom to miasto.

— Imru żyje?! Nam Włosi mówili...

— Oni lżą zawsze! Mówili też, że ras Seyum złożył im hołd. Byłem przy tym, jak składał... ale do grobu stu Włochów. To było przed miesiącem, od tego czasu zarąbał ich na pewno dziesięć razy tyle.

— Gdzież on walczy?

— W Legambo i dokoła Dessie. A ras Imru nad Nilem w Godzanie. A ras Ayyelu z niebotycznych gór Semieniu robi wypadki aż po jezioro Tana; niedawno temu porwał Włochom trzydzieści ciężarowych aut z ładunkiem, wyciąwszy ich eskortę w pień. A w Gore, dokąd wywieziono stąd biura, urzędy, zapasy broni, minister Walda Taddik z polecenia cesarza gromadzi nową armię. A w Ogadenie najeźdźców tępi czterdzieści tysięcy żołnierzy rasa Nasibu, podzielonych na małe hufce. Tak, bracia, ponieśliśmy kilka klęsk, ale nie jesteśmy jeszcze zwyciężeni!

— I nie będziemy nigdy! — dorzucił Salomon. — Bo Etiopię można zająć nawet całą, lecz władać nią nie można bez zgody Etiopczyków. Przekonali się o tym ongiś chytry Egipcjanie i waleczni synowie Arabii i fanatyczni mahdyści i najpotężniejszy naród świata, Anglicy, więc tym bardziej, tym szybciej przekonają się o tym tchórzliwi Włosi. Nie sprostamy im w polu, bo mają samoloty rozpryskujące iperyt, ale kiedy rozproszą się po całym kraju, będziemy kolejno znosić załogi, napadać transporty, palić hangary, reszty zaś dokaże nasz klimat, który w ciągu jednego roku wyrwał im z szeregów przeszło sto tysięcy ludzi!

Słowa te wywarły tak wielkie wrażenie na erytrejskich askarysach, że gdy Uadzir rzekł półżartem: — Chodźcie z nami w góry, będziemy razem prać najeźdźców — zaczęli porozumiewać się wzrokiem i pochrząkiwać ochoczo. Salomon zauważywszy to, kuł żelazo póki gorące:

— Cóż stąd, że Włosi płacą wam żołd, skoro wysyłają was na pewną śmierć. W tej wojnie, jaka zacznie się w lipcu, podczas wielkich deszczów, nie będziemy brać jeńców, aby nie byli kulą u nogi.

— Nie bójcie się zdezerterować — dodał Uadzir. — Ja to zrobiłem w pierwszych dniach

wojny; od dziewięciu miesięcy łączę po całym kraju, zabiłem dotąd półtora tuzina Włochów i co mi zrobili?!

Po krótkim wahaniu askarysi zdecydowali się na dezercję. Weszli wszyscy do izby, zasłonięto okna i rozpoczęła się narada. Postanowiono na niej pogrzebać w ogrodzie za domkiem zabitego porucznika oraz jego ofiarę. Przez ten czas kapral miał skoczyć do baraków, aby dowiedzieć się o hasło na dzisiejszą noc. Bardzo długo nie wracał z tej wyprawy, aż nagle zadudniły kroki. Szło co najmniej dwudziestu ludzi!

— Zdradził nas łotr! — warknął Salomon — prowadzi żandarmów!

Nikt w to nie wątpił spośród obecnych w izbie i nastąpiła chwila grobowej ciszy. Potem Uadžir wydobyl swój rewolwer, zajrzał do magazynka.

— Mam tylko pięć kul. Cztery dla Włochów, piąta dla mnie.

Do drzwi zapukano. Taitu przeżegnała się, podeszła do nich.

— A usuń się prędko w bok — rzucił szeptem kaleka.

— Nie strzelaj, póki nie wejdą.

Wszedł sam kapral, promieniał ze szczęścia, oznajmił im z dumą:

— Mam hasło i zwerbowałem jeszcze dwa tuziny ochotników!

Razem z Uadžirem, Taitu, Salomonem i Jafetem oddziałek liczył już czterdziestu ludzi. Nietrudno było im wymknąć się z Addis Abeby, miasta liczącego około 150.000 mieszkańców, a rozległego jak Berlin. Idąc gęsiego przez ogrody, okrążywszy od zachodu dobrze strzeżony dworzec, wydostali się na ścieżkę, która wiedzie przez Cassibi, Nonno, Mutta, Keda do Gore, nowej stolicy kraju odległej od starej o 400 kilometrów. Ale zaledwie uszli tą ścieżką ćwierć mili, pudel Nero niesiony przez Jafeta, zawarczał. Salomon zatrzymał oddział.

— Tu gdzieś tkwi wartownik. Zaczekajcie.

— Idę z tobą — ofiarował się Uadžir. — Jak brzmi hasło?

Gdy w kwadrans później wrócili, westchnął obłudnie:

— Wziąłem sobie na sumienie dziewiętnastego Włocha.

— A ja szóstego — dorzucił Salomon. — Kiedyż cię dopędzę?!

— Dziś już nie. Na wartowni jest najwyżej dziesięciu.

Wartownię można było teraz ominąć bez trudu, lecz Uadžir ani myślał rezygnować z takiej gratki. Chodziło mu nie tylko o zdobycie tuzina karabinów, ale również o zaangażowanie askarysów tak, by już nie mogli liczyć na przebaczenie Włochów.

— Zaczekajmy na najbliższą zmianę wdarty.

Gdy do miejsca, gdzie przedtem stał posterunek, podeszli bersaglieri⁽⁴⁾, którzy mieli zluzować kolegów, askarysi wykłuli ich bagnietami. Potem ściągnięto z zabitych mundury, przebrała się w nie garść największych zuchów ze Salomonem na czele i śmiało wkroczyła do wartowni. Zanim przebywający tam bersaglieri połapali się w sytuacji, ich karabiny były już w rękach napastników, których reszta wtargnęła do izby, jak burza. Nie padł ani jeden strzał mogący zaalarmować batalion stacjonowany w pobliskiej wsi. By mieszkańców tej wsi nie narażać na odwet Włochów za tyle trupów, Salomon pozostawił tu list, napisany po francusku i bardzo górnolotnie, którego autor brał całą winę za napad na siebie. Chciał list podpisać swoim nazwiskiem, lecz Uadžir odradził mu to stanowczo.

— Zemszczą się na twoich krewnych — twierdził. - Moją rodzinę wymordowali doszczętnie, więc podpisz mnie i trochę nabujaj...

Salomon podpisał więc list w następujący sposób: *Kapitan S. de M., adiutant generała Frumencjusza Uadžira, Wodza Armii Powstańców*. Poniżej Taitu własnoręcznie dopisała po włosku: *Porucznika Giovanniego Delsanto zabiłam ja, Dalila Borez, wasza znajoma z Asmary*.

Nic dziwnego, że po takim liście nazajutrz aż cztery eskadry samolotów objuczonych

iperytem wyruszyły w pościg za „armią generała Uadzira”, który przezornie skręcił ze ścieżki zaraz po napadzie i rozbił obóz koło szczytu góry Uociocia. Ukryci w zaroślach powstańcy kpili sobie na morgi z włoskich lotników szukających ich wszędzie, tylko nie tam, gdzie należało. Bo Uadzir postanowił maszerować wyłącznie nocami, a za dnia spać.

— Wy śpijcie także, zamiast gadać — zachęcał towarzyszy — gdyż ruszymy w drogę zaraz po zachodzie słońca.

Zachód słońca był brzydki niczym w okresie lipcowych ulew, których początku spodziewano się lada dzień. Już połowę szarego nieba zaległy chmury, przed którymi samoloty najeźdźców uciekły na lotnisko, chmury opasłe, szpetne jak Włoszki po trzydziestce, chmury ciemne, brudne jak przeciętny Włoch, a miejscami zabarwione przez słońce na brązowawy kolor iperytu, który dał zwycięstwo Włochom.

Tak to widziała Taitu, spoglądając ze ściśniętym sercem na leżącą u jej stóp Addis Abebę, miasto eukaliptusowych gajów, miasto-ogród olbrzymie i jedyne spośród miast Abisynii, którego Włosi nie zbombardowali przez wzgląd na niewygodnych świadków-cudzoziemców i ze strachu przed konfliktami międzynarodowymi, w razie gdyby zniszczeniu uległy poselstwa zagraniczne.

A kiedy niebawem lunął deszcz, wydało się młodziutkiej Taitu, iż niebo płacze nad straszną dolą jej kraju, płacze ze smutku:

że na ziemi znów bestialskie barbarzyństwo najeźdźców zatryumfowało nad bohaterstwem obrońców ojczyzny,

że znikła dawna rycerskość zwycięzców wobec pokonanych, których nieszczęśliwego monarchę lada gryzpiórek włoski lży dziś publicznie, a za najbardziej chamskie wybryki dostaje pochwałę od ministra,

że zwycięzca wyprodukował wprawdzie moc wicekrólów, marszałków, książąt, cesarzy, lecz nie odbudował ani jednej wsi czy kościoła, choć przyrzekł to uroczyście, gdy je wandalsko niszczył, że niepotrzebna ta wojna musi za dwa, trzy lata wywołać zbrojny konflikt Włoch z Anglią, czyli drugą wojnę światową z jej dziesiątkami milionów ofiar,

że niebawem ludzkość powlecze do kaźni przeklęty kat iperyt!

Słońce zaszło. Niebo nad Addis Abebą już posępne i czarne niby koszula faszysty, zaszlochało deszczem tak ulewnym jak przy oberwaniu chmury.

— A płacz sobie teraz, ja płakać nie będę — rzekła hardo Taitu, okrywając troskliwie karabin — ja idę z nimi do Gore, skąd rozpoczniemy walkę o wolność ojczyzny. I chociaż w Gore nie ma ani dziennikarzy, ani radiostacji, choć Włosi zatają nasze zwycięstwa, świat w końcu o nas usłyszy. Usłyszysz niebawem!

⁽¹⁾ lazzarone (wł.) – lazaron, żebrak uliczny we Włoszech.

⁽²⁾ metecy – wolni ludzie w starożytnej Grecji nieposiadający jednak pełni praw obywatelskich.

⁽³⁾ munsztuk – tu: ustnik.

⁽⁴⁾ bersaglieri (wł.) – bersalierzy, formacja włoskiej lekkiej piechoty zmechanizowanej.

EPILOG

Spełniają się już teraz przewidywania dzielnej Taitu. Nie ma dnia, żeby świat nie dowiedział się o nowych bohaterskich czynach Abisyńczyków, nie ma tygodnia, żeby sami Włosi nie byli zmuszeni przyznać się do jakiejś nowej porażki.

Tak na przykład nie zdołali zatuszować tego, że silne oddziały powstańców zapuściły się aż pod Harar, który lotnicy włoscy w kwietniu spalili doszczętnie.

Tak na przykład po wysadzeniu w powietrze kilku mostów kolejowych przez inny oddział powstańców musiała agencja Stefaniego przyznać dnia 13 lipca 1936, że:

Komunikacji kolejowej pomiędzy Dżibuti i Addis Abebą nie wznowiono jeszcze, wojska inżynierskie pracują nad naprawieniem toru.

Tak na przykład nie dało ukryć się wielkiej klęski pod Lechemti w prowincji Uollegga, gdzie między innymi zginęło trzech wyższych oficerów włoskich, major Locatelli, pułkownik sztabu generalnego Calderini i generał Magliocco. Cały sprzęt ekspedycji, w tym trzy samoloty bombowe i moc broni, wpadł w ręce dzielnych powstańców, którzy wspaniałomyślnie wypuścili na wolność jednego z jeńców, księdza Borello, chociaż mieli prawo go zabić, skoro Włosi wymordowali tylu duchownych koptyjskich. Ojciec Borello dotarł do swoich dopiero 5 lipca, czyli w tydzień po bitwie, po czym:

samoloty włoskie udały się niezwłocznie do Uollegga, by zastosować masowe represje tu stosunku do powstańców i ich kryjówek.

Nietrudno wyobrazić sobie takie masowe represje, zarządzane przez marszałka Grazianiego, który za krwawą pacyfikację Libii otrzymał niegdyś przydomek *Bicza Trypolitanii* i to w czasach, gdy nie znano iperytu! Kto wie jednak, czy niebawem pan marszałek nie będzie zmuszony do zmiany obiektu swoich represji. Bo coraz częściej, coraz śmielej zapytują żołnierze włoscy w Abisynii:

— Dlaczego to Badoglio wyjechał stąd tak rychło? I synowie il Duce, i jego zięć, i kilka uprzywilejowanych pułków? Dlaczego właśnie nas pozostawiono na pastwę wielkich deszczów i malarii, i tyfusu, i dyzenterii, i tubylców walczących dziś jeszcze zacieklej niż na początku wojny? Kiedy nareszcie odeślecie nas z tego przeklętego kraju do pięknej Italii, do naszych żon, matek, domów?!

Powiada przysłowie abisyńskie: *Do naszego kraju wróg może wtargnąć, ale żyw z niego nie wyjdzie!* Że to jest prawdą, przekonali się Włosi już raz, w roku 1896, a historia powtarzać się lubi. I leży w interesie pokoju świata, by powtórzyła się jak najrychlej, by jak najbardziej odstraszającą karę poniósł ten, którego 52 państwa w Genewie uznały za napastnika.